

BESTSELLEROWA AUTORKA  
NEW YORK TIMESA



# JOY FIELDING

NIE MA  
JEJ

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 2. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 3. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 4. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 5. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 6. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 7. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 8. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 9. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 10. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 11. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 12. Czternaście lat temu

ROZDZIAŁ 13. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 14. Dziesięć lat temu

ROZDZIAŁ 15. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 16. Sześć lat temu

ROZDZIAŁ 17. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 18. Pięć lat temu

ROZDZIAŁ 19. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 20. Pięć lat temu

ROZDZIAŁ 21. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 22. Pięć lat temu

ROZDZIAŁ 23. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 24. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 25. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 26. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 27. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 28. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 29. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 30. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 31. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 32. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 33. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 34. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 35. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 36. Dzisiaj

ROZDZIAŁ 37. Piętnaście lat temu

ROZDZIAŁ 38. Dzisiaj

Podziękowania

# JOY FIELDING

## NIE MA JEJ

Z angielskiego przełożyła  
*Edyta Jaczewska*

  
Świat Książki  
wydawnictwo

*Dla Haydena i Skylar*

# ROZDZIAŁ 1

## Dzisiaj

Dochodziła zaledwie ósma rano, a telefon już dzwonił. Nawet zza zamkniętych drzwi łazienki i przy odkręconym prysznicu Caroline rozpoznała ten charakterystyczny, trzytonowy dzwonek, sygnalizujący rozmowę zamiejscową. Zdecydowała się go zignorować, uznawszy, że to pewnie telemarketer albo prasa. Obie możliwości były równie nieprzyjemne, ale mając wybór, Caroline wolałaby chyba telemarketera. Telemarketerzy czyhają tylko na twoje pieniądze. Prasa chce twojej krwi.

Chociaż minęło już tyle czasu.

Jutro będzie piętnaście lat.

Wstawiła głowę pod gorący strumień wody. Piana z szamponu spływała po jej zamkniętych powiekach i po policzkach. To chyba niemożliwe. Jakim cudem piętnaście lat złożonych z niekończących się dni i zarwanych nocy minęło tak szybko? Sądziła, że do tej pory powszechne zainteresowanie jej osobą co najmniej przygaśnie. Tymczasem ciekawość raczej rosła z każdą kolejną rocznicą. Reporterzy wydzwaniali tygodniami z miejsc tak odległych jak Australia i Japonia. Jak teraz wygląda jej życie? Czy pojawiły się jakieś nowe poszlaki? Jacyś nowi mężczyźni? Może kolejne samobójstwo? Czy wciąż żywi nadzieję, że znów zobaczy swoją córkę? Czy policja nadal uważa ją za podejrzaną w sprawie zaginięcia dziecka?

Tyle że Samantha już nie byłaby dzieckiem. Zaledwie dwulatka, kiedy zniknęła bez śladu z łóżeczka w ekskluzywnym meksykańskim kurorcie, podczas gdy, według słów dziennikarzy, „jej rodzice zabawiali się z przyjaciółmi w pobliskiej restauracji”, teraz miałaby siedemnaście lat.

Zakładając, że nadal żyje.

Żeby więc odpowiedzieć na niektóre z ich pytań: nie było żadnych nowych poszlak. Caroline nigdy nie porzuci nadziei, ma już całkowicie w nosie, co sądzi o niej policja, a jej życie wyglądałoby o niebo lepiej, gdyby prasa wreszcie raczyła się od niej odczepić.

Z pochyloną głową, z wodą ociekającą z nosa i brody, Caroline wyciągnęła rękę i zakręciła kurki prysznicu, zadowolona, że natrętny dzwonek telefonu wreszcie umilkł. Miała świadomość, że to tylko chwilowa ulga. Ten, kto dzwonił, zadzwoni znowu. Zawsze próbowali.

Wyszła z kabiny na podgrzewaną, biało-szarą marmurową posadzkę łazienki, otuliła się białym frotowym płaszczem kąpielowym i dłonią starła mgłę pary pokrywającą duże lustro nad podwójną umywalką. Z odbicia spojrzała na nią

czterdziestosześcioletnia kobieta z mokrymi, brązowymi włosami i znużonymi, zielonymi oczami, w niczym nieprzypominająca tamtej „pięknej” i „powściągliwej” młodej kobiety „o udręczonym spojrzeniu”, którą gazety opisywały zaraz po zniknięciu Samantha, w jakiś sposób zdoławszy sprawić, że słowa „piękna” i „powściągliwa” brzmiały niepochlebnie i oskarżycielsko. Po dziesiątej rocznicy „piękna” ustąpiła „efektownej”, a „powściągliwa” przekształciło się w „zamkniętą w sobie”. A w zeszłym roku jakiś reporter zdeprecjonował ją jeszcze bardziej, określając jako „nadal atrakcyjną osobę w średnim wieku”. Komplement tak miały, że całkiem niepochlebny i zwyczajnie równy obeldze.

Nieważne. Przywykła do tego.

Caroline energicznie wytarła głowę grubym, białym ręcznikiem i patrzyła, jak nowa fryzura okala wiotkimi kosmykami jej twarz aż po brodę. Fryzjerka zapewniała ją, że dzięki strzyżeniu bez cieniowania będzie wyglądała młodziej, ale chyba nie wzięła pod uwagę uporu cienkich włosów klientki, które odmawiały układania się inaczej, bezwładnie zwisając. Caroline wzięła głęboki oddech, uznając, że jutrzejsze wzmianki prasowe prawdopodobnie opiszą ją jako „niegdyś atrakcyjną matkę zaginionej dziewczynki, Samantha Shipley”.

Czy jej wygląd w ogóle ma jakieś znaczenie? Czy w oczach osądzającej ją opinii publicznej będzie mniej winna – zaniedbania, niedostatecznej opieki rodzicielskiej, zabójstwa – tylko dlatego, że jest mniej atrakcyjna niż wtedy, kiedy jej córka zniknęła? Wówczas prasa odsądzała ją od czci i wiary za wszystko, począwszy od linii kości policzkowych po długość spódnic, od połysku rozpuszczonych na ramiona włosów po lśnienie szminki. Nawet szczerość jej łez podawano w wątpliwość – jeden z brukowców po którejś konferencji prasowej skomentował, że tusz do rzęs „dziwnie jej się nie rozmazywał”.

Mężowi dostała się tylko niewielka porcja jadu, który wylewano na Caroline. Niezaprzeczenie przystojny, Hunter przy swoim atrakcyjnym wyglądzie był na tyle nijaki, że nie narzucał się jako łatwy cel. Podczas gdy wrodzona nieśmiałość Caroline miała niefortunną tendencję do jawienia się jako wyniosłość, bardziej otwarta osobowość Huntera sprawiała, że zdawał się tyleż przystępny, co szczerzy. Przedstawiano go jako ojca, „który ledwie się trzyma, lgnąc kurczowo do swojej starszej córeczki, Michelle, pięcioletniego dziecka o twarzy aniołka”, gdy żona stała obok nich, „jakby kij połknęła, nieco z boku i oddzielnie”.

Nie wspomniano już o tym, że to wskutek nalegań Huntera wyszli z hotelu tamtego wieczoru, chociaż zamówiona przez nich opiekunka do dziecka nie dotarła. Nie wspomniano o tym, że wyjechał z Meksyku i wrócił do swojej kancelarii prawnej w San Diego zaledwie tydzień po zniknięciu Samantha. Nie wspomniano o przysłowiowej „ostatniej kropli goryczy”, o tej finalnej małżeńskiej zdradzie, która raz na zawsze skazała ich związek na klęskę.

Tyle że to też była jej wina.

– Wszystko moja wina – powiedziała Caroline do swojego odbicia w lustrze,

wyjmując z szuflady pod umywalką suszarkę do włosów i przystawiając ją do głowy niczym rewolwer. Nacisnęła włącznik i fala gorącego powietrza uderzyła ją prosto w ucho.

Dzwonek odezwał się niemal równocześnie. Caroline dopiero po chwili zorientowała się, że to telefon. Jeden długi sygnał, po nim dwa krótsze, co oznaczało kolejną rozmowę zamiejscową. – Dajcie mi spokój! – krzyknęła w stronę sypialni. A potem: – A, do diabła! – Wyłączyła suszarkę i pomaszerowała do pokoju, złapała słuchawkę leżącą na stoliku przy podwójnym łóżku, starając się nawet nie patrzeć na poranną gazetę rzuconą na rozgrzebaną kołdrę.

– Halo?

Cisza, a potem sygnał zajętości.

– Super. – Wstawiła słuchawkę z powrotem na ładowarkę. Jej wzrok odruchowo powędrował ku pierwszej stronie gazety. Na niej, obok odgrzanych, jak co roku, wszystkich okropnych faktów i plugawych insynuacji, jakie publikowano przez minione piętnaście lat, wśród napawania się każdym pikantnym szczegółem – „Zdrada małżeńska!”, „Samobójstwo!”, „Wyznanie prawdy!” – widniała duża fotografia dwuletniej Samantha, uśmiechającej się do niej obok rysunkowego portretu córki – artystycznej wizji tego, jak mogłaby wyglądać dzisiaj. Podobne szkice od dwóch tygodni zalewały internet. Nogi się pod nią ugięły i Caroline ciężko przysiadła na łóżku. Telefon znów zadzwonił i rzuciła się w jego stronę, odbierając połączenie, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy dzwonek.

– Proszę, dajcie mi wreszcie spokój – rzuciła.

– Zakładam, że widziałas poranną gazetę – odezwał się znajomy głos. Należał do Peggy Banack, szefowej Hospicjum Marigold, dwunastołóżkowego obiektu dla nieuleczalnie chorych w samym sercu San Diego. Peggy była najlepszą przyjaciółką Caroline od trzydziestu lat, a od piętnastu – jedyną.

– Trudno nie zauważyć. – Caroline znów starała się ominąć wzrokiem pierwszą stronę gazety.

– Dupek pisze to samo co roku. Wszystko w porządku?

Caroline wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. Gdzie jesteś?

– W pracy.

No jasne, pomyślała Caroline. A gdzie indziej miałyby być Peggy o ósmej w poniedziałkowy poranek?

– Słuchaj, niechętnie zawracam ci tym głowę – powiedziała Peggy – a już zwłaszcza w tej chwili...

– Co się stało?

– Tak się tylko zastanawiałam... Michelle już wyszła?

– Jest u ojca. Sporo tam przebywa od narodzin dziecka... – Caroline głęboko odetchnęła, bo zbierało jej się na wymioty. – Miała być w pracy dziś rano?

– Pewnie jest już w drodze.



Caroline pokiwała głową i gdy tylko pożegnała się z Peggy, wystukała numer komórki Michelle. Na pewno nawet ktoś tak uparty i skłonny do autodestrukcji jak jej córka nie okazałby się tak głupi, żeby opuścić narzucone przez sąd prace społeczne.

– Cześć, tu Micki – zabrzmiał głos córki tonem tak matowym, że Caroline z trudem go rozpoznała. – Zostaw wiadomość.

Bez choćby „proszę”, pomyślała Caroline, z miejsca jeżąc się wewnątrz na to zdrobienie, Micki, i zachodząc w głowę, czy córka czasem nie z tego powodu upiera się, by tak do niej mówić. – Michelle – odezwała się znacząco. – Peggy dzwoniła przed chwilą. Najwyraźniej spóźniasz się na swoją zmianę. Gdzie jesteś? – Rozłączyła się, odetchnęła i zadzwoniła na stacjonarny numer Huntera, twardo postanawiając, że nie będzie się nastawiać negatywnie. Może córce zawiódł budzik. Może autobus się spóźnił. Może właśnie w tej chwili wchodzi do hospicjum.

A może odsypia kolejny przeimprezowany do późna wieczór, wtrącił nieproszony głos rozsądku. Może znów wypila o jednego drinka za dużo, a potem wsiadła do samochodu, ignorując zarówno niedawne aresztowanie za jazdę pod wpływem, jak i zawieszenie prawa jazdy. Może zatrzymała ją policja, w praktyce niwecząc ugodę wynegocjowaną przez jej ojca z zastępcą prokuratora okręgowego, ugodę, która pozwoliła córce uniknąć odsiadki w zamian za kilkaset godzin prac społecznych. – Cholera, Michelle. Naprawdę jesteś aż tak nieodpowiedzialna? – Dopiero, kiedy te słowa padły, Caroline zorientowała się, że połączenie ktoś już po drugiej stronie odebrał.

– Caroline? – odezwał się jej były mąż.

– Hunter – odparła, nieco się przy tym imieniu zająknąwszy. – Co u ciebie?

– W porządku. A ty jak?

– Jakoś się trzymam.

– Widziałaś poranną prasę?

– Tak.

– Nie jest to łatwa pora roku – powiedział, jak zwykle świetny w stwierdzaniu rzeczy oczywistych.

– Owszem. – Chociaż ty radzisz sobie raczej dobrze, pomyślała. Młoda żona, dwuletni synek, teraz nowo narodzona dziewczynka, która zastąpi utraconą córkę. – Michelle jest u ciebie?

– Zdaje się, że pomaga Dianie przy małej.

I jak na dany znak, w słuchawce rozległo się gwałtowne zawodzenie niemowlęcia. Caroline przymknęła oczy, usiłując nie wyobrazić sobie tego ostatniego dodatku do rodziny Huntera.

– Peggy dzwoniła. Michelle powinna być w hospicjum.

– Serio? Myślałem, że jedzie dziś na popołudnie. Czekaj chwilę. Micki! – zawołał głośno. – To pewnie tylko jakieś nieporozumienie.

– Pewnie tak – powtórzyła bez przekonania Caroline.

– Co sądzisz o tym szkicu? – zaskoczył ją pytaniem Hunter.

Poczuła, że oddech więźnie jej w płucach, zdumiona, że byłemu mężowi udawało się

brzmieć tak rzeczowo, zupełnie jakby odnosił się do jakiegoś abstrakcyjnego dzieła sztuki, a nie portretu ich zaginionego dziecka.

– Ja... To... – wyjąkała, przeskakując wzrokiem od zdjęcia w gazecie do rysunku obok.

– Dali jej twoją linię szczęki.

Hunterowi wyrwało się coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem.

– To zabawne. Diana powiedziała dokładnie to samo.

O Boże, pomyślała Caroline.

– Co jest? – Usłyszała skierowane do ojca pytanie Michelle.

– To twoja matka – odparł. Jego głos ścichł, gdy przekazywał słuchawkę Michelle. –

Zdaje się, że powinnaś być w hospicjum.

– Jadę dziś po południu – odezwała się Michelle do matki głosem, który absolutnie nie przypominał matowego szeptu nagranego na pocztę głosową.

– Nie możesz tam się zjawiać, kiedy masz ochotę – stwierdziła Caroline.

– Naprawdę? To nie tak to działa?

– Michelle...

– Wyluzuj, mamó. Zamieniłam się dyżurami z taką jedną dziewczyną.

– No cóż, ona się tam nie zjawiała.

– Zjawi się. Nie martw się. Coś jeszcze?

– Powinnaś chyba zadzwonić do Peggy, wyjaśnić...

– Dzięki, tak zrobię.

– Michelle...

– Taa?

– Tak myślałam, może dziś wieczorem poszłybyśmy razem na kolację...

– Nie mogę. Umówiłam się z przyjaciółką. Z Emmą.

– Emmą? – powtórzyła Caroline, usiłując nie zdradzać rozczarowania. – Czy ja ją znam?

– Widziałaś ją z sześć razy.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie...

– To dlatego, że nigdy nie pamiętasz moich przyjaciółek.

– To nieprawda.

– Ależ owszem. Tak czy inaczej, muszę kończyć. Pogadamy później.

W słuchawce zapadła cisza. Caroline rzuciła telefon na łóżko, patrząc, jak znika w fałdach białej pościeli. – Cholera. Czy Michelle miała rację? Córka zawsze miewała mnóstwo przyjaciółek, chociaż żadna z tych przyjaźni nie trwała długo, więc tym trudniej było je spałmętać. Jeszcze coś, co powodowało poczucie winy.

Sprawdziła godzinę, zorientowała się, że dochodzi wpół do dziewiątej. W szkole powinna być za pół godziny. Podniosła się, już zmęczona na samą myśl o dwudziestu trzech mało gorliwych uczniach, zgarbionych za swoimi ławkami, patrzących na nią szklanym wzrokiem, pełnym oczywistej i jednoznacznej antypatii do przedmiotu.

Jak oni mogą nie kochać matematyki? – zastanawiała się. W matematyce jest coś tak wspaniałego, tak czystego, tak prawdziwego... Jej ojciec też uczył matematyki

i przekazał pasję córce. Chodziło o znacznie więcej niż rozwiązywanie łamigłówek i zadań. W tym irracjonalnym świecie, tak pełnym niejednoznaczności, tak obfitującym w zbiegi okoliczności, Caroline grzała się w promieniach matematycznej niepodważalności, czerpiąc pociechę z faktu, że nie ma tu miejsca ani na interpretację, ani na ambiwalencję, że zawsze istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź, a jej słuszności da się dowieść. Kolejny znak, dowodziłaby niewątpliwie Michelle, jak jej się już zdarzyło przy niejednej okazji, że matematyka nie ma absolutnie żadnego odniesienia do realnego życia.

Caroline wróciła do łazienki i dosuszyła włosy. Potem ubrała się w granatową spódnicę i białą jedwabną bluzkę, wyjęte z szafy jeszcze poprzedniego wieczoru.

– Nie masz nic innego do włożenia? – spytała ją raz Michelle.

– A ty? – odpaliła Caroline, wskazując obowiązkowy mundurek córki złożony z dzinsów o wąskich nogawkach i przydużej bawełnianej koszulki. Jak wiele młodych kobiet z jej pokolenia, Michelle nabożnie śledziła najnowsze trendy w modzie, przelotnie popularne diety i systemy ćwiczeń. „Wszystko z umiarem” stanowiło koncepcję równie jej obcą, co algebra.

No dobrze – powiedziała Caroline do samej siebie. – Czas się zbierać.

Już jej groziło spóźnienie. Wymówiła ciche życzenie, żeby w pokoju nauczycielskim zostało trochę kawy w dzbanku. Mogła znieść wiele rzeczy, ale dzień bez kawy do nich się nie zaliczał.

Telefon rozdzwonił się, kiedy szła już w stronę drzwi. Po pierwszym dzwonku odezwały się zaraz dwa krótsze, wskazując kolejną zamiejscową. Pewnie to ta sama osoba, która dzwoniła wcześniej. – Nie odbieraj – przestrzegła samą siebie, ale już szła do kuchni, przyciągana dźwiękiem jak magnesem. Uniosła słuchawkę w połowie czwartego sygnału.

– Halo?

Cisza.

– Halo?

Odgłos oddechu.

Świetnie, pomyślała. Dokładnie tego mi trzeba, telefonicznego zboczeńca. I to zamiejscowego.

– Odkładam słuchawkę – zapowiedziała, odsuwając telefon od ucha.

– Proszę poczekać.

Znów przyłożyła telefon do ucha.

– Słucham?

Cisza.

– No dobrze, rozłączam się.

– Nie, proszę.

To był głos młodej dziewczyny, niemal dziecka. Było w nim naleganie, coś na tyle jednocześnie obcego i znajomego, że Caroline jednak nie przerwała połączenia.

– Kto mówi?

Znów milczenie.

– Proszę posłuchać, nie mam na to czasu...

– Czy to mieszkanie pani Caroline Shipley? – spytała dziewczyna.

– Tak.

– Pani Shipley? – ciągnęła dziewczyna.

– Jest pani z prasy?

– Nie.

– To kim pani jest?

– Czy mówię z Caroline Shipley?

– Tak. Kto dzwoni?

Kolejna chwila milczenia.

– Kto mówi? – powtórzyła Caroline. – Czego pani chce? Odwieszam słuchawkę...

– Na imię mam Lili.

Caroline przebiegła w myślach klasowe listy wszystkich swoich uczniów, byłych i obecnych, usiłując dopasować jakąś twarz do tego imienia, ale nic jej to nie dało. Może to kolejna przyjaciółka Michelle, o której zapomniała?

– W czym mogę ci pomóc, Lili?

– Pewnie nie powinnam dzwonić...

– O co chodzi? – Dlaczego jeszcze nie skończyła tej rozmowy, na litość boską?

Dlaczego po prostu się nie rozłączyła?

– Ja chyba...

– Tak?

– Patrzyłam na te szkice w internecie. – Lilly urwała. – No, te... pani córki.

Caroline opuściła głowę. No to jedziemy, pomyślała. Co roku o tej porze to się zdarzało. Pięć lat temu zadzwonił jakiś facet z Florydy, twierdząc, że córka jego nowych sąsiadów jest podejrzenie podobna do najnowszych portretów Samantha. Caroline natychmiast wybrała się do Miami i opuściła wszystkie trzy występy Michelle w szkolnym przedstawieniu musicalu *Oliver!*, wszystko po to, by nadzieja z miejsca prysła, bo podejrzenia tego gościa okazały się bezpodstawne. Następnego roku jakaś kobieta poinformowała, że widziała Samanthę w kolejce w Starbucksie w Tacomie, w stanie Waszyngton. Kolejna podróż po nic. A teraz, wobec szeroko publikowanych w gazetach i w internecie ostatnich portretów...

– Lili... – zaczęła.

– No właśnie o to chodzi – przerwała dziewczyna, a Caroline znów poczuła, że nogi się pod nią uginają i nie może złapać oddechu. – Wydaje mi się, że nie mam na imię Lili. – Kolejna chwila milczenia. – Ja chyba naprawdę mam na imię Samantha. Chyba jestem pani córką.

## ROZDZIAŁ 2

# Piętnaście lat temu

– To już tu? – Michelle zamarudziła z tylnego siedzenia nowego białego lexusa. Zaczęła szarpać pas, którym była przypięta i kopać w tył siedzenia Caroline.

– Proszę, nie rób tego, kochanie – odezwała się matka, obracając się na przednim siedzeniu, by spojrzeć na naburmuszoną pięciolatkę. Obok Michelle spała spokojnie w foteliku Samantha. I tak oto, w wielkim skrócie, pomyślała Caroline, wędrując wzrokiem po dzieciach, przedstawia się różnica między moimi dwiema dziewczynkami: jedna to niespokojny zbiór typowo dziecięcych szablonów, druga – idealna mała śpiąca królewna. Caroline zawsze pogardzała rodzicami, którzy faworyzują jedno z dzieci – jej matka była tutaj najlepszym przykładem – ale musiała przyznać, że unikanie dokładnie takich odruchów okazywało się czasem trudniejsze, niż kiedyś przypuszczała.

– Mam dość tej jazdy.

– Wiem, kochanie. Niedługo będziemy na miejscu.

– Chcę soku.

Caroline zerknęła w stronę fotela kierowcy. Mąż pokręcił głową, nie odrywając wzroku od drogi. Przygarbiła się odruchowo. Rozumiała, że Hunter nie chce ryzykować zalania sokiem beżowej skóry siedzeń swojego nowego wozu, ale wiedziała też, że oznacza to kolejne dwadzieścia minut próśb i kopania.

– Już niebawem będziemy na miejscu, kotku. Wtedy napijesz się soku.

– Chcę teraz.

– Popatrzcie na ocean – rzekł Hunter, próbując odwrócić jej uwagę. – Spójrzcie, jak pięknie...

– Nie chcę patrzeć na ocean. Chcę soku. – Michelle mówiła coraz głośniej. Caroline wiedziała, że dzieciakowi zbiera się na rutynowy napad złości, że to kwestia paru sekund i zaraz doczekają się wybuchu o potężnej skali. Znów zerknęła na Huntera.

– Jeśli teraz jej ustąpimy... – szepnął.

Caroline westchnęła głęboko i wyjrzała przez boczną szybę, wiedząc, że mąż ma rację. Próbowwała skoncentrować się na wspaniałym, nieskalanym widoku oceanu, rozciągającym się wzdłuż dobrze utrzymanej, płatnej autostrady. Może Michelle pójdzie za jej przykładem.

– Pić mi się chce – oświadczyła Michelle, szybko pozbawiając ją tej nadziei. A potem o pełną oktawę wyżej, głosem drżącym groźbą łez: – Pić mi się chce!

– Zaczekaj, kochanie – powiedział Hunter. – Zaraz tam będziemy.

I faktycznie, to już była plaża Rosarito i kurort Grand Laguna, luksusowy kompleks hotelowy połączony ze spa, wybrany przez Huntera jako idealne miejsce, żeby uczcić ich dziesiątą rocznicę ślubu. Zlokalizowana między Oceanem Spokojnym a pogórzem Złotego Wybrzeża Zatoki Kalifornijskiej, plaża Rosarito leżała zaledwie trzydzieści mil na południe od San Diego i ta bliskość amerykańsko-meksykańskiej granicy czyniła ją popularnym miejscem wakacji dla mieszkańców południowej Kalifornii, oferując okazję do wyjazdu za granicę i zaznania odmiennej kultury bez niedogodności związanych ze zbyt długą podróżą.

Siedemnaście mil zapierającej dech w piersiach drogi wzdłuż oceanu wiodło do głównej miejskiej dzielnicy Rosarito, czteromilowego odcinka plaży pełnego osiedli mieszkaniowych, sklepów z pamiątkami, restauracji i bajecznych nadmorskich hoteli. Sami wybrali Grand Laguna spośród wszystkich innych, bo strona internetowa hotelu obiecywała nie tylko romantyczne scenerie i oszałamiające zachody słońca, ale też wychwalała codzienny popołudniowy program zajęć dla dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Hotel zapewniał również wieczorną usługę opieki nad dziećmi, co oznaczało, że Caroline i Hunter mogliby mieć trochę, tak bardzo im potrzebnego, czasu dla siebie. Mąż ostatnio bywał coraz bardziej niedostępny, głównie dlatego, że kancelaria prawna, w której miał nadzieję awansować na partnera, niedawno połączyła się z inną firmą, czyniąc jego pozycję dość niepewną. Caroline wiedziała, że to kolejny powód, dla którego Hunter upierał się przy Rosarito. Gdyby wezwano go do pracy, mógłby się stawić przy biurku w ciągu paru godzin.

Wycieczka zaczęła się dość dobrze. Samantha zasnęła niemal w tej samej chwili, w której samochód ruszył z podjazdu, a Michelle nawet ładnie bawiła się swoją nową lalką Wonder Woman. Niestety, po piętnastu minutach jazdy źle obliczona próba zmuszenia Wonder Woman do latania zakończyła się lądowaniem na podłodze samochodu, gdzie lalka skryła się pod przednim siedzeniem, co doprowadziło do pierwszej powodzi łez Michelle. Potem duży ruch wzdłuż międzystanowej autostrady numer 5 w połączeniu z oczekiwaniem na przejściu granicznym San Ysidro w Tijuanie zamieniły trzydziestomilową podróż w półtoragodzinną mękę. Caroline myślała, że może powinna była posłuchać sugestii Huntera i zostawić dziewczynki w domu na ten tydzień. Ale to oznaczałoby powierzenie ich opiece jej matki, czego za żadną cenę nie chciała. Matka dość już szkody narobiła własnym dzieciom.

Caroline pomyślała o swoim bracie, Steve'em, dwa lata od niej młodszym, przystojnym mężczyźnie o rudawobrazowych włosach, zabójczym uśmiechu i piwnych oczach ze złotymi plamkami na tęczówkach. Ten naturalny urok uczynił go ulubieńcem matki. Uroku miał nadmiar, za to brakowało mu ambicji i większość dorosłego życia spędził, zmieniając pracę równie regularnie, jak wąż zrzuca skórę. Rok temu zajął się nieruchomościami i ku sporemu zdumieniu wszystkich – poza,

oczywiście, matką, według której nie mógł zrobić niczego złe – zdawało się, że radzi sobie świetnie. Może wreszcie odnalazł swoje miejsce.

– Pić mi się chceee! – zawodziła Michelle na tylnym siedzeniu. Groziło, że rozciągnie to ostatnie słowo w nieskończoność.

– Kochanie, proszę cię. Obudzisz małą.

– Nie jest mała.

– Ona śpi...

– A mnie się chce pić.

– Dobra, wystarczy tego – uciał Hunter, obracając się na siedzeniu. Pogroził córce uniesionym w górę palcem. – Słuchaj matki i skończ już z tymi głupstwami.

Michelle zareagowała natychmiastową, nieopanowaną histerią. Jej wrzaski wypełniły samochód, odbijając się od przyciemnianych szyb i raptownie budząc Samanthę. Teraz już obie dziewczynki się darły.

– Nadal uważasz, że dzieci to taki dobry pomysł? – spytał z uśmiechem. – Może twój brat ma mimo wszystko rację.

Caroline nie odpowiedziała. Hunter doskonale zdawał sobie sprawę, że Steve i jego żona, Becky, od lat bezskutecznie starali się o własne dzieci. Fakt, że im się nie udawało, stanowił ciągle źródło napięć między nimi, a całą sytuację starannie wykorzystywała matka Caroline, regularnie karcąc Becky za to, że nie dostarczyła jej więcej wnucząt i wywołując niepotrzebne tarcia między szwagierkami.

Dziel i rządź, pomyślała Caroline. Słowa, którymi kierowała się w życiu jej matka. Stara, oklepana prawda.

– Ile jeszcze? – spytała.

– Powinniśmy zaraz tam być. Cierpliwości.

Oparła głowę o boczną szybę i przymknęła oczy. Wrzaski córek wierciły jej uszy niczym dwie nakładające się na siebie syreny alarmowe. Mało pomyślny początek urlopu. Och, nieważne. Postanowiła się nie przejmować. Teraz może być już tylko lepiej.

Byli tam, czekali na nich.

W pierwszej chwili Caroline zdawało się, że musiała usnąć na tych kilka minut między zamknięciem oczu a przybyciem do wspaniałego nadmorskiego hotelu Grand Laguna, i że chyba jej się to teraz śni. Kiedy jednak usiadła prosto i opuściła szybę od swojej strony, zdała sobie sprawę, że to, co widzi, jest istotnie rzeczywiste, że sześć osób faktycznie stoi przed głównym wejściem do hotelu, macha w ich stronę rękoma i śmieje się z twarzami rozpromienionymi zadowoleniem i satysfakcją. – Co się tu dzieje? – spytała męża, gdy parkingowy w świeżej biało-złotej liberii podskoczył otworzyć drzwi samochodu od jej strony.

– Witamy w Grand Laguna – odezwał się chłopak, a jego słowa niemal utonęły w powodzi okrzyków „Niespodzianka!” całej biegnącej w jej stronę szóstki.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy – powiedział Hunter z uśmiechem, który objął teraz także jego ciepłe, brązowe oczy. Nachylił się, by ucałować żonę.

– Nie rozumiem.

Pocałował ją jeszcze raz.

– Pomyślałem, że ucieszysz się, kiedy rodzina i przyjaciele też wezmą udział w naszych obchodach.

– Hej, wy tam! – zawołał brat Caroline, Steve. – Pokój byście sobie wynajęli, na litość boską.

– Niezły pomysł. – Hunter się roześmiał, wysiadając z samochodu. Szybko otoczyło go trzech czekających mężczyzn.

– Widziałaś kiedyś coś równie niesamowicie pięknego jak to miejsce? – spytała Becky, podchodząc do Caroline.

Caroline wygramoliła się z samochodu. Rzuciła okiem na dziesięciopiętrową, koralowej barwy budowlę w kształcie podkowy, obramowaną palmami i błękitem nieba. Musiała przyznać, że hotel prezentuje się dokładnie tak wspaniale, jak kazano jej tego oczekiwać.

– Chyba jesteś nieco oszołomiona – szepnęła Peggy, jej przyjaciółka, stając obok i obejmując ją ramieniem. Kręcone brązowe włosy Peggy załaskotały ją w nos. Obie wzrostu około stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrów i wagi pięćdziesięciu siedmiu kilogramów, obejmując się, nie czuły żadnego dyskomfortu, jaki zdarza się przy różnicy sylwetek.

– Jestem zdumiona. – Caroline obróciła się do męża. – Jak to wszystko zorganizowałaś?

– Obwiniaj brata. To był jego pomysł.

– Przecież nie mogłem pozwolić, żebyś świętowała dziesięć lat małżeńskiego szczęścia bez nas. – Steve się roześmiał.

Caroline przenosiła wzrok z jednej uśmiechniętej twarzy na drugą: z brata na jego żonę, starych przyjaciół Peggy i Fletchera Banacków, nowych – Jerroda i Rain Boltonów. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że przez cały tydzień będzie miała męża wyłącznie dla siebie. Już od dawna pozbawieni byli luksusu obiadów we dwójkę, jakiegoś sam na sam, czasu, by się nieco odprężyć i wszystko sobie odpuścić, by znów nawiązać ze sobą bliższy kontakt. Zbiorowy entuzjazm całego komitetu powitalnego był jednak równie zaraźliwy, co widoczny, i mieszane uczucia szybko jej przeszły.

– Mamo! Mamo! Wyjmij mnie stąd!

– Już idę, kochanie.

– Zajmę się tym. – Peggy otworzyła tylne drzwi i pomogła Michelle wyjść z samochodu. – Ojej. Ależ jesteś już dużą dziewczynką.

– Chcę soku – oświadczyła Michelle.

Becky już się zakrzętnęła po drugiej stronie samochodu i wyjęła Samanthę z fotelika, a teraz niosła dwulatkę na rękach, obsypując czubek głowy małej pocałunkami. – Hej, ślicznotko. Jak się ma mój aniołek?

– Nie jest ślicznotką i nie jest aniołkiem – zaprotestowała Michelle.

Samantha wyciągnęła rączki do matki.



– Och, ciocia nie może cię potrzymać narękach przez chwilę? – Becky niechętnie oddała Samanthę jej matce, a potem cofnęła się, wsuwając końcówki krótkich, ciemnych włosów za uszy. Caroline pomyślała, że pod uśmiechem szwagierka wydaje się zmęczona i zastanowiła się, czy czasem znów się ze Steve’em nie pokłócili.

– Czemu tak długo wam to zajęło? – spytała Rain, gdy boy hotelowy wyjmował torby z bagażnika. – Czekaliśmy ponad godzinę. Dosłownie się roztopiam w tym upale.

– No cóż, roztopiona czy nie, wyglądasz znakomicie.

Rain uśmiechnęła się szeroko, ukazując dokładnie właściwą liczbę idealnie białych zębów i odrzuciła na plecy swoje wijące się, miodowoblond włosy. Oczy miała błękitne, szminkę czerwoną, obnażone ramiona opalone i jędrne. Dawna modelka byłaby piękna nawet i bez tej tony makijażu, który zawsze nakładała. Caroline wciąż nie mogła się nadziwić, że Rain wybrała sobie na życiowego partnera mężczyznę tak przeciętnego jak Jerrod. Niższy od żony o kilkanaście centymetrów, wyglądający o dziesięć lat starzej niż na swoje czterdzieści lat, Jerrod był równie nijaki, co Rain uderzająca. Tworzyli ciekawą parę.

Cała grupa podeszła do przeszklonych drzwi otwierających się na pełen roślin, klimatyzowany hol. Samantha radośnie umościła się w ramionach matki, podczas gdy Michelle kleiła się do jej prawego uda, tak mocno ciągnąc za jej białą bluzkę, że Caroline obawiała się, że ją rozedrze.

– Wszyscy przyjechaliście tu razem? – spytała.

– Steve i Becky przyjechali swoim samochodem – wyjaśniła Peggy. – My zabraliśmy się z Rain i Jerrodem.

– Masz na imię Rain? – zdziwiła się Michelle.

Rain zaśmiała się, potrząsając jasnowłosą grzywą.

– Tak. Moja matka miała skłonności do dramatycznych gestów. I chyba dość głęboką depresję, jak się nad tym zastanowić.

– Moim zdaniem to głupie imię – oświadczyła Michelle.

– Michelle! – ostrzegła ją Caroline, podchodząc do kontuaru recepcji. – Nie bądź niegrzeczna.

– Muszę siusiu – stwierdziło dziecko głośno.

– Cholera – wyrwało się Hunterowi.

– Mamusiu! Tata powiedział brzydkie słowo! – naskarżyła Michelle.

Caroline spojrzała przez hol o hiszpańskim wystroju w stronę dziedzińca usytuowanego między dwoma potężnymi skrzydłami hotelowego budynku.

– Poczekaj, aż obejrzysz wszystko. Mają tu wielki basen i precudowną restaurację połączoną z ogrodem. Plus basen dla dzieci, no i, oczywiście, jest ocean. – Becky machnęła dłonią gdzieś w jego ogólnym kierunku.

– A pokoje są bardzo piękne – dodała Peggy.

– Wszyscy jesteśmy na tym samym piętrze?

Rain zaśmiała się drwiąco.

– Nawet nie w tym samym skrzydle. Wy mieszkanie po tej stronie. – Wskazała na

prawo. – Cała reszta dokładnie po przeciwnej. – Obróciła się w lewo.

– Mamo, muszę siusiu.

– Wiem, kochanie. Wytrzymasz jeszcze parę minut?

– Nie zapomnij zapisać Michelle do klubu dla dzieci – powiedział znaczącym tonem Steve.

– Och, będziecie się tak fajnie bawić – zachwyciła się Becky. – Codziennie po południu są zajęcia z plastyki i rękodzieła albo można szukać zakopanego skarbu, albo wybrać się na połów krabów...

– Nie chcę łowić krabów.

– No tak, ale można pływać albo budować zamki z piasku, albo bawić się w różne gry z innymi dziećmi.

– Nie chcę bawić się z innymi dziećmi. Chcę się bawić z mamą.

– Nie martw się, kochanie – odparła Caroline. – Będziemy mieć mnóstwo czasu na zabawę.

– Czy Samantha też pójdzie do klubu dla dzieci? – spytała Michelle.

– Nie, kochanie. Jest za mała.

– Nie jest mała. Jest duża.

– Porozmawiamy o tym później – stwierdził Hunter, odbierając karty do drzwi.

– Apartament sześćset dwanaście – powiedziała młoda recepcjonistka o ciemnych, błyszczących oczach.

– Och, macie apartament – odezwała się Becky z nutką zawiści w głosie. – Bardzo chętnie go zobaczę.

– Dzięki, że przy was wszyscy wypadamy teraz źle – zażartował Fletcher do Huntera, gdy już stłoczyli się w oczekującej windzie.

– Za dużo tutaj ludzi – głośno poskarżyła się Michelle.

Caroline nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Pomyślała właśnie dokładnie to samo.

Z czyjejś kieszeni rozległ się temat muzyczny z *Gwiezdných wojen*, wypełniając dźwiękami zatłoczoną przestrzeń.

– No chyba żartujesz – sarknęła Becky i przewróciła oczami, gdy Steve wyciągał z kieszeni dzinsów komórkę. – Znowu?

– Cześć, mamo – powiedział Steve, przyłożywszy telefon do ucha jedną ręką, a drugą unosząc w górę, jakby chciał powiedzieć: „No, co ja na to poradzę?”.

– Dzwoniła zaledwie godzinę temu – wyjaśniła Becky reszcie grupy.

– Tak, właśnie przyjechali. Chciałaś rozmawiać z Caroline? Nie? Okej. Tak, na pewno potem do ciebie zadzwoni. – Zerknął na siostrę, szukając potwierdzenia. Rzuciła mu spojrzenie mówiące: „Wielkie dzięki”. – Co? Tak, wiem, że to niebezpieczne. Wierz mi, nie mam najmniejszego zamiaru brać się do parasailingu.

– Boże błogosław to małe, czarne serduszko – powiedziała Becky. – Ta kobieta nigdy nie odpuszcza.

– Nie. Jazda konna po plaży też mnie nie interesuje. Człowiek nigdy nie wie, co te konie piły. Nie, nie kpię z ciebie. Całkowicie rozumiem twoje obawy. Tak, dobrze.

Pogadamy później. Też cię Kocham. Na razie. – Steve schował telefon do kieszeni. – Co mam wam powiedzieć? – odezwał się ze śmiechem. – Po prostu troszczy się o synka.

– Babcia Mary ma czarne serce? – zapytała Michelle.

– Nie, Kochanie – odparła Caroline. – Oczywiście, że nie.

– Będziemy musieli poczekać na sekcję zwłok, żeby się upewnić – rzucił Hunter.

– Chyba żartujesz. – Becky zaśmiała się kpiąco. – Ona nas wszystkich przeżyje.

– Niezła gadka, moi drodzy – odezwał się Steve. – Mówicie o matce mojej i Caroline.

Okażcie trochę szacunku.

Szydercze parsknięcie Becky głośno zabrzmiało w ciasnej windzie.

– Nie to akurat miałem na myśli – dodał.

– Szóste piętro – oświadczył Hunter, ku ogromnej uldze Caroline. – Wszyscy wychodzą.

\*

– No i co o tym sądzisz? – zapytał Hunter Caroline, kiedy pozostali już wyszli z ich trzypokojowego apartamentu.

Trzymając Samanthę na rękach, Caroline przeszła przez jasno umeblowany salonik do okna wychodzącego na dziedziniec i spojrzała w stronę restauracji w ogrodzie pod nimi. Kwitnące koralowo i biało krzewy rozmieszczono w dokładnie właściwych odstępach. Wielki basen w kształcie ameby znajdował się nieco z boku, otoczony pasiastymi, czerwono-białymi leżakami. Wszystko było tu dosłownie na wyciągnięcie ręki. Cały świat tuż pod nosem, pomyślała Caroline, znów obracając się w stronę męża. Spojrzała na jasnożółte ściany pokoju, na czerwoną pluszową sofę i czerwono-złoty fotel z wysokim zagłówkiem.

– Jest pięknie. Wszystko piękne. Dobrze wybrałaś. – Obeszła stolik do kawy z ciemnego drewna i pozwoliła się objąć jego oczekującym ramionom.

– Naprawdę się zdziwiłaś, czy tylko udawałaś?

– Żartujesz? Byłam totalnie zaskoczona.

– Taa? No cóż, pani Shipley, możliwe, że mam dla pani jeszcze parę niespodzianek. – Delikatnie przygryzł płatek jej ucha.

– Mamusiu! – zawołała Michelle z łazienki. – Mamusiu, skończyłam. Chodź mi wytrzeć pupę.

Caroline oparła czoło o ramię męża.

– Nie jest dość duża, żeby to robić sama? – spytał Hunter, gdy żona przekazywała mu Samanthę i ruszała w stronę łazienki.

\*

– No i co o tym myślisz? – Zaprowadziwszy Michelle do żółto-białej dziecięcej sypialni, Caroline spytała córkę, powtarzając pytanie zadane jej przez Huntera za ledwie

parę minut temu. Pod jedną ścianą stało pojedyncze łóżko przykryte kapą drukowaną w jasnoczerwony, biały i złoty wzór. Pod przeciwną ścianę, tuż obok okna, wstawiono dziecięce łóżeczko zaścielone identyczną, tylko mniejszą kapą.

– Nie podoba mi się.

Czemu nie jestem zdziwiona? – przemknęło przez głowę Caroline.

– Co ci się nie podoba, kochanie?

– Chcę pokój dla siebie.

– Daj spokój. Fajnie jest dzielić pokój z siostrzyczką.

– Chcę spać we własnym pokoju.

Zadzwonił telefon. Dzięki Bogu, pomyślała Caroline, zadowolona z tego przerywnika. Już rozmowa z matką byłaby lepsza niż to.

– Rain dzwoniła – odezwał się Hunter, zaglądając do sypialni chwilę później. – Zrobiła rezerwację w restauracji w ogrodzie na ósmą dziś wieczorem.

– Zakładając, że uda nam się załatwić opiekunkę.

– Już załatwiona.

Caroline przeniosła wzrok z uśmiechniętego malucha w ramionach męża na naburmuszoną dziewczynkę u własnego boku, a potem znów spojrzała na Huntera.

– Mój bohaterze – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 3

# Dzisiaj

„Ja chyba naprawdę mam na imię Samantha. Chyba jestem pani córką”.

Te słowa tłukły się Caroline w głowie niczym uderzenia młotem. Miała wrażenie, że jej mózg zmienia się w galaretę, że ten ciepły, gęsty płyn zalewa przestrzeń tuż za oczami, że napiera tam tak silnie, że nie zdoła długo tego wytrzymać i poszuka ulgi, pozwalając mu wylać się łzami na policzki.

– To nie jest zabawne – szepnęła do telefonu. Zaczynała się trząść. – Nie powinnaś tego robić.

– Naprawdę przepraszam – powiedziała dziewczyna po drugiej stronie linii. – Wiem, jak to musi brzmieć.

Caroline mocniej ścisnęła telefon, jakby mogła w ten sposób pomóc sobie ustać na nogach.

– Nie masz pojęcia, jak to brzmi.

– Pewnie jak marny wygłup.

– Marny to za słabe słowo. Wygłup zresztą też – odparła Caroline zdumiona dźwiękiem własnego głosu, tym że w ogóle jest w stanie sformułować zrozumiałą wypowiedź. – To podłość. I okrucieństwo.

– Przepraszam. Nie takie były moje intencje.

– To jakie miałaś intencje?

– Sama nie wiem. Nie jestem pewna, po prostu pomyślałam...

– Nie myślałaś. – Caroline była już teraz zła. Jak ta dziewczyna, ta obca dziewczyna, jak ta cała Lili śmie rościć sobie prawo do imienia jej córki, do jej tożsamości?

– Widziałam zdjęcia. Nie byłam pewna, co zrobić.

– Kim ty u diabła jesteś?

– Powiedziałałam pani.

– Jesteś jakąś reporterką, tak?

– Nie, przysięgam.

– No to po co to robisz?

– Bo wydaje mi się...

– Wydaje ci się, że jesteś moją córką?

– Tak.

– Bo wyglądasz jak jakiś szkic umieszczony w internecie – stwierdziła Caroline bezdźwięcznym tonem, zupełnie jakby jakiś tir zmiażdżył jej struny głosowe.

– Częściowo dlatego.

– Częściowo?

– Chodzi o coś więcej.

– O co?

– No... o całą masę rzeczy.

– Jakich rzeczy?

Chwila milczenia.

– No cóż, po pierwsze, jestem w tym samym wieku.

Kpiące parsknięcie.

– Mnóstwo dziewczyn ma siedemnaście lat. Kiedy masz urodziny?

– Podobno dwunastego sierpnia.

– Samantha urodziła się w październiku.

– Ja wiem, ale...

– Ale co?

– Przecież akt urodzenia można sfalszować?

– Myślisz, że ktoś sfalszował twój akt urodzenia?

– Być może. To znaczy, to nie jest wykluczone.

– Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Co jeszcze?

Kolejna pauza, tym razem dłuższa.

– Sporo się przeprowadzaliśmy, kiedy byłam mała.

– I co?

– Z jednego miasta do drugiego, z jednego kraju do drugiego – ciągnęła dziewczyna mimo rosnącego zniecierpliwienia Caroline. – Ciągłe się pakowaliśmy i wyjeżdżaliśmy. Nigdy nie zostawaliśmy nigdzie na dłużej.

– My, to znaczy?

– Moi rodzice i bracia.

– A więc masz rodziców.

– Ojciec zmarł w zeszłym roku.

– Ale twoja matka nadal żyje?

– Tak.

– Byłaś adoptowana?

– Ona mówi, że nie.

– Nie wierzysz jej?

– Nie.

– Dlaczego nie? Natknęłaś się na jakieś dokumenty ukrywane na poddaszu? Ktoś inny w rodzinie kiedyś dał do zrozumienia, że mogłaś być adoptowana?

– Nie.

– To dlaczego uważasz, że tak było? – spytała Caroline, usiłując nie zadawać sobie pytań pilniejszych, a mianowicie: dlaczego nie przerwała połączenia, dlaczego jeszcze

rozmawia z tą dziewczyną, z tą całą Lili, która w najlepszym razie ma łagodne urojenia, a w najgorszym jest zupełnie szalona. Dlaczego po prostu nie skończy rozmowy?

– Zupełnie nie jestem podobna ani do braci, ani do rodziców.

– Wiele dzieci nie jest podobnych do rodziców czy rodzeństwa.

– To coś więcej.

– Co takiego?

– Uczono mnie w domu, nie chodziłam do szkoły, trzymano mnie z daleka od innych dzieci.

– W obecnych czasach wiele dzieci pobiera nauki w domu. To nie świadczy o żadnej zbrodni. A w twoim przypadku brzmi rozsądnie, jeśli przeprowadzaliście się tak często, jak twierdzisz.

– Ale ja po prostu tak bardzo się od nich wszystkich różnię. Nie tylko wyglądem, ale charakterem, tym, w czym jestem dobra, jak odczuwam... jak odczuwam wszystko. Zupełnie jakby oni żyli na innej planecie, a ja na innej. Po prostu nigdy nie czułam się na swoim miejscu.

Caroline omal nie parsknęła śmiechem. Oparła się o kuchenny blat, wolną dłonią potarła grzbiet nosa.

– Zdajesz sobie sprawę, że opisujesz niemal każdego amerykańskiego nastolatka?

– Pewnie tak.

– Co twoja matka ma do powiedzenia?

– O czym?

– O czym?! – powtórzyła Caroline z niedowierzaniem. – O tym wszystkim, co mi właśnie powiedziałaś. – Na chwilę zapadła cisza. Ta cisza zawisała nad jej głową niczym miecz. – Ona nie wie, tak?

Długie milczenie.

Oczywiście, że dziewczyna nie skonfrontowała z matką swoich podejrzeń. Ani planów skontaktowania się z Caroline. Ten pomysł był poroniony, naciągany, wręcz niedorzeczny.

A jednak tak pociągający, tak pokrzepiający, taki cudowny.

Jej córka. Żywa. Po drugiej stronie linii telefonicznej. Po tych wszystkich latach.

Czy to możliwe? Czy to w ogóle możliwe?

Nie, niemożliwe. Samo zadawanie sobie takich pytań czyni z niej osobę równie psychicznie rozchwianą, jak ta dziewczyna po drugiej stronie linii.

– Słuchaj – odezwała się Caroline stanowczo. – Muszę kończyć. Jestem już spóźniona do pracy.

– Nie, proszę się nie rozłączać.

– Posłuchaj mnie, Lili. – Usiłując zapanować nad emocjami, powiedziała głosem najłagodniejszym, na jaki umiała się zdobyć. – Postaram się uwierzyć ci na słowo. Założę, że jesteś po prostu bardzo wrażliwą, samotną młodą osobą, która ogromnie tęskni za ojcem i nie umie pogodzić się z jego śmiercią. Wyobraźnia cię ponosi. Popatrzmy jednak na to realnie. To, że jesteś bardziej podobna do paru zobaczonych

w internecie szkiców niż do własnej rodziny, nie znaczy jeszcze, że...

– Nigdy nie mieliśmy w domu komputera – przerwała dziewczyna.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z tym wszystkim? – spytała Caroline, chociaż informacja faktycznie zabrzmiała dziwnie. Kto w obecnych czasach nie ma komputera, zwłaszcza jeśli uczy swoje dzieci w domu? – Jestem pewna, że twoi rodzice mają powody...

– Powiedzieli, że nie chcą stać się jedną z tych rodzin, których życiem rządzi technologia, że dzieci spędzają za dużo czasu na Facebooku i oglądają pornografię...

– No, sama widzisz. Czekaj – przerwała jej Caroline, rzucając się na wyraźną sprzeczność tak łapczywie, jak głodny ptak na dżdżownicę. – Mówiłaś mi przedtem, że zobaczyłaś szkice w internecie. Skoro nie macie komputera...

– Byłam w bibliotece – wyjaśniła Lili gładko. – Taki jeden chłopak ciągle się na mnie gapił. Powiedział, że wyglądam dokładnie jak dziewczyna, która zaginęła piętnaście lat temu. To on mi pokazał te zdjęcia.

– To nie są zdjęcia, tylko przybliżone podobizny. To tylko czyjeś interpretacje, oparte na takich zmiennych jak budowa kostna czy wykrój oczu. Nikt nie wie, czy są rzeczywiście dokładne. Posłuchaj. To bez znaczenia. Liczy się to, że nie jesteś moją córką.

– Skąd może pani wiedzieć na pewno?

Caroline nie odpowiedziała. Rozłącz się, pomyślała. Rozłącz się, ale już.

– A jeśli zrobię test DNA? – spytała dziewczyna.

– Test DNA? – powtórzyła Caroline, bo nie zdołała znaleźć żadnych innych słów.

– W ten sposób wiedziałybyśmy na pewno, w jedną albo w drugą stronę, prawda?

Caroline pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. W jej fantazjach Samantha po prostu stawała w progu i padała w ramiona matki. Pojawiała się ta natychmiastowa, instynktowna więź. W żadnej z tych wyobrażonych scen nie dochodziło do czegoś równie formalnego, jak testy DNA.

– To jak mogę zrobić taki test?

– Nie mam pojęcia. – Caroline kręciło się w głowie, umysł tkwił w jakiejś gęstej mgle, niezdolny do łączenia słów czy formułowania sensownych myśli. – Pewnie musiałabyś się skontaktować z odpowiednim urzędem – wykrztusiła wreszcie.

– Czyli z jakim?

– Nie jestem pewna. Może trzeba by zacząć od departamentu policji San Diego.

– Nie mieszkam w San Diego.

Caroline przypomniała sobie charakterystyczny dzwonek zamiejscowej, który zatrzymał ją, gdy kierowała się do wyjścia z domu. Nie powinna była zawracać, nie powinna w ogóle tego telefonu odbierać.

– To gdzie mieszkasz?

Pełne wahania westchnienie.

– Wolałabym nie mówić.

Kolejne westchnienie, tym razem ze strony Caroline. Oczywiście, że dziewczyna



wolała tego nie mówić.

– Do widzenia, Lili.

– Mieszkam w Calgary.

– Calgary?

– Calgary, w stanie Alberta.

– Jesteś Kanadyjką?

– Nie, mówiłam już pani. Przenosiliśmy się ciągle. Jesteśmy tu od prawie dwóch lat.

Przedtem mieszkaliśmy w Seattle, a jeszcze wcześniej w Madison, w Wisconsin. Większość dzieciństwa spędziłam w Europie. Przyjechaliśmy do Calgary niedługo przed tym, gdy ojciec zachorował.

– I chciałabyś przyjechać do San Diego?

– Tak, ale nie mogę. Nie mam pieniędzy...

– Aha – powiedziała Caroline. W jej głowie coś zaczęło świtać. – Już rozumiem.

Chcesz, żebym wysłała ci pieniądze... – Ależ ze mnie idiotka, pomyślała.

– Nie. Nie. Nie chcę od pani pieniędzy.

– No to czego chcesz? Chcesz, żebym ci wysłała bilet lotniczy? Mogę to zrobić – naciskała Caroline, czując nagły przyływ kontroli. Zmuszała dziewczynę do odkrycia kart, tak jak powinna postąpić już na samym początku. – Będę tylko musiała znać twoje nazwisko, żeby zrobić rezerwację.

– Nie mogę tego pani powiedzieć.

– Naprawdę? Dlaczego nie?

– Bo to nie ma znaczenia. Co to za różnica? Już pani powiedziałam, że nie mogę przyjechać.

– Wiesz co? Mogę nawet załatwić bilet dla twojej mamy. Może przylecieć z tobą.

– Nie. Moja mama nie może się o tym dowiedzieć.

– Myślałam, że uważasz, że to ja jestem twoją mamą.

– Bo tak było. Tak jest. O Boże, sama nie wiem już, co mam myśleć. – Milczenie pełne groźby łez. – Proszę posłuchać. Nawet jeśli ona nie jest moją prawdziwą matką, to mnie wychowała. Nie chcę jej robić przykrości i nie mogę po prostu wyjechać, nic jej nie mówiąc. Oszalałaby ze zmartwienia.

Caroline zamknęła oczy, wspominając panikę tamtej strasznej nocy sprzed piętnastu lat, kiedy zajrzała do łóżeczka Samantha i przekonała się, że jest puste. Przerazenie znów przeszło ją tysiącem cienkich igieł, zatruwając krew i ściskając serce. Dostała zawrotów głowy, zrobiło jej się słabo, poczuła mdłości.

– A więc wygląda na to, że mamy impas – powiedziała, kiedy udało jej się wydobyć z siebie głos.

– Może pani mogłaby tu przyjechać.

– Co?

– Przyjechać do Calgary. Mogłybyśmy pójść do szpitala czy jakiejś kliniki, znaleźć kogoś, kto wykonałby test. W ten sposób wiedziałybyśmy na pewno.

– Ja wiem już teraz – odparła Caroline. Czy rzeczywiście? Jeśli była aż tak cholernie

pewna, że ta dziewczyna nie jest jej córką, to dlaczego nadal z nią rozmawiała? – No dobrze. Posłuchaj. Muszę przemyśleć to wszystko, co od ciebie usłyszałam. Pozwól mi się nad tym zastanowić i odezwać do ciebie.

– Nie.

– Co?

– Nie mogę dać pani swojego numeru telefonu. Nie może pani do mnie dzwonić.

Caroline poczuła gniew. Co się z nią działo? Od piętnastu lat miewała już do czynienia z podobnymi bzdetami, czasem ludzie mieli dobre i szczerze intencje, w większości jednak przewrotne i po prostu łajdackie. To był albo sprytny szwindel, albo chory żart. Chwył, by wyłudzić pieniądze lub próba zdobycia uwagi. A najprawdopodobniej jakaś kolejna dziennikarska pijawka usiłowała żerować na jej słabości, na jej łatwowierności, żeby ożywić nowymi szczegółami starą historię, zdobyć wszelkie możliwe świeże informacje, może wymusić jakieś wyznanie. Pewnie wszystko o tej dzisiejszej rozmowie przeczyta w jutrzejszej prasie.

– Posłuchaj no, Lili, czy jak tam się naprawdę nazywasz...

– Niech pani przyjedzie do Calgary.

– Nie.

– Proszę. Już sprawdziłam, że jest samolot, który wylatuje z San Diego do Calgary jutro z samego rana. Byłaby tu pani w południe. Mogłabym się z panią spotkać w hotelu.

– W jakim hotelu? – spytała Caroline. Co też wygadywała? Czy ona oszalała? Ile razy jeszcze da się w coś podobnego wkręcić? Czy nie odbyła już tamtych nierozważnych podróży do Miami i Waszyngtonu, po to tylko, żeby zobaczyć jak jej własne nadzieje zmieniają się w rozczarowanie, a potem w rozpacz? Czy naprawdę była gotowa przejść przez to wszystko jeszcze raz?

– Fairfax. To w samym centrum, całkiem ładny hotel.

– Nie. Nie mogę. To po prostu niepoważne.

– Nieprawda.

– Ta cała rozmowa jest niepoważna. Ty jesteś niepoważna. Ja jestem niepoważna, bo siedzę tu i rozmawiam z jakąś dziewczyną, która albo jest genialną kanciarą, albo totalną wariatką. Przykro mi, muszę już kończyć.

– Proszę... Mówiła pani, że się pani nad tym zastanowi.

Caroline wbiła wzrok w szafki na przeciwległej ścianie, zobaczyła, że ich obraz zlewa się, rozmywa, a potem znów staje się wyraźny. Przecież chyba nie myślała poważnie o locie do Calgary? Prawda?

– No dobrze – usłyszała wreszcie własne słowa.

– Przyleci pani?

– Zastanowię się.

– Będę czekała w holu – powiedziała dziewczyna, a potem w słuchawce zapadła cisza.

## ROZDZIAŁ 4

# Piętnaście lat temu

– Proszę, kogóż my tu mamy! – zawołała Rain, gdy Caroline nadeszła, wymijając rzędy leżaków otaczających kręgami wielki hotelowy basen.

– Dotarłaś – dorzuciła Peggy, poklepując leżak koło siebie.

Becky skinęła głową w jej stronę, ale nic nie powiedziała. Chociaż kapelusz z szerokim rondem i przyduże ciemne okulary zasłaniały większość twarzy szwagierki, Caroline dostrzegła, że Becky musiała wcześniej płakać. Wystarczająco poznała przez lata tę twarz, by dostrzec obrzmiałość policzków i kąciki warg wyginające się w dół, wbrew próbom utrzymania uśmiechu.

Najwyraźniej brat i jego żona kłócili się. Znowu. Caroline zastanawiała się, czego tym razem dotyczyła kłótnia, a potem wyparła tę myśl z głowy. Cokolwiek to było, nie jej sprawa. A postanowiła nacieszyć się tym ostatnim dniem w raj. Hunter wielkodusznie zaproponował, że popilnuje Samanthy, żeby mogła spędzić parę spokojnych godzin przy basenie z przyjaciółkami. Michelle wreszcie pogodziła się z pomysłem klubu dla dzieci, a przynajmniej tego popołudnia poszła tam bez protestów i wylewania powodzi łez, a wczorajszej nocy Caroline i Hunter kochali się, choć nieco pośpiesznie, niemal odpuszczając sobie grę wstępną, zanim mąż zasnął jak kamień od nadmiaru słońca i alkoholu.

Caroline spojrzała w stronę balkonu swojego apartamentu, zdjęła białą koronkową narzutkę i ułożyła się na leżaku. Miała początkowo nadzieję, że te wakacje ponownie rozbudzą beztroską namiętność, którą kiedyś dzielili z Hunterem. Ale mąż myślami był w pracy, ona zaś zajęta była dziećmi, a w pobliżu cały czas kręcili się przyjaciele. Rzeczywistość była taka, że przez ten tydzień ona i Hunter spędzili bardzo niewiele czasu sam na sam. Raczej nie była to romantyczna ucieczka, na którą się szykowała.

– Oho, masz na sobie interesujący kostium – powiedziała Rain, poprawiając górę własnego maleńkiego, jaskraworóżowego bikini, z którego się wprost wylewała. – Bardzo retro.

Caroline spuściła wzrok na swój czarno-biały, jednoczęściowy kostium pływacki i uśmiechnęła się. Nie знаła Rain aż tak dobrze, więc nigdy nie była pewna, jak traktować tego rodzaju komplementy: „Strasznie mi się podoba ta twoja codzienna fryzura, jakbyś dopiero co wstała z łóżka. Patrzcie tylko na te szerokie spodnie – ty to

masz odwagę przeciwstawiać się trendom. Chciałabym móc nosić takie duże wzory. Wy, dziewczyny o małym biuście, naprawdę macie dobrze”. Rozejrzała się wokół zatłoczonego basenu.

– A gdzie faceci?

– Golf – wyjaśniła Rain.

– Jedna z niewielu rozrywek, które twoja matka uznała za dość bezpieczne dla swojego wychuchanego syna.

Nie możesz pozwalać, żeby ci zalazła za skórę, chciała powiedzieć szwagierce, ale powstrzymała się, bo dotarło do niej, że przecież od lat jej to powtarza. Sobie samej też to powtarzała, odkąd sięgała pamięcią. Ale to była beznadziejna walka. Jej matka przypominała żywioł natury. W żaden sposób nie dawało się przed tym uciec.

– Przepraszam! – zawołała Rain, przywołując w ich stronę młodego, ciemnowłosego kelnera. – Kto chce gin z tonikiem? – zapytała pozostałe.

– Ja chętnie – odparła Peggy.

– Dla mnie też – zgodziła się Becky.

– Ja wezmę colę – poprosiła Caroline.

– Absolutnie nie zamówisz coli – zaprotestowała Rain. – To nasz ostatni dzień. Zabraniam ci. Cztery giny z tonikiem, *por favor*. Stawiam tę kolejkę, moje panie.

Parę minut później rozpięły się na leżakach, sącząc drinki.

– A więc, co macie w planach po powrocie do cywilizacji? – spytała Rain.

– Znów do roboty – odparła Peggy. Pracowała w głównym szpitalu San Diego.

– Nie wiem, jak ty to robisz – stwierdziła Rain. – Przystawać z chorymi ludźmi cały dzień. Nie działa to na ciebie?

– No cóż, nie mam w zasadzie do czynienia z pacjentami. Jestem administratorką.

– A ty? – zwróciła się Rain do Becky. – Gotowa podjąć na nowo poszukiwanie pracy?

Caroline wstrzymała oddech, widząc, jak Becky sztywnieją ramiona. Steve wygadał się, że żonę niedawno zwolniono z dotychczasowej posady księgowej w pewnej miejscowej agencji reklamowej po tym, jak jeden z głównych klientów zwiął do konkurencji – fakt, który Becky zamierzała trzymać w tajemnicy, póki nie znajdzie nowego zajęcia. Oczywiście Caroline już wcześniej o tym wiedziała, bo matka zadzwoniła do niej z nowinami, jak tylko Steve jej się zwierzył.

„To może być dobry moment, żeby się skoncentrować na zajściu w ciążę”, zapowiedziała Mary swojej synowej, zupełnie jakby powodem, dla którego Steve i ona jeszcze nie doczekali się dziecka, był brak koncentracji u Becky.

– Przynajmniej nie musisz martwić się o pieniądze – dodała Rain. – Jerrod mówił mi, że Steve’owi bardzo dobrze się ostatnio wiedzie.

– Jakoś sobie radzimy – odparła Becky. Dopiła jednym haustem to, co zostało w szklance i dała znak kelnerowi, że prosi o powtórkę. – Kto ze mną?

– Ja wchodzę – powiedziała Rain.

– A co, u diabła. Czemu nie? – zgodziła się Peggy.

– Tylko jeśli teraz ja będę mogła zafundować – powiedziała Caroline z nadal

niedopitym drinkiem w dłoni. Nidy nie przepadała za alkoholem, zwłaszcza po południu. No, ale mimo wszystko to był ich ostatni dzień w Rosarito i chociaż raz nie miała dziecka uczonego spódnicy ani drugiego na biodrze. Nie chciała być zresztą postrzegana jako sztywniaczka. Nadal była przecież dziewczyną z ich paczki. Nadal wiedziała, jak się bawić.

Była kimś więcej niż tylko matką.

– Pewnie czeka cię to samo, co zwykle – zwróciła się Rain do Caroline, zupełnie jakby umiała czytać w jej myślach.

– Słucham? To samo co zwykle?

– Siedzenie w domu, opieka nad dziewczynkami. Ja bym zwariowała bez kontaktu z dorosłymi. Mózg się od tego lasuje. Uważam, że jesteś niesamowita. Naprawdę.

Caroline próbowała nie jeździć się z powodu subtelnej zniewagi ukrytej w tym komplemente, nie chciała też dyskutować o swojej decyzji, że zostanie niepracującą mamą.

– Jeszcze tylko parę lat. Potem wrócę do zawodu.

– Kolejny zawód, którego nie mogłabym wykonywać. Zwłaszcza uczyć matematyki. To takie nudne.

– Mnie to wcale nie nudzi.

– Naprawdę? – Rain szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Chyba wszystko musi się wydawać mocno nudne w porównaniu z modelingiem – odezwała się Peggy, gdy kelner wrócił z nową porcją napojów. – Jerrod mówi, że nadal jest na ciebie spore zapotrzebowanie...

– Nawet więcej niż spore. I proponują mi o wiele więcej zleceń, niż mogę przyjąć, ze względu na pracę dla organizacji charytatywnej. Poza tym Jerrod tyle podróżuje i lubi, żebym mu towarzyszyła, więc jestem ograniczona w liczbie projektów, które mogę zaakceptować. – Nachyliła się, ruchem rąk wskazując pozostałym, żeby zrobiły to samo, zupełnie jakby miała się z nimi podzielić jakimś wielkim sekretem. – Zawarliśmy pakt, kiedy się pobraliśmy, że nigdy nie spędzimy więcej niż dwie noce z dala od siebie. Wiecie, właśnie to położyło kres pierwszemu małżeństwu Jerroda. I uczyniło go szczególnie wrażliwym na takie kobiety jak ja. – Uśmiechnęła się oszaleńczo. – Mój mąż ma nienasycone libido i z przyjemnością mogę oświadczyć, że wreszcie trafił swój na swego. – Odrzuciła głowę do tyłu, jej miodowoblond włosy rozsypały się kaskadą aż do połowy pleców, a potem zastygła w tej pozycji, jakby czekała, aż fotograf zrobi jej zdjęcie.

– Nie wiedziałam, że on musi aż tyle podróżować – powiedziała Caroline, choć tak naprawdę chciała rzucić: „O Boże, nie. Proszę, nie mówmy o tym więcej”. Nie miała ochoty omawiać życia seksualnego Rain ani jego roli w rozpadzie poprzedniego małżeństwa Jerroda. Nie wiedziała zbyt wiele ani o Rain, ani o Jerrodzie, poza tym, że należał do dyrekcji jednej z największych korporacji górniczych i że zaprzyjaźnili się z Hunterem, kiedy kancelaria męża została wynajęta do obsługi pewnego niedawnego przejęcia. Rain bywała zabawna w towarzystwie, w dużym stopniu dlatego, że człowiek

nigdy nie miał pojęcia, jakie kolejne straszne głupstwo palnie za chwilę, ale Caroline wiedziała, że nigdy się z nią serdecznie nie zaprzyjaźni. Według słów Huntera, Rain była dobra wyłącznie w niewielkich dawkach.

– Co miesiąc jedziemy w jakieś nowe, ekscytujące miejsce – mówiła teraz Rain. – Alaska, Vancouver, Ameryka Południowa. Odwiedzamy kopalnie. Spotykamy się z miejscowymi dygnitarzami. Te ostatnie pięć lat to była niezła przygoda.

– Na dzieci pewnie zabrakło czasu – odezwała się Peggy.

– Boże, nie. Poza tym Jerrod ma już trójkę ze swoją pierwszą żoną. To aż za dużo. – Skrzywiła się. – Nie wiem. Dzieci nigdy mnie nie interesowały. Są takie...

– Nudne? – spytała Caroline.

Rain zaśmiała się.

– Trochę jak matematyka.

– Moim zdaniem dzieci wcale nie są nudne – powiedziała Peggy.

– To dlatego, że je masz. Musisz myśleć w taki sposób. Ale my wiemy, jak wygląda prawda. No nie, Becky?

Caroline znów złapała się na tym, że wstrzymuje oddech. Przypuszczała, że Rain nie ma zielonego pojęcia o sytuacji Becky. Obie kobiety poznały się zaledwie tydzień wcześniej, a Becky nie miała w zwyczaju dyskutować o swoich problemach z poczęciem z osobami prawie nieznanymi. W ogóle z nikim, tak na dobrą sprawę.

Caroline zerknęła na szwagierkę, a ta odpowiedziała jej uniesieniem oczu w górę, a potem odwróciła wzrok. Kiedyś były sobie bliskie, bardziej jak siostry niż jak szwagierki. Ale Becky, podburzona stałymi porównaniami czynionymi przez teściową, oddaliła się stopniowo w ciągu tych lat, zwłaszcza zaś po narodzinach Samantha. Usiłowała to ukrywać, ale widać było dość wyraźnie, że uważa płodność Caroline za coś w rodzaju osobistej zniewagi.

Caroline ponownie upiła drinka, odchyliła się na oparcie leżaka i przymknęła oczy. Czuła się wyczerpana. Kto by przypuszczał, że odpoczynek to taka ciężka praca?

– Czas na krem z filtrem – odezwał się czyjś głos. – Nos ci się spieka.

Caroline otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz Peggy.

– Co?

– Zaczynasz się leciutko czerwienić.

Caroline usiadła prosto i strąciła przy tym z leżaka płócienną torbę. Jej zawartość rozsypała się po betonie.

– Chyba zasnęłam. Która godzina?

– Pięć po czwartej.

– Cholera. Miałam odebrać Michelle o czwartej. – Zebrała przedmioty, które wysypały się z torby, a potem wstała. – Gdzie reszta? – spytała, rozglądając się wkoło.

– Becky rozboleła głowa, więc wróciła do pokoju jakieś pół godziny temu. Rain miała umówiony masaż.

– Ojej, nie chcę cię tu zostawiać samej...

– Żaden problem. Miałam dość leżakowania. Czas iść na górę i uciąć sobie drzemkę. –

Peggy wzięła Caroline za rękę i obie ruszyły w stronę holu.

– W głowie mi się nie mieści, że tak zasnęłam. Coś mnie ominęło?

– Pytasz o naszą miłą „trafił swój na swego”? Nie, dzięki Bogu oszczędziła nam dalszych szczegółów. Przez chwilę wydawało mi się, że znów jestem w liceum.

Obie kobiety parsknęły śmiechem. Caroline nadal chichotała, odbierając Michelle z zajęć.

– Spóźniłaś się! – zawołało dziecko i chichot zamarł Caroline w gardle.

Kruczowłosa młoda kobieta, trzymająca Michelle za rączkę, rzuciła Caroline oskarżycielskie spojrzenie.

– Widzisz? Tłumaczyłam ci, że mamusia o tobie nie zapomniała.

Caroline spojrzała na zegarek.

– Przecież to tylko parę minut...

– Michelle mocno się niepokoiła.

– Nigdy bym o tobie nie zapomniała – Caroline zapewniała córkę raz za razem w windzie, kiedy wracały do apartamentu.

– Więcej na zajęcia dla dzieci nie pójdę – oświadczyła Michelle, kiedy szły długim korytarzem w stronę swoich drzwi.

– No cóż, z samego rana wyjeżdżamy, więc nie będziesz musiała. – Caroline zaczęła grzebać w płóciennym torbie, szukając karty do drzwi, i o mało nie wpadła na wózek pokojówki, załadowany ręcznikami i bielizną pościelową. – Cholera, gdzie ona się podziała?

– Powiedziałaś brzydkie słowo.

Ta pieprzona karta musiała mi wylecieć przy basenie, pomyślała Caroline, gdy zbliżały się już do ich apartamentu, a potem czekały, aż Hunter zareaguje na stukanie do drzwi. „Co? Znowu?!”, niemal słyszała jego głos. Jedną kartę już wcześniej w tym tygodniu posiała. Dobrze chociaż, że tak łatwo było je odtworzyć. Znów zastukała. – Hunter? – Przyłożyła ucho do drzwi, usłyszała szmer wody. – Super. Idealna pora na kąpiel. – Jej mąż słynął z brania częstych i długich pryszniców. – Zdaje się, że będziemy musiały wrócić do recepcji po kolejną kartę.

– Nie chcę wracać do recepcji.

Caroline przypomniała sobie wózek pokojówki. Pewnie miała kartę dostępu do wszystkich drzwi. – Chodź ze mną – zwróciła się do Michelle.

– Nie. – Dziecko wysunęło rączkę z dłoni Caroline, a potem usiadło na ziemi, opierając plecy o drzwi i protestacyjnie krzyżując ramiona.

– No dobrze. Nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam. – Pędem minęła zakręt korytarza, niemal zderzyła się z kobietą w uniformie, wychodzącą z pokoju obok ze stertą ręczników. – *Perdóname, usted*. Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale nie mogę znaleźć karty. Może mogłaby mnie pani wpuścić do mojego apartamentu?

Kobieta skinęła głową, rzuciła ręczniki na wózek i poszła za Caroline w stronę drzwi. Michelle tam nie było.

– Michelle? – Caroline rozejrzała się gorączkowo. – Michelle?

Drzwi apartamentu otworzyły się. Hunter stanął przed nią z biodrami owiniętymi dużym, białym ręcznikiem, wodą ociekającą po jego wyrzeźbionej klatce piersiowej i z zakłopotaną miną.

– Spokojnie. Ona jest w środku.

Caroline odetchnęła z ulgą. Pokojówka schowała ogólną kartę do kieszeni i wycofała się w głąb korytarza. – Dziękuję! – zawołała za nią Caroline.

– Mama powiedziała brzydkie słowo. I spóźniła się – zawiadomiła Michelle, gdy tylko Caroline weszła do saloniku.

– O całe pięć minut – usprawiedliwiła się Caroline.

– Na pewno mamie jest bardzo przykro.

– I mama kilka razy przeprosiła – dorzuciła Caroline. – Gdzie malutka?

– Ona nie jest malutka – zaprotestowała Michelle.

– W łóżeczku, bawi się swoimi zabawkami – odparł Hunter. – Radosna jak mały krab.

– Polowaliśmy dziś na kraby – powiedziała Michelle do wchodzącej do dziecięcej sypialni matki.

– Na pewno było fajnie.

– Nie cierpię krabów – stwierdziła dziewczynka.

No jasne, że ich nie cierpisz, pomyślała Caroline, podchodząc do łóżeczka Samantha. Młodsza córka już stała, z szerokim uśmiechem na słodkiej buzi, wyciągając rączki na powitanie. Caroline wyjęła ją z łóżka, mocno uściskała.

– Cześć, moje słoneczko.

– Ona nie jest twoim słoneczkiem. Ja jestem twoim słoneczkiem.

– Obie jesteście moimi słoneczkami.

Samantha przytuliła główkę do ramienia matki, jej oddech słodko owionął jej szyję. Przynajmniej trafiło mi się jedno miłe dziecko. Caroline przypomniało się, że tymi słowami jej matka zwróciła się do jednej ze swoich przyjaciółek, i nawet po tylu latach te słowa jeszcze potrafiły ranić. Choć przecież jej matka nie znęcała się nad nią ani jej nie zaniedbywała. Raczej bywała nadopiekuńcza, nieustannie trzęsła się nad córką. W przeciwieństwie do Steve'a, któremu przysługiwała wolność, o jakiej Caroline mogła tylko pomarzyć. Podczas gdy ona miała uwagę matki, Steve cieszył się jednak jej uczuciem. I oboje zdawali sobie z tego sprawę, co spowodowało, że nigdy się do siebie nie zbliżyli. Caroline milcząco postanowiła, że nigdy nie stanie się podobna do swojej matki. Nie będzie nadopiekuńcza. Nie będzie oceniająca. Nigdy nie będzie okazywała, że ma ulubieńca.

Jakby chcąc dowieść swojego postanowienia, pochyliła się, by zmierzwić włosy Michelle.

– Kocham cię – powiedziała do niej.

– Ja ciebie nie kocham – oświadczyła Michelle, wyrywając się z objęć matki, a potem wybiegła z pokoju.

– No cóż, wielka szkoda, bo ja ciebie kocham! – zawołała za nią Caroline.

– Wielka szkoda, że co? – spytał Hunter, stając w drzwiach.



Caroline postawiła Samanthę na podłodze, a potem poszła schronić się w jego objęciach.

– Jestem okropną matką.

Zaśmiał się i przytulił ją, wilgoć z jego obnażonego torsu przemoczyła jej koronkową narzutkę.

– Następnym razem zostawimy dzieci w domu.

\*

O ósmej nadal nie było opiekunki do dzieci.

– Gdzie ona się podziewa? – spytała Caroline. – Była taka punktualna przez cały tydzień.

– Spokojnie. Pewnie już jest w windzie.

Caroline wyszła na balkon i spojrzała w dół, na restaurację w ogrodzie. Niemal wszystkie stoliki były zajęte. Kolorowe lampiony migotały, podwieszane nad głowami gości. Grała cicha muzyka. Wiał lekki wietrzyk. Samantha i Michelle spały. Zapowiadał się idealny wieczór ich ostatniego dnia w rajku.

Tyle że opiekunka do dzieci się spóźniała.

– Inni już są? – spytał Hunter, stając za nią i obejmując ją w talii.

– Nie widzę ich. Och, czekaj... Tam jest Rain.

– Jak ona się ubrała, u licha?

– Raczej jak się rozebrała – poprawiła go Caroline. – Chyba zapomniała włożyć górę.

Wiedziałaś, że jej mąż to niezły ogier?

– Naprawdę? Tak ci powiedziała?

– O ile pamiętam, użyła słowa „nienasycony”.

Hunter skrzywił się.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– To sobie nie wyobrażajmy – odpowiedziała, gdy Jerrod stanął nagle obok żony. Oboje unieśli oczy i pomachali do nich. Caroline odmachnęła, poczuła, że mąż robi to samo. – Może powinniśmy zadzwonić do recepcji, dowiedzieć się, co się dzieje. – Została na balkonie i patrzyła, jak Steve i Becky dołączają do Jerroda i Rain, gdy tymczasem Hunter zawrócił do saloniku, żeby zatelefonować.

– No i? – spytała, kiedy wrócił.

– Nie przyjdzie.

– Jak to nie przyjdzie?

– Podobno odwołaliśmy.

– Co takiego? Co ty wygadujesz? Niczego takiego nie zrobiliśmy.

– Powiedziałem im to. Ale tak wynika z ich rejestru. Usiłują znaleźć kogoś innego.

– Ile to potrwa?

– Powiedzieli, że powinno to zająć tylko parę minut.

Caroline pokręciła głową z niesmakiem, dostrzegła, że właśnie przyszli Peggy

i Fletcher. Jak na dany znak, wszyscy przy stoliku spojrzeli w ich stronę.

– Niedługo zejdziemy! – zawołał do nich Hunter, chociaż Caroline wątpiła, czy na dole słycać było coś wśród tej muzyki i gwaru. Zadzwoił telefon. – Proszę bardzo. Problem rozwiązany.

Niestety, niekoniecznie. Wszystkie opiekunki zarejestrowane w hotelu były zajęte i konsjerżka nie mogła znaleźć nikogo tak bez uprzedzenia, chyba że zgodzą się zaczekać do dziesiątej wieczorem.

– No i po zabawie. – Caroline ciężko przysiadła na sofie, zrzucając niedawno kupione szpilki, które Peggy nazywała jej butami „seksu, ale już”.

– Nie. Nie pozwolimy, żeby zepsuło to nam rocznicową kolację.

– Nie możemy czekać do dziesiątej.

– Nie musimy – stwierdził Hunter. – Zejdziemy, zjemy kolację i zaraz wrócimy.

– O czym ty mówisz? Nie możemy zostawić dzieci samych.

– Nie zostawiamy ich samych. Będziemy tylko tam na dole. Zupełnie jak w domu, kiedy dzieci leżą w łózkach, a my siedzimy w ogrodzie za domem.

– To nie to samo.

– A jaka to różnica?

– Po pierwsze, to nie jest nasz ogród za domem. Jeśli dzieci się obudzą, jeśli zaczną płakać, nie usłyszymy ich.

– Ile razy obudziły się w tym tygodniu, kiedy była tu opiekunka?

– To nie ma znaczenia.

– Opiekunka mówiła, że nie obudziły się ani razu.

– To ta sama, która twierdzi, że dziś ją odwołaliśmy?

– Nic się nie stanie – nalegał Hunter.

– Ty idź – powiedziała Caroline.

– Bez ciebie?

– Tak. Idź. Przynieś mi coś do zjedzenia.

– To nasza rocznicowa kolacja, Caroline. Nie pójdę bez ciebie.

– No dobrze. A może tak? Zadzwoimy do restauracji i wyjaśnimy, co się stało, i niech wszyscy albo tu do nas dołączą i zjemy coś z dostawy do pokoju, albo niech przyjdą później na deser. Na pewno zrozumieją.

– Nie rozumiem. Nie mówimy przecież o wyjściu poza hotel. Mówimy o zejściu na dół na kolację. Na jakieś dwie godziny. Nie sądzisz, że jesteś nieco nadopiekuńcza?

– Nadopiekuńcza? – Caroline wyobraziła sobie matkę, czając się do ataku gdzieś w pobliżu.

Hunter wzruszył ramionami.

– Nieważne. Źle się wyraziłem. Przemawia przeze mnie rozczarowanie i tyle. No bo, po prostu... Wiesz... Zaplanowałem coś wyjątkowego.

– Nadal może być wyjątkowo – zaprotestowała słabo Caroline.

Hunter przysiadł obok niej na sofie i ujął jej dłonie. Przez kilka chwil oboje milczeli.

– Dobra, posłuchaj. Mam pomysł – urwał, zbierając myśli. – Pójdziemy na dół.

– Hunter...

– Pójdziemy na dół – powtórzył, tym razem nieco głośniej. – Zjemy kolację z przyjaciółmi, i będziemy na zmianę zaglądać do dziewczynek co pół godziny. Co ty na to?

Caroline nie mogła zebrać myśli. Ubodło ją jego swobodne porównanie jej do matki, chociaż całe życie starała się w niczym matki nie przypominać. I nie chciała sprawiać mu przykrości, zwłaszcza że zadał sobie trud, by zaplanować coś szczególnego. Restaurację faktycznie mieli pod nosem. Nie pójda na długo.

– Sama nie wiem...

– Oj, wiesz. Będziemy tuż obok, na dole, co pół godziny zajrzemy do dzieciaków, one nawet się nie zorientują, że nas tu nie ma.

– Obiecujesz, że wszystko będzie dobrze?

Hunter ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją czule w usta.

– Obiecuję – powiedział.

## ROZDZIAŁ 5

# Dzisiaj

– Mamo? Mamo, jesteś w domu?

Caroline usłyszała otwierające się frontowe drzwi i słowa szybko płynące holem na parterze, schodami wyłożonymi chodnikiem barwy kości słoniowej, aż do sypialni, zupełnie jakby jej szukały.

– Mamo?

Caroline otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zreflektowała się i zmilczała. Jeśli nie odpowie, to może Michelle uzna, że nie ma jej w domu i sobie pójdzie. Choć wiedziała, zanim jeszcze usłyszała kroki na schodach, że córka raczej nie podda się tak łatwo. Była nieustępliwa jak zawsze.

– Mamo?

Caroline wyczuła, że Michelle stoi w drzwiach i zagląda w półmrok sypialni, wbijając wzrok w plecy matki.

– Mamo? – Michelle powtórzyła i włączyła górne światło. – Co się dzieje? Nie słyszałaś mnie?

– Słyszałam.

– Słyszałaś i postanowiłaś nie odpowiadać?

– Ja... – Caroline zaczęła, a potem urwała, bo nie przyszło jej do głowy nic sensownego do dodania.

– Co się dzieje? Chora jesteś? – W tonie głosu Michelle pojawiła się nieokreślona oskarżycielska nuta.

Caroline zaprzeczyła ruchem głowy. Do tego tonu już przywykła.

– No to co robisz? Dlaczego mi nie odpowiedziałaś? Dlaczego siedzisz tutaj po ciemku?

Caroline wzruszyła ramionami. Nie zauważyła tego półmroku. Kiedy się ściemniło?

– Która godzina?

– Prawie siódma.

– Co ty tu robisz? – spytała Caroline.

– Jak to, co tu robię? Zaprosiłaś mnie na obiad, pamiętasz?

– Powiedziałaś, że jesteś zajęta. – Caroline odwróciła się na łóżku, żeby spojrzeć na córkę, jak zawsze zaskoczona jej chudością. Przygryzła dolną wargę, jakby chcąc się

powstrzymać przed powiedzeniem tego na głos.

– Bo miałam plany – odparła Michelle. – Ale pomyślałam, że może ty... Nieważne, co myślałam. Co się dzieje? Zły dzień w szkole?

– Nie byłam w szkole.

– Dlaczego nie?

– Nie miałam ochoty.

– Nie miałaś ochoty? – powtórzyła Michelle, z wahaniem postępując parę kroków w głąb pokoju. – To nie ma sensu. Zawsze ci się chciało.

– Ale dziś mi się nie chciało.

– Dlaczego nie? – dociekała córka.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Caroline wzruszyła ramionami. Czy Michelle miała zamiar powtarzać wszystko, co usłyszy?

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Chcę, żebyś mi wyjaśniła, co się dzieje. Zachowujesz się bardzo dziwnie. Pokłóciłaś się z tatą czy co?

– Nie.

– Chodzi o Mackenziego?

– Mackenziego?

– Małego synka taty – odparła Michelle z dość wyraźną irytacją, jakby tę wymianę zdań prowadziły już wielokrotnie. A może prowadziły?

– Nie.

Michelle stanęła obok łóżka, przestępując z nogi na nogę i patrząc wszędzie, byle nie wprost na matkę.

– No to co się stało? Rano przez telefon brzmiałaś normalnie, kiedy robiłaś mi wykład na temat moich obowiązków. I ubrana jesteś jak do pracy, więc najwyraźniej zamierzałaś iść. – Rzuciła spojrzenie na gazety rozrzucone na łóżku. – Chodzi o ten artykuł? Te zdjęcia? Znaczący, chyba się nie zdziwiłaś za bardzo. Tak się dzieje co roku. Już się nauczyłaś jakoś płynąć z tym nurtem...

– Nie chodzi o artykuł ani o zdjęcia.

– No to o co?

– Nie wiem.

– Siedzisz tu cały dzień i nie masz pojęcia dlaczego? Nie wierzę ci.

– Michelle...

– Mamo...

– Michelle, proszę. Nie chcę się z tobą kłócić.

– Ja z tobą też nie chcę.

– No to zostawmy to już, dobrze? – Podniosła się z łóżka i objęła Michelle z nadzieją, że to ją uciszy. Natychmiast wyczuła, że córka sztywnieje. Caroline wzięła głęboki oddech, zmusiła się do uśmiechu. – No więc, dokąd chciałabyś iść na obiad?

- Może do tej nowej restauracji z surowizną przy Bayshore?
- Surowizną? Czyli nic nie jest gotowane?
- Wszystko jest organiczne. Samo zdrowie.
- Na pewno. Tylko że nie brzmi to jakoś...
- Nieważne – rzuciła Michelle.
- Nie, wypróbujmy to miejsce.
- Nie trzeba. Nie jestem zresztą jakoś bardzo głodna.

Słowa zawisły w powietrzu niczym swąd z niedogaszzonego papierosa. Caroline zastanawiała się, czy zawsze tak było między nimi. Prawdę mówiąc, Michelle od urodzenia bywała trudna i namolna, cechy, które zniknięcie Samantha tylko jeszcze nasiliło. A im bardziej matki potrzebowała, tym silniejsza stawała się niechęć Caroline. Im bardziej do niej lgnęła, tym bardziej Caroline się odsuwała. Im bardziej zaś matka się odsuwała, tym silniejsza stawała się uraza Michelle. Ich więź przekształciła się w zaklęty krąg przyciągania i odpychania, w którym jedna się odsuwała, gdy tylko druga wyciągała rękę. Zdawało się, że po każdym kroku naprzód następowały dwa wstecz.

Moja wina, pomyślała Caroline. Wszystko moja wina.

– Miałam dziś rano telefon – zaczęła ostrożnie. Może jeśli sama przestanie zamykać się przed Michelle, córka znów ją do swojego życia dopuści.

– Od...? – Michelle zatknęła kciuki za kieszenie obcisłych dżinsów, zmrużyła ciemne oczy.

– Jakiejś dziewczyny z Calgary.

– Calgary?

– To w Kanadzie.

– Wiem, gdzie jest Calgary, mam. Nie jestem idiotką.

– Oczywiście, że nie jesteś idiotką. Nie chciałam sugerować...

– Kogo znasz w Calgary?

– Nie znam nikogo.

– Czy to dziennikarka?

– Nie.

– Nic nie rozumiem z tego, co mówisz.

– Nie dajesz mi szansy. Może gdybyś przestała mi przerywać...

Michelle ciężko westchnęła.

– Dobra. Przepraszam. Zacznijmy od początku. Miałas telefon od jakiejś dziewczyny z Calgary. Ma jakoś na imię?

– Lili.

– Lili...?

– Nie znam jej nazwiska. Nie przedstawiła się.

– Nie przedstawiła się – powtórzyła Michelle. – I ta dziewczyna jest powodem, że zachowujesz się tak dziwnie?

– Ona uważa, że Lili to nie jest jej prawdziwe imię – powiedziała Caroline, ignorując

pytanie córki i patrząc jej w oczy. – Uważa, że tak naprawdę ma na imię Samantha.

Michelle przygarbiła się.

– Cholera.

– Uważa, że jest twoją siostrą.

– Och, proszę cię. Nie mów mi takich rzeczy. – Michelle w gniewie szerzej otworzyła oczy. Zaczęła chodzić w tę i z powrotem obok łóżka, bezładnie wymachując rękami, co przypominało wybuch fajerwerków. – Nie mów mi, że wierzysz w to gówno.

– Jak sądzę, ona wierzy.

– Mamo, na litość boską! To się zdarza za każdym razem, kiedy publikują te nowe głupie przybliżone portrety. Ludzie dzwonią i mówią, że widzieli Samanthę w kolejce w spożywczym, psychole twierdzą, że wiedzą, gdzie ją odnaleźć, wariaci przechwalają się, że ją więżą w jakimś podziemnym bunkrze. Radzisz sobie z tymi świrami od lat. A teraz jakaś dziewczucha dzwoni z Calgary i mówi, że jej się wydaje, że jest Samanthą, a ty odlatujesz? Przecież jesteś na to za mądra. Wiesz, że to bzdury. Nawet jeśli dziewczyna jest tak durna, że sama w nie wierzy...

– To coś innego.

– Jak to innego?

– Zaproponowała, że przejdzie badanie DNA.

– Co?

– Uważa, że powinniśmy zrobić test DNA i przekonać się w jedną albo drugą stronę.

– Hej, hej, hej! – powiedziała Michelle, stając nagle bez ruchu. – Co ty mówisz? Że ona przyjedzie do San Diego?

– Nie. – Caroline odtworzyła w myślach swoją rozmowę z Lili, a potem powtórzyła ją Michelle w całości.

– Powiedz mi, że nie myślisz serio o locie do Calgary.

– Zastanawiałam się nad tym.

– Żartujesz.

– Pytałaś, co robiłam przez cały dzień. Właśnie to robiłam, zastanawiałam się nad tym.

– Nie polecisz do Calgary, mamo.

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Dlaczego nie?!

– A co by w tym było takiego strasznego?

– W głowie się nie mieści. Normalnie w głowie się nie mieści.

– Zastanów się nad tym przez chwilę, Michelle. Co to komu szkodzi? Polecę do Calgary. Spotkam się z dziewczyną, zrobimy test, przekonamy się, jak sprawy stoją.

– Ty się lepiej zastanów. Polecisz do Calgary, spotkasz się z dziewczyną, która prawdopodobnie jest kompletnie szalona i ma jakieś własne zamiary, może nawet i rzeźnicki nóż – o tym w ogóle pomyślałaś? – i zrobicie ten test, który okaże się negatywny, wiesz, że tak będzie, a potem wrócisz do domu całkiem podłamana... I po co to? Po co masz to sama sobie zrobić? Nam zrobić? Znowu! – dodała z naciskiem.

– Bo w ten sposób będę wiedziała na pewno.

– Ja już wiem na pewno.

– To dlatego, że z nią nie rozmawiałaś. Nie słyszałaś jej. Było w jej głosie coś takiego...

– Samantha miała zaledwie dwa lata, kiedy zniknęła. Umiała mówić „mama” i „tata”,

może znała z dziesięć innych słów, większości nikt nie potrafił zrozumieć...

– Ja rozumiałam – przerwała Caroline i wzbierające łzy sprawiły, że jej głos zadrżał.

– Chodzi mi o to – ciągnęła Michelle – że nie ma sposobu, żebyś mogła rozpoznać głos

Samanthy, gdybyś go dzisiaj usłyszała. Oszukujesz sama siebie, jeśli myślisz inaczej.

Prawdopodobieństwo, że to nie jest Samantha, jest astronomiczne. Ta dziewczyna,

kimkolwiek by była, jest oszustką, psychopatką albo po prostu biedną, zagubioną

duszą, ale na pewno nie moją siostrą. A ty nigdzie się nie wybierzesz.

– Kochanie, rozumiem twoje obawy i bardzo cię za nie kocham, ale...

– Żadne ale. – Michelle odgarnęła z czoła długie, ciemne włosy i wbiła wzrok

w matkę. – Już się zdecydowałam, tak?

– Po prostu im dłużej o tym myślę, tym sensowniejsze mi się to wydaje.

Michelle podeszła do telefonu.

– Dość tego. Dzwonię do ojca.

– Co? Nie! Nie chcę, żebyś do niego dzwoniła.

– Dlaczego nie? Nie sądzisz, że on ma prawo wiedzieć?

– Jeszcze niczego nie wiemy.

– Wiemy, że wybierasz się do Calgary. Może będzie chciał polecieć z tobą.

– Nie będzie.

– Jasne, że nie będzie. A chcesz wiedzieć dlaczego? Bo nie jest szalony, oto dlaczego. –

Ujęła telefon drżącą dłonią.

– Proszę cię, nie dzwoń do ojca.

– Dlaczego nie?

– Bo ja cię proszę, żebyś tego nie robiła. Proszę, Michelle... Micki...

Michelle opuściła dłoń z telefonem.

– Coś ty powiedziała?

– Ja...

– Nazwałaś mnie Micki. Nigdy nie mówisz do mnie Micki.

– Wiem.

– Nie cierpisz tego zdrobnienia.

– Nieważne.

– Co... Myślisz, że jak powiesz do mnie Micki, to ja nagle zmienię zdanie? Że tak łatwo

mną manipulować?

– Nie, oczywiście, że tak nie myślę.

– Po prostu nie myślisz, kropka. Cholera jasna. – Michelle rzuciła telefon na łóżko.

Pokręciła głową, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, potem znów pokręciła głową. –

Dobrze. Świetnie. Nie powiem mu.

– Dziękuję ci.



- Kiedy masz zamiar lecieć?
- Jutro.
- Jutro – powtórzyła Michelle.
- Zdaje się, że rano jest samolot, który ląduje w Calgary koło południa.
- Rozumiem. Zarezerwowałaś już bilet?
- Nie.
- Ale masz zamiar.
- Tak.
- Masz paszport?
- Paszport?
- To Kanada, mamo. Potrzebny ci paszport.
- Mam paszport.
- I zimowe kozaki?
- Kozaki?
- To Kanada i listopad. Potrzebne ci buty.
- Poradzę sobie.
- Jak długo chcesz tam zostać?
- Pewnie parę dni. Sama nie jestem pewna.
- Ale wiesz, że w ten czwartek jest Święto Dziękczynienia.
- Spróbuję wrócić do domu na czas.
- Babcia Mary oczekuje nas na obiedzie.
- O Boże.
- Ja nie będę tą osobą, która jej wyjaśni, dlaczego cię nie ma.
- Będę tam. Polecę, spotkam się z dziewczyną, zrobimy test, wrócę do domu.
- Naprawdę myślisz, że to będzie takie łatwe?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Proszę, kochanie, spróbuj zrozumieć. Ostatnich piętnaście lat spędziłam, żałując jednej decyzji. Nie chcę spędzić kolejnych piętnastu, żałując następnej.

Michelle przysiadła na łóżku. Z gardła wyrwał jej się jakiś dźwięk – ni to westchnienie, ni to kpiący śmiech.

– Co?

- Zastanawiałam się tylko, czy zadałabyś sobie tyle trudu, gdybym to ja, a nie Samantha, zniknęła tamtego wieczoru.

Caroline poczuła, że te słowa tworzą miecz, który przeszywa jej serce. Odruchowo wyciągnęła rękę do Michelle.

– O Boże. Nie możesz serio myśleć...

Michelle poderwała się, znów zaczęła chodzić po pokoju.

- Nieważne, co ja sobie myślę, prawda? Wiele razy już tego dowiodłaś. Dziś wieczorem po raz kolejny. Moje zdanie się nie liczy. Nigdy się nie liczyło. Nie wiem, czemu się dziwię. Powinnam już przywyknąć. – Obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

– Michelle! – Caroline rzuciła się za córką, pobiegła za nią przez korytarz do jej pokoju. Patrzyła, jak dziewczyna wyciąga torbę podróżną z szafy i rzuca ją na zielono-białą kołdrę na swoim łóżku. – Co robisz?

– A wygląda to na co? – Michelle podeszła do komody, otworzyła górną szufladę i wygarnęła z niej do torby stertę bielizny. – Dżinsy, które mam na sobie, wystarczą. I mam tę kurtkę na narty, którą tata w zeszłym roku kupił mi w Aspen. Powinna być w schowku na dole. Mam nadzieję, że Calgary nie jest całe zasypane śniegiem.

– Zaraz – powiedziała Caroline, łapiąc córkę za rękę, zanim ta zdążyła wrzucić do torby jeszcze jakieś rzeczy. – Nie możesz jechać ze mną.

– Nie mogę? Dlaczego?

– Bo...

– Nie chcesz, żebym jechała?

– Nie o to chodzi.

– No to o co?

– Sama to powiedziałaś. To szalony pomysł. Ja jestem szalona.

– Tym większy powód, żebym z tobą poleciała.

– Nie.

– Mamo, nie spieraj się ze mną. „Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę”, i inne takie bzdury.

– Michelle... Micki...

– Daruj sobie, mamo. Tym razem to nie podziała. No to jak? Lecimy jutro do Calgary, czy nie?

Caroline widziała zaciśniętą stanowczo szczękę córki i gniewną urazę w jej oczach. Wiedziała, że nie ma sensu się spierać.

– Zarezerwuję bilety – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 6

# Piętnaście lat temu

– Czy ja wam mówiłam, że Jerrod załatwił nam bilety na *Taniec z diabłem*? – spytała Rain, obrzucając mocno podkreślonym na niebiesko spojrzeniem cały stół i wreszcie zatrzymując wzrok na Caroline.

– A co to jest? – spytała Caroline, zerkając ukradkiem w stronę swojego apartamentu, a potem na zegarek. Odłożyła widelec i odsunęła to, co zostało z jej kolacyjnego homara, czyli większość. Była zbyt niespokojna, by jeść. Już niemal dochodziła pora, by zajrzeć do dzieci.

– Nic im nie było, kiedy sprawdzałem pół godziny temu – szepnął Hunter, prawie nie poruszając wargami. – Teraz też nic im nie jest. Dokończ posiłek.

– *Taniec z diabłem*? To przecież najmodniejszy show na Broadwayu – stwierdziła Rain, odpowiadając na pytanie, o którym Caroline już zdążyła zupełnie zapomnieć. – Nie sposób zdobyć bilety, zwłaszcza na weekend Święta Dziękczynienia. Ale mojemu supermanowi jakoś się udało. – Objęła męża za ramiona zaborczym gestem, od którego biust niemal wyskoczył jej z sukienki.

– A więc spędzicie Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku – skomentowała Becky. – Szczęściarze.

Rain rzuciła jej swój najlepszy, błyszczący licówkami uśmiech.

– A wy jakie macie plany?

– Moja matka zawsze organizuje obiad na Święto Dziękczynienia u siebie – odparł Steve.

– Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo już się tego nie mogę doczekać – dodała Becky. Steve spojrzał ostro na żonę.

– Nie zaczynaj.

– Przestań patrzeć na zegarek – rzucił Hunter do Caroline.

– Wiecie, co moja ukochana teściowa powiedziała do mnie w ostatnie Święto Dziękczynienia? – odezwała się Becky, a potem ciągnęła, nie czekając na odpowiedź: – Dopiero co wróciła z jakiegoś pogrzebu, a ja popełniłam błąd i spytałam ją, jak było, na co ona odparła, i to jest dokładny cytat: „Było uroczo. Jej córka wybrała prześliczną trumnę. O wiele ładniejszą niż ta, którą kupiłaś dla swojej matki”.

Wokół stołu rozległo się zbiorowe westchnienie. Tylko Caroline nie westchnęła, bo

przywykła do podobnych uwag.

– Ależ ona nic podobnego nie powiedziała! – zaprotestował Steve.

– Dokładnie to powiedziała.

– Przesadzasz. Jak zwykle.

– A ty jej bronisz. Jak zwykle.

– No dobrze, to za co dziś odczuwamy wdzięczność? – przerwała im Peggy głosem pełnym sztucznego ożywienia. – Dawajcie. Trzy rzeczy, pomijając zdrowie, rodzinę i przyjaciół. Że za to jesteście wdzięczni, po prostu założymy z góry.

– Nigdy nie należy nic zakładać z góry – odparła Becky.

– Och, ale fajnie. – Rain klasnęła w dłonie. – Mogę zacząć?

Peggy uniosła w górę otwarte dłonie, dając do zrozumienia, że Rain ma scenę dla siebie.

– No cóż, po pierwsze, oczywiście, cieszę się, że spędzimy Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku, a nie na jakimś okropnym rodzinnym spędzie, nikogo z obecnych nie urażając. – Uśmiechnęła się do Becky, potem do Steve'a, i wreszcie przeniosła wzrok na Caroline. – Po drugie, czuję wdzięczność za ten nowy naszyjnik kupiony mi przez Jerroda. – Poklepała imponujący brylant, skrzący się na szyi. – A po trzecie, jestem wdzięczna za to, że w mojej rodzinie kobiety nie siwieją. Twoja kolej – zwróciła się do Caroline.

Caroline powstrzymała odruch uniesienia dłoni do głowy. Nie zauważyła jeszcze żadnych siwych włosów, ale przecież zbyt uważnie ich nie wypatrywała.

– Ja jestem wdzięczna za ten miniony tydzień – stwierdziła i skinęła głową w stronę męża. – Jestem wdzięczna za to, że mogę uczcić dziesięć lat względnego małżeńskiego szczęścia – dodała, wspominając słowa brata.

– Jak to względnego? – spytał Hunter, żartobliwie ściągając wargi.

– Wypiję za względnosc – powiedział Jerrod, unosząc kieliszek z szampanem. Pozostali poszli za jego przykładem, stukając się kieliszkami w gratulacyjnym toaście.

– Ostrożnie – ostrzegła Rain. – Nie wolno przy tym krzyżować dłoni, bo to oznacza nieszczęście.

– Naprawdę? Nigdy o tym nie słyszałam – powiedziała Becky.

– No, dalej – Peggy ponagliła przyjaciółkę. – Jeszcze jedna rzecz, za którą jesteś wdzięczna.

Caroline próbowała znaleźć trzeci powód do wdzięczności, niemający nic wspólnego ze zdrowiem, rodziną ani przyjaciółmi. Na pewno coś jej w końcu przyjdzie do głowy.

– Jestem wdzięczna za ten ocean – powiedziała wreszcie, zerkając mniej więcej w jego kierunku.

– Poważnie? – spytała Rain.

– Ja jestem wdzięczny za to, że rynek nieruchomości w San Diego stoi tak mocno – powiedział Steve, nie czekając na zaproszenie. – Cieszę się, że udało mi się przekonać Huntera, żeby nam pozwolił dołączyć do was w tym przepięknym Rosarito i razem obchodzić waszą rocznicę. – Spojrzał znacząco na siedzącą po drugiej stronie stołu żonę.

– I jestem szczególnie wdzięczny losowi za to, że moja matka jest taką świetną kucharką.

– Ależ ty pieprzysz od rzeczy – rzuciła Becky.

– A co, nasza matka nie jest świetną kucharką? – Steve zapytał siostrę.

– Nasza matka istotnie gotuje znakomicie – zgodziła się Caroline. – A ty pieprzysz całkiem od rzeczy.

Wszyscy parsknęli śmiechem, chociaż śmiech Steve’a był wymuszony, a jego piwne oczy nieporuszone i twarde niczym kamienie.

– Twoja kolej, Becky – zarządziła Rain.

– Przepraszam was wszystkich. Całe popołudnie okropnie bolała mnie głowa i teraz robi się jeszcze gorzej. – Łzy przymgły jej spojrzenie. Wykonała taki gest, jakby chciała je ukryć, czy zetrzeć. – Wybaczcie. – Odsunęła krzesło od stołu i wstała.

– Och, siadajże – powiedział Steve. – Nic ci nie jest. Nie rób z siebie takiej primadonny.

– Wal się. – Becky odwróciła się i zamaszystym krokiem odeszła.

Na moment zapanowała pełna osłupienia cisza.

– Nie powinieneś za nią pójść? – Fletcher zapytał Steve’a spokojnie dopijającego ostatnie łyki szampana.

– Co? Myślisz, że odbiło mi tak samo jak jej?

– Powinnam zajrzeć do dzieci – odezwała się Caroline, w równym stopniu co Becky chcąc oddalić się od tego stołu.

– Wracaj szybko. – Hunter wstał cmoknąć ją w policzek zanim odeszła.

– Och, ale gołąbeczki. – Odchodząca Caroline usłyszała za sobą słowa Rain.

Winda czekała z otwartymi drzwiami, kiedy dotarła do końca holu. Weszła do środka i nacisnęła przycisk szóstego piętra. Na razie wieczór przebiegał raczej mało pamiętnie. Najpierw zamieszanie z opiekunką do dzieci, potem jej własne poczucie winy na myśl, że zostawia je same, później nieprzyjemne sprzeczki brata i bratowej. To nie był dobry znak, że przestawali się już przejmować tym, czy ktoś ich słyszy. Caroline wysiadła z windy, wątpiąc, by małżeństwo jej brata dotrwało do końca roku, o dekadzie już nie wspominając.

Poszła szybko długim korytarzem, przy każdym kroku pewna, że zaraz usłyszy niespokojne krzyki dzieci odbijające się echem od ścian. Ale kiedy otworzyła drzwi apartamentu, nie usłyszała nic poza uspokajającą ciszą. Na palcach weszła do sypialni dziewczynek, przystanęła w drzwiach, żeby oczy przywykły do ciemności, a potem podeszła do łóżka Michelle.

Córka spała na boku, z ustami na wpeł otwartymi, z kołdrą niezbyt wygodnie zamotaną wokół talii i lalką Wonder Woman wplątaną w jej fałdy. Caroline ostrożnie wyjęła zabawkę i przykryła kołdrą ramiona córki, a samą lalkę posadziła na poduszce obok głowy dziewczynki. Jesteś takim aniołkiem, kiedy śpisz, pomyślała, walcząc z chęcią cmoknięcia małej w policzek. Gdybyś tylko mogła być choć w części taka słodka, kiedy nie śpisz.

Obróciła się w stronę łóżeczka Samantha i nachyliła się nad nim. Z jej ust wyrwało

się głębokie westchnienie.

Samantha leżała na plecach, z rączkami nad głową ugiętymi w łokciach, dokładnie tak, jakby dosłownie poddała się senności. Hunter miał rację, pomyślała Caroline. Niepotrzebnie się denerwowałam.

Zadzwoił telefon, a jego ostry ton przeciął tę ciszę jak bagnet. Caroline rzuciła się do saloniku i pochwyciła namolny przedmiot, zanim zabrzmiał drugi dzwonek. Przycisnęła mocno słuchawkę do ucha. – Halo? – Powinna zadzwonić wcześniej na recepcję i zapowiedzieć im, żeby nie łączyli rozmów do pokoju. A gdyby telefon zadzwonił, kiedy jej nie było? Gdyby obudził dzieci? Gdyby zaczęły za nią płakać? Gdyby zaczęły panikować, że ona natychmiast się nie pojawia?

– Zły moment? – odezwał się głos po drugiej stronie linii. – Jakoś nieswojo brzmisz.

– Mama? – Caroline ledwie słyszała własny głos ponad waleniem serca. Pomyślała o rozmowie przy kolacji i spróbowała opanować dreszcz. Czy to możliwe, że matka wyczuła, że o niej rozmawiali? Zawsze twierdziła, że ma oczy z tyłu głowy i uszy wszędzie, że nic nigdy się przed nią nie ukryje. Kiedy Caroline była mała, ta myśl ją przerażała. Jeśli miała być szczerą, nadal wywoływała strach. – Wszystko w porządku?

– A co, przejmujesz się?

– Co masz na myśli? Oczywiście, że się przejmuję.

– Dlatego przez cały tydzień się do mnie nie odezwałaś?

– No cóż, ja...

– Ja nie narzekam, rozumiesz. Ja tylko stwierdzam fakty. Wiem, że jesteś bardzo zajęta imprezowaniem. Przynajmniej mam jedno dziecko, które liczy się z uczuciami matki.

Bo nadal wychodzi z błędnego założenia, że jakieś masz, pomyślała Caroline.

– Steve to dobry syn – przyznała.

Dobry syn i beznadziejny mąż.

– Szkoda, że nie urodziłaś chłopców.

Caroline omal się nie roześmiała, wspominając spontaniczny wybuch matki, kiedy zadzwoniła do niej ze szpitala powiadomić ją o narodzinach Samantha. – Kolejna paskudna dziewczucha! – wykrzyknęła wtedy jej matka.

– Dzwonię tylko życzyć ci miłej rocznicy ślubu – powiedziała teraz.

Caroline ogarnęła falą poczucia winy. Była dla matki zbyt surowa. Ta kobieta przecież nie będzie inna. To od niej zależało, czy zmieni sposób, w jaki sama na nią reaguje. Powinna być bardziej wyrozumiała, mniej oceniająca.

– Dziękuję ci.

– Muszę przyznać, że jestem zdziwiona. Myślałam, że do tej pory Hunter zanudzi się na śmierć.

Tym razem Caroline wybuchnęła śmiechem, chociaż dźwięk był stłumiony i szybko uwiązał jej w gardle. Człowiek nawet jakby chciał, to czegoś takiego by nie wymyślił, uznała.

– Przepraszam... Dajesz mi do zrozumienia, że jestem nudna?

– Nie wkładaj mi w usta tego, czego nie powiedziałam. Hunter po prostu sprawia wrażenie typu, który łatwo się nudzi. Przestań być taka nadwrażliwa.

– Mamo, powinnam iść. Wszyscy czekają... – Zanim jeszcze Caroline dokończyła zdanie, w słuchawce zapadła głucha cisza. Pokręciła głową i odłożyła telefon, a potem szybko znów go złapała i wybrała numer recepcji, prosząc, żeby nie łączyli rozmów aż do odwołania. Wątpiła, że się zdarzy kolejny telefon, ale nie zamierzała ryzykować. Matka zwykle lubiła mieć ostatnie słowo.

Zajrzała do dziewczynek jeszcze raz przed wyjściem z apartamentu. Telefon żadnej nie zakłócił snu. – To tylko stara, nudna ja – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi, wychodząc do holu. W jej stronę zmierzał jakiś kelner w białej marynarce, pchając przed sobą wózek z obiadem. Zatrzymał się przy drzwiach kilka apartamentów dalej i zastukał.

– Obsługa hotelowa! – zawołał, gdy Caroline go mijala.

– Wszystko w porządku? – spytał Hunter, kiedy wróciła do restauracji.

– Wszystko dobrze. – Dostrzegła, że teraz już dwa miejsca przy ich stole były puste. – Gdzie mój brat?

– Poddał się naciskowi ogółu zaraz potem jak wyszłaś i poszedł zobaczyć, czy uda mu się namówić Becky do powrotu – wyjaśniła Peggy.

Życzę powodzenia, pomyślała Caroline. Trio młodych, przystojnych muzyków zbliżyło się do ich stołu.

– O co chodzi? – spytała, gdy dwóch z nich przyklęknęło u jej stóp, unosząc gitary w górę.

– Wszystkiego dobrego z okazji rocznicy! – powiedział Hunter.

– To najromantyczniejsza scena pod słońcem! – zawołała Rain.

– Nie znudziłeś się mną, prawda? – szepnęła Caroline do Huntera, gdy muzycy zaczęli swoją cichą serenadę.

– Znudzić się tobą? Skąd u licha wziął ci się ten pomysł?

Caroline spróbowała wyprzeć wszelkie myśli o matce. Poglaskała męża po policzku.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ach – westchnęła Rain. – Sama słodycz.

\*

Pół godziny później muzycy skończyli swoje piosenki i zamówiono deser – płonące naleśniki z syropem pomarańczowym. – Powinienem zajrzeć do dzieci, zanim go przyniosą – stwierdził Hunter.

Caroline uśmiechnęła się, zadowolona, że nie trzeba mu przypominać.

– A mnie potrzebny jest szal – stwierdziła Rain, kładąc wypielegnowaną dłoń na swoim wyeksponowanym dekolcie. – Dziewczyнки mi marzną.

Caroline patrzyła, jak mąż i Rain po wyjściu z restauracji ruszają każde w swoją stronę, Rain ku jednemu skrzydłu hotelu, Hunter do drugiego.

– No cóż, to była uroczą małą niespodzianka – powiedziała Peggy.

– Owszem – zgodziła się Caroline.

– Hunter naprawdę wie, jak się zdobyć na efektowny gest.

– A już na pewno wie, jak sprawić, że wszyscy przy nim wypadamy blado – zagderał dobrodusznie Fletcher. – Choć niewielu nas przy tym stole zostało.

– No tak, zaczyna to trochę wyglądać jak zabawa w komórki do wynajęcia – zgodził się Jerrod.

– Myślisz, że twój brat i Becky jeszcze w ogóle wrócą? – spytała Peggy.

Caroline pokręciła głową.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie się wymeldowywali. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, po co w ogóle chcieli przyjechać.

– Może mieli nadzieję, że romantyczne wakacje dobrze zrobią ich związkowi.

Caroline nie mogła się z tym spierać. Czy sama nie miała podobnej nadziei dla siebie?

Podeszli dwaj kelnerzy.

– Czy to byłby problem, gdyby desery poczekały, aż pozostali goście wrócą? – spytała ich Caroline. – To powinno potrwać tylko parę minut.

W rzeczywistości potrwało bity kwadrans.

– Przepraszam, że tyle mnie nie było – powiedział Hunter, siadając znów na swoim miejscu. – Wieki czekałem na windę, a potem wreszcie się poddałem i poszedłem schodami. Dzieci śpią jak zabite – ciągnął, zanim żona zdążyła zapytać. Rozejrzał się wokół stołu. – Gdzie wszyscy?

Jak na sygnał, nagle pojawiła się Rain ze Steve'em u boku.

– Patrzcie, kogo znalazłam w holu – powiedziała, owijając się szalem.

– Miałem już wysłać misję poszukiwawczą – odezwał się jej mąż.

– Zapomniałam, że zdążyłam spakować to cholerstwo. Musiałam rozpakować całą walizkę, zanim go znalazłam.

– Dobrze ci tak za to, że jesteś taka zorganizowana – powiedziała Peggy. – Ja nawet nie zaczęłam się jeszcze pakować.

– Widzę, że nie udało ci się namówić Becky do zejścia na dół – odezwała się Caroline do brata.

Steve wzruszył demonstracyjnie ramionami, odsuwając od stołu swoje krzesło.

– Kobiety – zwrócił się w stronę obecnych mężczyzn. – Życ się z nimi nie da, a zastrzelić nie wolno.

– Ładne rzeczy wygadujesz – stwierdziła Caroline.

– Dzieci w porządku? – Steve spytał Huntera.

– W porządku.

Kelnerzy wrócili i wszyscy w milczeniu patrzyli, jak jeden z nich przygotowuje naleśniki, a drugi je podpala. Płomienie strzelały niczym gniewne szpony w stronę mrocznego nieba.



– Nie ma jak w domu – oświadczył Hunter, przesuwając kartę przez czytnik drzwi apartamentu. Kontrolka zaświeciła czerwienią, wskazując, że zamek nadal jest zamknięty. Hunter lekko się zachwiał, spróbował jeszcze raz z tym samym rezultatem.

– To dziwne. Wcześniej działała bez problemu.

– Spróbuj moją – powiedziała Caroline. Załatwiła sobie nową przed kolacją.

Spróbował i tym razem karta zadziałała.

– Durne ustrojstwa – mruknął i cisnął kartę na stolik do kawy, kiedy weszli do saloniku, a potem rzucił się na sofę.

– Może trzymałeś ją zbyt blisko komórki.

– Może. Chodź, posiedź tu ze mną – poprosił.

– Tylko sprawdzę, co z dziećmi.

– Dzieci poczekają dwie minuty.

Caroline podeszła do sofy i usiadła ciężko obok męża. Szybko otoczył ją ramieniem i pocałował w kark. Oddech miał ciepły i pachnący co najmniej jednym drinkiem za dużo. Zasłony nie były zaciągnięte i odblask światła z zewnątrz tańczył na ścianach, mieszając się z łagodną poświatą księżyca.

– I jak, przyjemna była rocznica ślubu, mimo wszystko?

– Tak.

– Kłamczucha – skarcił ją.

– Nie, było uroczo. Serio.

– Prawie nie tknęłaś kolacji.

– Nie byłam bardzo głodna.

– Martwiłaś się o dzieciaki.

– Jakoś się z tym uporałam.

Znów pocałował ją w kark.

– A serenada ci się podobała?

– Ogromnie.

– Zdziwiłaś się?

– Tak. Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki romantyczny.

– Nie mogę sobie przypisać całej zasługi. W sumie to był pomysł Steve’a.

– Naprawdę? Szkoda, że nie wpada na żadne dobre pomysły, kiedy chodzi o Becky. –

Caroline przesunęła dłoń na przód spodni męża. – A skoro już mowa o pomysłach...

Hunter powstrzymał jej rękę.

– Bardzo mi przykro, kotuś. Chyba przesadziłem z rocznicowymi toastami.

– O kurczę... – Caroline usiłowała nie sygnalizować tonem głosu rozczarowania. Cały dzień liczyła, że pokocha się z mężem, fantazjowała o przedłużonej grze wstępnej, może nawet spróbowałiby czegoś nowego. – A jeśli postaram się coś na to zaradzić?

Mąż odsunął jej dłoń ze swojego krocza.

– Przepraszam, kochanie. Doceniłbym wysiłek, oczywiście, ale obawiam się, że tylko traciłabyś czas.

– Moglibyśmy spróbować i zobaczyć, co się stanie.

– Proszę, nie każ mi się czuć gorzej – powiedział, w zasadzie kończąc tę rozmowę.

Caroline cofnęła rękę i usiadła prosto.

– Rozzłościłaś się teraz.

– Jestem tylko rozczarowana.

– Możemy to zrobić rano.

Jasne, pomyślała Caroline. Kiedy dzieci się obudzą, a my będziemy się śpieszyć z pakowaniem i wymeldowywaniem.

– I jutro wieczorem.

Kiedy będziesz padnięty po jeździe, a dzieci będą rozmarudzone, trzeba się będzie rozpakować, a ty będziesz już myślał o powrocie do pracy.

– I co noc do końca życia – dodał Hunter, obdarzając ją swoim najładniejszym uśmiechem psotnego chłopca. – Proszę cię, Caroline. Naprawdę mi przykro.

– Wiem. Mnie też. – Wstała z kanapy. – Sprawdzę co z dziećmi. – Znow przystanąła w drzwiach sypialni dziewczynek, czekając, aż oczy przywykną do mroku. I tyle tego całego romantyzmu, pomyślała, ruszając w stronę łóżka Michelle. Nastąpiła nogą na coś twardego.

Wonder Woman, zorientowała się i podniosła lalkę z podłogi, a potem znow ją położyła na poduszce obok głowy Michelle. Dziecko natychmiast odepchnęło lalkę ruchem ręki, chociaż wcale się nie obudziło. Kolejna porcja odrzucenia, pomyślała Caroline, podchodząc do łóżeczka Samantha.

Kiedy jej od razu nie zobaczyła, w pierwszej chwili założyła, że mała po prostu zmieniła pozycję, że jakoś we śnie się obróciła, jak jej się to często zdarzało, że teraz leży głową w przeciwną stronę, że ma nogi tam, gdzie powinna być główka.

Ale nóg też nie widziała.

Nachyliła się niżej, usiłując wzrokiem przebić mrok, chwyciła pościel, ale trafiła wyłącznie na bezwładnie leżącą kołdrę.

Samanthy nie było w łóżeczku.

Nie, to niemożliwe, pomyślała Caroline, czując wypełniającą płuca panikę. To niemożliwe. Wykluczone.

Podeszła szybko do kontaktu i włączyła górne światło, a potem podbiegła bliżej.

Było puste.

– Samantha? – zawołała, myśląc, że może córce udało się jakoś z łóżka wygramolić. Osunęła się na kolana, zajrzała pod spód, bo może Samantha leży tam na podłodze, nieprzytomna.

Nie było jej.

– Samantha!

– Mamusiu? – Michelle usiadła i przetarła oczy. Caroline bezradnie rozglądała się wokół.

– Samantha! – znow zawołała głosem, w który wkradała się histeria. Pędem przebiegła przez salonik do własnej sypialni.

– Co się dzieje? – spytał Hunter, stając w drzwiach łazienki.

– Nie ma jej! Nie ma jej!

– Mamusiu! – zawołała Michelle, stając za jej plecami.

I wtedy wzbierająca panika wzięła górę, eksplodując gwałtownie krzykiem Caroline, który wypełnił cały apartament.

## ROZDZIAŁ 7

# Dzisiaj

Wylądowały w Calgary dokładnie dwanaście minut po wybiciu południa. Caroline przyciskała czoło do szyby niewielkiego samolotu od chwili startu z San Diego, obserwując stopniowe przechodzenie barwy nieba z jasnego błękitu w stalową szarość w miarę trwania lotu.

– Zupełnie jakbyśmy wylądowały na Księżycu – odezwała się Michelle z siedzenia obok. To chyba były jedyne słowa wypowiedziane przez nią od początku podróży.

No, na pewno jest zimno, pomyślała Caroline, dostrzegając spore sterty odgarniętego śniegu na ziemi wzdłuż pasa do lądowania. Cieszyła się, że Michelle wcisnęła jej kozaki, chociaż nie miały ocieplenia i prawdopodobnie nie były wodoodporne. Cieszyła się też, że córka uparła się, by zabrała ciepły puchowy płaszcz, który kupiła impulsywnie zaraz po rozwodzie i rzadko miała okazję wkładać. W sumie cieszyła się, że córka postanowiła jej towarzyszyć, chociaż oznaczało to dla niej kolejny powód do niepokoju. Może niepokój związany z Michelle oderwie jej myśli od szaleństwa, na jakie się zdecydowała?

– Idziesz? – odezwała się dziewczyna z przejścia pustoszejącego już samolotu.

Caroline podniosła się z miejsca, wyjęła płaszcz i torbę podróżną ze schowka na bagaż podręczny. Przez całą noc przespala może ze dwie godziny i czuła znużenie. Ale była też nakręcona. Kiepskie połączenie, pomyślała, idąc za Michelle do przednich drzwi samolotu. Podziękowała stewardesie, a potem próbowała nadażyć za córką, która szła przed siebie zdecydowanym krokiem, z torbą przerzuconą przez ramię, wymachując rękoma wzdłuż boków. Czy ona zawsze tak szybko chodzi? – zastanowiła się Caroline. I czy zawsze była taka szczupła?

Jest taka chuda, bo je wyłącznie surowe ryby i warzywa, pomyślała z następnym oddechem. A może to ta niezgrabna puchowa kurtka sprawiała, że jej biodra zdawały się takie wąskie, uda takie wątłe.

– Jasna cholera – rzuciła Michelle, a jej słowa zmieniły się w obłoczki pary w kontakcie z mroźnym powietrzem. – Jak oni tutaj w ogóle żyją? Przecież jest chyba z minus czterdzieści.

Caroline przestąpiła z nogi na nogę, czując, że cierpnie z zimna pod cienką wełną spodni, kiedy w niewielkiej kolejce podróżnych czekały na taksówkę.

– Hotel Fairfax przy Stephen Avenue Walk – poleciała Caroline kierowcy, usiadłszy na tylnym siedzeniu.

– Zawsze tu jest tak zimno? – spytała Michelle. – Uszy mi przemarzły.

– Trzeba się trochę przyzwyczać – odparł kierowca uprzejmie, jego pakistański akcent był melodyjny i dość ciężki. – Lato bywa bardzo przyjemne.

– Szkoda, że Lili nie zadzwoniła w lipcu – powiedziała Michelle do matki.

Nie rozmawiały więcej aż do przyjazdu do hotelu pół godziny później. Droga z lotniska do centrum była równie pozbawiona niespodzianek, co nudna. Płaski krajobraz pokryty śniegiem. Michelle miała rację, pomyślała Caroline. Faktycznie ma się wrażenie, że się wylądowało na Księżycu.

Hotel okazał się starą budowlą z szarego piaskowca, może dziesięciopiętrową. Caroline zapłaciła taksówkarzowi w dolarach amerykańskich, a potem weszły szybko do holu, schronić się przed przenikliwym wiatrem. Wewnątrz było zadziwiająco ciepło, ściany pomalowano na beż w odcieniu skorupki jajka, dywan był gruby, brązowo-złoty. Brunatne skórzane kanapy i fotele stały strategicznie porozstawiane w wielkim holu, a na środku pomieszczenia, na okrągłym dębowym stole, panoszyła się wielka kompozycja ze sztucznych, jedwabnych kwiatów. Caroline dostrzegła jednak tylko te puste sofy i fotele.

– Nie ma jej tu – stwierdziła Michelle, wypowiadając na głos myśl matki.

Podeszły do kontuaru recepcji.

– Nazywam się Caroline Shipley, mam rezerwację – zwróciła się do młodego człowieka za ladą. Miał kręcone, jasne włosy i przerwę między przednimi zębami, która zdawała się poszerzać, kiedy się uśmiechał.

Wklepał coś do stojącego przed nim komputera.

– Tak, mam tu panią. Rezerwacja na jedną noc, z możliwością przedłużenia do dwóch. Zgadza się?

– Tak, dokładnie.

– Zaraz – odezwała się Michelle. – Chyba nie zamierzamy się meldować, prawda? No bo po co? Jej tu nie ma.

– Co innego chciałabyś zrobić? Do jutra nie ma żadnego samolotu.

– Jakiś problem? – spytał recepcjonista.

– Nie – odpowiedziała Caroline. – Mamy to ogarnięte.

– Ogarnięte po wariacku – dodała Michelle, nie próbując zniżyć głosu.

– Może pan sprawdzić, czy są dla mnie jakieś wiadomości? – poprosiła Caroline.

Młody człowiek znów zerknął do komputera.

– Nie. Żadnych.

– Jest pan pewien? Proszę sprawdzić jeszcze raz.

Michelle cicho jęknęła.

– Mamo, nie ma żadnych wiadomości.

– Nie ma wiadomości – powtórzył recepcjonista. – Woli pani pokój dla palących czy dla niepalących?

- Dla palących – odparła Michelle.
- Dla niepalących – powiedziała Caroline, ich głosy nałożyły się na siebie.
- Mamo, daj spokój. Opuść mi.
- Jeśli musisz palić, będziesz paliła na zewnątrz.
- Zamarznę na śmierć.
- Lepsze to niż śmierć na raka.
- Brawo, mamo.
- Dla niepalących – powtórzyła Caroline do czekającego recepcjonisty.
- Podwójne łóżko czy dwa pojedyncze?
- Dwa pojedyncze – oświadczyły Caroline i Michelle unisono.

Mężczyzna podsunął im przez blat recepcji jakiś formularz.

- Proszę to tylko wypełnić i podpisać. I muszę zrobić skan pani karty kredytowej.

Lili, gdzie jesteś? – myślała Caroline, podając mu swoją kartę Visa. Rozejrzała się po holu, przeszukując wzrokiem wszystkie jego zakamarki, w razie gdyby dziewczyna gdzieś się chowała, czekając na odpowiedni moment, by ujawnić swoją obecność. A może знаła tego młodego człowieka z recepcji? Calgary to nie aż takie wielkie miasto. Całkiem możliwe, że Lili przyszła do hotelu, zobaczyła go i ulotniła się, zanim ją rozpoznał.

Nie widać było jednak nikogo.

- Zauważył pan, żeby ktoś się kręcił tu w holu? Młoda dziewczyna, mniej więcej siedemnastolatka...?
- Przykro mi. Dopiero zacząłem swoją zmianę.
- Jej tu nie ma – powiedziała Michelle. – Po prostu nie przyjdzie.
- Tego nie wiesz.
- Powiedziałaś, że miała tu czekać.
- Może coś jej wypadło. Może się spóźni.
- A może nie przyjdzie.

Caroline oddała wypełniony formularz recepcjoniście, dostrzegła nierzucającą się w oczy kamerę monitoringu na ścianie nad jego głową. Może gdyby w Grand Laguna mieli wtedy kamery ochrony... Ale piętnaście lat temu, powiedziała sobie, takie środki ostrożności nie stały się jeszcze normą. Poza tym to było w Meksyku, gdzie i dzisiaj stosuje się je dość sporadycznie.

- Oczekuję albo wizyty, albo telefonu od dziewczyny imieniem Lili – zwróciła się do recepcjonisty, starając się wyrzucić te przypuszczenia z głowy. Nie ma sensu spekulować o czymś, co mogło być, a jeszcze mniej w torturowaniu się tym, co się nigdy nie zdarzyło.

- Jak brzmi nazwisko? – spytał mężczyzna.
- Proszę do nas po prostu zadzwonić, jeśli ktoś taki się pojawi – powiedziała Michelle.
- Oczywiście. Mogą panie tę dziewczynę opisać?

Caroline ujrzała w myślach szkice z wczorajszych gazet. – Jest ładna, ma ciemne włosy, niebieskie oczy, mocno zarysowaną żuchwę... – Żuchwę Huntera, pomyślała.

– Nie wiemy, jak wygląda – wtrąciła Michelle. – Po prostu proszę nas zawiadomić, jeśli zobaczy pan, że jakaś obca dziewczyna się tu kręci.

– A jeśli ktoś zadzwoni – dodała Caroline, jeżąc się na ton lekceważenia w głosie Michelle – proszę od razu przełączyć rozmowę do naszego pokoju.

– Oczywiście. Życzą sobie panie jedną kartę do drzwi czy dwie?

Caroline nie cierpiała tych elektronicznych kart, nie cierpiała ich od piętnastu lat. Może gdyby nie zgubiła karty tamtego strasznego dnia, nie byłaby teraz tutaj.

– Niech będą dwie – odparła Michelle.

Młody człowiek wsunął karty do niewielkiej białej koperty i wręczył ją Caroline. – Mają panie pokój osiemset dwanaście. Miłego pobytu.

– Nie musiałaś być taka niegrzeczna – zwróciła się Caroline do córki, kiedy czekały na windę. – Pewnie pomyślał, że jesteśmy wariatkami.

– Bo jesteśmy.

– Ktoś właśnie wszedł do holu.

Michelle wychyliła się zza matki.

– Na litość boską, ta kobieta ma sto dziesięć lat. – Cofnęła się, widząc, że Caroline bezwładnie opuszcza dłoń wzdłuż boku. – Mamo, weź się w garść – powiedziała, nacisnęła przycisk i drzwi windy się zamknęły.

\*

Pokój był spory i tradycyjnie umeblowany, z dwoma dużymi łózkami zajmującymi większość przestrzeni pośrodku wnętrza. Dywan był miękki i brązowy, narzuty srebrzysto-beżowe, tapeta na ścianach w subtelny kwiatowy wzór. Duży telewizor umieszczono na komodzie naprzeciwko łóżek. Pod przeciwległą ścianą, w pobliżu okna wychodzącego na pasaż dla pieszych, który stanowił główną ulicę Calgary, stało biurko. Caroline wpatrzyła się w ten pochód ludzi stawiających czoła żywiołowi. Mroźna pogoda chyba im nie przeszkadza, pomyślała, zrzucając swój ciepły płaszcz i usiłując obserwować twarze pod wszechobecnymi zimowymi czapkami i szalami. Czy jedna z tych osób to jej córka?

– Nie ma jej tu – powtórzyła Michelle, jakby czytając w jej myślach.

Caroline westchnęła.

– Które wolisz?

W odpowiedzi córka rzuciła torbę na łóżko bliższe łazienki.

– No i co teraz?

– Chyba wrócę do holu, poczekam tam.

– Czy to naprawdę konieczne? Już powiedziałyśmy temu człowiekowi z recepcji, żeby zadzwonił, jeśli...

– Możesz tu zostać.

– Jeszcze czego – rzuciła Michelle, ruszając za matką w stronę drzwi. – Zdajesz sobie sprawę, że ktoś gdzieś śmieje się do rozpuku twoim kosztem?

Nie byłoby to po raz pierwszy, pomyślała Caroline, idąc do wyjścia. Już przedtem ją zdradzano.

\*

Wróciły do pokoju o czwartej, nie zobaczywszy nikogo, kto choć w przybliżeniu przypominałby Samanthę. O wpół do piątej zaczęło się już ściemniać. O piątej jedyne światło rzucały latarnie przy Stephen Avenue Walk i telewizor naprzeciw łóżek, na których siedziały. W telewizji leciało CNN: jakiś facet z Dakoty Północnej w odruchu zawodu zastrzelił swojego szefa i sześcioro współpracowników, po tym jak wcześniej tego samego popołudnia został wylany z pracy.

– Może zamówimy coś do pokoju – zaproponowała Caroline, włączając lampę i sięgając po menu. Niemal zrzuciła przy tym telefon z widełek. Popatrzyła na aparat, jakby siłą woli chciała go zmusić, żeby się rozdzwonił. Telefon jednak uparcie milczał.

– Nie jestem jakoś głodna – powiedziała Michelle.

– Nie jadłyśmy cały dzień. Musisz coś zjeść.

– Powiedziałam, że nie... No dobra, zjem. Co mam do wyboru?

Caroline przejrzała menu.

– Mają steki, hamburgery, żeberka...

– Serio, mam? Żeberka?!

– Kiedyś je uwielbiałaś.

– Nie jem czerwonego mięsa, odkąd skończyłam dwanaście lat.

– Potrzebujesz białka.

– Nie jadam mięsa.

– To może ryba? Mają tuńczyka z sosem.

– Tuńczyk zalany serem. Nie, dziękuję.

– To może kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem?

– Nie jadam chleba.

– Na litość boską, Michelle...

– Słuchaj, zamów mi po prostu miskę owoców.

– Mają koktajle mleczne.

– Kpisz sobie ze mnie? Nie jestem dzieckiem.

– No, nie wiem. Tak się jednak zachowujesz.

– Bo co? Bo jem, co lubię?

– Przecież ty niczego nie lubisz.

– Lubię sushi. Mają sushi?

– Nie. I możliwe, że jesz zbyt wiele surowych ryb. Dorobisz się zatrucia rtęcią.

– O rany julek, przestań już.

Dzwonek telefonu.

– O Boże – westchnęła Caroline.

– Spokojnie – powiedziała Michelle. – To moja komórka. – Sięgnęła do torby i wyjęła



aparatu. – To tata – stwierdziła, zerkając na wyświetlacz.

– Nie odbieraj – poprosiła Caroline.

– Taa, jasne. Cześć, tato.

– Nie mów mu, gdzie jesteśmy.

– Taa, przepraszam, że nie dzwoniłam. Jestem w Calgary z mamą.

– Cholera – powiedziała Caroline, słuchając, jak córka wyjaśnia Hunterowi, gdzie dokładnie są i po co tu przyjechały.

– Nie, nie żartuję. – Michelle wyciągnęła telefon w stronę matki. – Chce z tobą mówić.

Caroline pokręciła głową odmownie.

– Jest naprawdę zmartwiony – dodała Michelle kilka minut później, wrzucając telefon z powrotem do torby. – Chce, żebyś do niego oddzwoniła.

– Nie jest już moim mężem. Nie muszę z nim rozmawiać, jeśli nie mam ochoty.

– No i kto się teraz zachowuje jak dziecko?

– Zamawiamy obiad czy nie?

Michelle wyrwała menu z jej rąk.

– Dobra. Ja wezmę sałatkę dnia, bez sosu, tylko z częstką cytryny i koktajl ze szpinaku i pietruszki, bez jogurtu.

– Same pyszności – powiedziała Caroline, unosząc oczy do nieba. Przekazała zamówienie obsłudze wraz z własną prośbą o stek z frytkami, sałatkę, kawałek sernika i dużą colę. To nie tak, że miała na to wszystko ochotę. Raczej chciała zaznaczyć własne zdanie. Choć nie była już do końca pewna, jakie to zdanie jest.

– Wiesz, tak do twojej wiadomości, przykro mi, że tak to się skończyło – powiedziała Michelle pod koniec posiłku, który upłynął im praktycznie w milczeniu. – Miałam nadzieję, że okaże się choć na tyle przyzwoita, żeby zadzwonić.

– Ja też. Dzięki, że ze mną przyleciałaś, że tu jesteś.

– No cóż, raczej nie mogłam pozwolić, żebyś przyjechała tu sama.

Caroline sięgnęła ponad stolikiem obiadowym ustawionym przez kelnera, chcąc poklepać dłoń córki, ale ta już ją przesuwiała na własne kolana. Chciała zapytać Michelle o jej sprawy, o to, co naprawdę czuje w związku z narodzinami najmłodszego synka Huntera, czy spotyka się z kimś szczególnie dla niej ważnym, czy zdecydowała się wrócić na uczelnię, czy ma jakiś pomysł, co z tym życiem zrobić... Bała się jednak zakłócić moment względnego zawieszenia broni.

– Peggy mówiła mi, że świetnie sobie radzisz w hospicjum – zdecydowała się na wybór najbezpieczniejszego tematu.

Michelle wzruszyła ramionami.

– Nie robię aż tak znów wiele.

– Powiedziała, że masz naprawdę dobrą rękę do pacjentów.

– Nie nazywamy ich pacjentami. Nazywamy ich rezydentami.

– Och.

– Pacjenci czekają na wyleczenie – wyjaśniła córka. – Rezydenci czekają na śmierć.

Caroline przez chwilę przetrawiała to swobodnie rzucone rozróżnienie.

– Na pewno nie jest ci z tym łatwo.

– Sąd nie zostawił mi zbyt dużego wyboru, prawda? Wierzysz w Boga? – spytała Michelle na tym samym oddechu.

– Skąd to pytanie?

– Myślałam po prostu o jednej kobiecie z hospicjum – powiedziała Michelle. – Nie jest taka stara. Coś po pięćdziesiątce. Kiedyś ćpała, ale potem zwróciła się ku religii i odmieniła swoje życie. Wszystko zaczynało układać się dobrze. Znalazła pracę, poznała faceta, a potem, bach, zachorowała na raka. Siedziałam z nią któregoś dnia i poprosiła mnie, żeby przeczytać jej Biblię. No więc otworzyłam ją, tak na chybił trafił. I trafiłam na fragment według świętego Łukasza o marnotrawnym synu. Znasz go?

– Ostatni raz Biblię czytałam dość dawno.

– No więc Jezus opowiada ludziom tę historię o zamożnym właścicielu ziemskim, który ma dwóch synów. I pewnego dnia decyduje się każdemu z nich dać dużą sumę pieniędzy. Jeden syn kasę przyjmuje i zaraz potem się ulatnia. „To na razie, tato. Miło było”. I już go nie ma. A ten drugi syn zostaje, pieniądze oszczędza i ciężko pracuje. Lata mijają. Ojciec nie słyszy ani słówka od tego, który odszedł. A potem, pewnego dnia, syn nagle wraca. I wiesz? Jest kompletnie spłukany. Wydał wszystko do ostatniego grosza. Przepuścił majątek na tanie wino i kobiety o złej reputacji. „Tato”, mówi. „Zgrzeszyłem, ale teraz wróciłem do domu”. I co robi ten ojciec? Odpędza go? Robi mu wykład, mówi, że już nie jest mile widziany? – Michelle zrobiła dramatyczną pauzę. – Nie. Wita niewdzięcznika z otwartymi ramionami. Wydaje nawet wielką ucztę z okazji jego powrotu. A ten drugi syn mówi: „Hej, momencik! To nie w porządku. To ja trwałem przy tobie przez te wszystkie lata. Mnie się nie należy jakaś uczta?”. Ale ojciec mówi, że nie. Że zupełnie nie tak to widzi. I według Jezusa ten ojciec ma rację. Według Jezusa lepiej jest przyjąć z powrotem grzesznika do owczarni, niż uhonorować tego, kto z niej nigdy w ogóle nie wyszedł. – Pokręciła głową. – Ja się pod tym nie podpisuję. A ty?

Caroline poczuła na ramionach cały ciężar tej paraboli niczym ciężki wełniany koc.

– Wiem, czujesz, że nie zawsze bywałam dla ciebie dostępna – zaczęła. – I przykro mi, że cię zawiodłam...

– Zaraz. Myślałaś, że mówię o sobie i Samancie? O tobie?

– A nie mówiłaś?

– Mówiłam o Jezusie.

– Przepraszam, po prostu pomyślałam...

– No cóż, źle pomyślałaś.

– Przepraszam.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie.

Caroline ugryzła się w język, żeby nie przeprosić znowu.

– Zresztą co to za różnica? To wszystko takie głupie – oświadczyła Michelle. – Bóg, religia, niebo, piekło. Przecież to tylko stek bzdur.

– Michelle...

– Nie martw się. Naszym rezydentom tego nie mówię. – Odsunęła się od stolika

i wstała. – Idę na zewnątrz zapalić.

– Musisz?

– Niedługo wrócę. – Poszukała w torbie papierosów, triumfalnie wyjęła paczkę.

– Jest ciemno... I zimno.

Michelle wyjęła kurtkę z szafy, zarzuciła ją na ramiona i otworzyła drzwi.

– Nie musisz się martwić. Wrócę.

## ROZDZIAŁ 8

# Piętnaście lat temu

Te godziny zaraz po odkryciu zniknięcia Samantha zwały się w jedno pasmo łez, krzyków i padających wśród jęków oskarżeń. – Samantha! – wołała wielokrotnie, przekrzykując płacz przerażonej Michelle. – Samantha, gdzie jesteś? – Biegała po apartamencie jak spanikowane szczenię, ze starszą córką snującą się za nią. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie!

– Co się dzieje, u licha? – spytał ostro Hunter, wypadłszy z łazienki bez koszuli i ze szczoteczką do zębów w dłoni.

– Nie ma jej. Samantha zniknęła.

– Co ty wygadujesz? Jak to zniknęła? – Wbiegł do sypialni dziewczynek, a potem wyszedł z niej z poszarzałą twarzą i szeroko otwartymi oczami. – Gdzie ona jest, do diabła?

– O Boże. O Boże. – Caroline na czworakach zaglądała do szafy, pod stolik do kawy, za zasłony. – Nie ma jej tu. Nie ma jej tu.

– To niemożliwe. Musi tu być.

Przeszukali własną sypialnię, potem od nowa cały apartament.

– Mamusiu! – płakała Michelle. – Mamusiu, co się stało?

Jakaś przeraźliwa myśl zakradła się do głowy Caroline. Michelle zawsze była zazdrosna o młodszą siostrę. Czy to możliwe, że zrobiła jej jakąś krzywdę? Caroline słyszała historie o zazdrosnych starszych dzieciach, które wyrzucały niemowlęta z okien drugiego piętra. Czy to możliwe, że Michelle...? Ta myśl była zbyt straszna, żeby ją dokończyć. Caroline podbiegła do okna między łóżkiem starszej córki a łóżeczkiem małej. Ale to okno było zbyt wysoko, by Michelle samodzielnie go dosięgła, a poza tym bezpiecznie zamknięte i zabezpieczone przed dziećmi. Mimo to Caroline rozwarła je na oścież i wychyliła się mocno, desperacko popatrzyła w dół. Przecież tam była restauracja. Ktoś by na pewno zauważył albo usłyszał upadek dziecka.

Może Samantha zbudziła się i w jakiś sposób zdołała wydostać z łóżeczka, a potem, nie mogąc znaleźć matki, uchyliła drzwi i zbłądziła na korytarz?

Caroline wybiegła z pokoju i otworzyła szeroko drzwi apartamentu. Zaczęła biegać po korytarzu, krzycząc: – Samantha! Samantha, dziecko moje, gdzie jesteś?

Wzdłuż korytarza zaczęły się otwierać drzwi, ludzie z niepokojem wyglądali na

zewnątrz, pytali, co się stało.

– Widzieli państwo moje dziecko? – pytała Caroline każdą z zaciekawionych twarzy. Czy to możliwe, że Samantha dotarła do wind i jakoś zdołała nacisnąć guzik przywołujący windę? Czy mogła wejść do środka i dosięgnąć któregoś z dolnych przycisków? Może niezauważona przedostała się przez hol i wyszła gdzieś w ciemną noc? Może teraz, w tej właśnie sekundzie, błąka się tam gdzieś po ciemku, potykając po omacku na pulchnych nóżkach prosto w stronę oceanu? – Gdzie jesteś?! – krzyknęła Caroline. – Gdzie jesteś?!

A potem u jej boku pojawił się Hunter, z Michelle trzymaną nieuważnie na ramieniu. Drugim objął szlochającą żonę i zaprowadził z powrotem o apartamentu. Po czym zadzwonił do recepcji, poinformował o zaginięciu dziecka i polecił wezwać policję.

– Ale gdzie ona może być? – pytała Caroline co chwila. – Przecież zaglądałeś do niej pół godziny temu.

– Mocno spała – zapewnił ją. Powtórzył to samo kierownikowi hotelu, który pojawił się dwadzieścia minut później, wyciągnięty z łóżka i z domu.

– Zostawili państwo dzieci same w pokoju? – spytał korpulentny Meksykanin w średnim wieku, nawet nie próbując ukryć dezaprobaty. – Przecież oferujemy opiekę do dzieci...

– Opiekunka nie raczyła się pojawić – wyjaśnił Hunter.

Kierownik hotelu uniósł komórkę do ucha, mruknął coś do niej po hiszpańsku.

– Sprawdzaliśmy, co u dzieci, co pół godziny – tłumaczył Hunter.

– W ogóle nie powinniśmy byli zostawiać ich samych – powiedziała Caroline.

– Z naszych rejestrów wynika, że zapotrzebowanie na opiekunkę zostało anulowane – stwierdził kierownik, odkładając telefon na kolana.

– Najwyraźniej zaszło nieporozumienie – powiedział Hunter. – Wcale nie odwoływaliśmy.

– Nie trzeba było ich zostawiać – znów powtórzyła Caroline.

– Gdzie jest policja? – spytał Hunter. – Tracimy cenny czas.

– Już jadą – odparł kierownik. – Muszą tu dotrzeć z Tijuany...

– Cholera. – Hunter poderwał się na nogi. Wszyscy siedzieli w saloniku apartamentu, Michelle przysnęła na sofie, z głową na kolanach matki.

– Zapewniam państwa, że robimy wszystko, co w tej chwili jest możliwe. Wszyscy dostępni pracownicy przeszukują teren.

– Ktoś ją zabrał – zawodziła cicho Caroline. – Ktoś zabrał moje dziecko.

– Możemy to jeszcze raz zebrać w całość? – spytał kierownik. – Żeby się upewnić, że wszystko rozumiem i móc wesprzeć policję w jej działaniach.

– To nasza rocznica ślubu – zaczął Hunter głosem spokojnym i pewnym, choć już raz opowiedzieli kierownikowi o tym wieczorze wszystko, co mogli. – Zamówiliśmy opiekunkę, tak samo jak co wieczór od przyjazdu tydzień temu, ale ona się nie pojawiła, a nasi przyjaciele czekali na dole, w restauracji, więc uznaliśmy...

– Ty uznałeś – wtrąciła Caroline.

Hunter ciągnął, jakby wcale się nie odzywała:

– ...że skoro restauracja jest tuż przy wejściu... Tuż pod naszymi oknami, na litość boską... Pomyśleliśmy, że to niczym nie grozi...

– Ty pomyślałeś – znów odezwała się Caroline.

– Zaglądaliśmy do dzieci co pół godziny.

– Kiedy zajrzeli państwo ostatni raz?

Hunter spojrział na zegarek.

– Mniej więcej godzinę temu.

– O Boże – jęknęła Caroline.

– Jeśli ona gdzieś jest w hotelu – powiedział kierownik – to ją odzujemy.

– A jeśli jej nie ma, jeśli ktoś ją stąd zabrał? – spytała Caroline, usiłując hamować narastającą histerię, by nie obudzić Michelle. – Teraz może być już wszędzie.

– A kto by ją zabrał? – powątpiewał kierownik. – Jak by się dostał do apartamentu? Powiedzieli państwo, że drzwi były zamknięte, kiedy wróciliście.

– Ja nie wiem jak – odparła Caroline, wzrokiem szukając u męża odpowiedzi.

– Zgubiłaś swoją kartę – przypomniał Hunter.

Próbowała nie dosłyszeć śladu oskarżenia w jego głosie.

– Kiedy to było? – chciał wiedzieć kierownik.

– Dziś po południu. Przy basenie. Upuściłam torbę. Wszystko mi wypadło. Nie zdawałam sobie sprawy, że zgubiłam to cholerstwo, i dopiero kiedy byłam z powrotem na górze...

– Nie pierwszy raz zgubiłaś kartę – dodał Hunter.

– Zgadza się. Jedną zgubiłam wcześniej w tym tygodniu – przyznała Caroline drżącym głosem. – O Boże... Myśli pan, że ktoś mógł ją znaleźć i użyć, żeby uprowadzić moje dziecko?

– Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógł to zrobić? – Kierownik zadał jej pytanie, które policja powtórzyła w tych samych słowach, kiedy przyjechała wreszcie pół godziny później.

– Czy zauważyła pani coś dziwnego, może kogoś, kto panią śledził? – spytał policjant.

– Nie – odparła Caroline, otępieła ze strachu i zmęczenia. Odpowiadając na każde ich kolejne pytanie, czuła, jak energia stopniowo ją opuszcza, jak jej głos słabnie. Niemal dwie godziny minęły od powrotu do apartamentu. Było już po północy. Poszukiwania w hotelu i na terenie, jak do tej pory, nie dały rezultatu. Samantha zniknęła. Teraz mogła być już wszędzie. – Nie mogą panowie uruchomić systemu poszukiwania zaginionych dzieci?

– Nie jesteśmy w Kalifornii – odezwał się Hunter głosem zdradzającym zniecierpliwienie. Policją. Tymi pytaniami. Nią. – W Meksyku nie mają takiego systemu.

– Zawiadomiliśmy patrole graniczne, żeby wypatrywali wszystkich podróżujących z małym dzieckiem – powiedział jeden z funkcjonariuszy. Caroline początkowo wydawało się, że przedstawiciele policji jest dwóch, teraz doliczyła się trzech, z czego dwóch wyglądało na ledwie przekroczoną dwudziestkę, a trzeci był w średnim wieku.

Wszyscy mieli ciemne włosy i przenikliwe, surowo patrzące oczy. Dwaj młodsi nosili uniformy składające się z granatowych spodni i białych koszul, starszy ubrany był po cywilnemu, w szare spodnie i wymiętą, wypuszczoną luźno na wierzch spodni bawełnianą koszulkę.

Caroline pomyślała o tych tysiącach ludzi, którzy co rok prześlizgują się przez granicę Meksyku do Kalifornii i poczuła ogarniającą ją rozpacz. Granica była tak blisko, a oni stracili już tak wiele czasu. Jeśli ktoś chciał przeschmuglować jej córkę do Stanów, to już dawno tam była. Bardziej prawdopodobne było, że ktoś, kto ją porwał, nadal przebywał w Rosarito, uprowadziwszy Samanthę dla własnych perwersyjnych celów. Policja przeszukiwała pokój za pokojem w obu skrzydłach hotelu.

– Był taki kelner – odezwała się Caroline. Zadygotała, gdy umysł podsunął jej obraz mężczyzny w białej marynarce, pchającego korytarzem wózek z obiadem. – Obsługa hotelowa. Minęłam go na korytarzu zaraz potem, jak zajrzałam do dziewczynek. Zatrzymał się parę drzwi dalej.

– O której to było?

– Około dziewiątej.

– Sprawdźmy to – oznajmił kierownik hotelu, sięgając po komórkę.

– I widziałam pokojówkę na tym piętrze około czwartej. Nie – poprawiła się. – Blżej czwartej piętnaście. Powiedziałam jej, że zgubiłam kartę i pytałam, czy może skorzystać ze swojego ogólnego klucza, żeby mnie wpuścić do pokoju.

Kierownik pokiwał głową i przekazał tę informację osobie, z którą właśnie rozmawiał.

– Ile osób tak dokładnie ma dostęp do tych ogólnych kluczy? – spytał Hunter.

Kierownik hotelu przesadnie wzruszył ramionami.

– Wiele. Starsza obsługa, pokojówki, pracownicy recepcji, boy, który wniósł państwu bagaż do pokojów. Tak samo jak w hotelach w Stanach.

Caroline dosłyszała w jego głosie obronną nutę.

– A więc ostatni raz, kiedy państwo widzieli córkę... Dokładnie o której? – spytał Huntera najstarszy z policjantów.

– O dziewiątej trzydzieści.

Funkcjonariusz przeniósł wzrok na Caroline.

– A pani zajrzała do niej znowu o dziesiątej?

– Nie. I tak mieliśmy wracać za parę minut, więc mąż powiedział, że już nie trzeba. – Spojrzała oskarżycielsko na niego, a on natychmiast odwrócił wzrok. Prawdę mówiąc, to było całe dziesięć minut, dotarło do niej teraz. Czy dziesięć minut mogło robić dużą różnicę?

– A więc wygląda na to, że państwa córka zniknęła gdzieś pomiędzy dziewiątą trzydzieści, a nieco po dziesiątej.

– Tak – odparli jednocześnie Shipleyowie.

– A pan był ostatnią osobą, która ją widziała – zwrócił się policjant do Huntera.

– Tak – potwierdził z oczami zamglonymi łzami.

Zadzwoił telefon. Jeden z młodszych policjantów gestem polecił Hunterowi odebrać.

Caroline poczuła nagły przypływ nadziei. Czy to możliwe, że Samantha została porwana dla okupu? Może to porywacz dzwonił z listą żądań? Wszystko, czego chcesz, pomyślała Caroline. Oddamy ci wszystkie pieniądze, które mamy. Tylko zwróć nam córkę, całą i zdrową.

– Halo? – rzucił Hunter i przez kilka chwil słuchał, a potem opuścił telefon na swoją klatkę piersiową. – To twój brat – powiedział do Caroline. – Dzwoni dowiedzieć się, czy wszystko w porządku. Zdaje się, że policja właśnie przeszukała ich pokój, powiedzieli, że jakieś dziecko zaginęło... – Głos uwiązł mu w gardle. Zakończył połączenie, nie mówiąc już ani słowa.

Parę minut później Steve i Becky zaczęli dobijać się do drzwi apartamentu. Policjanci wpuścili ich do środka. Peggy i Fletcher pojawili się wkrótce potem, Rain i Jerrod zaledwie chwilę po nich.

– O mój Boże, co się stało? – zapytała Becky, podbiegając do Caroline. Tym głosem piskliwym jak brzęczyk budzika wyrwała ze snu Michelle.

– Mamusiu! – zawołało dziecko, siadając prosto i chowając głowę na piersi matki.

– Gdzie jest Samantha? – pytała Becky.

– O Boże – westchnęła Peggy, gorączkowo rozglądając się po pokoju.

– To Samantha? – spytała Rain. – Samantha jest tym dzieckiem, które zaginęło?

– Jak to możliwe? – odezwał się Jerrod. – Przecież sprawdzaliście co pół godziny.

– Całą ósemką jedli państwo kolację? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

Caroline nie była już w stanie odróżniać poszczególnych głosów. Czowała się tak, jakby ktoś nakrył całą jej postać jakimś wielkim szklanym kloszem. Jak ta pisarka, która popełniła samobójstwo, włożywszy głowę do piekarnika. Jak ona się nazywała?

– Oddychaj – usłyszała głos Peggy, która usiadła obok niej i objęła ją ramieniem, choć ten niewidoczny klosz powodował, że Caroline samego dotyku przyjaciółki nie poczuła.

– Tak – odpowiedział Jerrod policjantowi. – W restauracji w ogrodzie, tuż pod oknami. Widać to miejsce stąd. – Podeszedł do okna i wskazał ręką. – Tak. To tam. Można stąd zobaczyć nasz stół.

– Jak się nazywała tamta pisarka? – Caroline spytała Peggy. – Ta, która popełniła samobójstwo, wkładając głowę do piecyka?

– Co ona mówi? – spytała Becky.

– Sylvia coś, jak mi się zdaje.

– Sylvia Plath – powiedziała Peggy.

– Racja.

– Dlaczego ona mówi o Sylvii Plath? – pytała Rain.

– Chyba jest w szoku – odparła Peggy. – Caroline? Caroline, co ci jest?

– Samantha nie ma – powiedziała Caroline.

– Wiem.

– Nie powinnam jej zostawiać.



– Mamusi, ja chcę do łazienki – oznajmiła Michelle.

– Ja cię zabiorę – zaoferowała się Peggy.

– Chcę, żeby mama mnie zaprowadziła. – Oplotła ramionami szyję matki, przebiwszy się przez ten niewidzialny szklany kloz.

Caroline poczuła, że z jej płuc uchodzi całe powietrze, zupełnie, jakby ktoś ją dusił.

– Proszę, zróbcie coś! – zawołała. – Weźcie ją ode mnie.

Wszyscy natychmiast skupili uwagę na Caroline.

– Ja ją zabiorę – powiedziała szybko Becky. Wzięła na ręce wyrywającą się dziewczynkę i zabrała ją do łazienki. Michelle protestowała wrzaskiem.

Policjanci przez kolejną godzinę zadawali różne wersje tych samych pytań, na które cała grupa udzielała różnych wariantów tych samych odpowiedzi.

– Czy ktoś z państwa towarzyszył przyjaciołom, kiedy szli na górę do dzieci? – dociekał jeden z mundurowych.

– Nie – odparli.

– Dlaczego pan o to pyta? – zaciekawił się Steve.

– Co pan daje do zrozumienia? – chciał wiedzieć Hunter.

Caroline doskonale rozumiała, czemu pytają. Jej mąż był ostatnią osobą, która widziała Samanthę. Czy to możliwe, że coś się stało w trakcie jego pobytu w pokoju? Czy mógł w jakiś sposób przyczynić się do zaginięcia ich córki?

Nie, na pewno nie, odpowiedziała sobie na pytanie. No ale przecież to po naleganiach Huntera zostawili dziewczynki same. Co jednak czyniło go odpowiedzialnym.

Tyle że nie wolno mi go obwiniać, pomyślała w następnej chwili. Ustąpiłam mu. Zgodziłam się na to. Jestem równie winna. To też i moja wina.

– Co będzie teraz? – spytał Hunter policjantów, którzy pozamykali notesy i zbierali się do wyjścia.

– Proszę wrócić do łóżek, trochę się przespać – odparł najstarszy z funkcjonariuszy. Caroline zdawało się, że wcześniej jeden z pozostałych zwracał się do niego nazwiskiem Ramos, choć nie była pewna. – Spotkamy się znów jutro.

– Spodziewacie się, że zaśniemy?

– Pewnie nie – przyznał Ramos. – Ale dobrze byłoby spróbować. – Spojrzał na zegarek. – Jest prawie druga. Dzisiaj nic więcej nie uda się już osiągnąć. Rano na nowo podejmiemy poszukiwania i skontaktujemy się z miejscową prasą, jeśli nie znajdziemy państwa córki do południa.

– To wszystko?

– Granica została powiadomiona. Posterunkowy Mendoza zostanie na całą noc pod państwa drzwiami, w razie gdyby ktoś się z państwem skontaktował. My będziemy działać dalej, sprawdzimy kelnera, którego pani widziała na korytarzu, i tę pokojówkę, z którą pani rozmawiała, przeprowadzimy rozmowy z całym personelem. Ale to wszystko potrwa. Proszę, spróbujcie państwo złapać trochę snu. Córka was potrzebuje. – Spojrzał na Michelle, która znów mocno spała w ramionach matki, potem obrzucił wzrokiem cały pokój, zatrzymując spojrzenie na chwilę na każdym z zebranych. –

Oczywiście trzeba, żeby wszyscy państwo byli jutro do naszej dyspozycji.

– Jutro mieliśmy wyjechać – powiedziała Rain.

– Jak widać, to nie wchodzi w grę – rzuciła Peggy głosem pełnym ostrej przygany.

– Oczywiście, nie chciałam dawać do zrozumienia...

– Czy ma pan zdjęcie córki, które mógłbym pożyczyć? – przerwał Ramos.

Hunter sięgnął do portfela, wyjął niewielką fotkę Samantha z za swojego prawa jazdy.

– Przepraszam, zdjęcie ma parę miesięcy.

– Piękne dziecko – stwierdził Ramos i schował zdjęcie do kieszeni. – Zapewniam państwa, zrobimy wszystko, żeby córka do was wróciła.

– Chcecie, żebyśmy tu dziś zostali? – Becky spytała Caroline po wyjściu policjantów i kierownika hotelu.

– Nie – odparł Hunter. – Ramos ma rację. Czeka nas długi dzień. Prześpijcie się. Zobaczymy się rano.

Caroline patrzyła, jak przyjaciele po kolei podchodzili do niej, by ucałować ją w policzki i uściskać. Nie czuła jednak nic. Jej dziecka nie było. Ktoś wszedł do ich apartamentu i zabrał córkę, kiedy ona i mąż byli na dole i raczyli się naleśnikami z syropem pomarańczowym. Gdyby tylko uparła się przy swoim, do tego wszystkiego by nie doszło.

Brat i Becky wychodzili jako ostatni.

– Jesteś pewna, że chcesz, żebyśmy poszli? – spytała ponownie Becky.

Caroline skinęła głową. Steve nachylił się i wziął siostrę w ramiona.

– Proszę, nie mów mamie – szepnęła.

– Nie powiem.

Ale ledwie wypowiedział te dwa słowa, Caroline nabrała pewności, że pierwszą rzeczą, po jaką rano sięgnie jej brat, będzie telefon. Proszę, Boże, pomyślała. Spraw, żeby Samantha do tej pory się odnalazła.

## ROZDZIAŁ 9

# Dzisiaj

Telefon zadzwonił tuż po szóstej trzydzieści następnego poranka. Caroline sięgnęła przez łóżko i odebrała go, zanim dzwonek zdążył zabrzmieć ponownie.

– Halo? – szepnęła, zerkając na sąsiednie łóżko i patrząc, jak Michelle we śnie obraca się na drugi bok.

– To ja – powiedziała Lili.

– Dzięki Bogu. Gdzie jesteś?

– Może się pani ze mną spotkać?

– Jasne. Kiedy?

– Teraz.

– Gdzie?

Dziewczyna podała Caroline adres.

– Niech pani będzie sama. – W słuchawce zapadła cisza.

Caroline zerwała się z łóżka i pędem ubrała. W niecałą minutę zdążyła umyć zęby i ochlapać sobie twarz zimną wodą. Naskrobała szybką notatkę dla Michelle – „Wracam niedługo, nie martw się” – a potem wyszła cicho z hotelowego pokoju i szybko ruszyła korytarzem, kozaki trzymając w ręku. Nie zastanawiała się wcale, co robi, nie przyszło jej nawet do głowy, że nikt nie będzie wiedział, gdzie jest. Tylko przelotnie pomyślała o tym, że Lili wie, że ona nie jest tu sama.

Pędem zbiegła po schodach z ósmego piętra i wyszła z holu na ulicę, teraz już w butach, choć nie pamiętała momentu, w którym je włożyła. Po drugiej stronie jezdni na wolnym biegu stała taksówka, ale nawet kiedy Caroline rozpaczliwie zamachała, samochód uparcie tkwił tam, gdzie stał. Przebiegła przez jezdnię, ślizgając się na oblodzonej nawierzchni i o mało się nie przewróciła, zanim dotarła do drzwi wozu.

– Dokąd? – spytał kierowca, kiedy opadła na tylne siedzenie. Caroline rozpoznała w nim tego samego mężczyznę, który wiozł ją i Michelle do hotelu z lotniska poprzedniego dnia, ale szybko zapomniała o zbiegu okoliczności.

– Nie znam tego miejsca – powiedział, kiedy podała mu adres.

Caroline zastanowiła się, czy dziewczyna czasem sobie z nią nie pogrywa. Może prowadzi ją od jednego ślepego zaułka do drugiego w ramach jakiegoś skomplikowanego, chorego żartu.

– Mógłby pan sprawdzić? Proszę, śpieszy mi się.

– GPS nie działa. – Taksówkarz niechętnie wyciągnął mapę ze schowka i rozwinął ją, a potem uważnie przestudiował i rzucił na sąsiednie siedzenie. – A, tak. Teraz już wiem.

Niestety, nie umiał pod ten adres trafić i krążyli przez niemal dwadzieścia minut, zanim stało się to oczywiste i dla Caroline, która miasta nie знаła, ale i tak zorientowała się, że jeżdżą w kółko, kiedy po raz trzeci minęli tę samą śnieżną zaspę.

– Zgubiłem się – przyznał wreszcie kierowca. Zatrzymał samochód i znów popatrzył na mapę.

– Proszę – odezwała się Caroline błagalnie. – Naprawdę jestem mocno spóźniona.

Czy Lili uzna, że zmieniła zdanie i pójdzie stamtąd? Czy zadzwoni do hotelu ponownie i obudzi Michelle?

– A, to będzie tutaj – powiedział taksówkarz, postukując w mapę palcem wskazującym. – Już wiem. To niedaleko.

– Proszę się pośpieszyć.

– Niech się pani nie martwi. Będziemy tam za pięć minut.

Tyle że już błędzili przez niemal pół godziny, a właśnie zaczynała się godzina porannego szczytu i wkrótce ugrzęźli w korku długim na kilka przecznic. – Chyba był jakiś wypadek. – Kierowca wzruszył ramionami. – Nic się nie poradzi.

– Czy moglibyśmy pojechać jakąś inną trasą?

Kierowca bez słowa zawrócił w niedozwolonym miejscu i wjechał szybko w boczną ulicę, dodając gazu i wzbijając tuman śniegu za samochodem.

Caroline usłyszała syrenę, jeszcze zanim zobaczyła policyjny motocykl.

– O nie – mruknęła. – Proszę, nie.

– Pali się? – spytał policjant, podszedłszy do taksówki i nachyliwszy się w stronę przedniego siedzenia. Kask zakrywał mu głowę i twarz, widać było tylko ciemne oczy.

Ja znam te oczy, pomyślała Caroline, gdy taksówkarz podawał mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– Już mieliśmy dziś rano jeden okropny wypadek – ciągnął mundurowy. – Zaledwie dziesięć minut temu na przejściu dla pieszych jakąś nastolatkę potracił samochód, który przekroczył prędkość.

– Czy coś jej się stało? – spytał taksówkarz.

Caroline poczuła, że w gardle rodzi jej się krzyk. Czy to możliwe, że ta dziewczyna to Lili?

– Obawiam się, że tak. – Policjant zdjął kask, wyłoniła się spod niego gęsta, czarna czupryna. Popatrzył podejrzliwie na Caroline, jakby to wszystko miała być jej wina.

– Detektyw Ramos? – szepnęła, czując, że tego krzyku za moment nie powstrzyma, że napęlnia jej usta żółcią.

– To pani wina – zwrócił się do niej policjant. – Nie trzeba było zostawiać jej samej.

Z ust Caroline wyrwał się krzyk, przesywając powietrze.

– Mamo? – rozległ się jakiś głos tuż nad jej głową. – Mamo? Mamo, obudź się.

Caroline raptownie usiadła na łóżku, rozejrzała się gorączkowo po hotelowym

pokoju, próbując jakoś skupić wzrok.

– Co się dzieje?

– Miałaś zły sen.

– Co?

– Śniło ci się coś złego – powiedziała Michelle w czasie przeszłym, na szczęście. –

Boże, popatrz tylko na siebie. Cała jesteś zlana potem.

Caroline przetarła wilgoć zgromadzoną między piersiami. Z czoła odgarnęła kosmyk mokrych włosów.

– Wystraszyłaś mnie śmiertelnie – stwierdziła Michelle. – Co ci się śniło?

Caroline potrząsnęła głową.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Jak to nie możesz mi powiedzieć? Dlaczego, do diabła, nie?

– Moja matka zawsze powtarza, że to przynosi pecha, jeśli się opowiada sny przed śniadaniem, bo wtedy te złe się spełnią.

– Od kiedy słuchasz tego, co mówi babcia Mary? – spytała Michelle.

Miała rację. Caroline przez całe życie usiłowała ignorować nieproszone rady własnej matki. Ale i tak rzuciła teraz:

– Opowiem ci po śniadaniu.

Tyle że zanim dopiły kawę, Caroline zapomniała cały sen, poza paroma niewyraźnymi szczegółami.

– To był jeden z tych koszmarów, kiedy człowiek usiłuje dostać się gdzieś, ale ciągle mu coś staje na przeszkodzie. Pewnie powinnam się zorientować, że to tylko sen, kiedy zobaczyłam w nim tego taksówkarza.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Michelle.

– I detektywa Ramosa.

– Kto to jest detektyw Ramos?

– Nie pamiętałabyś.

Poranek spędziły, siedząc w holu na dole, na wypadek gdyby Lili miała się jednak pojawić, a potem zamówiły wreszcie taksówkę na lotnisko, bo dziewczyna ostatecznie jednak nie przyszła. Gdy samochód ruszał spod krawężnika, Caroline po raz ostatni obejrzała się na zaśnieżoną ulicę.

– Nie ma jej tu, mammo.

– Wiem.

– Wcale nie miała zamiaru przychodzić.

– Masz rację. – Czy rzeczywiście miała? – Może powinniśmy poczekać dłużej.

– I spóźnić się na samolot? A poza tym zostawiłaś dla niej wiadomość.

Caroline zakłuło poczucie winy. Opuściła wzrok na kolana. Zdawało jej się, że kiedy zostawiała w recepcji liścik dla Lili, zrobiła to dyskretnie.

– Przestań się martwić. Jestem pewna, że ona znów się z tobą skontaktuje – mówiła Michelle, gdy zajmowały miejsca w samolocie. – Przedstawi jakąś łzawą historyjkę, oczywiście, wytłumaczy, czemu nie mogła się z tobą spotkać. A potem obieca, że ci to

wynagrodzi. Zaproponuje, że przyjedzie do San Diego. Oczywiście będzie potrzebowała pieniędzy. Ple, ple, ple. To zupełnie jak te nigeryjskie mejle. Szwindle przejrzyste jak szkło, a zdziwiłabyś się, ilu ludzi się na takie rzeczy nabiera.

Nie zdziwiłabym się, pomyślała Caroline. Wolałaby, żeby Michelle już przestała mówić. Już dała do zrozumienia, co chciała, a mianowicie, że jej matka jest idiotką. Caroline odchyliła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy. Po paru chwilach córka rozumiała aluzję i reszta lotu minęła im w milczeniu.

\*

Hunter czekał na nie, kiedy pchnęły na oścież ciężkie, nieprzejrzyste szklane drzwi do hali przylotów Międzynarodowego Lotniska San Diego. Miał na sobie lekki granatowy garnitur i niebiesko-żółty krawat w paski, przyjechał tu prosto z pracy.

– Coś ty sobie wymyśliła, do diabła? – spytał ostro, odbierając od nich bagaż, a potem zaczął prowadzić je w stronę parkingu.

– Och, czujecie to cudownie ciepłe powietrze? – zachwyciła się Michelle, ściągając ciężką kurtkę.

– Nie musisz nosić mojej torby – odezwała się Caroline do byłego męża. – Poradzę sobie.

– Nieważne, Caroline. Ale po prostu mi odpowiedz.

– Nie jesteśmy w sądzie. Nie stoję na mównicy dla świadków. A ty już wiesz, co tam robiłam.

– Jakaś dziewczyna dzwoni, mówi ci, że jest Samantha, a ty lecisz na skinienie. Naprawdę sądziłaś, że jest jakaś szansa, że to nasza córka?

– Chyba tak.

– Nie pojawiła się, prawda? Nawet nie zadzwoniła.

– Przecież wiesz – odparła Caroline. Michelle najwyraźniej skontaktowała się z ojcem z lotniska w Calgary i zrelacjonowała mu przykry przebieg pobytu, a potem podała numer powrotnego lotu.

– A przy okazji, ile cię ta mała wycieczka kosztowała?

– A co to za różnica?

– Bilety kupowane w ostatniej chwili tanie nie są, jak wiemy z poprzednich eskapad. Musiałaś wywalić na nie sporo szmalu.

– Sporo szmalu? Kto w ogóle jeszcze tak mówi? – odparła Caroline, zirytowana zaborczą postawą Huntera. Nie byli już małżeństwem, dzięki decyzji, którą podjął za nich oboje trzynaście lat temu. Jakie, do cholery, miał prawo wypytywać ją o jej wydatki? Stanęli teraz przy jego kremowym BMW. – Tak czy inaczej, zdaje się, że sam znacznie większy szmal wydajesz co roku na nowy samochód.

– To leasing – przypomniał jej. – I zdaje się, że płacę alimenty, o ile mnie pamięć nie myli...

– A czy ty w ogóle się kiedyś pomyliłaś? – rzuciła Caroline.

– ...co daje mi pewne prawa...

– Proszę – wtrąciła Michelle. – Musicie się o to kłócić teraz?

– Nie – oparła Caroline. – Z przyjemnością wezmę taksówkę.

– Wsiadaj do samochodu – zarządził jej były mąż, wrzucił obie torby podróżne do bagażnika i usiadł za kierownicą. Michelle wgramoliła się na tylne siedzenie, pozostawiając dla matki to przy kierowcy.

Caroline niechętnie usiadła obok byłego męża, usiłując nie zwracać uwagi na to, jak dobrze wygląda. Przystojny jak zawsze. Może nawet bardziej niż kiedyś. Włosy jeszcze nie zaczęły mu siwieć ani rzednąć, a talię miał nadal szczupłą. Jeśli już coś się zmieniło, to lata wyostrzyły mu rysy twarzy, co uwypukliło wysoko zarysowane kości policzkowe i tym bardziej podkreślało pełność warg. – Jak dziecko? – spytała, usiłując wybić sobie z głowy te niepokojące myśli.

– W porządku – odparł Hunter. Zapłacił parkingowemu i ruszyli w drogę. – Nie zmieniaj tematu.

– Nie wiedziałam, że jesteśmy przy jakimś temacie.

– Powiedz mi po prostu, co się stało. Opowiedz mi wszystko. Od początku.

Caroline nie była pewna, jaki początek miał na myśli, ale jedna rzecz, która była dla niej jasna, to że dalszy spór nie miał sensu. Hunter był dobrym prawnikiem, może nawet świetnym. Jeśli na czymś się znał, to na pewno na prowadzeniu sporu. A jeżeli nie mógł zwyciężyć od razu, to umiał człowieka zmęczyć. Równie dobrze mogę to mieć za sobą od razu, uznała, i zaczęła od telefonu Lili. Obserwowała jego twarz, kiedy słuchał, jego minę, przechodzącą od zaciekawienia do wątpliwości, którą potem zastąpił wyraźny gniew. Kiedy doszła do tego, że przy wymeldowywaniu się z hotelu zostawiła dla Lili list w recepcji, wychylił się na siedzeniu, całym ciałem obracając w jej stronę.

– Patrz, gdzie jedziesz – napomniała go.

Hunter znów wbił wzrok w drogę. Ale nawet z profilu widać było, jak bardzo jest zły.

– I nawet nie przyszło ci do głowy skontaktować się ze mną w tej sprawie?

– A czemu miałam to zrobić?

– Nie wiem. Może dlatego, że Samantha to było też i moje dziecko.

Caroline zbladła, słysząc, jak używa czasu przeszłego.

– Co ty mówisz? Że pojechałbyś ze mną?

– Możliwe. Nie dałaś mi takiej szansy.

– Bobyś z niej nie skorzystał. Powiedziałbyś, że to szukanie wiatru w polu i że jestem idiotką, w ogóle biorąc to pod uwagę. Tak samo jak wtedy, kiedy pojechałam do Tacomy i do Miami. Bądź uczciwy, Hunter. Przecież byś nie poleciał do Calgary. Ani Diana nie pozwoliła by ci polecieć – dodała, i z niejaką satysfakcją zauważyła, że się skrzywił. Z wielu źródeł słyszała, że młoda żona owinęła go sobie wokół małego palca i że rzadko robił cokolwiek bez jej zgody.

– Nie o to chodzi.

– A o co chodzi?

– Chodzi o to, że mogliśmy całą sprawę omówić. Powinniśmy byli ją razem

przegadać.

– Przecież my nie rozmawiamy, Hunter. Nigdy nie rozmawialiśmy.

– To śmieszne. Byliśmy małżeństwem przez dwanaście lat. A ty twierdzisz, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy?

– Ty przemawiałeś. Ja słuchałam.

– To bzdura i sama to wiesz.

– Spójrz prawdzie w oczy, Hunter. Jesteś despotą. W sądzie tak samo jak poza sądem.

– A ty robisz z siebie ofiarę. Jak zawsze. W tym samym żalonym stylu.

– Hej, przestańcie – poprosiła Michelle z tylnego siedzenia. – Możemy tego nie robić?

– Należało do mnie zadzwonić – powtórzył Hunter. Albo nie dosłyszał prośby córki, albo ją zignorował. – Trzeba było mi powiedzieć, co się dzieje. Powinnaś dać mi jakiś wybór. Przyznaj to.

– Tylko jeśli ty przyznasz, że za nic byś ze mną nie pojechał – odparła Caroline, po raz kolejny nie ustępując mu pola. Żałowała, że nie robiła tak częściej w ciągu ich dwunastu wspólnych lat. Może gdyby tak postępowała, nie prowadziliby teraz tej idiotycznej sprzeczki, a Samantha nigdy by nie zaginęła.

– No cóż, pewnie nigdy się nie dowiemy – stwierdził Hunter.

– Ja wiem.

– Jasne. Bo wiesz wszystko.

– Wiem, że Hunter Shipley nigdy nie wzięłby paru dni wolnego dla czegoś równie nieistotnego jak jego rodzina.

– Dobra. Wystarczy tego. Grubo się mylisz.

– Doprawdy? A ile dni wolnego wzięłaś po tym jak Samantha zniknęła? – Caroline wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale słowa wyrwały się z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać, napędzane piętnastoma latami tłumionego gniewu.

– Mamo... – odezwała się Michelle. – Dajmy już spokój, okej?

– Ile dni, Hunter? Trzydzieści? Dwadzieścia? Dziesięć?

– Zostałem...

– Całe siedem dni – dokończyła Caroline. – Zostałeś cały jeden tydzień.

– To nie fair.

– Naprawdę? A ty byłeś fair? Zostawiłeś mnie z tym wszystkim samą w Meksyku.

– Prosiłem, żebyś wróciła do domu. Błagałem cię, na litość boską.

– A ja błagałam, żebyś został.

„Proszę, Hunter”, powtarzała. „Dajmy sobie jeszcze trochę czasu”. Tak samo jak wtedy, kiedy zakończył ich małżeństwo.

– Śledztwo do niczego nie prowadziło. Policja w sumie już uznała, że mamy coś wspólnego ze zniknięciem Samanthi. Niczego więcej nie osiągnęlibyśmy, zostając...

– Zostawiłeś mnie – powiedziała Caroline, niepewna już, czy chodzi jej o jego wyjazd z Meksyku, czy o ten moment, kiedy odszedł od niej na dobre.

– Wynająłem prywatnego detektywa...

– Którego zwolniłeś po dwóch miesiącach.



- Bo niczego nie znalazł.
- Bo cię kosztował spory szmal.
- A niech cię diabli porwą, Caroline – mruknął Hunter.
- Niech ciebie porwą – odpaliła.

Michelle oparła głowę o skórzany zagłówek siedzenia, tak że dało się słyszeć wyraźny świst uchodzącego z niego powietrza.

- Muszę się czegoś napić – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 10

# Piętnaście lat temu

– Powiedz mi, że nie myślisz serio o powrocie do domu – Caroline ostro odezwała się do męża.

– Musimy wziąć to pod uwagę – odparł Hunter. – Minął już prawie tydzień.

– Minęło pięć dni.

– A policja nie posunęła się ani o krok dalej niż tej nocy, kiedy Samantha zniknęła.

– To nieprawda. Mają ślady...

– Nic nie mają. – Ciężko przysiadł na sofie w saloniku ich apartamentu i bezradnie przegarnął palcami swoje gęste, ciemne włosy.

Caroline podeszła do okna, spojrzała w dół, w stronę restauracji, zobaczyła, że jej matka i Michelle jedzą lunch pod jednym z wielu czerwonych parasoli. Matka uparła się, że przyjedzie do Rosarito, jak tylko Steve zadzwonił do niej z okropnymi nowinami. Wparowała do ich apartamentu i natychmiast przygarnęła córkę w objęcia, niemal ją dusząc w uścisku. Caroline z miejsca ten uścisk odwzajemniła, przywarła do matki całym ciałem, wiotcząc z ulgi. „Mamo”, usłyszała własne słowo, wyszeptane prosto w jedwabne ramię jej sukienki. „Jak mogłaś do tego dopuścić?” – spytała matka.

– Trzeba na to patrzeć realistycznie – mówił teraz Hunter.

Caroline miała ochotę podejść do niego, trzasnąć dłonią w głowę i krzyknąć: Teraz ci bardziej realnie?! Ale tylko przestała chodzić z kąta w kąt i czekała, co mąż jeszcze powie.

– Minęło pięć dni – powtórzył. – Policja przeszukała hotel i teren z dziesięć razy i nie znalazła niczego. Wszystkich gości przepytano i oczyszczono z podejrzeń...

– Jest ten facet, który na swoim komputerze trzymał pornografię...

– Wszystkie zdjęcia przedstawiały dorosłych mężczyzn. A alibi ma pewne, był z przyjaciółmi w klubie nocnym przy plaży, kiedy Samantha zniknęła. Mieli całą salę świadków.

– Samantha przecież, ot tak, nie zniknęła – powiedziała Caroline, znużona tym eufemizmem, który implikował, że jej córka jakimś cudem rozplynęła się nagle w powietrzu. – Została porwana. Ktoś ją stąd zabrał. – Wybuchnęła niepokonanym, gniewnym płaczem. Ile łez może się zmieścić w jednym ciele? Ile jeszcze wyleje, zanim całkiem w nich zatonie?

Hunter natychmiast znalazł się u jej boku, niezgrabnie próbując ją objąć, jakby szukając miejsca, w którym bezpiecznie może położyć dłonie.

– Nie – zaprotestowała, zanim zdążył jej dotknąć.

Odsunął się i zawrócił w stronę kanapy, choć już nie usiadł.

– Mów dalej – powiedziała, usiłując opanować ostry ton w głosie. Jednak się jej to nie udało. – Mówiłeś o realizmie? – Wiedziała, że go rani, że go z każdym dniem mocniej odpycha. Ale zasługiwał na karę, zasługiwał na ból. To była jego wina. Samantha zginęła przez niego.

A teraz mówił o wyjeździe. Mieli opuścić miejsce przestępstwa, wrócić do San Diego, podjąć normalne życie. Tyle że przyjechali tu z dwójką dzieci, a mieli wyjechać z jednym. Ich życie już nigdy nie mogło być normalne.

– Nic więcej tutaj nie zdiagnozujemy – tłumaczył. – Szukaliśmy wszędzie. Powiedzieliśmy policji wszystko, co wiemy. Przerobiliśmy wszystko, co się tamtej nocy stało, z tysiąc razy. Odpowiedzieliśmy na wszystkie ich pytania. To widać, że nam nie wierzą. Widać wyraźnie, że zaczynają myśleć, że mieliśmy z tym coś wspólnego.

– I co ich zdaniem zrobiliśmy? Myślą, że porwaliśmy własne dziecko?

Spojrzenie Huntera powiedziało Caroline, że chodzi o coś jeszcze gorszego.

– Przecież chyba nie sądzą, że zamordowaliśmy własną córkę.

– Moim zdaniem dokładnie tak myślą. Co jest jednym z powodów, dla których chcę się w cholerę wynieść z Meksyku.

– Ale jeśli w to wierzą, to dlaczego uważasz, że nam pozwolą wyjechać?

– Bo muszą mieć jakiś dowód, żeby nas zatrzymać, a nie mają żadnego.

– Nie mają żadnego, bo nic złego nie zrobiliśmy – powiedziała Caroline. W głowie jej wirowało od tego kręcenia się w kółko. Czy Hunter miał rację? Czy policja naprawdę mogła wierzyć, że zamordowali Samanthę? Czy zamiast szukać ich córeczki, zajmowali się gromadzeniem dowodów, które będą wskazywać na nich? Jeśli tak, to być może miał rację – nic więcej nie da się tutaj osiągnąć. Narazali się na utratę wolności, może ryzykowali życiem. Być może powinni wynosić się z Meksyku, zanim zrobi się za późno. – A co z tym kelnerem z obsługi, którego nikt od tamtej nocy nie widział?

– Policja twierdzi, że go szukają.

– Myślisz, że nie?

– Powiedzmy tylko, że moim zdaniem nie szukają zbyt gorliwie.

– Dlaczego nie, na litość boską?

– Bo już uznali, że to my jesteśmy winni – wyjaśnił znowu. – Caroline, takie rzeczy się zdarzają codziennie i nie tylko w Meksyku. Sam to widzę regularnie. Policja uważa, że wie, kto jest odpowiedzialny i dostaje widzenia tunelowego. Ignoruje pozostałych podejrzanych i sceptycznie traktuje wszystkie dowody, które nie wspierają jej stanowiska.

– A co z pokojówką? – nie ustępowała. – Miała ogólny klucz. Łatwo się mogła dostać do środka. Albo ta opiekunka, która była przy dziewczynkach co wieczór. Widziałeś, jak uwielbiała Samanthę. Może nie mogła mieć własnych dzieci. Może...

– Pokojówka była w domu z rodziną. Opiekunka miała inne zlecenie.

– Mogły mieć współników...

– Tak, mogły – zgodził się Hunter. Usiadł znów na sofie. – Ale policja nie szuka współników. Policja przygląda się nam. Mówią, że to my odwołaliśmy opiekunkę...

– Nie zrobiliśmy tego.

– ...że zadzwoniłaś do recepcji i powiedziałaś im, żeby nie łączyli już więcej rozmów z naszym apartamentem...

– Bo moja matka zadzwoniła i nie chciałam, żeby jakiś kolejny telefon obudził dziewczynki.

– To nie ma znaczenia dlaczego. Liczy się tylko, że to wygląda podejrzanie.

– Jak to podejrzanie? O Boże. To nie ma sensu. Nigdy jej nie znajdziemy. Nigdy jej nie odzyskamy.

– To nie jest beznadziejna sprawa – oświadczył Hunter, choć jego cała postawa mówiła coś innego. – Już rozmawiałem ze starszymi partnerami u mnie w firmie. Uważają, że powinniśmy wynająć prywatnego detektywa i zrobię to, jak tylko wrócimy do domu...

– Nie mogę. Nie mogę nigdzie wyjechać, póki nie znajdę dziecka.

Zadzwonił telefon. Hunter odebrał.

– Tak – rzucił zamiast „halo”. A potem wyciągnął słuchawkę do niej. – To Peggy.

Caroline wzięła ją.

– Jak się masz? – spytała Peggy.

– Słabo.

– Chcesz, żebym tam wróciła?

Tak, pomyślała Caroline.

– Nie – powiedziała. Peggy niechętnie wyjechała z Rosarito, ale miała dwójkę własnych dzieci, które czekały na jej powrót. Miała pracę, obowiązki, jakieś życie.

Rain i Jerrod ulotnili się jako pierwsi, kiedy tylko policja im pozwoliła. Pojechali na Święto Dziękczynienia do Nowego Jorku. Caroline nie miała im za złe tych planów. Nie byli jej bliskimi przyjaciółmi, a tutaj nie mogli nic zrobić. Poza tym troska Rain była nieco teatralna, a jej współczucie tak demonstracyjne, że nie zostawiało już Caroline miejsca na uczucia inne niż odrętwienie. Prawdę mówiąc, odczuła ulgę, kiedy wyjechali.

Tak samo ulżyło jej, kiedy następnego dnia brat i Becky poszli za ich przykładem, bo napięcie między tą dwójką stało się nie do zniesienia zaraz po przyjeździe Mary. Peggy i Fletcher wyjechali ostatni. – Będziemy cały czas pod telefonem – zapowiedziała wtedy Peggy.

– Co się dzieje? – spytała teraz.

– Najwyraźniej policja uznała, że to my jesteśmy winni.

– To jakiś absurd. Co zamierzacie?

– Hunter chce wracać do domu.

– Może to nie jest taki zły pomysł.

– Nie wiem. Zwołał konferencję prasową na dzisiejsze popołudnie – powiedziała Caroline, czując, jak ścisną ją w żołądku. Światowa prasa rzuciła się na historię zaginięcia Samantha i Hunter zdecydował, że powinni ominąć ewidentną niekompetencję meksykańskiej policji, apelując do międzynarodowej opinii publicznej o pomoc. Caroline najpierw opierała się myśli o upublicznieniu ich cierpienia, ale mąż uważał, że łzy matki bardzo pomogą skrócić długą drogę do odzyskania Samantha. Jak mogła więc odmówić? Policja była przeciwna ich kontaktom z prasą i do tej pory udawało jej się utrzymać reporterów na dystans dzięki twierdzeniu, że rozgłos utrudni śledztwo. Ale Hunter był przekonany, że martwią się tylko o własną reputację. Poza tym, dowodził, że policja uważa, że on i Caroline są winni zabójstwa własnego dziecka. Więc niech się walą.

– Daj mi znać, jak poszło – poprosiła Peggy na pożegnanie.

– Chyba powinniśmy się szykować – stwierdził Hunter.

Caroline zrozumiała, że chodziło mu o konferencję prasową, ale nie była pewna, co miał na myśli, mówiąc o szykowaniu.

– Może się uczesz, zrób jakiś makijaż – wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.

Caroline bez przekonania przeciągnęła grzebieniem po włosach i wodoodpornym tuszem potraktowała rzęsy podpuchniętych oczu. Zmieniła szorty i za dużą koszulkę na skromną beżową letnią sukienkę. Skórę miała opaloną, co skutecznie tuszowało czerwone plamy powstałe po całych dniach ciągłego płaczu, poza tym schudła przynajmniej ze trzy kilo, niezdolna niczego jeść. Mimo to, kiedy obejrzała się w lustrze, zobaczyła w nim wprawdzie znękaną, ale też na pozór spokojną i opanowaną kobietę.

– Mamusiu! – krzyknęła Michelle z otwartych drzwi apartamentu. Dziecko wpadło do pokoju i rzuciło się do kolan matki, o mało jej nie przewracając.

– Hej, kochanie – powiedziała Caroline i popatrzyła na ciemnofioletowe ślady palców, które teraz znaczyły dół sukienki.

– Zjadłam ciasto z jagodami na deser – oświadczyła Michelle.

– Lepiej się przebierz – polecił Hunter.

Caroline wróciła do sypialni i przejrzała zawartość szafy. Ta beżowa sukienka była w zasadzie ostatnią czystą rzeczą, jaka jej została. Poza szortami, kostiumami kąpielowymi i suknią wieczorową, do włożenia nadawała się tylko minispódnica w niebieskie i białe paski i niebieski T-shirt bez rękawów.

– Tak się wystroiłaś? – spytała matka, kiedy Caroline wróciła do salonu.

Caroline zbyła jej uwagę machnięciem ręki. Co to niby za różnica, co ma na sobie?

Hunter wziął Michelle na ręce. Caroline zauważyła, że córka rączki miała już starannie wymyte.

– Gotowa? – spytał, kierując się do drzwi.

O ile da się to tak określić, pomyślała Caroline.

Następne dwa dni spędziła w łóżku, ślęcząc nad gazetami i oglądając telewizyjne wiadomości.

– Nie masz jeszcze dość tego szajsu? – spytał Hunter, wrzucając ostatnią koszulę do walizki. Zamknął ją i postawił bagaż przy drzwiach sypialni.

– Widziałeś to? – Caroline wyciągnęła przed siebie ostatni numer „Los Angeles Times”, przyniesiony wcześniej tego dnia przez jej matkę. – Jesteśmy na pierwszej stronie.

– Ignoruj to.

– Łatwo ci mówić. Ty wypadasz nieźle, biorąc wszystko pod uwagę.

– Kochanie, proszę cię...

– Jesteś „przystojnym mężczyzną, który z trudem nad sobą panuje” – odczytała. – „Kurczowo tulisz córkę”, podczas gdy ja jestem „wyniosła” i „wyprostowana jak kij”. – Parsknęła kpiąco. – Kto by pomyślał, że dobra postawa to taka wada?

– Nie rób tego sama sobie...

– Komentują nawet połysk moich włosów. „Jakby dopiero co wyszła od fryzjera” – przeczytała Caroline, niemal krztusząc się przy tych słowach. – Nie myłam ich od tygodnia, na litość boską. Ten idiota z gazety nie widział, że to tłuszcz?

– Nie możesz się tym przejmować. Pochorujesz się od tego.

– A, no i oczywiście, kiedy to wszystko się stało, my „balowaliśmy ze znajomymi w pobliskiej restauracji”. Szlag by ich trafił, gdyby to sobie mieli odpuścić. – Albo wspomnieć, że to się stało przez twoje nalegania, pomyślała. Na chwilę jej uwagę odwróciło coś w telewizji. Znowu na cały świat transmitowano tę ich nieszczęsną konferencję prasową. – O, i znowu tam stoję, sztywna jakbym kij połknęła. – Ale faktycznie wydaję się wyniosła, pomyślała. A włosy zanadto mi błyszczą. I spódnice mam za krótką, jak wczoraj wytknęła inna gazeta.

„Zwracamy się z prośbą o pomoc”, mówił z ekranu telewizyjnego Hunter łamiącym się głosem.

„Jeśli ktokolwiek z państwa coś wie, cokolwiek”, przejmowała od niego pałeczkę Caroline, głosem zadziwiająco opanowanym i wyraźnym, „jeśli mają państwo wrażenie, że widzieliście Samanthę albo wiecie coś o tym, gdzie ona może się znajdować, prosimy natychmiast skontaktować się z policją”.

„Chcemy po prostu odzyskać córkę”, dodał Hunter. Jego przejęcie wyraźnie kontrastowało z dziwnie opanowaną postawą żony.

Tymczasem Caroline była wtedy bliska omdlenia. Ta wystudiowana spokojna powierzchowność maskowała wewnątrz, które było na granicy implozji, niczym zapadająca się budowla. Ten stalowy ton w głosie był wszystkim, co ją jeszcze utrzymywało w pionie.

„Dlaczego zostawili państwo dzieci same?”, zawołał jeden z reporterów.

„Czy policja bierze państwa pod uwagę jako podejrzanych?”.

„Wynajęliście adwokata?”.

„Czy to prawda, że planujecie wyjazd z Meksyku?”.

– I jak? – spytała Caroline, zerkając na walizkę. – Spakowany?

Skinął głową.

– Nie jest za późno, byś zmieniła zdanie i jechała z nami.

– Nigdzie nie pojedę.

– Caroline, proszę cię. Nie zmuszaj mnie, żebym cię tu zostawiał samą. Jeśli cokolwiek ci się stanie, chyba nie umiałbym sam dłużej żyć.

– Nic mi się nie stanie. Jestem dużą dziewczynką. Tak zdecydowałam. Nie musisz czuć się winny, dlatego że wyjeżdżasz. – Wiedziała, że czuł się winny z powodu Samantha w takim samym stopniu, co ona, może nawet bardziej. Słyszała poprzedniego wieczoru, jak płakał w łazience, kiedy myślał, że ona śpi. Zastanawiała się nawet, czy nie wstać i nie pójść do niego, przywrzeć do jego boku i płakać razem z nim, ale nie zrobiła tego. Nie mogła. – Powinieneś już iść. Moja matka będzie się denerwować. – Caroline wyobraziła sobie matkę czekającą w kawiarni z Michelle i co chwila spoglądającą na zegarek.

– Proszę, jedź z nami.

– Nie mogę.

– Michelle cię potrzebuje.

– Moja matka dobrze się nią zajmie.

– Ja ciebie potrzebuję.

Caroline nic nie powiedziała.

Zadzwoił telefon. Hunter podszedł do łóżka i odebrał połączenie.

– Tak. Dobrze. Już idę. – Odłożył słuchawkę. – Przynajmniej zejdź na dół pożegnać się.

– Już się pożegnałam.

Stał przy łóżku, przestępował z nogi na nogę.

– Nawet mnie nie pocałujesz?

– Hunter...

– Musisz przestać mnie winić – powiedział błagalnie. – To nie jest moja wina.

Caroline zmięła w kulę trzymaną w rękach gazetę i cisnęła nią w ekran telewizora, a potem zerwała się na równe nogi.

– Nie twoja wina? Serio? Bo ja wyraźnie sobie przypominam, że to ty się uparłeś, żebyśmy zostawili dziewczynki same, dowodziłeś, że przesadzam, że mówię zupełnie jak moja matka...

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Obiecałeś, że nic im się nie stanie...

– I będę za to przepraszał do końca życia...

– To nie wystarczy.

– Co jeszcze mam zrobić?

– Chcę, żebyś znalazł naszą córkę.

– Nie sądzisz, że chcę tego samego?

„Prosimy państwa o pomoc”, apelował Hunter z ekranu telewizyjnego. „Chcemy tylko odzyskać nasze dziecko”.

– Jak mogłeś do tego dopuścić? – spytała go Caroline, słysząc, że jej głos rozbrzmiewa w tym pokoju dokładnie jak przedtem głos jej własnej matki. Widziała po minie Huntera, że on też to usłyszał.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy dotrzemy do domu – powiedział, wziął do ręki walizkę i wyszedł.



## ROZDZIAŁ 11

# Dzisiaj

– Spóźniłaś się – powiedziała Mary zamiast powitania.

– Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia – odezwała się Caroline, ignorując nagane i cmokając matkę w policzek. – Przyniosłam deser. – Wyciągnęła przed siebie pudełko z plackiem z dyni, wybrane w eleganckim sklepie spożywczym po drodze.

Matka nawet nie wyciągnęła po nie ręk.

– Sklepowe – stwierdziła, unosząc dokładnie wydepilowane brwi i w jakiś sposób sprawiając, że to słowo zabrzmiało nieprzyzwoicie.

Caroline zamknęła za sobą frontowe drzwi.

– Sądziałam, że lubisz placki z Nicola's.

Mary wzruszyła ramionami.

– Są nie najgorsze. Drogie, jak wszystkie towary u nich. Steve i ja wolimy ich jabłecznik.

– Nie mieli jabłkowego.

– No cóż, bo jak się wszystko zostawia na ostatnią chwilę... Dziwię się, że w ogóle było otwarte.

– Przepraszam. Miałam trochę urwania głowy... – Caroline zerknęła ponad ramieniem matki do pustego salonu. – Gdzie wszyscy?

– Nikogo jeszcze nie ma.

– A więc przyjechałam pierwsza?

– I tak się spóźniłaś – powiedziała Mary.

Caroline westchnęła.

– Co mam zrobić z ciastem?

– Połóż je w kuchni – odparła matka, przechodząc z holu do salonu.

Caroline poszła korytarzem do kuchni na tyłach schludnego, parterowego domu.

– Coś tu bardzo ładnie pachnie – stwierdziła, wciągając nosem zapach piekącego się indyka i odstawiając placek z dynią na kuchenny blat. Niewielkie wnętrze bardzo mało się zmieniło przez lata. Mimo nowego wyposażenia i wymiany blatów z laminatu na granit, była to w zasadzie ta sama kuchnia, którą zapamiętała z dzieciństwa – lekko wydłużony prostokąt, ze stołem i czterema krzesłami pod dużym oknem, wychodzącym na małe podwórze za domem. Wbijając spojrzenie w mrok,

wyobraziła sobie stare sznury, na których matka rozwieszała uprane ubrania, by doschły na świeżym powietrzu. Kiedy Caroline była mała, Mary przypinała ją do takiego sznura, bezpiecznie omotaną linką w pasie. „Przestań się wiercić, to dla twojego dobra”, mówiła, kiedy córka usiłowała się jakoś wyplątać. Steve, oczywiście, nie musiał znosić podobnych ograniczeń wolności. Gdy Caroline protestowała przeciw tej niesprawiedliwości i sprzeczała się z matką, że ona też powinna móc bez przeszkód bawić się z koleżankami na ulicy, Mary wytykała jej, że przecież żadnych koleżanek nie ma.

– Miło, że zaprosiłaś Peggy i Fletchera – powiedziała teraz wchodząc do salonu.

Ona i Peggy poznały się w liceum i natychmiast złapały kontakt, obie stanowiąc przykład dziewczyn, o których zwykle się mówiło, że „późno rozkwitły”. „Odmieniec” to może lepiej pasujące określenie. Obie były nieśmiałe i płaskie jak deski, bardziej zainteresowane książkami niż chłopcami, choć może to akurat dlatego, że chłopcy w ich klasie byli bardziej zainteresowani dziewczynami nietkwiącymi z nosem w książce, a za to lepiej przez naturę wyposażonymi. Obie też nie miały ojców – Peggy straciła swojego, gdy miała dwanaście lat, z powodu raka, a Caroline, wskutek trudnego rozvodu rodziców, jako trzynastolatka. Choć jej ojciec przez prawie rok usiłował utrzymywać z dziećmi regularny kontakt, Mary niemal całkowicie mu to uniemożliwiła, w ostatniej chwili odwołując ustalone wizyty i skracając proponowane wyjścia na miasto. Pod wpływem matki Steve w końcu nie chciał mieć już w ogóle do czynienia z ojcem. Biedny facet w końcu poddał się i przeniósł na północ stanu Nowy Jork, gdzie zginął w wypadku samochodowym, kiedy Caroline miała piętnaście lat. – Nikomu lepszemu nie mogło się to trafić – zapamiętała Caroline słowa matki do jednej z jej brydżowych przyjaciółek. – Baba z wozu, koniom lżej. – Stały repertuar gorzkich komunałów, ulubiony arsenał Mary.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała do matki, usiłując odegnać podobnie nie mile myśli. Przecież to jednak Święto Dziękczynienia. Powinna ją przepełniać wdzięczność, a nie litania uraz. Usiadła na obitym zielonym welwetem fotelu z wysokim oparciem stojącym naprzeciwko kwiecistej sofie, na której przysiadła matka. – Czy to nowa sukienka?

Mary przyklepała loki włosów z niedawno zrobionymi pasemkami, uczesane tak samo, jak Caroline pamiętała od zawsze. „Krótko i sztywno”, lubiła mawiać matka. Już prędzej pasowałyby: „krótko i na sztywno”. Mocno zakręcone loki tkwiły na miejscu, zabezpieczone codzienną powodzią lakieru do włosów.

– Prezent od twojego brata – powiedziała, gładząc fałdy jedwabnej, wzorzystej szmizjerki.

– To bardzo miłe z jego strony – pochwaliła Caroline, usiłując nie okazywać głosem zdumienia.

– Tak. Jest szalenie szczodry.

I powinien, stwierdziła w myślach Caroline, skoro mieszka tu, nie płacąc czynszu i nawet nie tknie palcem, by pomóc w domu.

- A gdzie on jest, tak przy okazji?
- Miał spotkanie w interesach.
- Naprawdę? W Dzień Dziękczynienia?

– Znasz twojego brata. Zawsze nad czymś pracuje.

Zawsze coś kombinuje, pomyślała Caroline. Chociaż te kombinacje rzadko mu od jakiegoś czasu wychodziły. Jego życie w dużym stopniu stanęło na głowie przez te dziesięć lat, odkąd rozwiedli się z Becky. Najpierw załamał się rynek nieruchomości. Potem Steve stracił posiadłość. Seria nieudanych inwestycji kosztowała go w sumie wszystko, co mu zostało, włącznie z niedawno kupionym mieszkaniem na osiedlu przy plaży, które nabył, kiedy rynek stał wysoko i musiał sprzedać ledwie rok później ze znaczną stratą. Matka każdą jego kolejną porażkę przypisywała połączeniu złego wyczucia czasu i pecha, i zaprosiła go do rodzinnego domu z otwartymi ramionami. Koczował w swojej dawnej sypialni od trzech lat, niewiele robiąc, za to często grywając w pokera, pijąc sporo alkoholu i oglądając bez umiaru telewizję.

Jak na ironię, pozbierał się, choć przelotnie, kiedy Becky znów pojawiła się w jego życiu. Wyprowadziła się do Los Angeles zaraz po rozwodzie, ale wróciła cztery lata później, kiedy stwierdzono u niej nieuleczalnego raka. Okazało się, że dokuczające jej od dawna bóle głowy były skutkiem ubocznym powoli rosnącego, ale koniec końców zabójczego guza mózgu. Skontaktowała się z Peggy, która niedawno została dyrektorką nowo otwartego Hospicjum Marigold, i wkrótce potem Becky się do niego wprowadziła. Trzy miesiące później umarła. Co zadziwiające, Steve był przy jej łóżku codziennie, klasycznie smutny przykład „zbyt mało i za późno” oraz „człowiek nigdy nie ceni czegoś, co ma, póki tego nie straci”.

– I jak leci? – Caroline spytała matkę.

– A jak ma lecieć? – odparła matka.

Caroline wzruszyła ramionami. Mary najwyraźniej nie miała zamiaru jej tego ułatwiać.

– Nie wiem. Oglądałaś jakieś dobre filmy ostatnio?

– Nie chodzę do kina. Wiesz o tym.

– Właściwie nie wiedziałam. Byłam pewna, że uwielbiasz kino.

– Kiedyś lubiłam. Ale teraz filmy są pełne przemocy.

– A brydż? Wiem, że to lubiłaś. Wygrałaś ostatnio jakieś turnieje?

– Nie z Paulą Harmon jako partnerką, to jedno pewne. Nie wiem, gdzie ona ostatnio ma głowę. Chyba jej odbija. Położyłyśmy dwie lewe któregoś dnia, choć wszyscy inni na sali mieli nadržóbki. A potem zrobiła się strasznie wojownicza, kiedy delikatnie próbowałam jej wyjaśnić, co zrobiła źle.

Caroline oczami wyobraźni już widziała tę „delikatną” próbę skorygowania błędów koleżanki.

– Co się tak uśmiechasz?

– Nic. Przepraszam – powiedziała i poczuła się dziwnie, przeprosiwszy za uśmiech. – Czytałam gdzieś, że brydżyści zawsze są przekonani, że grają lepiej niż ich partnerzy.

– Co to ma niby znaczyć?

– Ja... Nic. Po prostu coś takiego przeczytałam.

– No cóż, głupie słowa.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Dzięki Bogu, pomyślała Caroline, podrywając się i biegnąc, żeby otworzyć.

– Cześć. Spóźniliśmy się? – spytała Peggy, wchodząc z Fletcherem do środka.

– Jesteście w samą porę – odparła Mary, stając za plecami córki. Przyjęła z rąk Peggy bukiet żółtych róż o długich łodyżkach, a od Fletchera butelkę drogiego białego wina. – Bardzo się cieszę, że mogliście przyjechać. Caroline, czy mogłabyś, proszę, włożyć te przepiękne kwiaty do wazonu? Nie zapomnij przyciąć końcówek. – Wręczyła kwiaty córce, prawie na róże nie spojrzawszy.

– To my bardzo dziękujemy za zaproszenie – powiedziała Peggy, idąc za Mary do salonu. Caroline skręciła do kuchni.

– Fletcher, może otworzyłbyś to wino? – usłyszała matkę, mówiącą niemal kokieteryjnym tonem głosu.

– Dobra. Gdzie ona je pochowała? – Caroline mruczała pod nosem, szukając w szafkach jakiegoś wazonu.

– Znow mówisz sama do siebie? – Za jej plecami zabrzmiał męski głos. – Słyszałem, że tak robią wariaci.

– Cholera! – Okręciła się na pięcie w stronę brata. Siedział na jednym z kuchennych krzeseł, długie nogi założył jedną na drugą. – Wystraszyłeś mnie prawie na śmierć. Skąd się tu wzięłeś?

Wskazał w stronę sypialni.

– Myślałam, że jesteś na biznesowym spotkaniu.

– Byłem. Zakradłem się z powrotem dwadzieścia minut temu. Pomyślałem, że się zdrzemnę, ale twoja błyskotliwa rozmowa z mamą ciągle mi przeszkadzała. Możesz spróbować w tej szafce na górze. – Steve wskazał szafkę zawieszoną nad kuchenką.

Caroline musiała wspiąć się na palce, żeby dosięgnąć półki, wyciągnęła palce w stronę schludnego rzędu wazonów.

– Pewnie nie przyjdzie ci do głowy, żeby mi pomóc.

– O wiele zabawniej jest patrzeć, jak się wysilasz – odparł. Ciężki wazon o mały włos nie wyleciał jej z rąk. – Na pewno chcesz akurat ten?

Caroline zaniósła wazon do zlewu i napełniła go wodą, a potem odwinęła róże.

– Nie zapomnij przyciąć końcówek. – Steve mrugnął okiem.

Znalazła duże nożyczki w górnej szufladzie obok zlewu i zaczęła z każdej z długich łodyg odcinać po calu. On cały czas chichotał. Zauważyła, że brat ma problem ze skupieniem uwagi.

– Widzę, że ktoś zaczął świętowanie dość wcześnie.

– A ja widzę, że przywiozłaś placek.

– Z dynią.

– Wolę z jabłkami.

– Tak słyszałam. – Skończyła przycinać róże, ułożyła je w wazonie, a potem podniosła go i wyszła na korytarz. – Idziesz? – spytała brata.

– Za nic w świecie bym tego nie przegapił.

– Steve, kochanie, to ty? – spytała Mary, gdy Caroline z bratem szli w stronę salonu. – Tak mi się wydawało, że słyszę twój głos.

– Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia, mamó – powiedział Steve i pozwolił jej się uściskać. – Fletcher... Peggy. Dobrze znów was widzieć.

– Jak się masz, Steve? – przywitał się Fletcher.

– Dobrze wyglądasz – dorzuciła Peggy.

– Ty również. – Steve usiadł w fotelu, który wcześniej zajmowała siostra. Caroline ustawiła wazon na stoliku do kawy przy sofie i cofnęła się nieco, podziwiając kwiaty.

– Te róże są przepiękne.

– To prawda. Ale czemu wybrałaś ten wazon? – spytała Mary. – Przecież są tam ładniejsze...

– Próbowałam jej powiedzieć – wtrącił Steve.

– Wazon jest idealny – odparła Peggy.

Mary powąchała kwiaty.

– Jaka szkoda, że róże już teraz nie pachną.

– Ciekawe dlaczego? – zainteresował się Steve. – Ale co ważniejsze, czego się wszyscy napiją?

– Fletcher i Peggy przynieśli butelkę świetnego chardonnay. Bardzo ładnie, że pomyśleli. – Mary spojrzała znacząco na córkę, a potem nalala kieliszek dla syna i podała mu go.

– Też poproszę – powiedziała Caroline.

– Na pewno, kochanie? Wiesz, jaka się robisz, kiedy się napijesz.

– Słucham?!

– Ja się tym zajmę – zaproponował Fletcher, podrywając się z miejsca i napełnił winem kieliszek dla Caroline. Przy drzwiach zadzwonił dzwonek.

– To będzie Micki – rzuciła Mary i poszła otworzyć.

– O co jej chodzi? – Caroline spytała Peggy. – Jaka się robię?

– Tylko zarzuca przynętę – odparła Peggy. – Spróbuj się na nią nie złapać.

– Mam ochotę złapać ją za pierze, ot co.

– No to jedziemy – zachęcił Steve, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Przepraszam za spóźnienie. – Caroline usłyszała z holu głos córki. – Wieki czekałam na autobus.

– Nic się nie stało. Jesteś w samą porę.

– Byłam w hospicjum – oznajmiła Michelle, wchodząc do pokoju i witając się ze wszystkimi skinieniem głowy.

– Myślałam, że pracujesz na poranne zmiany – zdziwiła się Mary.

– Zamieniłam się z dziewczyną, która potrzebowała wolnych popołudni. Więc teraz

to każdy poniedziałek i czwartek od czwartej do ósmej. Dzisiaj ze względu na święto pozwolili mi wyjść wcześniej.

– Jesteś taką dobrą dziewczyną. Nie wiem, jak sobie z tym radzisz. – Mary pogłaskała ciemne, długie włosy wnuczki. – To musi być strasznie przygnębiające.

– Człowiek tak sobie wyobraża – powiedziała Michelle – a w sumie wcale tak nie jest.

– A jak minęło popołudnie? – spytała Peggy, a pozostałym wyjaśniła: – Mieli zaserwować rezydentom i ich rodzinom obiad z indykiem.

– Udało się nieźle – odparła Michelle. – Wszyscy chyba byli zadowoleni.

– Zadowolenie to względne pojęcie – stwierdził Steve. – Wziąwszy pod uwagę, że wszyscy tam stoją na progu śmierci.

– No cóż, ja bym za nic nie zbliżyła się do takiego miejsca – oświadczyła Mary. – Zamierzam umrzeć w domu.

– Żartujesz sobie z nas? – Steve dopił resztkę wina. – Ty nigdy nie umrzesz. Kropka.

– Och, kochanie – zaśmiała się Mary, a Caroline złapała się na zadawaniu sobie pytania, czy matka zareagowałaby równym rozbawieniem, gdyby to ona taką uwagę rzuciła.

– No cóż, dzięki za wszystko, co robisz – powiedziała Peggy do Michelle.

– I dziękujemy, że do nas dotarłaś – dodała Mary. – Obawiałam się, że ojciec będzie chciał, żebyś w tym roku spędziła Święto Dziękczynienia z nim.

– Oni jadą na obiad do rodziców Diany. Poza tym rozumieją, że to święto zawsze spędzam u babci Mary. – Uściskała babcię, a Mary zareagowała, obejmując dziewczynę ramieniem w talii z nieudawaną czułością.

Caroline wiedziała, że ta ich obopólna bliskość stanowiła efekt więzi zrodzonej w miesiącach po zniknięciu Samantha, kiedy była niedostępna dla córki, najpierw fizycznie, a potem emocjonalnie. Sama siebie nienawidziła za zazdrość na widok ich ewidentnego wzajemnego zrozumienia.

– Powiedziałbym, że takie dobre uczynki należy wynagradzać – stwierdził Steve. – Może kieliszek wina...

– Może jednak nie – wtrąciła szybko Caroline. – Nie wolno jej pić alkoholu.

– Och, daj spokój. To Święto Dziękczynienia.

– Tak. A ona powinna być wdzięczna, że nie siedzi w więzieniu.

– Bardzo to miłe, mamó – powiedziała Michelle.

– Naprawdę musiałaś z tym wyskakiwać? – spytała Mary.

Caroline uniosła własny kieliszek z winem.

– No cóż, wszyscy wiemy, jaka jestem, kiedy się napiję.

\*

– To był miły wieczór – powiedziała Michelle, wchodząc za matką do domu i zamykając drzwi.

– Tak. Obiad był uroczy.

- Babcia Mary świetnie gotuje.
- Skąd wiesz? Prawie niczego nie tknęłaś.

Michelle obrzuciła matkę aż za dobrze jej znanym spojrzeniem.

- Zjadłam mnóstwo.

Caroline nie odpowiedziała. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

- Byłaś bardzo cicha przez cały wieczór – zauważyła Michelle.
- Czasem tak bywa bezpieczniej. – Caroline skierowała się ku schodom.
- Chyba nie idziesz już do łóżka? Jeszcze nie ma nawet wpół do dziesiątej.
- Jestem bardzo zmęczona. Twoja babcia nieźle mnie trenuje.
- Nigdy ci nie przyszło do głowy, że jesteś dla niej zbyt surowa?
- Nie – odparła szczerze Caroline. – Nigdy.

- No cóż, a mnie się wydaje, że jesteś.

– Nigdy ci nie przyszło do głowy, że bywasz zbyt surowa dla mnie? – Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy. Chciała tylko zanurzyć się w parującej, gorącej wodzie, a potem wśliznąć do łóżka. – Zostajesz tu dziś na noc? – spytała, słysząc za sobą na schodach kroki Michelle.

- A nie chcesz? Mogę jechać do taty, jeśli wolisz.

- Nie to powiedziałam.

- To dałaś do zrozumienia.

Caroline przystanęła u szczytu schodów.

- Michelle – zaczęła, czując, że traci cierpliwość. – Proszę cię bardzo. Rób, co chcesz. –

Odwróciła się i poszła korytarzem do swojej sypialni. Zdjęła buty, rozpięła szare spodnie, zostawiła wszystko na podłodze i poszła do łazienki, gołe palce u nóg zanurzając w grubym dywan. Podeszła do wanny wspartej na lwich łapach i odkręciła gorącą wodę, a potem patrzyła, jak łazienka napęlnia się parą, miłosiernie zasnuwając lustro nad umywalką i zacierając jej odbicie. Ściągnęła przez głowę biały sweter i rzuciła go na ziemię, rozpięła stanik i zdjęła majtki, patrząc, jak bielizna opada na niewielką, miętowozieloną matę kąpielową. Wchodziła właśnie do wanny, kiedy zadzwonił telefon.

Szybko owinęła się wielkim, zielonym ręcznikiem, zawróciła do sypialni i odebrała.

- Proszę się nie rozłączać – odezwał się głos, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Caroline ciężko usiadła na łóżku, serce jej mocno waliło.

- Lili?

- Strasznie przepraszam.

- Gdzie byłaś? Poleciałam do Calgary, czekałam cały dzień i noc...

- Wiem. Chciałam przyjechać.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Już byłam w drodze. A potem, sama nie wiem... Stchórzyłam.

- Nie rozumiem.

- Bałam się.

- Czego? Tego, że zostaniesz zdemaskowana jako oszustka?

- Nie jestem oszustką.
- No to czego się bałaś? Że zrobimy test i okaże się, że się myliłaś?

Chwila ciszy. A potem:

- Że się dowiem, że miałam rację.
- Nie wiem, co powiedzieć. To ty się ze mną skontaktowałaś...
- Wiem.
- Wierzyłam ci, w to, że podejrzewasz... Że uczciwie chcesz dowiedzieć się prawdy.
- Chcę.
- Zrobiłam dokładnie to, o co mnie poprosiłaś...
- Wiem.

– Spędziłam cały wieczór w hotelu, czekając przy telefonie, modląc się, żebyś zadzwoniła...

- Powiedziałam, że przepraszam.
- Wzięłam dwa dni urlopu.
- Wynagrodzę to pani.
- Jak? Ja już więcej do Calgary nie polecę.
- Ja przyjadę do pani.
- Co takiego? – Caroline nagle uświadomiła sobie, że w drzwiach ktoś stoi.
- Z kim rozmawiasz? – spytała Michelle, wchodząc do pokoju.

Caroline machnęła ręką.

– Spytałam, z kim rozmawiasz. To ona, tak? – córka wmaszerowała do pokoju i wyrwała telefon z rąk matki.

– Mówiłam ci, że ona znów zadzwoni – rzuciła, umykając przed gorączkowymi próbami Caroline, żeby jej odebrać telefon. – Posłuchaj mnie, mała kłamliwa suko...

– Michelle, proszę... Nie rób tego.

Córka ją zignorowała.

– Nie wiem, kim do cholery jesteś ani w jaką chorą gierkę sobie pogrywasz, ale przysięgam, że jeśli jeszcze raz do tego domu zadzwonisz, jeśli będziesz się w jakikolwiek sposób próbowała skontaktować z moją matką, to ja zadzwonię na policję i oni cię aresztują. Słyszysz mnie? Koniec z tym gównem. Czy wyrażam się wystarczająco jasno? – Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, a potem gniewnym ruchem rzuciła telefon na łóżko.

Caroline natychmiast skoczyła w jego stronę, złapała słuchawkę i przycisnęła do ucha.

– Lili? Lili?

– Rozłączyła się. I oczywiście zablokowała numer. Nie sprawdzisz...

– Coś ty zrobiła? – Caroline bezradnie popatrzyła na aparat, a potem na Michelle.

– Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?!

– Nie powinnaś tak z nią rozmawiać.

– Doprawdy? A jak miałam z nią rozmawiać? Och, cześć, Lili. A może wolałabyś, żebym mówiła do ciebie „Samantha”? Jak miło cię poznać. Naprawdę brakowało mi



siostry. To chciałaś, żebym jej powiedziała?

– Nie musiałaś zarzucać jej kłamstwa.

– Czemu nie? Przecież kłamie.

– Tego nie wiemy.

– Ja wiem. I ty też wiesz. Nie mówiłam ci, że tak się właśnie stanie? Nie mówiłam? Co ci powiedziała? Że przeprasza, że ci to wynagrodzi i że przyjedzie do San Diego...

Cholera, czy to woda leci? – Michelle pobiegła do łazienki.

Caroline usłyszała nagłą ciszę po zakręceniu kurka.

Córka wpadła z powrotem do pokoju, wycierając ręce o przód czarnych dżinsów.

– No, niewiele brakowało. To diabelstwo za moment by się przelało. Dobrze, że tu byłam.

– Dobrze, że tu byłaś – powtórzyła Caroline cicho.

– Taa, no cóż. Brawo ja. Kolejny kryzys zażegnany. – Wyjęła telefon z dłoni matki i wsunęła go do kieszeni własnych dżinsów. – Na wszelki wypadek – powiedziała.

A potem podeszła do drzwi sypialni. – Będę u siebie. Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

– Nie będę potrzebowała niczego.

– Domyślam się.

Kiedy Caroline znów spojrzała w stronę drzwi, Michelle w nich nie było.

## ROZDZIAŁ 12

# Czternaście lat temu

– Pan Wolford teraz panią przyjmie.

Caroline uśmiechnęła się do młodej kobiety, najmłodszej i najładniejszej z trzech sekretarek siedzących za kontuarem recepcji w głównym biurze Liceum Waszyngtona. Milcząco żegnając się z żującą gumę nastolatką skuloną na sąsiednim krześle, podniosła się z tego niewygodnego drewnianego siedzenia, jednego z czterech ustawionych pod ścianą niewielkiej poczekalni, gdzie przesiedziała niemal dwadzieścia minut. Wsunęła kosmyki włosów za uszy i wygładziła fałdy ciemnogrnatowej sukienki, a potem ruszyła za rumianą młodą kobietą do gabinetu Barry’ego Wolforda, ignorując ukradkowe spojrzenia pozostałych sekretarek. O mało przy tym nie wpadła na chudego, wysokiego chłopaka, który właśnie z gabinetu dyrektora wychodził.

– Co się mówi, Ricky? – zagrzemiał męski głos z głębi pomieszczenia.

– Przepraszam – wybąkał chłopak w stronę Caroline, oczy twardo wbijając w podłogę.

– To moja wina – przyznała w odpowiedzi. Wszystko moja wina.

– Nastolatki – westchnął Barry Wolford, wskazując Caroline krzesło ustawione na wprost jego biurka. Dobiegał pięćdziesiątki i łysiał, a pod pachami jego bladożółtej koszuli bez krawata widać było plamy potu. – Tracy, proszę, przymknij drzwi.

Na gładkiej twarzy Tracy wymalowało się rozczarowanie, kąciki koralowych ust nieco opadły. Niewątpliwie ona i pozostałe sekretarki liczyły, że podsłuchają urywki rozmowy szefa z osławioną Caroline Shipley. Caroline dosłyszała ich szept, kiedy czekała na to spotkanie. „Naprawdę? Uważa, że dostanie tu pracę? Wolford zwariował, jeśli ją zatrudni. Co by sobie pomyśleli rodzice?”

– Przepraszam, że kazałem pani czekać. – Ciężka postać Barry’ego Wolforda zasiadła na drewnianym, obrotowym krześle z wygiętym oparciem, za zarzuconym papierami biurkiem. Dyrektor odchrząknął i uśmiechnął się. Ten uśmiech był w najlepszym razie wymuszony, nie sięgnął jego oczu. Caroline natychmiast pojęła, że rozmowa przebiegnie tak samo jak poprzednie, które już zdążyła odbyć w innych okolicznych szkołach w ciągu minionych czterech miesięcy, czyli raczej nie pozytywnie.

Nie była pewna, na ile takich spotkań zdoła się jeszcze zdobyć. Trzeba było całej pozostałej jej odwagi i resztek szacunku dla samej siebie, żeby wystawiać się na ciosy, próbując wrócić do pracy. Wiedziała, że napotka opór przeciwko ponownemu jej

zatrudnieniu, że Rada Okręgowa Szkół San Diego będzie niechętnie patrzeć na jej podanie, że w każdej szkole dość odważnej, żeby ją przyjąć, pojawi się sprzeciw rodziców. Ale co innego jej pozostało? Wariowała od siedzenia w domu, od użalania się nad sobą, od czekania przy telefonie na jakieś wiadomości o Samancie, wiadomości, które nigdy nie nadchodziły.

– A więc, widzę, że uczyła pani matematyki...

– W Liceum Herberta Hoovera, tak. Przez cztery lata. Zawsze kochałam ten przedmiot. Mój ojciec był matematykiem...

– Jak rozumiem, u Hoovera już pani z kimś rozmawiała? – przerwał.

– Owszem, tak. Nie mieli żadnego etatu.

– Nie dziwię się, przy tym wszystkim.

– Przy wszystkim?

– Już od jakiegoś czasu pani nie pracuje.

– Tak. Tak, zgadza się. Ale kwalifikacje nadal mam...

– To wspaniale. Jednak pechowo dla osoby takiej jak pani, mamy ostatnio zalew chętnych nauczycieli.

– Tak mi mówiono.

– Codziennie pojawiają się pełni dobrej woli posiadacze świeżych dyplomów. Trudno wrócić na rynek pracy, kiedy się konkuruje z tymi wszystkimi młodymi zaraz po studiach.

– Z drugiej strony, nabyte doświadczenie też bywa atutem.

– Święta prawda – zgodził się, a Caroline poczuła nagły przypływ nadziei. – Czy mogę spytać, czemu przestała pani uczyć?

Przełknęła ślinę.

– Hm... Zwykle powody, jak sądzę. Rodzina, dzieci...

– Tak, one z pewnością człowieka ograniczają.

– No cóż... To nie do końca to, co chciałam powiedzieć.

– Mówi pani, że zrezygnowała z pracy, żeby opiekować się dziećmi – sparafrazował Wolford. Uniósł pióro, jakby chciał coś zanotować, ale potem odłożył je, niczego nie zapisawszy. – Nie ma większej satysfakcji niż rola rodzica.

Caroline skinęła głową.

– Sam mam czwórkę. – Obrócił w jej stronę kilka oprawionych fotografii ustawionych na biurku.

– Uroczę dzieci – powiedziała, zerknąwszy na uśmiechnięte twarze jego rodziny.

– Nie zawsze jest łatwo, oczywiście. Ale kto twierdził, że rodzicom będzie łatwo?

Caroline spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej zaledwie jakiś grymas. Chciała wierzyć, że Barry Wolford stara się tylko prowadzić rozmowę, że jego uwagi są niewinne. Czy to możliwe, że on nie ma pojęcia, kim ona jest? Od ponad roku jej zdjęcia były wszędzie w prasie i telewizji. W zeszłym tygodniu minęła pierwsza rocznica zniknięcia Samantha i zdawało się, że każda gazeta w kraju ten fakt odnotowała. Caroline trafiła nawet na okładkę „People”, stała na zdjęciu wyprostowana, z pustym

spojrzeniem, pod sensacyjnym nagłówkiem „Co się stało z małą Samantha?”. Jej nazwisko było znane praktycznie w każdym domu i stało się synonimem niewłaściwego rodzicielstwa. Czy to możliwe, że on jej naprawdę nie poznał?

– Ile dzieci pani ma, jeśli wolno spytać?

– Moja córka ma sześć lat – odparła, usiłując mówić spokojnie.

– Przepraszam, zdawało mi się, że wcześniej powiedziała pani, że ma „dzieci” – sondował.

– Tak. Hm... Czy to ważne?

– Tylko jeśli uzna pani, że dzieci są ważne. Niektórzy tak uważają. Niektórzy nie.

Caroline poczuła, że coś ją ściska w żołądku.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem.

– Jak to się mówi... Co z oczu, to z serca?

– Proszę pana, o co panu tak właściwie chodzi?

– Próbuję tylko dowiedzieć się, jakie motywy ma ktoś taki jak pani.

– Ktoś taki jak ja?

– Kobieta, która zostawia dwoje małych dzieci bez opieki w meksykańskim pokoju hotelowym, żeby iść balować z przyjaciółmi...

A więc wiedział, kim ona jest, wiedział to od początku. Okrutnie się jej kosztem zabawiał. Zakładając, oczywiście, że to najmniejsza z jej przewin.

Caroline poderwała się na nogi, chociaż oburzenie nie pozwoliło jej z miejsca wyjść.

– W Liceum Waszyngtona nie ma żadnego etatu dla pani – powiedział Barry Wolford, wstając i pochylając się groźnie nad biurkiem. – I nie będzie go, póki ja tu jestem dyrektorem.

– Po co pan to robi? Dlaczego w ogóle zawracał pan sobie głowę umówieniem tego spotkania?

– Chciałem po prostu poznać słynną Caroline Shipley, przekonać się, czy faktycznie będzie miała dość czelności, by się tu pokazać. Choć nie wiem, czemu się dziwię. Widać wyraźnie, że jest pani pozbawiona wstydu.

Myli się pan, pomyślała Caroline. Wstyd to wszystko, co mi pozostało.

– Szczerze mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby którakolwiek szkoła w tym mieście zdecydowała się zatrudnić kogoś równie nieodpowiedzialnego...

– Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi.

– Doprawdy? Wiem, że kobieta, która nie potrafi zadbać o własne dzieci, nie ma nic do roboty przy opiece nad cudzymi. Wiem, że powinna się pani wstydzić pokazywać na oczy przyzwoitym, bogobożnym członkom społeczeństwa.

– A idź do diabła – szepnęła Caroline.

– Pani przodem – odparł.

Za późno, pomyślała Caroline, uciekając stamtąd. Przecież ja już jestem w piekle.

Chociaż był to dzień powszedni, Balboa Park był zatłoczony. Jak zawsze. To znane miejsce stanowiło serce San Diego od początku dwudziestego wieku. Pełno tu było bujnych ogrodów, muzeów, teatrów i pięknych pawilonów w hiszpańskim stylu. Mieściło też znane na cały świat Zoo San Diego. Park przyciągał tysiące ludzi, zarówno turystów, jak i miejscowych, codziennie, każdego dnia w tygodniu, jak rok długi. Caroline przychodziła tu często przez ten miniony rok, spacerowała po okolicy i usiłowała zagubić się w tłumie.

Usiadła ciężko na pobliskiej ławce. Jak odkryła, w tłumie wcale niełatwo się zagubić. Mimo że San Diego to ósme co do wielkości miasto w Stanach Zjednoczonych, a drugie w Kalifornii, z populacją sięgającą miliona trzystu tysięcy, i tak w gruncie rzeczy było miastem małym. W małym mieście zaś trudno stać się niedostrzegalnym.

Zaraz po powrocie z Rosarito spędzała w tym wielkim parku całe dni, chodząc od jednego ogrodu do drugiego, od jednej atrakcji do kolejnej, zaglądając w twarz każdemu małemu dziecku, szukając wzrokiem Samantha pod każdym miękkim kapturkiem osłaniającym od słońca, w każdej sylwetce uśpionej w ramionach ojca czy trzymającej główkę na jego ramieniu. Ile razy zaglądała ukradkiem do przejeżdżających dziecięcych wózków, przekonana, że może w nim dostrzec słodką buzię swojej córki? Bo przecież to było niewykłuczone? Prawda?

Nawet jeśli ktoś, kto ją porwał, przystrzygł i ufarbował jej włosy, w jakiś sposób sprawił, że dziecko byłoby nie do rozpoznania, Caroline miała pewność, że Samanthę pozna natychmiast. Matka zna swoje dziecko, nieważne ile lat upłynie. Dobry Boże, pomyślała teraz. Mojego dziecka nie ma już ponad rok.

– Przepraszam. Jakiś problem? – spytała młoda kobieta gdzieś tuż obok niej, tonem bliskim oskarżenia.

Caroline spojrzała uważniej. Ta kobieta siedziała na drugim krańcu ławki i karmiła piersią niemowlę, a ona widocznie przypatrywała jej się bezwiednie od jakiegoś czasu.

– Mam prawo to robić – powiedziała kobieta. Była młodsza od Caroline, miała długie, jasne włosy i mocno podkrążone oczy, zapewne z braku snu.

– Przepraszam. Zamyśliłam się na parę chwil. Nie chciałam się gapić.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Wiem, kim pani jest – powiedziała powoli. – To pani dziecko zaginęło w Meksyku.

Caroline natychmiast wstała.

– Zrobiła to pani? – Usłyszała, że kobieta woła za nią. – Zabiła pani własne dziecko?

\*

– Bardzo późno wracasz – powiedziała Caroline, kiedy Hunter wszedł do domu po dziewiątej tego wieczoru.

– Przepraszam. Partnerzy zwołali nadzwyczajne spotkanie. Wlokło się bez końca. Potem poszedłem na siłownię, trochę się odprężyć.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Hunter został partnerem w swojej prestiżowej

kancelarii prawnej dwa miesiące wcześniej, ale wątpiła, żeby tam właśnie dzisiaj przesiadywał. Zbyt wiele było tych nadprogramowych zebrań, zbyt wiele tych późnych wieczorów odprężania się na siłowni. Z zainteresowaniem zauważyła, że mężowi dostała się tylko niewielka część jadu, jaki stał się jej udziałem w następstwie zaginięcia Samantha, że jego kariera wręcz nabrała rozmachu. Właściwie dlaczego nie? Klienci Huntera nie należeli do osób, którym skandal jakoś przesadnie by przeszkadzał. Póki robił, co do niego należało, póki nadal skutecznie negocjował umowy i fuzje, póki można było liczyć, że dzięki niemu się zarobi, stanowił atut, nieważne co się działo w jego osobistym życiu. Jak na ironię, dzięki tragicznej stracie córki wypadł bardziej nobliwie. To Caroline pozostało dźwigać brzemień ich winy.

– Co tu robisz, czemu siedzisz po ciemku? – Włączył lampę obok sofy i zdjął marynarkę. Caroline osłoniła dłonią oczy przed niechcianym światłem. – Michelle śpi?

– Tak.

– Miałaś z nią kłopoty?

– Jak zwykle. Chciała do babci Mary. Według niej, babcia czyta na dobranoc znacznie lepiej niż ja. Przyjemnie pachniesz – dodała, raczej czyniąc obserwację, niż obdarzając go komplementem.

– Wziąłem prysznic – rzucił swobodnym tonem. – Mocno się spociłem. – Usiadł w jednym z dwóch beżowych, głębokich foteli naprzeciw żony usadowionej na złoto-beżowej, pasiastej sofie. – Jak poszła rozmowa?

– Kiepsko.

– Przykro mi.

Caroline wzruszyła ramionami.

– Coś się w końcu pojawi.

– Wątpię. Zdaje się, że wielu ludziom niespecjalnie przypada do gustu myśl, że ktoś, kto być może zamordował własne dziecko, miałby się opiekować ich potomstwem. Wyobraź sobie.

Hunter westchnął.

– Może za bardzo się pośpieszyłaś. Może jest jeszcze za wcześnie. Może powinnaś działać wolniej, umieścić swoje nazwisko na liście kandydatów na zastępstwa...

– Zrobiłam tak parę miesięcy temu – powiedziała z irytacją, zmęczona tymi wszystkimi „może”. – Trudno powiedzieć, żeby telefon się urywał od propozycji.

– No cóż, grudzień to szczególnie trudny miesiąc.

Grudzień, powtórzyła Caroline, wybiegając w myślach w stronę świąt. Czy to możliwe, że już zaraz Gwiazdka? Ostatnie święta spędziła w Meksyku, zrozpaczona i samotna, czekając na jakieś wieści w sprawie córki. Błagała Huntera, żeby do niej wrócił, on błagał ją, żeby przyjechała do domu. Michelle jej potrzebowała, powtarzał wielokrotnie. On jej potrzebował. Ale jak mogła wyjechać? Jak mogła jechać dokądkolwiek bez swojego dziecka? Nie, powiedziała mu wtedy. Nie może pojechać, nigdzie się nie ruszy, dopóki Samantha nie znajdzie się bezpiecznie w jej ramionach.

Ale po dwóch miesiącach niegrzecznych indagacji ze strony policji, dwóch

miesiącach braku jakichkolwiek odpowiedzi, wśród straconych szans i tropów wiodących donikąd, coraz wyraźniej formułowanych oskarżeń i coraz mniej wyraźnych rezultatów, wreszcie poddała się i wróciła do San Diego, sama i pokonana. Chociaż tak do końca nie sama. Wszędzie czaili się reporterzy. Ludzie wiecznie się gapili. Osądzali ją. Obwiniali.

– Myślałem, że może powinniśmy w te święta przystroić dom – odezwał się Hunter. – Michelle pytała o choinkę.

Caroline usiłowała zrozumieć jego sugestię. Zbliżał się sezon świąteczny. Jej matka uparła się, że zorganizuje swój zwykły obiad na Dzień Dziękczynienia, chociaż spotkanie udało się średnio, a nikt z uczestników nie był w szczególnie dziękczynnym nastroju. Steve i Becky ledwie mogli na siebie patrzeć, co dopiero mówić o dialogu. Caroline i Hunter na indyka ochotę mieli średnią i jeszcze mniejszy apetyt na siebie nawzajem. Jedenasta rocznica ślubu minęła im bez choćby pocałunku dla jej uczczenia. A teraz on mówił o przystrojeniu bożonarodzeniowego drzewka, jakby rozmowa o takich rzeczach stanowiła najnaturalniejszą sprawę pod słońcem, jakby przyszedł czas odłożyć na bok cierpienie, zaakceptować to, co się stało, i żyć dalej.

Opuściła głowę. Była niesprawiedliwa i sama to widziała. Ktoś musiał być praktyczny, ktoś musiał zadbać o codzienną egzystencję. Ktoś musiał troszczyć się o Michelle, zapewnić, że jej potrzeby nie zostaną zapomniane. Dziecko miało pełne prawo cieszyć się kolorową oprawą świąt. Hunter miał rację, chcąc jej dać taką możliwość. Caroline wiedziała, że powinna być mu wdzięczna. W tych ostatnich miesiącach był taki uważny dla Michelle, nigdy nie podnosił na nią głosu, nie tracił wobec niej cierpliwości, jakby usiłował nadrobić wszystkie swoje wcześniejsze niedociągnięcia w roli ojca.

Dostrzegła nagły cień zmartwienia w jego oczach.

– Co? – spytała. – Co się stało?

Hunter odgarnął włosy z czoła gestem, który sygnalizował, że zaraz podzieli się z nią jakąś ważną według niego informacją.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć i chciałbym, żebyś przyjęła to spokojnie – zaczął.

Caroline poczuła, że jej puls przyśpiesza. Czyżby chciał zrzucić z serca prawdę o tym, gdzie był dziś wieczorem, o romansie, który, według jej podejrzeń, miał? Była prawie pewna, że tych romansów zaliczył w minionym roku więcej. Zastanawiała się, ile razy zdradził ją od powrotu z Meksyku. Ale nie była pewna, czy ma siłę poradzić sobie z jego szczerością akurat teraz.

– Rozmawiałem dziś rano z Ramosem – oznajmił, zaskakując ją.

– Dziś rano? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Teraz ci mówię.

– Dzwoniłeś do niego?

– On zadzwonił do mnie.

– Co? Po co? Czy znaleźli...

– Nie.

– Na litość boską, Hunter. Wykrztuś to. Co ten człowiek mówił?

– Wygląda na to, że wczoraj jeden z pracowników hotelu został aresztowany za molestowanie swojej siostrzenicy.

Słowa uderzyły Caroline z siłą dobrze wymierzonego ciosu w brzuch. Zgięła się wpół, nie mogąc nabrać powietrza w płuca. Objęła się ramionami, zaczęła kołysać w tył i w przód.

– Molestowanie? Co masz na myśli? – spytała, kiedy była już w stanie wyprostować się i odzyskała głos.

– Jak to co mam na myśli?

– Zgwałcił ją?

– Ramos ujął to tak, że ją „napastował”.

– I uważają, że mógł też „napastować” Samanthę?

– Tego nie wiedzą. Nadal go przesłuchują. Na razie zaprzecza, żeby wiedział cokolwiek o tym, co spotkało Samanthę.

– No oczywiście, że temu zaprzecza. Ale pracował w hotelu wtedy, kiedy ona zniknęła?

– Tak.

– I nikt nie wiedział, że mają na etacie pedofila?

– A skąd mieli wiedzieć? Nie był notowany. Nigdy go o nic nie oskarżono.

– Ale nie ma wątpliwości, że molestował siostrzenicę.

– Jak widać nie.

– O Boże, Hunter. Myślisz, że to możliwe? Sądzisz, że...?

– Nic nie będę sądził, dopóki nie wyjdą na jaw wszystkie fakty.

Caroline poderwała się z miejsca. Niech go diabli porwą za tę prawniczą gadaninę.

– Musimy tam pojechać.

– Co ty wygadujesz?

– Musimy zobaczyć tego człowieka. Skonfrontować się z nim.

– Oni nie pozwolą nam go zobaczyć, Caroline. Nie pozwolą nam z nim rozmawiać.

Nie pozwolą nam w ogóle się do niego zbliżyć.

– Nie obchodzi mnie to. Jadę tam.

– Nigdzie nie pojedziesz. Właśnie dlatego nie powiedziałem ci wcześniej. Panikujesz, reagujesz irracjonalnie.

– Co ty sugerujesz? Że mamy siedzieć tutaj beczynnienie?

– Nic nie możemy zrobić. Ramos obiecał, że będzie nas informował.

– Jakież to uspokajające. – Ukryła twarz w dłoniach.

– Chodź do łóżka – powiedział Hunter po paru minutach.

Caroline pokręciła głową, nawet nie chcąc na niego spojrzeć. Usiłowała nie żywić do niego odrazy za to opanowanie, za tę umiejętność podchodzenia do wszystkiego rozumowo i szufladkowania, za determinację, z jaką zachowywał spokój i koncentrację, nie pozwalając, by emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Jakże mu zazdrościła zdolności pogrążenia się w pracy, ucieczki w pasmo romansów bez



znaczenia. Jak go za to wszystko nienawidziła...

Hunter odczekał kolejną minutę, a potem wyciągnął rękę i zgasił lampę. Caroline poczuła na ramieniu muśnięcie jego ręki, ale nie otworzyła oczu, póki nie nabrała pewności, że mąż wyszedł, zabierając ze sobą słodkawy, mydlany zapach swojej najnowszej zdrady.

## ROZDZIAŁ 13

# Dzisiaj

– No dobrze. Dziś chciałabym wam opowiedzieć, w jaki sposób możemy wykorzystać matematykę w codziennym życiu – zaczęła Caroline, usiłując wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu w dwudziestotrzyosobowej drugiej licealnej. Uczniowie, niemal tyle samo chłopców co dziewczyn, patrzyli na nią beznamiętnie, każda kolejna twarz jeszcze bardziej pusta. – Wiem, że niektórzy z was sądzą, że ani algebra, ani trygonometria, ani geometria, w zasadzie żadna dziedzina matematyki nie przydaje się do niczego – ciągnęła, wspominając częste uwagi Michelle – ale w gruncie rzeczy z jakiejś formy matematyki korzystamy codziennie, rozwiązując różne zagadnienia. A jeśli tego nie robimy, to powinniśmy zacząć. – Rozejrzała się po pięciu rzędach stolików z nadzieją, że dostrzeże choć jedno potakujące skinienie głową, jeden błysk zainteresowania wśród szklanych spojrzeń, niczego takiego jednak nie zobaczyła. – Na przykład astronomia. Astronom musi stosować koncepcje algebraiczne i trygonometryczne, chcąc określić odległość między planetami czy gwiazdami. A taki geodeta – mówiła dalej, zdając sobie sprawę, że potencjalnych astronomów w tej sali raczej nie ma – geodeta musi precyzyjnie określać lokalizację i wymiary różnych punktów w terenie, wzniesień i obszarów, koniecznych do sporządzania map czy wytyczania działek ziemi. – Kolejna mało prawdopodobna perspektywa. – A na prostszym poziomie, powiedzmy, że chcemy określić wysokość jakiegoś budynku czy drzewa. Możemy to zrobić, znając odległość, jaka nas od tego budynku czy drzewa dzieli. Jak dotąd wszyscy rozumieją? Ktoś chce o coś spytać?

Nie uniosła się żadna ręka.

– No dobrze, to przejdźmy do konkretnego zadania.

– A może nie? – mruknął jakiś chłopięcy głos z tyłu klasy. Joey Prescott, klasowy dowcipniś. Średniego wzrostu, ze zmierzwioną czupryną, raczej mięśniak niż mózgowiec.

– Dobrze, Joey – powiedziała Caroline. – Załóżmy, że twoja mama chce kupić tkaną na szerokich krosnach wykładzinę do pokoju, który ma sześć metrów długości i trzy szerokości.

– Co to są szerokie krosna? – spytał.

Caroline uśmiechnęła się.

– Robi się na nich wykładziny podłogowe.

– Moja mama nie lubi wykładzin. Woli parkiety.

Z przodu klasy dobiegło kilka chichotów, z tyłu jeden otwarty wybuch śmiechu. Caroline dobrze знаła ten śmiech: Zack Appleby. Jeśli Joey był klaunem, to Zack typowym błaznem.

– Zack – powiedziała, patrząc przeciągle na piegowatego chłopaka. – A co twoja matka sądzi o szerokich krosnach?

Zack spojrział na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Co?

– Ludzie, ocknijcie się. Wszyscy zjedliście za wiele świątecznego indyka w zeszłym tygodniu?

Z trzeciego krzesła w drugim rzędzie jakaś dłoń wystrzeliła w górę .

Dzięki Bogu, pomyślała Caroline. Chociaż jedna osoba się stara.

– Fiona?

– Czy mogę prosić o powtórzenie pytania? – odezwała się dziewczyna.

Caroline przygryzła dolną wargę.

– Twoja matka chce kupić wykładzinę do pokoju, który ma sześć metrów długości i trzy szerokości.

– Jej matka też? – zawołał Joey. – Mam nadzieję, że w sklepie mają zapas.

Kolejne śmiechy. Nawet Caroline zachichotała.

– Wykładzina kosztuje sto czterdzieści dziewięć dolarów pięćdziesiąt centów za metr kwadratowy – kontynuowała, przenosząc wzrok z Fiony na dziewczynę siedzącą obok niej i zawzięcie przygryzającą kosmyk swoich długich, jasnych włosów. – Daphne, czy możesz nam powiedzieć, jak obliczyć całkowity koszt wykładziny?

Daphne wzruszyła ramionami i dalej żuła kosmyk.

Dasz radę, zagrzewała ją milcząco Caroline. Wystarczy, że spróbujesz. Pomogę ci, jeśli mi pozwolisz.

Zacząła znów uczyć dwanaście lat temu, po swoim rozwodzie. Jakies dwa lata po zniknięciu Samantha ich małżeństwo wreszcie dojrzało do mety, ale musiał minąć kolejny rok, zanim znalazła dyrektora szkoły dość odważnego, żeby ją zatrudnił. Niestety, nie okazał się na tyle odważny, by ją na etacie zatrzymać, i dwa lata później, po samobójczej śmierci jednego z uczniów, poprosił, by zrezygnowała z posady. Wielokrotnie tłumaczył, że wcale jej za to samobójstwo nie obwinia. Wiedział, że śmierć chłopaka nie była jej winą. Ale gdyby miało się roznieść, że uczeń jednej z jej klas zabił się... Jeśli rodzice się dowiedzą... Jeśli sprawę zwącha prasa... Z jej historią...

Niech się pan nie obawia, powiedziała mu wtedy i odeszła.

W następnym roku zatrudniono ją jako nauczycielkę matematyki w liceum Golden Hill. Poproszono ją o odejście pięć lat później, kiedy historia samobójstwa tamtego chłopaka faktycznie przedostała się do gazet. Dwa lata później znalazła posadę w Jarvis Collegiate, średniej wielkości, przeciętnym liceum zlokalizowanym we wschodnim San Diego i tu nadal uczyła, choć przy ostatnim rozgłosie, każdym brudnym szczególe jej

życia znów wyciągniętym na światło dzienne, nie miała pojęcia, jak długo potrwa, zanim po raz kolejny zostanie poproszona, by po cichu złożyła rezygnację.

Czy zdoła przetrwać kolejny druzgocący cios? Nauczanie było jedyną rzeczą, która pozwalała jej zachować zdrowe zmysły, tym wyjątkowym obszarem życia, w którym odczuwała jakąkolwiek realną satysfakcję. I była w tym zawodzie dobra. Nie, więcej niż dobra. Miała prawdziwy dar, umiała dotrzeć nawet do najbardziej opornych uczniów.

Chociaż nie wszystkich, napomniała samą siebie.

– Musisz wiedzieć, ile tej wykładziny będziesz potrzebować, prawda? – kontynuowała, odrywając się od niepokojących myśli. – A więc przede wszystkim musisz obliczyć całkowitą powierzchnię pokoju. – Zapisała kredą na tablicy:

$$\begin{aligned} \text{Powierzchnia} &= \text{długość} \times \text{szerokość} \\ &= 6 \times 3 \end{aligned}$$

$$= 18 \text{ metrów kwadratowych}$$

Pod spodem napisała:

$$\text{Cena} = 149,5 \$ \times 1 \text{ metr kwadratowy}$$

– A więc całkowity koszt to będzie powierzchnia w metrach kwadratowych pomnożona przez cenę za metr kwadratowy. Nadążacie?

Znów żadnej reakcji, żadnej uniesionej dłoni.

Wskazała na równanie na tablicy.

– Sześć razy trzy daje osiemnaście. Osiemnaście pomnożone przez sto czterdzieści dziewięć pięćdziesiąt to jest...?

– Dwa tysiące sześćset dziewięćdziesiąt jeden dolarów! – zawołał Rob Kearny.

– Dokładnie. Bardzo dobrze, Rob.

Chłopak dumnym gestem uniósł smartfon nad głowę.

– Nie powinieneś włączać go w klasie – upomniała go Caroline. Satysfakcja okazała się przelotna.

– A jak inaczej miałbym obliczyć odpowiedź?

– Mogłeś popracować głową.

– Rob woli pracować języczkiem – zawołał Joey Prescott. Reszta klasy wybuchnęła gromkim śmiechem.

Caroline zdusiła uśmiech.

– No dobrze, uspokójcie się wszyscy. Czy to zadanie jest dla was jasne? Czy ktoś ma jakieś pytania?

Addison Snider uniosła rękę.

– Addison?

– Święto Dziękczynienia minęło pani miło?

Klasa nagle uciszyła się, czekając na jej odpowiedź.

– Bardzo miło, dziękuję. Ale miałam na myśli pytania związane z lekcją.

Caroline wyczuła jakieś poruszenie w kącie sali, zobaczyła, że Vicky Garner upuściła

coś na blat stolika dziewczyny siedzącej za nią.

– Co to jest? Stephanie, co ci podała przed chwilą Vicky?

– Nic – odparła Stephanie, chociaż jej chuda twarz mówiła co innego.

– Proszę mi to pokazać.

Stephanie opuściła wzrok na podłogę, a potem wstała z miejsca i wyciągnęła w jej stronę trzymany w dłoni wycinek z gazety.

Caroline zorientowała się, co to jest, zanim jeszcze zobaczyła słodką buzię swojej córki patrzącą ze zdjęcia. Odłożyła artykuł na biurko. Spodziewała się czegoś w tym stylu.

– No dobrze. Widzieliście gazety i na pewno macie mnóstwo pytań, więc miejmy to już z głowy. Co chcecie wiedzieć?

Cisza. Najwyraźniej klasa była równie zdumiona tym jej bezpośrednim pytaniem, jak ona sama faktem, że je zadała.

– Myśli pani, że córka kiedyś się znajdzie? – spytała cicho Vicky.

– Nie wiem. Mam taką nadzieję.

Tak naprawdę na imię mam chyba Samantha.

Dłoń Daphne wystrzeliła w powietrze.

– Jak pani sądzi, co się z nią stało?

– Myślę, że ktoś ją porwał.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Myśli pani, że ona nadal żyje?

Chyba jestem pani córką.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tak – powtórzyła.

– A tamten chłopak? – spytał Joey z tyłu klasy. – Ten, co się zabił.

– Ale o co chodzi?

– Czy on naprawdę zabił się przez panią?

Przez klasę przebiegła fala cichych szeptów.

– Zamknij się, Joey! – powiedział ktoś.

Caroline usiłowała zachować spokój, mówić równym głosem.

– Nie, to nieprawda.

– No to co się stało?

Wzięła głęboki oddech, potem kolejny.

– Był jednym z moich uczniów. Źle sobie radził. Nie tylko z mojego przedmiotu. Ze wszystkich. – Nie dam rady, pomyślała, spoglądając w stronę zegara na ścianie, modląc się w duchu, żeby dzwonek zadzwonił i ją uratował. Ale było dopiero pięć minut po dziesiątej. Jeszcze cały kwadrans do końca lekcji. – Miał za sobą historię zaburzeń depresyjnych. Usiłowałam mu pomóc, ale...

– Jak on to zrobił?

– Powiesił się.

Szmery stały się głośniejsze, przebiegały od jednej osoby do drugiej jak łańcuch

przewracanych kostek domina.

– Straszne – szepnęła Stephanie.

– To nie była pani wina – zdecydowała Vicky.

– Pani jest bardzo dobrą nauczycielką – dodała Daphne. – Jeśli pani mu nie pomogła, to nikt inny też by nie mógł.

Oczy Caroline napełniły się łzami.

– To niesprawiedliwe, że oni panią obwiniali – powiedział Joey Prescott.

Caroline ciężko usiadła na krześle za biurkiem, jej ciało aż zwiotczało z ulgi, a serce przepełniła miłość do tych dzieci, które w jakiś sposób zdołały przetrwać do nastoletnich lat relatywnie zdrowe i całe. Przy całej swojej zuchwałości nadal byli dość naiwni, by wierzyć, że życie powinno być sprawiedliwe.

\*

– Dobrze, więc w jednym koszyku mamy cztery kalafiory i pięć główek sałaty kosztujące razem osiem czterdzieści, w drugim sześć kalafiorów i dwie sałaty kosztujące razem osiem dwadzieścia, a naszym zadaniem jest ustalić cenę jednego kalafiora i jednej główki sałaty. Co mamy zrobić najpierw?

– Kupić hot dogi! – zawołał ktoś.

– Niech  $x$  oznacza cenę jednego kalafiora – kontynuowała Caroline, ignorując przerywnik i zapisując informację na tablicy. Jeśli jest trzynasta czterdzieści pięć, to do końca lekcji zostało jeszcze pięć minut, a potem są jeszcze dwie lekcje aż do końca dnia...

– A  $y$  niech oznacza cenę główki sałaty – wyrwał się na ochotnika Jason Campbell.

– Bardzo dobrze. Dziękuję, Jason.

Telefon na ścianie za jej biurkiem zadzwonił, sygnalizując połączenie z sekretariatu. Caroline przeprosiła klasę i odwróciła się w jego stronę.

– Słyszeliście? Joey Prescott spytał ją o tego chłopaka, co się zabił – szepnął ktoś, kiedy stanęła plecami do klasy.

– Ojacie. I co powiedziała?

Caroline ignorowała te głosy. Odebrała telefon.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się głos z drugiej strony. – Ma pani pilny z miasta.

Odwiesiła słuchawkę.

– Zaraz wracam – rzuciła i wyszła z klasy bez dalszych wyjaśnień.

– Dokąd ona idzie?

– Może jeszcze ktoś ze sobą skończył.

Szła szybko długim, zalatującym stęchlizną korytarzem w stronę sekretariatu, przebiegając myślami całą listę możliwych nadzwyczajnych okoliczności, niektórych zbyt daleko idących, innych aż zanadto prawdopodobnych: Michelle znów

aresztowano, tym razem za jazdę po pijanemu na autostradzie, matka Caroline dostała udaru, brata zastrzelił jeden z kompanów, bo nie zdołał spłacić karcianego długu, kolejny z jej uczniów faktycznie ze sobą skończył.

Sekretarka czekała z niespokojną miną na swojej jastrzębiej twarzy, kiedy wpadła do biura. Chwyciła słuchawkę z wyciągniętej dłoni kobiety.

– Nie chciała mi podać nazwiska – powiedziała tamta, gdy Caroline unosiła słuchawkę do ucha.

Jeśli Michelle ma metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i waży czterdzieści dziewięć kilo, a pije pięć razy tyle, ile je, ma na koncie cztery niezapłacone mandaty za złe parkowanie i aresztowanie za jazdę pod wpływem, to ile jeszcze jest szans, że zdoła jakoś spieprzyć sobie życie?

– Halo?

– Tu Lili.

Pokój zakołysał się. Cichy szmer oświetlających go, wbudowanych w sufit jarzeniówek wzmógł się i stał tak natarczywy, jak brzęczenie rozzłoszczonego roju pszczół.

– Jak mnie znalazłaś?

– Sprawdziłam w sieci, gdzie pani pracuje.

– Ta informacja jest w sieci? – Caroline popatrzyła na sekretarkę, która udawała, że coś czyta na monitorze swojego komputera. Ile jeszcze z jej życia jest dostępne do wglądu dla każdego? Czy zostało cokolwiek, co należałoby do niej i wyłącznie do niej?

– Czy to dobrze, że dzwonię? Bałam się znów zadzwonić do pani do domu.

– Przepraszam za to, co się stało.

– Nie szkodzi. To była Michelle, prawda? Rozumiem, czemu jest zła.

– Pamiętasz ją? – Czy możesz mi o niej powiedzieć coś, cokolwiek, czego nikt inny na świecie nie wie, tylko ty i ja, coś, co nie jest w internecie, coś, co by rozstrzygająco dowiodło...?

– Nie. Chciałabym móc powiedzieć, że tak, ale...

– Ona sądzi, że jesteś oszustką – powiedziała cicho Caroline.

– Na jej miejscu też pewnie tak bym myślała.

– No to co teraz? Naprawdę serio mówiłaś o przyjeździe do San Diego?

Nastąpiła chwila ciszy, dziewczyna głośno zaczerpnęła powietrza.

– A jaki mam wybór?

Czy ta dziewczyna była szczerą, czy też Michelle miała rację? Caroline poczuła ciężar w żołądku, wspominając przewidywania córki.

– Pewnie chcesz, żebym ci przysłała pieniądze...

– Nie, już pani mówiłam, nie chcę od pani pieniędzy.

– A więc jak...?

– Jeszcze nie wiem. Muszę najpierw parę rzeczy ogarnąć.

– Więc kiedy...?

– Odezwę się do pani. Ma pani komórkę?

– Mam, tylko nigdy jej nie włączam. Michelle wiecznie mi na ten temat truje. Mówi, że to śmieszne, żeby... – Zdała sobie sprawę, że plecie głupstwa i urwała raptownie, pogrzebała w torbie i wyjęła telefon. Włączyła go i sprawdziła własny numer. – Tu go mam. – Caroline szybko podyktowała numer Lili.

– Zadzwoń do pani. – Połączenie się urwało.

– Halo? Halo, Lili? – Caroline stała bez ruchu, odtwarzając w głowie tę rozmowę od nowa. Ona na pewno uważa, że jestem idiotką, myślała. Kto nie zna własnego numeru komórkowego? Kto nigdy tego cholerstwa nie włącza? A potem kolejne myśli. Czy ta dziewczyna naprawdę nie chce jej pieniędzy? A może tylko gra na zwłokę, próbując zmaksymalizować ewentualne zyski? Już skutecznie zarzuciła wędkę i Caroline łąpczywie połknęła haczyk. Pozostało jej teraz tylko umiejętnie ściągnąć żyłkę. Czy to właśnie robiła teraz Lili?

– Wszystko w porządku? – spytała sekretarka.

Caroline oddała jej szkolny telefon.

– Jestem idiotką.

– Niech pani tak nie mówi tylko dlatego, że nie pamięta pani numeru własnej komórki... – Twarz sekretarki poczerwieniała. – Miała pani niedawno mnóstwo na głowie. A te ostatnie wiadomości w prasie...

Caroline pokiwała głową, zastanawiając się, czy dyrekcja poinformowała wszystkich o jej przeszłości już dawno temu, czy też sekretarki dowiedziały się dopiero teraz.

– Policja z Meksyku nadal nie ma pojęcia...?

– Żadnego.

Wszystkie tropy, na jakie trafił detektyw Ramos przez ostatnie półtorej dekady, prowadziły koniec końców w ten sam ślepy zaułek, wszyscy podejrzani, jakimi się zainteresował, wyslizgiwali mu się z rąk. Jeśli policja marnuje piętnaście lat, a Caroline ma za sobą piętnaście lat fałszywej nadziei, to ile jeszcze lat potrwa, zanim zupełnie straci rozum?

– Chcę tylko pani powiedzieć, że Shannon i ja nawet na sekundę nie uwierzyłyśmy, że zrobiła pani coś złego swojej córce...

– Ani na sekundę – potwierdziła Shannon.

Po raz pierwszy od wejścia do sekretariatu Caroline uświadomiła sobie, że przy swoim biurku siedzi druga sekretarka.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do obu kobiet jak umiała najszczerzej i zaczęła przesuwac się w stronę korytarza. Musiała stąd wyjść, zanim któraś z nich powie jeszcze choć jedno słowo.

– ...ani że miała pani coś wspólnego z samobójstwem tego biednego chłopca.

Za późno. Nie uciekała wystarczająco szybko. Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy, a to brzęczenie gniewnych pszczoł powróciło.

– Rozmawialiśmy właśnie, jakie to przykre, że prasa znów wszystko rozgrzebuje. Jakby nie miała pani w tej chwili dość na głowie...

Pokój wirował w kółko. I zanim Caroline się zorientowała, siedziała na podłodze,



z plecami opartymi o ścianę, ze stopami wyciągniętymi bezwładnie przed siebie, a tymczasem pomieszczenie sekretariatu wywijalo koziolki.

– Mój Boże, co się stało? – zawołała Shannon.

– Zasłabła. Wezwij pielęgniarkę.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła do niej Shannon. Przyklękła obok Caroline i klepała ją po dłoni, gdy czekały na nadejście szkolnej pielęgniarki. – Zobacz pani. Jeszcze wszystko będzie dobrze.

## ROZDZIAŁ 14

# Dziesięć lat temu

– Dobrze, wszyscy mnie teraz posłuchajcie – powiedziała Caroline na ostatniej tego dnia lekcji. – Zostały wam tylko dwa tygodnie do końcowych egzaminów...

Z gardeł dwudziestu dwojga uczniów trzeciej klasy liceum Lewisa Logana wyrwał się zbiorowy jęk.

– ...i chciałabym tych parę ostatnich minut poświęcić teraz na wskazówki, które powinny pomóc wam jak najlepiej wykorzystać czas powtórki.

– Może po prostu powie nam pani, co będzie na teście? – odezwał się jeden z chłopców jak na zawołanie. W każdej klasie zawsze był jeden chłopak, który zadawał takie samo pytanie.

– Pierwsza rzecz, jaką musicie zrobić, to tak zorganizować sobie pracę, żeby zacząć od najtrudniejszego materiału. Ja wiem, że to się może wydawać sprzeczne z intuicją, ale nie wolno wam się tego bać. Jasne? A potem trzeba podzielić materiał na mniejsze części, żeby łatwo się z nim uporać. Przekonacie się, że żaden problem nie wydaje się tak samo przytłaczający, jeśli się go podzieli na mniejsze fragmenty.

– Chyba zaczyna mnie przytłaczać depresja – odezwał się inny chłopak i klasa parsknęła śmiechem.

Wszyscy, poza Errolem Cruzem, który siedział w ostatniej ławce, żuł końcówkę ołówka i wpatrywał się w boczne okno z miną jeszcze bardziej zagubioną niż zwykle. Chudy, dość delikatnie wyglądający chłopiec o głębokich niebieskich oczach i cerze z bliznami po trądziku, nigdy nie śmiał się z głupio-mądrych uwag innych uczniów ani nie wrywał z własnymi. Nigdy nie zgłaszał się na lekcjach na ochotnika, chociaż ile razy Caroline wzywała go do tablicy, zawsze miał gotową prawidłową odpowiedź. Czasami zostawał chwilę po lekcji dopytać o coś albo omówić jakieś trudniejsze matematyczne zadanie znalezione w sieci. Albo po prostu zwlekał z powrotem do domu. Mówiło się, że jego ojciec jest gburowaty i nieprzyjemny, a żadne z rodziców nie raczyło się pojawić na ostatnich kilku wywiadówkach. Według innych nauczycieli, Errol rzadko odrabiał prace domowe i nie miał prawie żadnych szans zaliczyć tego roku, wielka szkoda, bo mimo pogarszających się stopni wykazywał prawdziwe zdolności matematyczne. Może przy odrobinie zachęty...

– Warto każdą powtórkową sesję zacząć od szybkiego przejrzenia tego, co

przerobiliście poprzedniego dnia – kontynuowała, zerkając ukradkiem na zegar ścienny. Michelle miała o czwartej wizytę u dentysty i Caroline ustaliła, że odbierze ją ze szkoły o trzeciej trzydziści. A to oznaczało, że musi wyjść równo z dzwonkiem, żeby dojechać do sztywnej prywatnej szkoły córki w Mission Hills i zabrać ją stamtąd do gabinetu, który mieścił się przy Washington Street, na wschód od Starego Miasta. Przy najlepszych układach piętnastominutowa jazda, ale w godzinach szczytu raczej półgodzinna. Nie miała czasu do stracenia. Szkoła otrzymała ściśle instrukcje, że Michelle nie może zostawać sama czy bez dozoru, ale całkowitej pewności nigdy się nie miało. – Kiedy powtarzacie materiał, starajcie się uważnie czytać wszystkie elementy poleceń i zaznaczać markerem główne pojęcia i wzory. Warto czasem wyrysować sobie jakiś diagram, żeby pojęcie stało się jaśniejsze.

Zadzwoił dzwonek. Klasa natychmiast zaczęła pakować rzeczy i wychodzić.

– Do widzenia, pani profesor – powiedział ktoś.

– Miłego wieczoru – rzucił ktoś inny.

– Dziękuję. Nawzajem. Errol... – zawołała za wychodzącym z sali chłopcem.

Zatrzymał się, stanął bez ruchu w drzwiach, z głową opuszczoną i spojrzeniem wbitym w posadzkę.

– Masz sekundę? – Zerknęła jeszcze raz na zegar. Nie miała wiele czasu w zapasie.

Michelle będzie czekać. Nie wolno jej się spóźnić.

Chłopiec powoli zawrócił w jej stronę, wpatrzył się w jakiś punkt nad jej prawym uchem, nie chciał nawiązać kontaktu wzrokowego.

– Coś się stało, proszę pani?

– Chciałam cię właśnie spytać o to samo. – Udało jej się stanąć mu na linii wzroku. –

Obserwowałam cię w klasie i nie mogłam nie zauważyć... Czy coś jest nie tak, Errol? Zdajesz mi się nieco... Sama nie wiem. Roztargniony...

Bardziej roztargniony niż zwykle, dodała w myślach.

Niebieskie oczy spojrzały na podłogę. Długa cisza, przestępowanie z nogi na nogę.

– Nie, nic mi nie jest...

– Jesteś pewien? Bo mnie się wydaje, że coś cię trapi – nie ustępowała. – Co się dzieje,

Errol? Proszę, powiedz mi. Jeśli jest coś, czego nie rozumiesz...

Nic nie powiedział, odgarnął dłonią jakiś kosmyk, który mu opadł na oczy. Caroline wydało się, że dostrzega blednący siniak nad jego prawą brwią, ale kiedy przechyliła głowę, chcąc przyjrzeć się dokładniej, potrząsnęła głową i grzywka zasłoniła mu czoło.

– W domu wszystko w porządku?

Wzruszył ramionami.

– Jasne.

– Możesz być ze mną szczerzy, Errol – powiedziała, słuchając zegara odmierzającego sekundy na ścianie nad jej głową. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– O wszystkim. Nie tylko związanym z matematyką. – Zerknęła w stronę drzwi. Jeśli nie wyjdzie stąd za minutę, to nie zdąży dowieźć Michelle na czwartą na wizytę

u dentysty.

– Pani się gdzieś śpieszy – powiedział.

– Nie. W porządku. Mam mnóstwo czasu.

– Nie, nie trzeba.

– Naprawdę mam czas.

– To nic takiego. Wszystko w porządku.

– Jesteś pewien?

Chłopiec już włókł się do wyjścia z klasy.

– Tak. Nic się nie dzieje.

– Dobrze. No to do zobaczenia jutro.

– Do widzenia.

– Do widzenia, Errol.

Patrzyła, jak zniknął w głębi korytarza, a potem zamknęła za sobą drzwi klasy, próbując otrząsnąć się z niemilego poczucia winy. Coś chłopakowi wyraźnie doskwierało. Tak samo wyraźnie widać było, że nie ma ochoty o tym mówić. Co miała zrobić? Wydusić to z niego? Zmusić siłą, żeby powiedział jej prawdę? Chociaż może przy odrobinie nalegania, odrobinie cierpliwości... Spróbuje jeszcze raz jutro, postanowiła, szybko wychodząc na parking.

Po paru minutach była już na autostradzie San Diego, jadąc w stronę Mission Bay. Za dziesięć czwarta, pełne dwadzieścia minut po godzinie, o której powinna tam się zjawić, zatrzymała się przed szkołą i przekonała, że córka siedzi na zewnętrznych schodach w towarzystwie starszej koleżanki, z jedną podkolanówką naciągniętą, a drugą zrolowaną wokół kostki niczym śpiący wąż. Ledwie dziesięć lat, a już do perfekcji doprowadziła babciną minę pełną rozczarowania światem. Caroline sięgnęła przez przednie siedzenie swojej czarnej camry i otworzyła drzwi.

Michelle pożegnała się z koleżanką i wolno zeszła po schodach. Wsiadła do samochodu i zapięła pas, nawet nie spojrzawszy na matkę.

– Spóźniłaś się – powiedziała.

\*

– Spóźniła się pani – zauważyła recepcjonistka, kiedy podeszły do kontuaru. Caroline czuła, że cała poczekalnia wbija w jej plecy pełne dezaprobaty spojrzenia. To duże, ładne pomieszczenie, gdzie czekali pacjenci do trzech dentystów, pełne było czerwonych plastikowych krzeseł stojących pod białymi ścianami. Niemal wszystkie były zajęte.

– Przepraszam. Straszny ruch na drodze.

– Doktor Saunders przyjął inną pacjentkę zamiast pani. Obawiam się, że teraz trzeba zaczekać.

Caroline pokiwała głową i uciekła w kąt poczekalni, gdzie stało jedno wolne krzesło. Usiadła, a Michelle z miejsca wskoczyła jej na kolana.

– Hej, spokojnie – powiedziała Caroline.

– O co chodzi? – spytała Michelle.

– O nic. Robisz się po prostu bardzo ciężka.

– Jestem gruba?

– Nie, oczywiście, że nie jesteś gruba. Kto powiedział, że jesteś gruba? – Chociaż nie dało się zaprzeczyć upodobaniu Michelle do śmieciowego jedzenia i słodczy. Wyrobiła sobie te przyzwyczajenia po zniknięciu Samantha, nie bez pomocy babci, która ciągle ją faszerowała wysokokalorycznymi przekąskami. Caroline nie chciała żadnej z nich tego mówić, wychodząc z założenia, że Michelle to w końcu tylko dziecko, a jej matka to, no cóż. Jej matka. Wiedziała, że to tylko wygodna wymówka, ale brakowało jej siły woli, żeby zmierzyć się z którąś z nich. Teraz jej uszu dobiegło nagłe pęknięcie balonu z gumy do żucia. – Czy ty masz gumę w ustach?

Córka przygarbiła ramiona i przewróciła oczami.

– Wypluj to. Jesteś u dentysty, na litość boską.

Michelle wypluła w zagłębienie swojej dłoni wielki kłęb różowej gumy.

– Co mam z tym zrobić?

Caroline poszukała wzrokiem kosza na śmieci, ale w poczekalni żadnego nie dostrzegła.

– Tam dalej w korytarzu jest łazienka. – Łagodnie zepchnęła córkę ze swoich kolan i wstała. – Chodź.

– Mogę iść sama.

– Idę z tobą.

– Nie.

– Tak.

– To takie krępujące. Nigdy mi nic nie wolno zrobić – poskarżyła się Michelle na tyle głośno, że zdołała zwrócić uwagę wszystkich w zasięgu słuchu, czyli w zasadzie całej poczekalni. – Nie jestem dzieckiem, jestem dużą dziewczynką.

– Daj mi po prostu tę gumę i siadaj – powiedziała Caroline. Zacerwieniła się, zupełnie jakby w jej żyłach rozprzestrzenił się pożar buszu. Zawinęła gumę w chusteczkę higieniczną i podeszła do recepcjonistki. – Przepraszam, czy mogłabym to gdzieś wyrzucić?

Recepcjonistka bez słowa podniosła w górę kosz stojący u jej stóp, a Caroline wrzuciła do środka zawiniątko, pewna, że wszystkie oczy są w nią wlepione. Kiedy się jednak obejrzała, z ulgą zauważyła, że większość osób w poczekalni albo zajęta była przyniesionymi ze sobą książkami, albo przeglądaniem rozłożonych tu nieaktualnych egzemplarzy czasopism.

Jakaś blondynka w blad różowym fartuchu wyszła do poczekalni z jednego z gabinetów.

– Pani Pearlman? – zawołała w stronę kobiety w średnim wieku siedzącej obok drzwi.

– Doktor Wang teraz panią przyjmie. – Pani Pearlman natychmiast odłożyła czytane pismo na stojący obok niej mały stolik i poszła za różowym fartuchem w stronę

gabinetu.

Caroline natychmiast usiadła na zwolnionym krześle, było jeszcze ciepłe. Michelle równie szybko wstała ze swojego krzesła pod przeciwległą ścianą i wskoczyła na kolana matki.

– Jestem głodna – oświadczyła.

Caroline sięgnęła do stolika po jakiś magazyn z modą i podała go córce.

– Masz. Poczytaj sobie.

– Mamo, patrz! – zawołała Michelle, wskazując na stolik. Oczy miała wielkie jak spodki.

Caroline popatrzyła na stos starych czasopism z rosnącym przerażeniem. Z samej góry stosu patrzyła na nią jej własna postać. Stała wyprostowana jak struna obok Huntera na znajomym zdjęciu zrobionym w czasie konferencji prasowej w Rosarito. „Pięć lat później” grzmiał nagłówek pisma z datą z ostatniego listopada. „Gdzie jest Samantha Shipley?”.

– Dlaczego twoje zdjęcie jest w gazecie? – spytała Michelle, stukając palcem w małą fotkę siostry w górnym prawym rogu okładki. – Czy to Samantha?

Caroline miała ochotę głośno krzyknąć. Zawsze pilnowała, żeby takie okładki nie trafiały w ręce Michelle, dbając, by dziecko nigdy nawet nie spojrzało na relacje prasowe ani z samego zdarzenia, ani jego następstw.

Co nie znaczy, że córka w ogóle zadawała jakieś pytania. Zaakceptowała zniknięcie Samantha, tak jak dzieci akceptują większość rzeczy, nad którymi nie mają kontroli. Początkowo zastanawiała się, czasem na głos, gdzie ona jest i kiedy wróci do domu, ale po paru miesiącach nawet te pytania się urwały. Przez ostatni rok w ogóle nie wspominała o siostrze.

A na szczęście ten kiedyś stały grad artykułów wreszcie też zaczął ustępować. Jednak piąta rocznica zaginięcia dziewczynki wydawała się na tyle symboliczna, że zainteresowanie prasy odżyło. Pięć lat, odkąd widziałam moje dziecko, pomyślała teraz Caroline, walcząc ze wzbierającymi łzami. Jak to możliwe?

– Mamo, dlaczego twoje zdjęcie jest w gazecie?

Co mogła powiedzieć? Co mogła zrobić? Zło już się stało. Prowadziła walkę, w której w żaden sposób nie mogła zwyciężyć. Jakkolwiek by się starała, nie zdołała na zawsze ochronić Michelle przed niespodziewanym widokiem takich zdjęć. Teraz był czerwiec, kończył się kolejny rok szkolny. Naiwnie myślała, że do listopada będą mieć spokój. Kiedy wreszcie zdoła zrozumieć, że nigdy nie będą bezpieczne?

– Gdzie moje zdjęcie? – spytało dziecko żałośnie, przyglądając się okładce czasopisma.

– Michelle Shipley? – zawołał jakiś głos.

Caroline podniosła wzrok na czekającą higienistkę. Nigdy jeszcze na niczyj widok tak się nie ucieszyła.

– Idź z panią, kochanie.

– Dlaczego mojego zdjęcia nie ma w tym piśmie?

– Bo miałaś szczęście – powiedziała Caroline. – To głupie czasopismo i nie chcesz mieć w nim zdjęć.

– Michelle Shipley – powtórzyła kobieta.

– Tu jest. – Caroline zsunęła córkę ze swoich kolan. – Idź.

– Ty nie idziesz?

– Ja mam poczekać tutaj.

– Chcę, żebyś poszła ze mną.

– Jesteś już dużą dziewczynką, zapomniałaś?

– Twoja mama przyjdzie porozmawiać z dentystą, kiedy ja skończę – zapewniła asystentka stomatologiczna.

Gdy tylko Michelle odeszła, Caroline zerwała się z krzesła i uciekła z poczekalni, w dłoni ściskając egzemplarz czasopisma. Wpadła do łazienki na końcu korytarza i zamknęła się w najbliższej kabinie. Dłonie jej dygotały, gdy szukała w środku artykułu. A potem znalazła go: „Pięć lat później. Gdzie jest Samantha Shipley?”.

Artykuł zaczynał się od dwustronicowej rozkładówki z hotelem Grand Laguna, uzupełnionej o zdjęcia restauracji i basenu, z wielkim X oznaczającym pokój, z którego zabrano Samanthę. Dalej były trzy strony fotografii, plotek i insynuacji, większość tak zwanych źródeł była anonimowa. Było też kilka zdjęć Huntera i Caroline, razem i osobno, oraz grupowa fotografia z Peggy i Fletcherem, Steve’em i Becky, Rain i Jerrodem. Było tam nawet zdjęcie Michelle kurczowo trzymającej się ręki babci, kiedy opuszczały Rosarito, by wracać do San Diego. Caroline zastanawiała się, jak gazeta dotarła do tych zdjęć i kto był autorem tego komentarza: „Wydawała się idealną matką, no ale z drugiej strony, człowiek nigdy nie wie, z kim ma do czynienia, prawda?”. Podejrzewała, że to Rain – brzmiało to jak te dwuznaczne komplementy, którymi chętnie szafowała. Pomyślała, czy do niej nie zadzwonić i nie zażądać wyjaśnień, ale nie rozmawiała z nią od lat. Kiedy już rozwiedli się z Hunterem, tacy przyjaciele jak Rain i Jerrod szybko ulotnili się z jej życia.

Caroline żarłocznie pochłonęła artykuł, a potem przeczytała go jeszcze dwa razy. Przez pięć lat unikała takich publikacji, ale teraz, kiedy jedna trafiła jej prosto w ręce, nie mogła od niej oderwać oczu. Artykuł zawierał zwykłe podsumowanie wydarzeń: to była ich dziesiąta rocznica ślubu, opiekunka do dzieci w niewyjaśniony sposób została odwołana, zostawili obie córki same i zeszli na kolację z przyjaciółmi do restauracji, Samantha została wykradziona z łóżka gdzieś pomiędzy dziewiątą trzydzieści a dziesiątą tego wieczoru, przesłuchano i zwolniono kilku podejrzanych, włącznie z pewnym hotelowym pracownikiem, który obecnie odsiadyuje wyrok za molestowanie siostrzenicy. „Matka robiła wrażenie chłodnej”, zacytowano słowa kogoś z hotelu. „Zawsze się spóźniała z odbiorem starszej córki z zajęć dla dzieci”. – Raz się spóźniłam – mruknęła na głos Caroline. – Ten jeden jedyny raz. – Przytoczono też słowa anonimowego policjanta: „Zawsze nam się wydawało, że rodzice wiedzą więcej, niż mówią”. – Niby co, dupku? – wrzasnęła. – Co jeszcze mielibyśmy niby wiedzieć?

Drzwi łazienki otworzyły się. Na wprost kabiny Caroline stanęła para kobiecych

czółenek w kolorze kości słoniowej.

– Wszystko w porządku? – spytał jakiś głos. – Zdawało mi się, że słyszę krzyk.

Serce Caroline waliło tak mocno, że ledwie zdołała odpowiedzieć.

– Wszystko dobrze – udało jej się wykrztusić. – Tylko przycięłam sobie palce drzwiami.

– Au.

Caroline wstrzymała oddech, gdy kobieta myła dłonie nad umywalką. Czemu jej to tyle czasu zajmuje, do diabła? – zastanawiała się, zerkając przez szczelinę między drzwiami a ścianką kabiny i obserwując, jak kobieta nakłada świeżą warstwę szminki, a potem poprawia fryzurę.

– Na pewno nic pani nie jest? – spytała tamta przed wyjściem.

– Nie, dziękuję pani.

Odczekała aż drzwi się zamkną, a potem wybuchnęła płaczem. Weź się w garść, do cholery – powiedziała, na wszelki wypadek zniżając głos do szeptu, i znów spojrzała na stronę czasopisma.

Oczywiście artykuł wspomniał także o rozwodzie Caroline i Huntera, sugerując, że to poczucie winy ich rozdzieliło. Nic nie mówił o jego romansie z praktykantką adwokacką, który wbił ostatni gwóźdź do trumny tego małżeństwa. Nie żeby ten romans był jakoś bardziej znaczący niż te, które go poprzedziły. Nie żeby trwał dłużej albo był gorętszy niż inne. Był tylko ostatnim z serii przelotnych związków, jakie przydarzyły mu się w następstwie zniknięcia Samantha. Ale chociaż niewierność Huntera można było przypisać rosnącej między nimi obcości, bez wątpienia to jej własny chłód, jej nieustępliwa uraza odpowiadały za to, że do tych romansów w ogóle doszło. Poczucie winy faktycznie ich rozdzieliło. A ona była w tej sprawie tak samo winna, jak on.

Nawet bardziej.

Pod koniec artykułu zamieszczono zdjęcie Caroline przed liceum Logan High, zrobione zaraz po tym, jak podjęła na nowo nauczycielską karierę. Obok nowsze zdjęcie Huntera idącego ulicą z bliżej niezidentyfikowaną młodą kobietą. Może klientką albo współpracownicą. A może nie. „Życie toczy się dalej”, głosił podpis pod zdjęciem.

– Toczy się dalej – powtórzyła gniewnie Caroline, wrzucając czasopismo do kosza na śmieci przy wyjściu z łazienki. Jeśli tak była zajęta tym dalszym życiem, to czemu jeszcze bardziej niż kiedykolwiek czuła, że stoi w miejscu?



## ROZDZIAŁ 15

# Dzisiaj

– Zemdlałaś? – Na twarzy Peggy odbiło się zarówno zakłopotanie, jak i troska.

– No, nie tak całkiem.

Obie kobiety siedziały przy narożnym stoliku w Costa Brava na Garnet Avenue, hiszpańskiej restauracji słynnej ze swoich tapas. Wielkoekranowy telewizor na jednej z minimalistycznie bielonych ścian restauracji przekazywał transmisję satelitarną meczu hiszpańskiej ligi, oglądaną przez grupkę rozentuzjasmowanych fanów przy barze. Od czasu do czasu powietrze przesywały okrzyki „Olé!”.

– W jednej chwili stałaś, a w drugiej siedziałaś na podłodze. Jak dla mnie to omdlenie. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie mogę do ciebie dzwonić z każdym drobiazgiem.

– Ty w ogóle już do mnie z niczym nie dzwonisz. Prawie cię nie widuję. Dobrze, że twoja matka zaprosiła nas na Święto Dziękczynienia.

– No i czy nie było uroczo? – Caroline spojrzała za okno na bezchmurne sobotnie popołudniowe niebo. Niemal słyszała ocean szumiący parę ulic dalej. – Strasznie się boję, że każą mi złożyć rezygnację.

– Nie dojdzie do tego.

– Dlaczego nie? Już kiedyś dochodziło.

– Wszystko przez te durne prasowe doniesienia – powiedziała Peggy, kręcąc głową i dopijając resztkę merlota.

– Czuję się winna.

– Niepotrzebnie. Przestań tak szybko przyjmować winę za wszystko.

– Chyba nie zniosłabym utraty tej pracy.

– Nie stracisz jej. Twoja dyrektorka wiedziała, co zaszło, zanim cię zatrudniła.

– Wtedy sprawa zdążyła już przycichnąć. Teraz, dzięki tym wszystkim durnym artykułom, znów wróciła. To draństwo po prostu nigdy nie mija, prawda? Jak opryszczka.

Peggy zaśmiała się.

– Dzięki za to porównanie. Jedz lunch.

Caroline wzięła na widelec porcję fasoli z ryżem i patrzyła, jak większość spada na talerz.

– Moi uczniowie od tygodnia o niczym innym nie mówią.

– No to daj im jakiś ciekawy temat do rozmowy. Niezapowiedzianą klasówkę.

Uwielbiają takie rzeczy. – Peggy dała znak kelnerowi, że prosi o dolewkę wina. – Dobra, byłam cierpliwa już dość długo. Powiesz mi wreszcie kiedyś?

– Co mam ci powiedzieć?

– Daj spokój. Od jak dawna się przyjaźnimy? Nie sądzisz, że wiem, kiedy coś przede mną ukrywasz?

Caroline odłożyła widelec i spojrzała przez stół na przyjaciółkę.

– Michelle powiedziała ci o Lili, tak? Powiedziała ci o Calgary.

Peggy wychyliła się ze swojego krzesła, oparła łokcie na stole.

– Wyrwało jej się przypadkiem. Zakładała, że już mi powiedziałaś. Pytanie brzmi, dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Przepraszam. To wszystko stało się tak szybko.

– To się stało ponad tydzień temu – poprawiła ją Peggy, wyraźnie urażona. – Co się dzieje, Caroline? Nie ufasz mi?

– Oczywiście, że ci ufam.

– No to dlaczego mi nie powiedziałaś?

Caroline popatrzyła w stronę sufitu, jakby odpowiedź mogła się kryć za którymś z nisko zwieszających się z niego żyrandoli.

– Sama nie wiem. Chyba się bałam.

– Czego?

– Że uznasz, że oszalałam. Że będziesz próbowała mi to wybić z głowy.

– No cóż, musisz przyznać, że to nie jest do końca racjonalne działanie. Dziewczyna dzwoni ni stąd, ni zowąd, twierdzi, że jest Samantha, a ty ciach, lecisz do Calgary, nie mówiąc nikomu ani słowa...

– Zadzwoiła znowu – przerwała Caroline. Teraz, kiedy Peggy już zna część historii, równie dobrze mogła poznać całość.

– O tym Michelle też mi powiedziała. Powiedziała, że wyrwała ci telefon z ręki, ostrzegła ją, żeby się ponownie nie kontaktowała...

– Zadzwoiła do mnie do pracy.

– Co? Kiedy to było?

– W poniedziałek.

– Co powiedziała?

– Że przyjedzie do San Diego na test DNA.

– Kiedy?

– Jak tylko się ogarnie z różnymi rzeczami.

– Co miała na myśli?

– Nie mam pojęcia.

– Michelle wie?

– Nie. Nie mogę jej powiedzieć. Dostanie szału. Jest przekonana, że Lili to oszustka.

– A ty jesteś pewna, że nie jest?

– Nie jestem pewna niczego.

– Prosiła cię o pieniądze?

– Nie.

– Prosiła cię w ogóle o coś?

– Nie.

– Co nie znaczy, że nie poprosi.

– Wiem o tym.

– Ale zakładając, że nie poprosi – ciągnęła Peggy powoli, ważąc każde słowo – to nam zostawia trzy możliwości.

– To znaczy?

– Pierwsza, że szczerze wierzy, że mogłaby być Samantha, druga, że jest sadystką, którą kręci robienie ludziom wody z mózgu, a trzecia, że jest szalona.

– Jest jeszcze czwarta możliwość.

– Jaka?

– Że naprawdę jest Samantha.

Peggy popatrzyła na Caroline oczami pełnymi niewysłowionego smutku.

– Och, kochanie. Jesteś matematycznym geniuszem. Szanse na to są nierealne.

– Ale istnieje prawdopodobieństwo.

– Ułamek cienia możliwości...

– A jednak jest szansa – powiedziała Caroline twardo. – Jak mogłabym ją odrzucić?

Kelner przyniósł Peggy drugi kieliszek wina. Zanim jeszcze zdążył postawić go na stole, wyjęła mu go z ręki i wypła dwoma szybkimi haustami.

– Rób, co musisz.

\*

– Gdzie byłaś cały dzień? – spytała Michelle z holu, zanim Caroline domknęła drzwi. Odkąd przeszkodziła w jej rozmowie z Lili, obserwowała matkę czujnie jak jastrząb.

– Byłam z Peggy na lunchu w Costa Brava.

– Już prawie czwarta.

– Poszłam potem na spacer plażą. A co? Miałyśmy coś w planach?

Michelle zaśmiała się.

– Jak zakupy czy kino? Jakbyśmy coś takiego razem robiły.

No to jedziemy, Caroline usłyszała w myślach słowa brata. Jest w domu od niecałych dwóch minut, a jej córka już wywołała u niej postawę obronną. Poszła do kuchni i nalała sobie szklanekę wody, a potem wypła ją, odliczając cicho do dziesięciu. Nie pozwoli Michelle wyprowadzić się z równowagi. Będzie uprzejma i spokojna. Nie połknie przynęty. Nie złapie się na haczyk.

– Ładna bluzka – odezwała się z uśmiechem. Michelle miała na sobie dżinsowe szorty i luźną, beżową koszulę. Włosy splecione w niedbały warkocz przerzuciła przez ramię i była nieumalowana, pomijając ostro czerwoną szminkę, która podkreślała zarys jej

kości policzkowych. – Dobrze wyglądasz – dodała Caroline.

– O Boże – jęknęła Michelle.

– Co się stało?

– To znaczy, że jestem gruba.

– Co?

– Ile razy mi mówisz, że dobrze wyglądam, to znaczy, że utylam.

– Nie, z całą pewnością nie.

– A owszem.

– Nie. Wiesz, co to znaczy? – zaczęła Caroline, opierając się chęci, by walnąć Michelle pustą szklanką po głowie. – To znaczy, że nigdy nie mogę ci powiedzieć niczego miłego, że nigdy nie umiesz przyjąć komplementu. Ilekroć mówię ci coś pozytywnego, ty to odbierasz jako negatyw. Czujesz się dobrze tylko wtedy, kiedy usłyszysz ode mnie, że wyglądasz źle. Jakie to popieprzone. Jakie smutne.

– Smutne jest to, że nie masz śladu szacunku dla moich uczuć. Dla mnie.

– O czym ty mówisz? Skąd ci się to wzięło? Jesteś na mnie wściekła, bo poszłam na lunch?

– Jestem wściekła, bo nie przyszło ci do głowy powiedzieć mi, dokąd idziesz. Byłoby miło, gdybyś mi zostawiła karteczkę albo coś. Żebym się nie martwiła.

– Nie ma powodu, żebyś się martwiła.

– No jasne, bo przecież to nie tak, że zrobisz coś szalonego, na przykład polecisz sobie do Calgary czy coś.

– Kochanie, obiecuję ci, że nigdzie nie polecę.

– No to dlaczego jesteś taka skryta?

– Nie jestem skryta.

– Owszem, jesteś.

– No cóż, w takim razie przepraszam. To nie specjalnie. Zdaje się, że nie przywykłam do takiej troski z twojej strony.

– Bo co? Bo ja nie miewam uczuć?

– Nikt nie twierdzi, że nie masz uczuć.

– No to co chcesz mi powiedzieć?

– Sama nie wiem – odparła Caroline, machając rękoma w powietrzu z bezsilnej frustracji. – Nie wiem, co mówię. Nie mam pojęcia, czego dotyczy ta rozmowa ani o co się sprzeczamy. Wiem, że zjadłam smaczny lunch i byłam na miłym spacerze po plaży. W sumie czułam się, cholera, całkiem fajnie, a potem wróciłam do domu i rozpętało się piekło.

– Więc to moja wina?

– Nie, moja. Cokolwiek by się działo. Wszystko jest moją winą. Ja to rozumiem.

Przyjmuję do wiadomości.

– Moja matka męczennica.

– Dobra, jak sobie chcesz.

– Martwiłam się, to wszystko. Nie wolno mi się martwić?

– Jeśli się tak bardzo przejęłaś, to czemu do mnie po prostu nie zadzwoniłaś? Mam komórkę.

– Której nigdy nie włączasz. Po co człowiekowi komórka, jeśli jej nigdy nie uruchamia?

– Jest włączona. – Caroline wygrzebała z torby telefon i pomachała nim przed nosem córki. – Widzisz? Działa.

Michelle zmrużyła oczy.

– Nigdy jej nie włączasz. Co się zmieniło? Od kogo oczekujesz telefonu? Czy Lili ma ten numer? Dzwoniła do ciebie znowu?

– Na litość boską, Michelle.

– Daj mi ten telefon.

– Nie. – Caroline szybko wrzuciła komórkę do torby, zanim córka mogła ją przechwycić. – Dość tego. Mam dosyć. – Pomaszerowała do salonu, torbę trzymając mocno pod pachą. Michelle dreptała jej po piętach. Stały pośrodku pokoju przez kilka chwil, nawzajem gromiąc się wzrokiem. – Wiesz, czego bym naprawdę chciała? – spytała wreszcie Caroline.

– Nie. Czego byś naprawdę chciała?

– Na przykład chciałabym, żebyśmy choć raz normalnie, miło porozmawiały. Bez wrzasków i oskarżeń. Słyszałam pogłoski, że niektóre matki i córki tak robią. – Jakkolwiek sama takiej rozmowy ze swoją własną matką nie odbyłam, zreflektowała się Caroline.

– Dobra. Świetnie. – Michelle umościła się w najbliższym fotelu. – No to zaczynamy rozmowę.

Caroline usiadła ciężko na drugim fotelu, postawiła torbę na podłodze i czekała na następne słowa córki.

– No to jak tam lunch? – spytała Michelle.

– W porządku.

– Jak się ma Peggy?

– Nieźle.

– A jej chłopcy? Od wieków ich nie widziałam.

– Mają się dobrze. Kevin na wiosnę skończy liceum. Philip radzi sobie bardzo dobrze w Duke.

– To dobrze.

Znów „dobrze”. Kolejna cisza.

– A ty? – spytała Caroline.

– Co ja?

– Myślałaś nad powrotem do szkoły?

Michelle poruszyła się niespokojnie w fotelu.

– Zastanawiam się nad tym.

– Naprawdę? I co postanowiłaś?

– Że mogłabym wrócić od przyszłej jesieni.

– Myślałaś o jakiejś konkretnej uczelni? – Caroline próbowała nie okazywać nadmiernego entuzjazmu. Michelle rzuciła Berkeley w środku drugiego roku, przedtem dwukrotnie zmieniawszy kierunek. Rok później rzuciła studia na UCSD po zaledwie jednym semestrze.

– Tata uważa, że powinnam zrobić licencjat, a potem iść na prawo.

– Czy to cię interesuje?

– Sama nie wiem. Być może.

– Nie będzie problemów w związku z twoją...

– ...moją jazdą pod wpływem?

Caroline skinęła głową.

– Ugoda mówi, że kiedy odrobię prace społeczne, wyczyszczą mi akta. W każdym razie decyzji jeszcze nie podjęłam.

– Uważam, że byłabyś świetną prawniczką.

– Dlaczego? Dlatego, że umiem się kłócić?

– Bo uważam, że byłabyś dobra we wszystkim, czym byś się na poważnie zajęła.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Kolejna cisza.

– Widujesz się z kimś? – spytała Caroline.

W odpowiedzi zobaczyła znajome unoszenie oczu do nieba.

– Nieważne. Zapomnij, że pytałam.

– Z nikim się nie widuję – odparła Michelle. – Spotykałam się przez jakiś czas z jednym facetem, ale nie wyszło.

– Szkoda.

– Nie. To był dupek. Jedyne, czego chciał, to naćpać się i iść do łóżka.

Ale super, pomyślała Caroline, której ani jedno, ani drugie nie przytrafiło się już od lat.

– Mam nadzieję, że się zabezpieczasz...

– O Boże. Czy ja wyglądam jak kompletna idiotka?

– Aresztowano cię za jazdę po pijanemu – przypomniała jej matka, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– A tak nam dobrze szło.

– Przepraszam. Nie powinnam tego mówić.

– Nie, należało mi się. To nie była najmądrzejsza z moich decyzji.

– Ja po prostu nie rozumiem.

– Wiem – odparła Michelle ze smutkiem.

– No to mnie oświeć. Co sprawiło, że wsiadłaś za kółko tamtej nocy? Co sobie myślałaś?

– Rozmawiałyśmy o tym milion razy. Chyba cała rzecz w tym, że wtedy nie myślałam.

– Mogłaś kogoś zabić. Mogłaś sama zginąć.

– Wypiłam tylko kilka drinków. Nie myślałam, że tak mi pójda do głowy.

– Jesteś taką bystrą, piękną dziewczyną – upierała się Caroline, niezdolna się powstrzymać. – A ciągle sama siebie sabotujesz. Rzucasz studia, prowadzisz po pijanemu, palisz, nie jesz...

Michelle poderwała się na nogi.

– No właśnie. Jestem kompletnie popieprzona. W przeciwieństwie do twojej drugiej, ukochanej córunki, która na pewno wyrosłaby na ideał.

– Hej, czekaj no momencik...

– Nie. To ty poczekaj. Teraz moja kolej zapytać o coś ciebie.

Caroline wstrzymała oddech.

– A jeśli tamtej nocy to byłabym ja?

– O czym ty mówisz? – spytała Caroline, chociaż już знаła odpowiedź. – Której nocy?

– Tamtej, kiedy zniknęła Samantha. A gdybym to ja zniknęła?

– O Boże. Michelle...

– Spędziłabyś piętnaście lat w żałobie w każdej sekundzie każdego cholernego dnia? Pozwoliłabyś swojemu małżeństwu się rozpaść? Poleciałabyś do Miami... Do Tacomy... Do Calgary? Byłabyś tak zdesperowana, by wierzyć na słowo ewidentnej oszustce? Powiedz mi, mamó. Czy w ogóle byś się przejęła, gdyby chodziło o mnie?

– Nie mówisz chyba poważnie.

– A ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Bo jest idiotyczne. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Wiesz o tym.

– Nadal nie odpowiedziałaś.

– A co mam ci powiedzieć? Byłabym zrozpaczona, na litość boską.

– Tak zrozpaczona jak wtedy, gdy odkryłaś zniknięcie Samantha?

– Nie rozumiem. To nigdy nie był jakiś konkurs.

– Nie, na pewno nie. – Oczy Michelle wypełniły się łzami i dziewczyna uniosła brodę, nie chcąc, żeby popłynęły. – Konkurs to bywa wtedy, kiedy każdy ma szansę na wygraną. A ja zawsze miałam być tą drugą, czyż nie?

– To nieprawda.

– To jest prawda. Samantha była twoim oczkiem w głowie. To była prawda piętnaście lat temu i to jest prawda także teraz. Nawet jakaś ulotna możliwość, że ją znów zobaczysz, uszczęśliwia cię bardziej niż ja bym kiedykolwiek mogła.

– To strasznie niesprawiedliwe. – Caroline pochyliła głowę. Następnym odgłosem, jaki usłyszała, było trzaśnięcie frontowych drzwi.

## ROZDZIAŁ 16

# Sześć lat temu

- Kiedy się zameldowała? – spytała Caroline.
- Wczoraj rano – odparła Peggy.
- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie od razu?
- Nie mogłam, póki nie udzieliła mi pozwolenia.
- Nie wiedziałam nawet, że znów jest w mieście.
- Chyba nikt nie wiedział poza twoim bratem.
- Steve wie?
- Był tu całe rano.
- Naprawdę?

Peggy wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „No, sama widzisz”.

- Jak ona się czuje?
- Jest tutaj, prawda?

„Tutaj” oznaczało hospicjum Marigold przy Harney Street na Starym Mieście, o jedną przecznicę od Old Adobe Chapel. Hospicjum było jednopiętrowym budynkiem z czerwonej cegły, który kiedyś służył jako schronisko dla bezdomnych. Przerobiono je na ośrodek dla nieuleczalnie chorych dwa lata temu, a Peggy zrezygnowała z pracy w szpitalu, żeby zostać jego pierwszą dyrektorką.

- Ile czasu jej zostało? – spytała Caroline.

– Nie można tego określić dokładnie. Średnia długość pobytu wynosi od trzech dni do dwóch tygodni. Ale nigdy nie wiadomo. Czasem trwa to miesiącami, innym razem nawet i nie do końca dnia. Mieliśmy tu jednego rezydenta przez prawie rok. Po prostu nie wiadomo.

- Powiedziałaś jej, że przyjdę?
- Tak. Wydawała się zadowolona.

Zadzwonił telefon w recepcji. Młoda Azjatka, wolontariuszka, odebrała po pierwszym dzwonku.

– Dzień dobry, Hospicjum Marigold – powiedziała. – Amy przy telefonie. W czym mogę pomóc? Tak. Zaraz przełączę rozmowę. – Nacisnęła szereg guzików na panelu, a potem odłożyła słuchawkę.

Parę chwil potem rozległ się brzęczyk, sygnalizujący, że ktoś jest przy drzwiach



wejściowych. Amy sięgnęła do dużego, czerwonego przycisku na ścianie zwalniającego zamek, i wpuściła do przeszklonego holu czteroosobową rodzinę. Szybko podniosła się z miejsca i otworzyła kolejne drzwi, tym razem do pięknie urządzonej poczekalni, gdzie Caroline i Peggy stały w pobliżu czterech wielkich, wyściełanych foteli. Te fotele rozstawiono wokół stolika do kawy, przy gazowym kominku i wielkoekranowym telewizorze.

– Zechcą państwo wpisać się do rejestru gości? – spytała Amy nowo przybyłych.

– Dlaczego musimy się wpisywać? – zapytał ich syn, jasnowłosy, pięcioletni chłopiec.

– Procedura bezpieczeństwa – wyjaśniła mu Amy. – W razie pożaru musimy wiedzieć, ile osób jest w budynku.

– No chodźcie, dzieciaki – powiedziała ich matka. – Idziemy zobaczyć dziadka.

– Wie pani, który to pokój? – spytała Amy.

– O, tak. Dziękuję. – Cała rodzina zniknęła w wewnętrznym korytarzu.

– Pozwalacie wchodzić dzieciom? – Caroline spytała Peggy.

– Dzieciom, psom, kotom. Co tylko chcesz. Wszystko, co pozwala ludziom poczuć się bardziej jak w domu. Amy, świetnie ci idzie. – Peggy pochwaliła młodą wolontariuszkę.

– Dziękuję pani.

– Ty też jesteś świetna – powiedziała Caroline do przyjaciółki.

Peggy zignorowała komplement.

– Skoro już mowa o pracy, muszę wracać do własnej. Becky jest w pokoju sto cztery.

– Westchnęła. – Tylko nie zdziw się. Nie wygląda tak, jak zapamiętałaś.

Caroline wzięła długi, głęboki wdech i poszła wewnętrznym korytarzem. Stała przed drzwiami pokoju sto cztery, wzięła kolejny głęboki wdech, wyprostowała się i zapukała.

– Proszę – odparł słaby, ale znajomy głos.

Caroline pchnęła drzwi do środka, starając się, by emocje nie odbiły się na jej twarzy. Nie było to dla niej trudne. Jej naturalną reakcją w konfrontacji z każdego typu tragedią było zamknięcie się w sobie. Jej twarz traciła wszelki wyraz, ogarniał ją niemal nienaturalny spokój. Mechanizm obronny, jak to raz wyjaśniła Peggy, chociaż prasa nie omieszkała zmieszać Caroline za to z błotem, przyczepiając jej etykiety osoby „zimnej” i „nieczulej”. A prawda była dokładnie odwrotna.

W pokoju było dość ciemno, jedyne światło dawała odrobina późnopołudniowego słońca, które zdołało się przebić przez zasłony w oknie na przeciwległej ścianie. Telewizor naprzeciw łóżka był włączony na kanał informacyjny, gdzie przez dół ekranu ciągle biegł pasek bieżących wiadomości. Na środku pokoju stało szpitalne łóżko, na którym siedziała Becky, wychudła postać w pikowanej, niebieskiej podomce i ciemnej, krótkowłosej peruce nasuniętej nieco zbyt głęboko na czoło.

– Caroline – odezwała się Becky na powitanie, przyciszyła telewizor i machnięciem dłoni wskazała byłej szwagierce fotel obok łóżka. Drugi fotel, o wysokim oparciu, z wyglądu dość niewygodny, stał przy wejściu do łazienki.

– Czyj to był kretyński pomysł? – spytała Caroline. Pozwoliła drzwiom zamknąć się za

sobą, podeszła do łóżka i pochyliła się, aby cmoknąć szwagierkę w policzek. Oparła się pokusie, by jej wyprostować perukę, bojąc się, że tak intymny gest mógłby zostać uznany za arogancję.

– Z pewnością nie mój – odparła Becky. – Siadaj. Wyglądasz świetnie. Jak zawsze.

– Dzięki. – Caroline z zakłopotaniem dotknęła własnych włosów.

– Naprawdę miło znów cię zobaczyć. Jak się miewasz?

Caroline usiadła w fotelu krytym miękką, brązową skórą, decydując się skupić na oczach Becky, tak samo intensywnie brązowych jak zawsze.

– Dobrze. Przykro mi, że musisz przez to przechodzić.

– Niepotrzebnie. To nie twoja wina.

– Szkoda, że nie wiedziałam.

– Nic nie mogłabyś zrobić.

– Mogłabym być przy tobie.

– Naprawdę? Przeniosłabyś się do LA?

Caroline umilkła.

– Przepraszam – powiedziała Becky. – Nie chciałam zabrzmieć niemilo.

– Należało mi się. To taki banał, mówić komuś, że by się przy nim było, kiedy wiadomo, że to nieprawda.

– No ja na pewno nie byłam przy tobie – przyznała Becky. Nie trzeba tu było niczego wyjaśniać. Obie kobiety rozumiały doskonale, do czego nawiązuje.

– Miałaś własne problemy – powiedziała Caroline.

– I nie byliśmy wtedy ze sobą jakoś szczególnie blisko.

– Nie tak jak wcześniej – przyznała Caroline. – Nigdy nie zrozumiałam do końca, co się stało.

– Co się stało? – powtórzyła Becky. – Twoja matka. Twój brat. Twoja matka.

Caroline uśmiechnęła się.

– A jak się ma smoczyca?

– Nadal zieje ogniem.

– Taa. Ta kobieta przeżyje nawet Keitha Richardsa. Przepraszam, nie powinnam tak mówić. To w końcu twoja matka.

– Nie ma sprawy. Trudno się kłócić z faktami.

Chociaż prawda wyglądała tak, że pod wieloma względami Becky była dokładnie taka sama jak matka Caroline. Uparta, zadufana w sobie i surowa. Kiedy człowiek raz jej się naraził, miał przechlapane. Obie nie ustępowały ani na krok. Mary nigdy nie wybaczyła synowej, że przekonała Steve'a, by uciekł z nią do Las Vegas, nie uprzedzając nikogo, póki sprawa się nie dokonała. Becky nigdy nie wybaczyła Mary, że nie powitała jej w rodzinie z otwartymi ramionami. Nie pomogło to, że zupełnie nie starała się przekonać Mary do siebie. A Mary, zawsze skłonna zachowywać urazy, w takim samym stopniu lubiła, by o nią zabiegać, tymczasem Becky odmówiła jej tej satysfakcji. Steve, pozornie silny mężczyzna, którego pewność siebie skrywała zadziwiająca wewnętrzna słabość, znalazł się między młotem a kowadłem, a jego lojalność wiecznie

wahała się pomiędzy nimi dwiema. To małżeństwo od początku było skazane na porażkę. Fakt, że udało im się wytrzymać ze sobą całe trzy lata po rozpadzie związku Caroline, stanowił dla niej stałe źródło zdumienia.

– No to mów mi, co u wszystkich – poinstruowała Becky. – Jak się ma Michelle?

– W porządku.

– Tylko w porządku?

– To nastolatka. Co mam powiedzieć?

– Z Hunterem nadal sytuacja jest napięta?

– Jakoś się dogadujemy. Zdaje się, że z kimś się spotyka.

– Żartujesz? To coś poważnego?

– Według Michelle, owszem. Mówi, że rozmawiają o ślubie.

– Jak się z tym czujesz?

– Ani tak, ani siak – skłamała Caroline.

– Myślisz, że założą rodzinę?

– Możliwe. Z tego, co wiem, ona jest znacznie młodsza od Huntera.

– I co ty na to? – dopytywała Becky.

– Nie mogę nic poradzić na to, że jest młodsza.

– Chodziło mi o to, że Hunter założy nową rodzinę.

– Wiem.

Becky pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A ty?

– Co ja? – spytała Caroline.

– Masz kogoś?

– Boże, nie.

– Dlaczego nie? Jesteś piękną kobietą. Jesteś bystra. Interesująca. Na pewno mogłaby się do ciebie ustawiać kolejka facetów.

– Kolejka facetów to ostatnie, co mi w głowie.

– A co ci w głowie? – spytała Becky.

– W sumie przez większość czasu usiłuję nie myśleć za dużo.

– Pewnie to dobry pomysł. I co robisz, kiedy nie myślisz?

– Jem, śpię, chodzę do pracy. Codziennosc.

– Wróciłaś do nauczania?

– Wreszcie znalazłam kogoś dość odważnego, żeby mnie zatrudnić.

– Miałaś sporo pecha w życiu.

– Pewnie jak my wszyscy. – Caroline zerknęła w stronę telewizora. Jej oczy przyzwyczyły się już do półmroku. Musiały się jeszcze tylko przyzwyczyać do zapadniętych policzków Becky i jej ziemistej cery. – Słyszałam, że mój brat tu był.

– Taa. Zadzwoiłam do niego wczoraj, kiedy się już zameldowałam. Zameldowałam się, żeby się wymeldować – powiedziała i zachichotała gorzko.

– Zdziwiłam się, że do niego dzwoniłaś.

– Dlaczego?

– No cóż, żadne z was nie było tak do końca fanem tego drugiego.

Becky wzruszyła ramionami, położyła głowę na poduszce.

– Musieliśmy porozmawiać. Byłam mu to winna.

Caroline czekała na dalszy ciąg i niemal poczuła ulgę, kiedy nie nastąpił. Wszelkie nierozwiązane problemy Becky i Steve'a to w ogóle nie była jej sprawa. Skoro Becky uważała, że jest winna Steve'owi wyjaśnienie czy przeprosiny za uchybienia realne albo wyimaginowane, to kim była Caroline, żeby to oceniać? Jeśli puszczenie w niepamięć dawnych małżeńskich krzywd miało pozwolić Becky umrzeć w spokoju, to miała prawo skorzystać z takiej okazji. Caroline mogła tylko żywić nadzieję, że jej brat jest na tyle dojrzały, by wysłuchać wszystkiego, co była żona ma mu do powiedzenia.

– Czy ja mogę coś dla ciebie zrobić? Może chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła?

– Nie. Nigdy nie miałam wielu przyjaciół. W sumie tylko ciebie.

– Przykro mi, że straciłyśmy kontakt.

– Nie przez ciebie.

Caroline pokiwała głową. Becky miała rację. To nie Caroline się od niej odsunęła. Z jakiegoś powodu ich przyjaźń zrobiła się wyboista po narodzinach Samantha, a potem w sumie roztrzaskała się o mur i spłonęła po jej zniknięciu, kiedy obie kobiety były zbyt pochłonięte własnymi problemami, żeby ją jakoś poskładać i uruchomić.

– Jestem ci winna przeprosiny – powiedziała teraz Becky.

– Za co?

– Zazdrościłam ci. Idealnego małżeństwa, idealnych dzieci, tego, że te dzieci rodziłaś jak na zamówienie. Miałaś idealne życie.

– Nie tak idealne, jak się okazało.

– Nie. Przykro mi.

– To nie twoja wina – powiedziała Caroline, powtarzając jej słowa.

Becky przymknęła oczy.

– Chcesz, żebym wyszła, żebyś mogła trochę się zdrzemnąć?

– Nie. Zostań, proszę. Są rzeczy, które trzeba powiedzieć.

Caroline pozostała na swoim miejscu i nic nie mówiła, patrząc, jak pierś chorej unosi się i opada w wysiłonym oddechu.

– Nie zasłużyłaś na to, co się stało – powiedziała Becky po długim milczeniu.

Caroline wzruszyła ramionami, choć wiedziała, że tamta tego nie widzi. Stłumiła grożące jej łzy.

– Nie tylko na zniknięcie Samantha, ale na wszystko, co zaszło potem. Te podejrzenia, te oskarżenia, to jak cię potraktowała prasa...

– Nie dbam o to.

– Straciłaś wszystko, małżeństwo... przyjaciół... – Becky otworzyła oczy. – Co ja wygaduję? Sama potraktowałam cię równie źle. Gorzej, przecież powinnam być jak rodzina.

Caroline pokręciła głową, powstrzymywane łzy popłynęły.

– Proszę, nie obwiniaj się.

– Ja o niej myślę, wiesz. O Samancie. Nie mija dzień, żebym nie wyobrażała sobie tej słodkiej, małej buzi i nie zastanawiała się, co się z nią stało, jak potoczyło się jej życie.

– Myślisz, że ona żyje?

– A ty nie? – spytała Becky i podźwignęła się do pozycji siedzącej.

– Sama nie wiem.

– Och, Caroline. Nie wolno ci tracić nadziei. – Becky wyciągnęła do niej rękę, poszukała palcami jej dłoni. – Chcesz wiedzieć, co myślę? Myślę, że Samantha żyje. Myślę, że żyje, że jest piękna i szczęśliwa.

Caroline westchnęła, oddech uwiązł jej w gardle, nie mogła nic powiedzieć.

– Mnie się wydaje, że nie porwał jej żaden zboczeniec – ciągnęła Becky, mocno ściskając drżącą dłoń Caroline. – Nie sądzę, żeby została zamordowana czy sprzedana szajce pedofilów, jak spekulowały gazety. Ja myślę, że ten, kto ją porwał, równie desperacko pragnął dziecka, jak ja, i że o nią dobrze dba i ją kocha.

Caroline zdała sobie sprawę, jak bardzo chce wierzyć w to, co mówi Becky.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak, wierzę.

Caroline poczuła w piersi ukłucie słabej nadziei.

– Dziękuję ci.

– Nie. Nie dziękuj.

– Dziękować za co? – odezwał się Steve od drzwi.

Caroline obróciła się na dźwięk jego głosu. Tak ją zbiły z tropu zarówno słowa Becky, jak i pośpiech, z jakim były wypowiedane, że nie usłyszała otwieranych drzwi. Zobaczyła, że Steve opiera się o framugę, olśniewający w jasnobłękitnej koszuli i czarnych spodniach.

– Becky sądzi, że Samantha żyje. Uważa, że jest wychowywana przez dobrą rodzinę, która ją kocha.

– No cóż, zawsze miała odrobinę daru jasnowidzenia, więc można uznać, że ma rację.

– Podszedł do łóżka chorej i ucałował ją w policzek, a potem pochylił się, cmoknął siostrę i szepnął jej do ucha: – Mówi czasem trochę dziwne rzeczy. Spróbuj się tym nie przejmować. – Wyprostował się, przysunął drugi fotel do łóżka, a potem sięgnął ręką i poprawił perukę Becky. – Teraz lepiej – powiedział z czułością, która zaskoczyła Caroline.

Szkoda, że nie okazywał jej podobnego ciepła, kiedy byli małżeństwem, pomyślała. Może gdyby to robił, nigdy by się nie rozwiedli. Nie byłoby między nimi wszystkich tych nierozwiązanych spraw.

– Cieszę się, że tu jesteś – zwrócił się do Caroline. – Mówiłem Becky, że powinna do ciebie zadzwonić. Cały czas boryka się z poczuciem winy, że porzuciła cię w potrzebie – ciągnął cicho. – Tak czy inaczej, nie byłem pewien, czy mnie posłucha. Nigdy mnie nie słuchała – dodał, zwracając się do Becky. Uśmiechnął się, choć moc jego zabójczego uśmiechu była teraz zauważalnie nikła. – Głodna jesteś? – spytał byłą żonę.

Becky potrząsnęła głową, skrzywiła się, ewidentnie z bólu.

– Co cię boli? – spytał Steve.

– Wszystko. A można by pomyśleć, że do tej pory powinnam przywyknąć.

– Wezwę pielęgniarkę – zaproponowała Caroline.

– Nie – zaprotestował Steve. – Mam tu coś, co podziała lepiej niż wszystkie leki, jakie ona da. – Wyjął z kieszeni spodni niewielką plastikową torebkę i pomachał nią przed kobietami.

– Czy to jest to, co mi się wydaje? – spytała Caroline.

– Najlepsza meksykańska. – Steve położył torebkę na kolanach i z tylnej kieszeni wyjął parę niewielkich kawałków bibułki.

Tym razem to Caroline się skrzywiła, jak za każdym razem, kiedy ktoś przy niej wspominał o Meksyku.

– Chcesz tutaj palić trawę? Chyba nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej. Nie ma żadnego powodu, żeby Becky cierpiała z bólu. Zwłaszcza że istnieje takie proste rozwiązanie. – Wysypał szczyptę marihuany na jedną z bibulek i skleił ją, polizawszy brzeg.

– Proste i nielegalne – zaprotestowała Caroline.

– No to niech mnie aresztują – powiedziała Becky zadziwiająco silnym głosem, gdy Steve zapalał grubego skręta. Długo się zaciągał, a potem podsunął go do ust byłej żonie.

Caroline patrzyła, jak Becky mocno się zaciąga.

Steve podał teraz skręta siostrze. Caroline pokręciła głową.

– No, dalej – zachęcał. – To ci dobrze robi.

Caroline zawahała się i wzięła skręta z jego wyciągniętej dłoni. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni paliła trawę i uznała, że chyba jednak na studiach. Hunter nigdy nie akceptował upalania się, chociaż nie miał już takich zastrzeżeń wobec alkoholu. Po powrocie Caroline z Rosarito często się upijał.

– No i jak? – spytał Steve, znów się zaciągnął i znów podał skręta byłej żonie. – Świetny towar, co?

– Świetny towar – powtórzyła Becky, oparła głowę na poduszce i przymknęła oczy.

– Śmierdzący towar. – Caroline podniosła się z fotela i podeszła do okna. Otworzyła je szeroko i zaczęła machaniem ręki kierować słodko pachnący dym na zewnątrz. – Jeśli ktoś wejdzie do środka...

– Nikt tu nie wejdzie bez pukania.

– Ty wszedłeś.

Steve w odpowiedzi znów się zaciągnął, a potem podał skręta siostrze.

– A w ogóle, skąd to wzięłeś? – spytała Caroline, głęboko wciągnęła dym i przytrzymała w płucach tak długo, aż bała się, że jej pękną.

– Znam takiego jednego faceta – odparł Steve.

Caroline pokiwała głową, czując początek czegoś przyjemnego u nasady karku, zupełnie jakby jej głowa miała się oddzielić od ciała. Steve zawsze „znał jakiegoś faceta”.

Nawet kiedy jeszcze byli nastolatkami, udawało mu się znaleźć kogoś, kto pomagał mu obejść system, czy chodziło o kupno alkoholu, kiedy był za młody, żeby go nabyć, czy o dostawę nielegalnych substancji albo pożyczkę pieniędzy na miejsce przy stole pokerowym, gdzie grano na wysokie stawki. I oczywiście, jeśli sprawy nie toczyły się dokładnie zgodnie z planem albo jeśli plany w ogóle szły w kosmos, to zawsze matka biegła mu na ratunek.

Ich matka, ten najważniejszy z „facetów” Steve’a.

– Lepiej się teraz czujesz? – Steve spytał Becky, kiedy z umiejętnie zwiniętego skrzyta został mu już między palcami tylko żarzący się koniuszek.

– Hm – mruknęła, pogrążając się w nieświadomości.

– To dość mocna trawa – powiedział do Caroline. – Pewnie teraz trochę pośpi. Nie musisz czekać, aż się obudzi.

– Ty też nie.

– Wręcz przeciwnie. Przynajmniej tę odrobinę mogę zrobić.

Tak, zawsze byłeś specjalistą od robienia tylko odrobinę, pomyślała Caroline, zastanawiając się, co wywołało u brata taką zmianę postawy, nie chciała go jednak o to pytać.

– Mam nadzieję, że nie zmartwiłaś się nią zanadto – powiedział Steve. – Wiem, że by tego nie chciała.

– Nie zmartwiła mnie. W sumie, jeśli już, to udało jej się coś odwrotnego. Ostatnio za bardzo skupiałam się na negatywach, obsesyjnie rozmyślałam o wszystkich złych rzeczach, które mogły spotkać Samanthę. A Becky dała mi nadzieję...

– No cóż, w takim razie dobrze, że do ciebie zadzwoniła.

Becky poruszyła się, otworzyła oczy.

– Caroline tu jest? – spytała, jakby nieświadoma toczącej się wcześniej rozmowy.

– Jestem tutaj – odezwała się Caroline.

– Caroline?

– Tak.

– Strasznie mi przykro.

– Wiem.

– Wybacz mi – powiedziała Becky.

– Nie ma nic do wybaczenia.

– Słyszałaś to? – Steve spytał ekszono, znów odpływającą w nieświadomość. – Caroline mówi, że nie ma nic do wybaczenia. – Pocałował Becky delikatnie w usta, a potem zgarbił się w fotelu. – To ja powinienem błagać o wybaczenie. Byłem strasznym palantem.

– Po prostu nie byliście dobrze dobrani – podsunęła Caroline, chcąc okazać życzliwość.

– Biedna Becky – dodał, łagodnie głaszcząc ją po ramieniu. – Zasługiwałaś na coś lepszego.

Tak jak my wszyscy, pomyślała Caroline. Podniosła się z fotela i ruszyła niepewnie do

drzwi, z głową otumanioną od chmury narkotykowego dymu. Kiedy obejrzała się za siebie, brat pochylał się nad Becky i szeptał jej coś cicho do ucha, nadal głaszcząc ją po ramieniu.



## ROZDZIAŁ 17

# Dzisiaj

Caroline obudziła się następnego ranka z bólem głowy, spowodowanym wieczorną kłótnią z Michelle i tym, że ich głośnie wymiana zdań w jakiś sposób przeniosła się potem w jej sny. Podniosła się z łóżka ciężko i z głową pulsującą przy każdym kroku podreptała do łazienki. Wzięła dwa supersilne proszki i wróciła do łóżka. Zakończenie tego niepokojącego snu wydawało się tuż poza zasięgiem, zupełnie jak uparcie nieuchwytna córka, która go wywołała. Pół godziny później głowa nadal łomotała bólem w takt bicia jej serca. Pomyślała o Becky, o tym, jak swoje migreny ignorowała, aż stało się za późno. Zastanowiła się, czy ona też czasem nie ma jakiegoś guza, i czy znajdzie się ktokolwiek, kogo po jej odejściu ogarnie taka żałoba jak Steve'a po byłej żonie. Czy Huntera przepełniłby podobny smutek po tym, jak paskudnie ją potraktował? Czy Michelle żałowałaby swoich ostrych słów, swoich zajadłych oskarżeń?

– No dobra. Dostyc tego. – Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół, zaparzyła dzbanek kawy i zabrała sprzed drzwi niedzielną gazetę. Siedziała przy kuchennym stole, rozwiązywała krzyżówkę i piła trzecią filiżankę kawy, czując, jak kofeina miłosiernie łagodzi ból głowy do tępego ćmienia w skroniach, kiedy do kuchni weszła Michelle. Miała na sobie czarny trykot i krótką, jaskraworóżową koszulkę z logo TRACK FITNESS wydrukowanym wielkimi czarnymi literami na przodzie. Włosy ściągnęła w koński ogon, przewiązany wstążką w tym samym odcieniu różu, co sznurowadła jej sportowych butów. Nalała sobie kubek kawy i piła ją, stojąc przy zlewie.

- Dzień dobry – odezwała się Caroline.
- Dobry.
- Nie zdawałam sobie sprawy, że tu jesteś.
- To nic nowego.

Ból głowy Caroline wrócił z pełną siłą.

- Po prostu nie słyszałam wczoraj wieczorem, jak wróciłaś.
- Tak, kiedy zajrzałam do ciebie, spałaś jak kamień.
- Zaglądałaś do mnie?

Michelle przewróciła oczami, dokończyła kawę i wstawiła pusty kubek do zlewu.

- Idę na siłownię.

– Nie sądzisz, że może przesadzasz z ćwiczeniami? Gdzieś czytałam, że nadmiar ćwiczeń aerobowych może w gruncie rzeczy skrócić człowiekowi życie.

– Zabawne. Ja to samo czytałam o czytaniu. – Córka ruszyła do drzwi wyjściowych.

– Michelle, zaczekaj. – Caroline poszła za nią. – Czy możemy porozmawiać o tym, co się stało wczoraj?

– Chyba dość się już narozmawialiśmy, nie uważasz?

– Rzuciłaś kilka dosyć poważnych oskarżeń.

– Zapomnij, co powiedziałam. To bez znaczenia.

– To ma znaczenie. Musisz zrozumieć, że ja cię kocham, skarbie. Bardziej niż kogokolwiek na świecie...

– Rozumiem – odparła Michelle. – Naprawdę. Rozumiem. A teraz muszę już iść, bo się spóźnię na trening.

– Czekaj – powtórzyła Caroline, nie chcąc pozwolić córce wyjść, ale nie wiedząc, jak ją zatrzymać. Wpadła do salonu, złapała torbę z miejsca, gdzie ją zostawiła poprzedniego popołudnia. – Mogłabyś, wracając, kupić kawę? Kończy nam się. – Poszukała w torbie portfela, wyciągnęła dwudziestodolarowy banknot i podała go córce. – Czekaj – zatrzymała ją jeszcze raz, gdy Michelle obracała się do wyjścia.

– Czegoś jeszcze potrzebujemy?

– Mój telefon – powiedziała Caroline, grzebiąc we wnętrzu torby. – Gdzie jest mój telefon?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Zabrałaś go? Wczoraj wieczorem po powrocie do domu...

– A po co miałabym zabierać twój telefon, mam? – spytała Michelle, przestępując z nogi na nogę. – Pewnie po prostu gdzieś go położyłaś...

– Nie brałam go do ręki.

– No cóż, ja też nie.

– Był w mojej torbie. Zapomniałam go zabrać, kiedy szłam na górę.

– I to znaczy, że ja go zabrałam?

– Daj mi mój telefon, Michelle.

– Daj mi spokój, mam – rzuciła Michelle, otworzyła frontowe drzwi, a potem wybiegła truchtem na ulicę.

Caroline zatrzasnęła drzwi za córką, tak jak poprzedniego dnia trzasnęła nimi Michelle. Wysypała zawartość torby na posadzkę z łupkowych płytek i popatrzyła na portfel, grzebień, szminkę, okulary przeciwsłoneczne i zmięte chusteczki higieniczne, które rozsypały się na kształt wachlarza. Telefonu nie było. – Cholera, Michelle.

Jak Lili teraz się z nią skontaktuje? Co jeśli już próbowała? Co jeśli Michelle odebrała i powtórzyła groźbę zawiadomienia policji? Czy Lili będzie wiedziała, że to czcze pogroźki? Czy zaryzykuje ponowny telefon? Czy spróbuje na domowy albo do pracy, tak jak przedtem?

A może po prostu sobie odpuści, uzna, że to niewarte wysiłku, i już nigdy więcej nie zadzwoni? Jak mogłaś być taka głupia i zostawić torbę, żeby się tu poniewierała –

skarciła samą siebie, zbierając rzeczy z podłogi i z powrotem wkładając je do skórzanej torebki.

Zadzwoił telefon.

– Lili? – odezwała się Caroline na głos, poderwała się na nogi i pobiegła do kuchni. Zawadziwszy biodrem o mosiężną gałkę którejś szafki, złapała telefon i podniosła słuchawkę.

– Lili?

– Caroline? – odezwał się jakiś męski głos.

Głos wydawał się nieco znajomy, choć Caroline nie umiała go skojarzyć.

– Kto mówi?

– Tu Jerrod Bolton.

– Kto?

– Jerrod Bolton – powtórzył mężczyzna ze śmiechem. – Zdaję sobie sprawę, że minęło sporo czasu...

– Jerrod Bolton – powtórzyła Caroline i w jej umyśle powoli zarysował się obraz. – Jerrod Bolton – powiedziała znowu, teraz już wyraźnie dostrzegając jego twarz, choć nadal równie nijaką, jak wówczas w Meksyku, gdy widziała go po raz ostatni u boku olśniewającej żony. – Jerrod, coś podobnego, a to ci niespodzianka. Jak się masz?

– Dobrze. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy się spotkać na lunchu.

– Po co? – spytała Caroline.

Zaśmiał się.

– Jak widzę, nie zamierzasz marnować czasu i niczego owijać w bawełnę.

– Po co chcesz się umówić na lunch? – Caroline nie ustępowała. – Czy stało się coś złego?

Krótką chwilą milczenia, a potem:

– Jest parę spraw, które chciałbym z tobą omówić.

– Takich jak?

– Wolałbym przez telefon o tym nie rozmawiać.

– Brzmi złowieszczo.

– Przepraszam, nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu dowiedziałem się paru rzeczy, które mogą cię, jak sędzę, zainteresować.

– Jakich rzeczy?

– Takich, jakich się przez telefon nie omawia. Możemy się spotkać?

– Czy Hunter wie, że do mnie dzwonisz?

– Nie. I wolałbym, żebyś nic mu nie mówiła, przynajmniej na razie.

– Nie rozumiem.

– A ja z przyjemnością wyjaśnię. Na lunchu. Dzisiaj, jeśli będziesz wolna.

– Gdzie?

– Darby's, na Sunset Cliffs. Co powiesz na dwunastą?

Caroline w milczeniu przetrawiała jego słowa, usiłując coś z nich zrozumieć. Dlaczego chciał się z nią widzieć po tych wszystkich latach? Dlaczego nie chciał, żeby

Hunter wiedział? Czegóż takiego mógł się dowiedzieć, co mogłoby ją zainteresować?

– Caroline, jesteś tam jeszcze?

– Darby’s, na Sunset Cliffs – powiedziała. – O dwunastej.

\*

Darby’s była typową południowokalifornijską, nadmorską restauracją: przestronną, niezobowiązującą, widną i przyjazną. Jasne ściany, ciemny parkiet na podłodze, wielki miecznik podwieszony na jednej ścianie, kilka strategicznie porozmieszczanych ekranów telewizyjnych, z których leciały niekończące się klipy z surfingiem, ogromny bar w centralnym punkcie sali, obsługiwany przez piękne, młode kobiety w króciutkich, czarnych sukienkach, które ledwie zakrywały ich okrągłe, jędrne tyłeczki.

Caroline podeszła do recepcji i rozejrzała się po głównej sali, już zatłoczonej. Nie widziała nikogo przypominającego Jerroda Boltona, ale napomniała siebie, że minęło piętnaście lat od ich ostatniego spotkania, a on przecież nigdy nie należał do ludzi zapadających w pamięć.

Próbowała nie myśleć o wszystkich tych rzeczach, których się przez ten czas dowiedział, a które mogłyby ją zainteresować, bo takie domysły nieodmiennie okazują się błędne. To zawsze bywała ta jedna rzecz, na którą człowiek nie wpadł, ta jedyna możliwość, której nie brał pod uwagę. Ile razy Hunter mówił jej, żeby przestała się martwić tym, co się może zdarzyć, i skupiła się na tym, co jest teraz, by zapomniała o przypuszczeniach i zajmowała się wyłącznie faktami? A fakty były takie, że nie widziała ani Jerroda, ani jego żony od piętnastu lat. Dlaczego więc chciał się z nią teraz spotkać? Co takiego istotnego mógłby mieć jej do powiedzenia?

– Czym mogę służyć?

Caroline spojrzała na niską, ale kształtną młodą kobietę z czarnymi włosami długimi do pasa i ustami barwy głębokiego burgunda, które uśmiechały się do niej uprzejmie.

– Szukam Jerroda Boltona – powiedziała. – Chyba miał tu rezerwację...

– O, tak. Pan Bolton. Jest na patio. Proszę tędy.

Caroline poszła za kelnerką, która na niebotycznie wysokich obcasach prowadziła ją między stłoczonymi stolikami głównej sali jadalnej w stronę patio na tyłach.

– Caroline! – usłyszała męski głos, nawołujący ją ponad szumem fal oceanu, donośny nawet wśród krzyku mew pikujących nad piaskiem plaży. – Tutaj!

Pod granatowym płóciennym parasolem Jerrod Bolton na wpół podniósł się ze swojego plastikowego, białego krzesła i machał do niej ręką. Przez te lata, kiedy go nie widziała, przybrał parę kilo i stracił większość włosów, a połysk teraz łysej głowy podkreślała jeszcze jego krzykliwa koszula od Tommy’ego Bahama, drukowana w pomarańczowo-białe kwiaty. Poza tym jednak był tak samo przeciętny, jak zawsze, stwierdziła Caroline, podchodząc do niego. Gdyby nie spodziewała się go zobaczyć, raczej by go nie poznała. To było dziwne: kiedyś towarzyszył najgorszemu,

najtrudniejszemu momentowi jej życia, a tymczasem w ciągu ostatnich piętnastu lat mogłaby go mijać tysiące razy na ulicy całkiem bezwiednie.

– Wyglądasz równie pięknie, jak zawsze – powiedział, kiedy podeszła. Ujął jej dłonie i przyciągnął ją do siebie, a potem ucałował w oba policzki. – Tak jak Francuzi – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Jak tam u ciebie? – spytała Caroline, siadając.

– Znakomicie. Zdrowie dopisuje. Firma kwitnie. Wyglądasz naprawdę ślicznie, aż się wierzyć nie chce. Doprawdy, nie zmieniłaś się ani na jotę.

Umalowała się dziś wyjątkowo oszczędnie i miała na sobie bezkształtną, żółtą letnią sukienkę. Wilgoć robiła z jej włosami, co chciała.

– Jakoś wątpię.

– To prawda. Uwierz mi.

Dlaczego miałabym ci wierzyć? – pomyślała Caroline.

Podszedł kelner.

– Czego się napijesz? – spytał Jerrod.

Caroline wzruszyła ramionami. Zazwyczaj nie piła w ciągu dnia, a na winach się nie znała.

– To może odrobina szampana? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zamówił butelkę Dom Pérignon.

Caroline o szampanach wiedziała jeszcze mniej niż o zwykłych winach, ale zdawała sobie sprawę, że Dom Pérignon to jeden z najdroższych trunków, jakie można zamówić.

– Coś świętujemy?

– Można by tak powiedzieć.

– No to powiedz co.

Uśmiechnął się.

– Lunch z piękną kobietą jest wystarczającą okazją, by świętować.

Czy on jej robił jakieś awanse? Czy to po to do niej dzwonił?

– Jak się ma Rain? – spytała znacząco.

– Ostra jak brzytwa – odparł z uśmiechem. – I mniej więcej tak samo przyjemna w dotyku.

– Słucham?

– Jesteśmy w separacji.

– Och. – Caroline westchnęła i odsunęła się na oparcie krzesła.

– Zdajesz się zdziwiona.

– Bo chyba jestem. Miałam wrażenie, że oboje za sobą szaleliście.

– Ja za nią szalałem. Ona była tylko szalona. – Mrugnął.

– Przykro mi – powiedziała Caroline, ignorując to mrugnięcie. Chociaż ona i Rain nigdy nie były sobie specjalnie bliskie, nie miała najmniejszego zamiaru siedzieć tu i wysłuchiwać, jak on będzie mieszał z błotem tę kobietę. Dość już się tego nasłuchiwała, kiedy Steve i Becky się rozwodzili. – Zdaje się, że to trudne chwile.

– Przyznam, że łatwo nie jest.

Czy właśnie po to do niej zadzwonił? Potrzebował wypłakać się na czyimś ramieniu?

Nie miał się komu zwierzyć?

Kelner wrócił z szampanem, szybko i z wprawą otworzył butelkę, a potem napełnił dwa kieliszki.

– Za nowe początki – powiedział Jerrod, stukając się z nią kieliszkiem.

Caroline z ociąganiem uniosła swój do ust i wzięła łyk. Bąbelki załaskotały ją w nos.

– Przepraszam, Jerrod, nie chciałam być niegrzeczna, ale po co ja tutaj jestem?

– Nigdy nie słyszałaś o dawnych przyjaciółach nadrabiających zaległości?

– Nie widzieliśmy się piętnaście lat – przypomniała mu Caroline. – A nawet wtedy byłeś raczej przyjacielem Huntera niż moim.

– Tak, cóż, i na co mi to było?

– Co na co było?

– Naprawdę nie wiesz, o czym mówię. – Jerrod raczej stwierdził, niż zapytał. Wypił kolejny łyk szampana.

– Nie wiem.

Kelner przyniósł im menu.

– Mogę zamówić za nas oboje? – spytał Jerrod. – Dają tu znakomitą sałatkę z krewetkami, na pewno ci zasmakuje.

Caroline skinęła głową, czując, że już traci apetyt. Jeśli Jerrod w taki sposób zachowywał się w trakcie swojego małżeństwa, to całkowicie sympatyzowała z Rain. To aż dziwne, że ich związek przetrwał tak długo.

– Dwie sałatki z krewetkami. I poprosimy do nich pieczywo. Dziękuję.

– Przez telefon wspomniałeś, że dowiedziałeś się ostatnio czegoś, co może mnie zaintrygować – odezwała się Caroline natychmiast po odejściu kelnera.

– Owszem.

– Powiesz mi wreszcie co to, czy mam sama zgadywać?

– To dotyczy twojego byłego męża i mojej wkrótce byłej żony.

– A tak konkretnie?

– Nadal się nie domyślasz?

– Jestem kiepska w zgadywankach.

– Mieli romans – stwierdził swobodnym tonem.

– Mieli romans – powtórzyła Caroline, próbując nie wybuchnąć śmiechem. Ten człowiek postradał zmysły. Hunter zawsze wydawał się odporny na dość oczywiste wdzięki Rain. A nawet jeśli faktycznie z nią romansował, co to mogłoby ją teraz obchodzić? Nie była już żoną Huntera. Inne kobiety to już nie jej problem. To z Dianą powinien rozmawiać Jerrod. Hunter to teraz jej zmartwienie.

Kelner ustawił na stole koszyk z pieczywem.

– Spróbuj chleba z oliwkami – poinstruował ją Jerrod. – Jest najlepszy w mieście. – Wziął kromkę i posmarował obficie masłem. – Serio myślałem, że o tym wiesz, a przynajmniej, że coś podejrzewałaś.

– A kiedy konkretnie ten romans miał niby się zdarzyć?

– Piętnaście lat temu.

Caroline poczuła, że gdzieś w okolicy żołądka zaczyna ją ogarniać wewnętrzne odrętwienie.

– Piętnaście lat temu?

– I żadne niby. Rain przyznała się do tej całej brudnej historii. Szczerze mówiąc, chyba jej ulżyło, że zrzuciła wreszcie kamień z serca. Z piersi, których mi będzie, muszę to zaznaczyć, serdecznie brakowało.

Caroline czuła, że odrętwienie stopniowo obejmuje całe jej ciało. Wiedziała, że Hunter wielokrotnie ją zdradzał po zniknięciu Samantha, ale nawet w najgorszych snach nigdy jej nie przyszło do głowy, że jeden z tych romansów mógł mieć z Rain.

– Znaczy po tym, jak wróciliśmy z Meksyku?

– Po. Przed. W trakcie... – Jerrod włożył do ust kawałek oliwkowego chleba i zaczął go energicznie żuć.

Odrętwienie objęło już i jej płuca.

– Czekaj. Mówisz, że oni ze sobą sypiali w trakcie naszego pobytu w Rosarito?

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy. – Uniósł kieliszek w toaście, a potem natychmiast odstawił go na stół. – Przepraszam. Bezmyślnie się odezwałem. Nie zasługujesz na to. Przecież tak samo cię wystrychnęli na dudka jak mnie.

– I Rain to tak po prostu wygadała?

– Wygadała nie tylko to. Jak mówiłem, chyba poczuła ulgę, że może wreszcie powiedzieć całą prawdę.

– I co ci dokładnie powiedziała?

– Że kiedy byliśmy w Meksyku, ona i Hunter byli ze sobą tyle razy, ile trafiało się okazji, że się wymknęli w trakcie waszej rocznicowej kolacji, że się namiętnie kochali wtedy, kiedy twój mąż niby miał sprawdzać, co u córek...

Z ust Caroline wyrwał się stłumiony okrzyk.

– Nie miałem zamiaru ci mówić. Przebrzmiała sprawa i tak dalej. Co ci dobrego przyjdzie z tego, że się po tych wszystkich latach dowiesz? Ale po ostatnich prasowych doniesieniach nie mogłem przestać o tobie myśleć. Wiem, że to niczego nie zmienia, ale chyba uznałem, że masz prawo wiedzieć.

Caroline poderwała się na równe nogi.

– Muszę iść.

– Co? Nie, zaczekaj. Pomyślałem, że może potem poszlibyśmy na spacer po plaży, może na jakiś film...

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Skurwysyn – szepnęła i wybiegła z patio.

Jerrod może i miał rację do Huntera i Rain, ale jeśli jego słowa były prawdą, to mylił się, myśląc, że niczego nie zmieniają.

Bo zmieniały wszystko.

## ROZDZIAŁ 18

# Pięć lat temu

Zadzwoił telefon, przerywając koszmar, w którym Caroline gonił w ciemnym korytarzu jakiś mężczyzna w hokejowym kasku, wymachujący wielkim rzeźnickim nożem. – Cholera! – zawołała, siadając na łóżku i próbując się połapać, gdzie jest. Była we własnym pokoju, we własnym łóżku. Powietrze zalatywało zimnym popcornem niczym kiepską wodą kolońską. Było ciemno, jeśli pominąć poświatę telewizora na przeciwległej ścianie. Na ekranie jakąś przerażoną młodą kobietę ścigał przez pole kukurydzy szalenciec z nożem w ręku. Elektroniczny zegar przy łóżku wskazywał pierwszą trzydzieści pięć.

– Dalsza część *Postrachu nocy* po przerwie – zaanonsował bezcielesny głos z telewizora, a Caroline przyciszyła odbiornik i sięgnęła do telefonu z walącym sercem, czując przypływ adrenaliny. Ściganie przez psychopatę z nożem nie jest niczym dobrym, a telefon w środku nocy może się okazać czymś niemal tak samo złym.

– Halo?

– Lepiej tu przyjedź – powiedział Hunter.

– Co się stało?

– Chodzi o Michelle. Ona...

– O Boże.

– Spokojnie – powiedział jej były mąż natychmiast łagodniejszym tonem. – Nic jej nie jest.

Caroline usiłowała zebrać myśli, poukładać wydarzenia tego wieczoru w jakimś porządku. Była sobota, Michelle poszła na imprezę, Caroline spędzała wieczór sama z miską domowego popcornu na kolanach, oglądając w łóżku horrory. W jakimś momencie tej nieustannej rzezi widać zasnęła. A Michelle najwyraźniej nie dotrzymała, ustalonej na pierwszą, godziny powrotu. Co ona robiła w mieszkaniu Huntera?

– Nie rozumiem – powiedziała Caroline, zupełnie nie mogąc się połapać w sytuacji. Groziło, że głowa jej pęknie.

– Jest pijana.

– Co takiego?

– Lepiej tu przyjedź.

Spojrzała na swoją koszulę nocną, poplamioną popcornem z masłem, a potem na



zegar. Było już późno, leżała w łóżku. Michelle nic się złego nie stało. Fakt, że piętnastoletnia córka upiła się, był niepokojący, ale raczej nie wymagał pilnej medycznej interwencji.

– Nie wystarczy, że zostanie u ciebie na noc? Rano po nią przyjadę.

– Masz być i już – powiedział Hunter i rozłączył się.

Caroline popatrzyła na trzymaną w dłoni słuchawkę. – Tak jest, sir. – Niechętnym gestem odrzuciła kołdrę i wstała. – Jakby to nie cierpiało zwłoki, psiakrew – mruzczała, wkładając džinsy i zmieniając koszulę nocną na lekką szarą bluzę. Była już niemal przy drzwiach wyjściowych, z kluczykami do samochodu w dłoni, kiedy zdała sobie sprawę, że nie wie, dokąd ma jechać.

– Nie znam twojego adresu – powiedziała Hunterowi przez telefon parę chwil później.

Na szczęście o tej porze ruch był znikomy i Caroline wkrótce znalazła się w niegdyś obskurnej, ale teraz modnej śródmiejskiej dzielnicy, znanej jako Gaslamp Quarter. Rozglądała się wśród rzędów pięknie odnowionych wiktoriańskich budynków, szukając adresu byłego męża. Kiedy byli małżeństwem, Hunter nawet nie wziąłby pod uwagę zamieszkania w tej części miasta, pełnej salonów tatuażu, sklepów z pornografią i bloków mieszkalnych na granicy ruiny. Ale w ciągu minionej dekady te straszidła zostały zastąpione przez nowe galerie sztuki, butiki i ekskluzywne restauracje. Miejsce stało się modne, warto się tu było pokazywać, więc nic dziwnego, że Hunter kupił tu niedawno własnościowy lokal. Caroline otworzyła okno samochodu i wciągnęła w płuca chłodne nocne powietrze. Prawie o drugiej nad ranem z kilku pobliskich klubów dobiegała jeszcze muzyka, a pulsowanie pojedynczej gitary basowej snuło się ulicą niczym zagubione bicie serca.

Caroline zlokalizowała adres eksmęża i przystanąła na pierwszym wolnym miejscu parkingowym, czyli niemal całą przecznicę dalej. Był październik i znad oceanu wiała lekka bryza. Chyba powinnam narzucić jakąś kurtkę przed wyjściem z domu, pomyślała, idąc szybko ulicą. Ale Hunterowi tak się cholernie śpieszyło. Po co to poganianie, na litość boską? Dlaczego tak mu zależało, żeby się pozbyć córki ze swojego mieszkania?

Czekali na nią w pomalowanym na róż holu. Obcisłe džinsy i biały T-shirt przydawały Hunterowi swobodnej atrakcyjności. Michelle była nieco niezdrowo blada, a długie, potargane włosy zakrywały całą twarz poza oczami – oczami, które gromiły matkę wzrokiem pełnym niespeszonej wrogości.

– Nic ci nie jest? – spytała ją Caroline, ignorując Huntera. Zauważyła teraz, że był na bosaka.

– Zabierz ją do domu i wyślij spać – powiedział Hunter, jakby stan Michelle był w jakiś sposób winą Caroline.

– Nie rozumiem. Co się stało?

– Późno jest – powiedział, zwracając w stronę windy. – Porozmawiamy jutro.

– Hunter...

– Możemy już jechać do domu? – jęknęła Michelle.

Caroline popatrzyła za Hunterem wsiadającym do oczekującej windy, a potem wyprowadziła córkę z budynku. Ruszyły ulicą. Michelle straciła rękę matki z ramion, jak tylko wyszły na chodnik. Caroline obejrzała się na apartamentowiec Huntera, gdy zmierzały do samochodu, i zobaczyła niewyraźną sylwetkę zerkającą w ich stronę zza zasłon gdzieś na piątym piętrze. Czy Michelle narobiła takiego zamieszania, że obudziła sąsiadów Huntera? Czy to dlatego tak mu zależało, żeby się jej pozbyć?

– Nie jestem inwalidką – zaprotestowała córka, kiedy Caroline chciała jej pomóc wsiąść do samochodu.

– Nie, masz piętnaście lat i jesteś pijana – powiedziała Caroline, nie umiając już dłużej utrzymać gniewu na wodzy. – Co się dzisiaj stało, do diabła?

Michelle skuliła się na siedzeniu i nic nie odpowiedziała.

– Co się stało? – nalegała Caroline, uruchamiając silnik i ruszając spod krawężnika. – Coś ty robiła u ojca? A poza tym zapnij pas – dodała, kiedy zaczął popiskiwać alarm.

Dziewczyna zaciągnęła pas przez mocno wycięty dekolt pudrowobłękitnego T-shirta.

– Miałaś na sobie coś innego, kiedy wychodziłaś z domu – powiedziała Caroline, przypominając sobie nieco skromniejszą, czarną bluzkę, którą córka włożyła przed imprezą. – Michelle, mów wreszcie. Co się dzieje?

Córka jęknęła.

– To nie jest odpowiedź.

Nastolatka wyprostowała się gwałtownie.

– Chcesz odpowiedzi? Super, już mówię. Wiesz, że tata i Diana ustalili datę?

– To jest pytanie, a nie odpowiedź – odpaliła Caroline, usiłując zachować panowanie nad sobą.

– A ona ma raptem dwadzieścia jeden lat.

– Dziewczyny twojego taty to nie moja sprawa. – Dobry Boże... Dwadzieścia jeden?! –

I nie o nie tutaj chodzi.

– Słyszałaś, co powiedziałam? Oni się zaręczyli. Pobiorą się w czerwcu.

– Znów nie moja sprawa.

– Więc ciebie to nie rusza, że on się znowu żeni?

– Trudno to nazwać czymś niespodziewanym.

– Ani to, że planują wielki ślub i wesele na ponad dwustu gości i przynajmniej z dziesięcioma druhnami?

– Oni ci to powiedzieli?

– Nie do końca.

– To skąd wiesz?

– Słyszałam ich.

– Co? Kiedy?

– Zanim się zorientowali, że tam jestem.

– Nie rozumiem. Jak mogli nie wiedzieć, że tam jesteś? Chcesz powiedzieć, że weszłaś do mieszkania ojca po kryjomu?

– Mam klucz. Trudno to nazwać zakradaniem się, jeśli człowiek ma klucz.

– Ale co ty tam w ogóle robiłaś?

Michelle wzruszyła ramionami i oparła głowę o zagłówek. Przymknęła oczy.

– O nie – zaprotestowała Caroline. – Nikt tu nie będzie spał, póki nie wyjaśnimy sprawy do końca. A teraz zacznij od początku – poleciała. – Poszłaś na imprezę do Chloe. Upiłaś się.

– To nie tak, że byłam zalana. Wypiłam tylko parę drinków.

– Masz piętnaście lat! W ogóle nie powinnaś pić. Gdzie byli rodzice Chloe?

– A skąd mam wiedzieć?

– Powiedziałaś mi, że będą w domu.

– Taa, no cóż. Skłamałam. Trzeba było sprawdzić.

– Pewnie trzeba było. Możesz to dodać do swojej listy moich zaniedbań.

– Taa, biedactwo.

– Tyle że tutaj nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie.

– Wiem, wiem. Jestem okropną córką i okropną osobą...

– Nikt nie twierdzi, że jesteś okropną osobą albo córką.

– Nie musisz tego mówić. Ja to czuję. Czuję to codziennie, cholera.

Caroline zatrzymała samochód na środku drogi i ostrym ruchem obróciła się twarzą do Michelle.

– O czym ty mówisz?

– Myślisz, że nie wiem, jakim rozczarowaniem jestem dla ciebie? Boże, nic dziwnego, że piję.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina, że się upiłaś?

– No jasne, że nie. Ty nigdy niczemu nie jesteś winna.

Za nimi zaczął trąbić jakiś samochód. Caroline spojrzała we wsteczne lusterko.

– Cholera. Skąd on się wziął?

– Jest śródmieście, sobotnia noc, mamó. Nie jesteś jedyną osobą na drodze.

Caroline wrzuciła bieg i podjechała do krawężnika. Zaparkowała i wyłączyła silnik.

– Serio? – jęknęła Michelle. – Musimy teraz?

– Musimy teraz – odparła Caroline słowami córki.

– Nie czuję się dobrze. Chcę tylko do domu.

– To wyjaśnij mi, co robiłaś u ojca.

– Impreza u Chloe była nudna, więc w parę osób postanowiliśmy jechać do Maxie.

– Kto to jest Maxie?

– Nie kto. Co. – Michelle przewróciła oczami, jakby chcąc powiedzieć: „Naprawdę nic nie wiesz?”. – To klub. – Machnęła dłonią w jakimś nieokreślonym kierunku. – Parę ulic dalej.

– Jak się dostałaś do środka? Masz piętnaście lat.

– Wiem, ile mam lat. Nie musisz mi o tym ciągle przypominać. – Tym razem uniosła do góry nie tylko oczy, ale i całą głowę. – Mam podrobiony dowód.

– Masz podrobiony dowód?

– Wszyscy mają.

– Nie wszyscy. Ja nie mam.

– Bo go nie potrzebujesz – powiedziała Michelle, jakby to powinno być jasne samo przez się. – Jesteś stara, na litość boską.

– Dobra, wystarczy tego.

– Chcesz usłyszeć resztę historii, czy nie?

Caroline nic nie powiedziała. Uniosła prawą dłoń wnętrzem do góry, gestem takim, jakby oddawała głos córce.

– Poszliśmy do Maxie. Tańczyliśmy. Gorąco było. Zaczęłam się czuć tak jakoś nie bardzo, więc wyszłam. Mieszkanie taty jest tuż za rogiem i pomyślałam, że zostałam tam dzisiaj na noc. Planowałam do ciebie zadzwonić. Żebyś się nie martwiła – podkreśliła. – Mam klucz, jak ci mówiłam. Więc weszłam do środka. Szłam korytarzem na palcach, bo nie chciałam go budzić, w razie gdyby spał, i wtedy właśnie ich usłyszałam.

– Słyszałaś, jak tata i ta... ta cała Diana rozmawiali o ślubie.

– Taa. No, nie z początku. Najpierw słyszałam tylko, no wiesz. Jęki i tak dalej.

Cholera, pomyślała Caroline, usiłując nie wspominać rozmaitych odgłosów, jakie kiedyś wydawał Hunter podczas seksu.

– Potem Diana powiedziała coś w rodzaju: „Ciekawe czy będzie tak samo dobrze, jak się pobierzemy”, a tata powiedział: „Nawet lepiej”. I chyba wtedy właśnie się porzygałam.

– Porzygałaś się?

– Wtedy oni się połapali, że tam jestem.

– Zwymiotowałaś? – powtórzyła Caroline, powstrzymując chęć, by porwać córkę w ramiona i obsypać jej twarz pocałunkami.

– Ojciec się wściekł.

– No, na pewno.

– Wyskoczył z łóżka i zaczął biegać po pokoju jak wariat. A Diana wrzeszczała na niego, żeby coś na siebie włożył, bo chyba zapomniał, że jest goły. Tak czy inaczej, to wtedy zadzwonił do ciebie i powiedział, żebyś przyjechała i mnie zabrała. Okej? Teraz zadowolona?

– Tak – powiedziała Caroline, tłumiąc śmiech, zanim wyrwał jej się z gardła. Bardzo.

– Możemy jechać do domu?

– Czy ona naprawdę ma tylko dwadzieścia jeden lat?

– Chyba bliżej trzydziestki. Proszę, jedźmy już do domu.

Caroline uruchomiła silnik.

– Kocham cię – powiedziała.

\*

W południe następnego dnia Michelle nadal spała, gdy Hunter zadzwonił, aby

porozmawiać o poprzedniej nocy i przeprosić za swoje zachowanie.

– Podobno żenisz się – powiedziała Caroline.

Chwila ciszy, a później:

– Miałem zamiar ci powiedzieć...

– Ustaliliście datę?

– Dziewiętnasty czerwca. Pomyśleliśmy, że lepiej trochę odczekać. Aż sprawy ucichną.

Caroline wiedziała, że pił do gradu artykułów, który pewnie zacznie się sypać w ciągu najbliższych tygodni, dla odnotowania dziesiątej rocznicy zaginięcia Samantha. Co by oznaczało dwudziestą rocznicę naszego ślubu, gdybyśmy pozostali małżeństwem, pomyślała. Reporterzy na pewno chętnie rzucą się na każdy nowy kąsek, nieważne, w jak niewielkim stopniu związany z głównym wydarzeniem. Kiedy Hunter i Caroline rozwiedli się, trafili na kolumny z sensacjami w każdym większym piśmie o ogólnokrajowym zasięgu. Jego ponowny ożenek z młodszą kobietą na pewno doleje oliwy do tego od dawna niemożliwego do ugaszenia pożaru.

– Przykro mi – powiedział jeszcze raz, zanim Caroline się rozłączyła.

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuła smaku łez na ustach. Otarła je grzbietem dłoni i sięgnęła drugą po mały bloczek papieru, który zawsze trzymała w pobliżu kuchennego telefonu. „Poszłam do Nicola’s”, nabazgrała, mając na myśli niewielki sklep spożywczy parę domów dalej, gdzie czasem robiła zakupy pomimo wygórowanych cen. „Jeśli chcesz wiedzieć, jakie ceny spożywcza będą dyktować w przyszłości, wybierz się do Nicola’s”, zażartowała kiedyś Peggy. „Zaraz wracam”, Caroline dopisała na karteczce.

Choć przecież nie potrzebujemy niczego, pomyślała, idąc ulicą. Już raczej chciała po prostu wyrwać się z domu. Ruch zawsze jej się przyda. Nie mogła nie zauważyć, jak nadal dobrze wyglądał Hunter, w jak świetnej formie się utrzymywał, podczas gdy ona sama nieco się zapuściła, najpierw rezygnując z członkostwa w siłowni, do której kiedyś chodzili wspólnie, a potem porzucając bieżnię, którą trzymała w garderobie i na której ćwiczyła codziennie. Po prostu nie chciało jej się dać sprzętu do naprawy, kiedy się zepsuł.

Weszła do Nicola’s, złapała niewielki, zielony, plastikowy koszyk i zaczęła chodzić wśród półek. Zatrzymała się przy warzywach i wybrała awokado, oceniając w myślach jego dojrzałość.

– Wszystko w porządku? – usłyszała czyjeś pytanie.

Caroline obróciła się i stanęła twarzą w twarz z przystojnym mężczyzną koło czterdziestki. No cóż, nie do końca przystojnym, uznała, oceniając jego rzadziej jasne włosy opadające na piwne oczy i głębokie bruzdy wokół nieco zbyt szerokich ust. Wszystkie rysy były jakby nieco nieregularne, ale i tak było w nim coś bardzo pociągającego.

– Słucham?

– Udusi pani zaraz to awokado – stwierdził. – Czy coś się stało?

Caroline szybkim gestem wrzuciła awokado do koszyka.

– Chyba po prostu na parę chwil się zamyśliłam, przepraszam. – Dlaczego przepraszała? Nie знаła tego człowieka. Nie była mu winna żadnych wyjaśnień, a co dopiero przeprosin.

– Nie trzeba przeproszać – powiedział, jakby czytając w jej myślach. – Chyba zna się pani na warzywach – ciągnął z uśmiechem. – Może mi pani pomóc? – Wyciągnął w jej stronę melon kantalupa. – Nigdy nie wiem, czy są dojrzałe, czy nie.

Czy on ją podrywał?

– Każe mi pan sprawdzić twardość swojego melona? – spytała, zdumiona kokieteryą we własnym głosie. Od dawna już nie wdawała się w tego typu przekomarzanki z żadnym mężczyzną. Nie od czasu Huntera. A teraz on się żenił. Z kobietą przynajmniej o dekadę od niej młodszą. Z kobietą, z którą uprawiał namiętny seks, podczas gdy jego nietrzeźwa piętnastoletnia córka zjawiła się niespodziewanie i wymiotowała mu w drzwiach. A Caroline nie uprawiała seksu od ośmiu lat. Nawet nie spojrzała na żadnego mężczyznę po odejściu męża. I to ma być sprawiedliwość?

– A może zaczniemy od filiżanki kawy? – zapytał mężczyzna. – Tak przy okazji, nazywam się Arthur Wainwright.

– Caroline – powiedziała, z premedytacją nie podając nazwiska. Odstawiła swój koszyk na skrzynkę szklarniowych pomidorów i bez słowa wyszła za mężczyzną ze sklepu, a potem do Starbucksza za rogiem.

## ROZDZIAŁ 19

# Dzisiaj

– Skurwysyn! – krzyczała Caroline, pędząc na północ po Mission Boulevard w stronę eleganckiej dzielnicy La Jolla. – Skurwysyn! – Uderzyła dłonią o kierownicę, która aż skrzypnęła w proteście, a potem otarła łzy kapiące jej na policzki od chwili, gdy zostawiła Jerroda Boltona stojącego z rozdziawionymi ustami obok stolika na patio Darby’s. – Jak mogłeś to zrobić, ty żałosny skurwysynu?

Spojrzała w prawo i zobaczyła, że kierowca w samochodzie obok zerka na nią z mieszaniną troski i strachu.

– Pilnuj własnego nosa, kurwa mać! – wrzasnęła do niego przez zamknięte okno po stronie pasażera, a potem szybko odwróciła wzrok.

Rozpoznał ją? Przeczyta w jutrzejszych gazetach o swoim dziwnym zachowaniu? Czy już ukradkiem robił jej komórką zdjęcia, które z samego rana zaleją cały internet? „Matkę zaginionego dziecka, Samantha Shipley, widziano publicznie w stanie załamania nerwowego na środku zatłoczonej arterii miejskiej”.

– W głowie się nie mieści – mruzczała, przyśpieszając i zmieniając pas na prawy, gdzie Mission Boulevard przechodził w La Jolla Boulevard, wypatrując jednym okiem swojego zjazdu. – W głowie się nie mieści.

Co mi się niby nie mieści? – zadała sobie pytanie zaraz w następnej chwili. Że Hunter ją zdradzał? To śmieszne. Oczywiście, że ją zdradzał. Wielokrotnie, z wieloma różnymi kobietami. Ale z Rain? Czy on naprawdę zdradził ją z kobietą, którą uważał za zero, przy licznych okazjach powtarzając, że „co za dużo, to niezdrowo”? Ile to było „za dużo”? – zastanawiała się teraz Caroline. Jak dużo, tak konkretnie, zanim naprawdę zrobiło się niezdrowo?

– Zdaje się, że rzeczywiście sporo – powiedziała do własnego zaskoczonego odbicia w lusterku wstecznym. A więc faktycznie zaczynała wierzyć, że Hunter mógł przespać się z Rain. Jak mogła nie podejrzewać tego wcześniej? Wróciła myślami do tamtego wieczoru w ogrodowej restauracji przy ich hotelu w Rosarito, wspominając, że Hunter i Rain przeprosili i odeszli od stołu jednocześnie, ona pod pretekstem przyniesienia sobie czegoś cieplejszego, on, żeby zajrzeć do dzieci. Odtwarzała w pamięci moment, kiedy tych dwoje rozeszło się każde w swoją stronę przy wyjściu z restauracji, choć ten podstęp mógł zostać zaplanowany, a pozornemu rozstaniu łatwo było szybko zaradzić.

Mniej więcej po kwadransie wrócili, jedno po drugim w krótkich odstępach czasu, jemu rzekomo zajęło to tyle ze względu na opieszalą windę, jej, bo musiała wypakować całą walizkę, zanim znalazła szal.

Tyle że Rain się nie rozpakowywała, a on nie zajrzał do dzieci. Zamiast tego byli razem, zrobili to jak para napalonych nastolatków, podczas gdy ktoś wchodził do apartamentu Caroline i uciekał z ich dzieckiem. A Hunter nie powiedział ani słowa. Ani policji. Ani własnej żonie. Nie wtedy. Nie przez te piętnaście lat. Czego jeszcze jej nie powiedział? – A niech cię, Hunter! Niech cię piekło pochłonie!

Caroline zjechała z La Jolla Boulevard przy Torrey Pines Road. Ledwie zauważyła zieloną enklawę mijanego Parku Narodowego La Jolla. Nie dostrzegła policyjnego wozu stojącego na poboczu drogi, nie dostrzegła obecności policjanta, póki nie ruszył za nią w pogoń, nie zorientowała się, że wycie syreny jest przeznaczone dla niej, dopóki nie zobaczyła czerwonych świateł, migoczących w lusterku wstecznym jej samochodu. Umundurowany gliniarz zajechał jej drogę i wskazał ręką, że ma zjechać na pobocze.

– Ma pani w ogóle pojęcie, jak szybko jechała? – spytał, gdy Caroline opuściła szybę okna.

– Przepraszam – odparła. – Nie zdawałam sobie sprawy...

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny – polecił.

Caroline złapała torebkę leżącą na siedzeniu pasażera i pogrzebała w niej, odszukała w środku portfel i wyciągnęła w stronę policjanta. Wydawał się szokująco młody pod tą swoją czapką.

– Proszę wyjąć dokumenty z portfela.

– Och. Przepraszam. – Miała kłopot z jego otwarciem, a jeszcze większy z wyjęciem dowodu drżącymi palcami, które nie chciały współpracować. Wzięła głęboki oddech, położyła portfel na kolanach, spróbowała jeszcze raz.

– Pani się czymś denerwuje? – spytał funkcjonariusz. W jego głosie wyczuła podejrzliwość.

Pokręciła głową, przeprosiła znowu. Od czasu swoich doświadczeń z meksykańskimi służbami, które o mały włos nie oskarżyły jej o współudział w zniknięciu własnej córki, doznawała ogromnego niepokoju w obecności funkcjonariuszy policji. Serce jej waliło, dłonie się pociły, oddech rwał się krótkimi, płytkimi haustami.

– Proszę – powiedziała, kiedy wreszcie udało jej się wyciągnąć prawo jazdy i dowód z plastikowych przegródek.

Policjant porównał jej twarz ze zdjęciem, na chwilę zatrzymał się przy nazwisku.

– Pani nazywa się Caroline Shipley? – spytał. „Czy zamordowała pani własne dziecko?”.

Odwróciła głowę, niezdolna odpowiedzieć.

– Proszę pani?

– Tak, nazywam się Caroline Shipley.

– Jechała pani dwadzieścia mil powyżej ograniczenia – poinformował.

– Dwadzieścia mil – powtórzyła bezbarwnym głosem.



– Piła pani?

– Czy piłam? Nie. – Czy będzie nalegał, żeby przeszła test alkomatem, który wykaże ten maleńki łyk szampana wypity wcześniej? Co by powiedział, gdyby odmówiła? Czy zabrałby ją do aresztu, tak jak przytrafiło się to Michelle ledwie kilka miesięcy wcześniej? Już widziała nagłówki: „Matka zaginionej małej Samantha Shipley aresztowana za jazdę po pijanemu”. Albo gorzej: „Wszystko zostaje w rodzinie: matce i siostrze zaginionej Samantha Shipley stawia się zarzut prowadzenia pod wpływem alkoholu”.

– Proszę nie wysiadać z samochodu – polecił mundurowy. Zawrócił do swojego wozu i skontaktował się z centralą. – Obawiam się, że będzie to panią kosztowało – ostrzegł, wróciwszy. Oddał jej prawo jazdy i dowód razem z mandatem na trzysta dolarów. – Może mi pani wyjaśnić, co było powodem tego pośpiechu?

Śpieszyło mi się do konfrontacji z byłym mężem w sprawie jego romansu z żoną dawnego współnika w interesach, kobietą, która niby uczestniczyła w obchodach naszej dziesiątej rocznicy ślubu, a cały czas pieprzyła się z moim mężem. Na dobrą sprawę pieprzyła się z nim wtedy, kiedy on miał zajrzeć do naszych dzieci, możliwe, że dosiadła go właśnie wtedy, kiedy nasze młodsze dziecko zostało wyjęte z łóżeczka i porwane. A śpieszyłam się jak cholera, bo już zbyt wiele czasu zostało zmarnowane przez jego kłamstwa, kłamstwa, które mi opowiadał, kłamstwa, które opowiadał policji, kłamstwa, którymi karmił świat przez całe pierdolone piętnaście lat.

– Chciałam się po prostu przejechać – powiedziała zamiast tego.

Funkcjonariusz westchnął.

– No dobrze, proszę zwolnić. Nie chciałyby pani nikogo zabić. – „Czy zabiła pani własne dziecko?”.

Caroline wrzuciła mandat razem z prawem jazdy i dowodem do torebki. Powkładała dokumenty do właściwych przegródek portfela, kiedy dłonie przestaną jej się trząść.

– Dziękuję – zwróciła się do policjanta, bo nie przyszło jej do głowy nic innego.

Odsunął się, a ona uruchomiła samochód i wyjechała na drogę, patrząc we wstecznym lusterku na funkcjonariusza wracającego do swojego pojazdu. Czy zorientował się, kim ona jest? A może tym nachmurzonym spojrzeniem traktował wszystkich bez wyjątku nierozważnych kierowców?

– Niech cię szlag, Hunterze Shipley – powiedziała, dodając gazu, ale starannie pilnując się przepisowego ograniczenia prędkości i zmierzając dalej w stronę nowego domu eksmeża. – To wszystko twoja wina. Powinnam tobie oddać ten pieprzony mandat.

Torrey Pines Road przeszła łukiem w Torrey Pines Drive, z jej wspaniałymi posiadłościami wychodzącymi na ocean. Hunter zawsze marzył, żeby mieć dom tutaj, w okolicy, którą mieszkańcy La Jolla nazywali perłą San Diego. Teraz, dzięki połączeniu ciężkiej pracy i majątku młodej żony, wreszcie tu zamieszkał. Niektóre marzenia się spełniają, pomyślała z goryczą, zatrzymując samochód na podjeździe supernowoczesnego, piętrowego domu z drewna i szkła. Zgasiła silnik. – Niech cię szlag, Hunter – szepnęła, wysiadając z samochodu. Powtarzała te słowa w duchu, idąc szybko

alejką w stronę masywnych dębowych drzwi frontowych.

Zadzwoiła do drzwi, a potem zaczęła w nie stukać ogonem kołatki w kształcie delfina z brązu. – Rusz się, żałosny bydlaku.

Nagle zdała sobie sprawę, że może go nie być w domu. Przecież to, mimo wszystko, weekend. Może razem z Dianą zabrali dwójkę swoich małych dzieci na spacer po plaży albo na przejażdżkę po wybrzeżu. Może pędziła całą drogę i zarobiła trzystudolarowy mandat zupełnie na próżno.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich kobieta o idealnej cerze, z długimi, jasnymi włosami, małym dzieckiem opartym na szczupłym biodrze i błękitnymi oczami szeroko otwartymi z niepokoju.

– Caroline?

– Diana? – Caroline nigdy nie poznała kobiety, która została drugą żoną Huntera. Widziała jej zdjęcia, słyszała, jak Michelle swobodnie wychwala jej urodę, ale nic jej nie przygotowało na to, jak śliczna okazała się ta młoda kobieta. Niczym mała porcelanowa laleczka, pomyślała, czując się w porównaniu z nią otyła i niezdarna. Dla kontrastu, mała dziewczynka na jej rękach bardziej przypominała szmaciankę z Cabbage Patch niż chińską laleczkę, czerwona i pomarszczona, chociaż Caroline dostrzegła rysy Huntera, rysy Samantha, w tych wielkich oczach o wykroju migdała. Odwróciła się, powstrzymując odruch, który kazał jej wyrwać to dziecko z ramion matki i uciec.

– Czy stało się coś złego?

– Gdzie jest Hunter?

– Czy coś się stało Michelle? – Cichy głos Diany pełen był troski.

– Michelle nic nie jest. Muszę rozmawiać z Hunterem.

– Co się dzieje? – zawołał jej były mąż gdzieś z głębi domu.

– Caroline przyszła do ciebie! – odkrzyknęła Diana. – Wejdz – zwróciła się do niej i wpuściła ją do środka, a potem zamknęła za nią drzwi.

– Muszę z tobą porozmawiać, bydlaku jeden! – wrzasnęła Caroline gdzieś w stronę wnętrza domu. Obrzuciła spojrzeniem ten wielki, okrągły hol i schody wiodące łukiem na górę. Stał na nich Hunter i patrzył na obie kobiety z podestu pierwszego piętra.

Momentalnie znalazł się u jej boku.

– Co się dzieje, do diabła? Co ty tu robisz? Czy Michelle...?

– Pieprzyłeś się z Rain, ty żałosny skurwielu?! – wybuchnęła, a on cofnął się o krok. Dziecko w ramionach Diany zaczęło kwilić.

– Hej. Moment. Ścisź głos.

– Ty mi nie mów, że mam ściszyć głos...

– W przeciwnym razie będziesz musiała wyjść.

– Och, doprawdy? Wyrzucisz mnie? Wezwiesz gliny? Naprawdę chcesz, żeby świat się dowiedział, że pieprzyłeś żonę innego faceta, kiedy ktoś porywał nasze dziecko?

Cała krew odpłynęła Hunterowi z twarzy niczym sok ze słomki do picia, którą ktoś wypuścił z ust. Uniósł dłonie obronnym gestem.

– Chcę tylko, żebyś się uspokoiła i zniżyła głos. Jestem gotów przedyskutować to...

– Jesteś gotów to przedyskutować? – Caroline przerwała mu z niedowierzaniem. – Po piętnastu latach jesteś gotów to przedyskutować?!

– Wejdz do salonu. Usiądziemy i porozmawiamy o tym jak dwoje rozsądnych dorosłych. – Ruchem dłoni wskazał jej przestronny, słoneczny pokój po prawej.

Caroline o mało nie parsknęła śmiechem, wszedłszy za nim do tego gustownie urządzonego wnętrza, gdzie frontowe okna wychodziły na ocean. Czy on miał pojęcie, jak idiotycznie zabrzmiał? Nie zdawał sobie sprawy, że rozsądnym dorosłym przestał być jakieś piętnaście lat temu? Osunęła się na przesadnie miękkie obicia oberżynowej, pluszowej sofy. On nie usiadł i stanął przy wyściełanym złotym fotelu po jej lewej.

– Co tak dokładnie wydaje ci się, że wiesz?

– Wiem, że pieprzyłeś się z Rain...

– Myślisz, że udałoby ci się nie używać tego słowa?

– Nie, kurwa, nie wydaje mi się, żebym mogła przestać używać tego pierdolonego słowa – odparła Caroline, obserwując, jak się skrzywił. – To dobre słowo. Znakomite słowo. I kurwa, mnie się nie wydaje, że coś wiem. Ja wiem to, kurwa, na pewno, że pieprzyłeś Rain Bolton. Chyba nie zamierzasz temu zaprzeczać?

Hunter miał taką minę, jakby właśnie do czegoś takiego się szykował, ale chyba zmienił zdanie.

– No dobra. Proszę bardzo. Tak, miałem z nią romans. Ale to było po powrocie z Meksyku, kiedy nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego.

– Łgarz! – rzuciła Caroline.

– Caroline...

– Rozmawiałam dzisiaj z Jerrodem Boltonem. Zadzwoił do mnie, powiedział mi, że Rain wyznała mu wszystko. Tak przy okazji, rozwodzą się. Możesz być bardzo z siebie dumny.

Hunter ciężko usiadł w fotelu. Nic nie mówił.

– Kazaleś mi myśleć, że to moja wina, że opuszczasz mnie, bo nie jesteś w stanie żyć z potępieniem, które codziennie widziałeś w moich oczach. Że to mój chłód pchnął cię w ramiona innych kobiet. Podczas gdy prawda była taka, że ty przez cały czas sypiałeś z innymi kobietami. Zanim pojechaliśmy do Rosarito. Po tym jak wróciliśmy do domu. Podczas naszego tam pobytu.

– Dobra. Dobra, wygrałaś. Jestem ostatnim bydlakiem. To chciałaś ode mnie usłyszeć?

– Że jesteś bydlakiem, to ja już wiem. Tego nie musisz mi mówić – odpaliła Caroline. Odgarnęła włosy z twarzy, potrząsając głową na wspomnienie ich ostatniej wspólnej nocy. – Kiedy myślę o tym, jak cię błagałam, jak prosiłam, żebyś został, obiecywałam, że będzie inaczej, jeśli tylko dasz mi kolejną szansę...

– Nie chciałaś tego. Nie tak naprawdę. Oboje to wiedzieliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że to był koniec, że to się skończyło dwa lata wcześniej. – Potarł sobie czoło. – Nie rozumiem, co dobrego ma przyjść z rozmowy o tym teraz.

– Naprawdę nie rozumiesz?

- Jeśli oczekujesz przeprosin...
- Nie chcę twoich cholernych przeprosin.
- No to czego chcesz?

Caroline zignorowała pytanie.

- Spałeś z Rain – powtórzyła.

Hunter znów uniósł ręce obronnym gestem.

- Tak. Zdaje się, że prawdziwość tego faktu została już uznana.

- I sypiałeś z nią podczas naszego pobytu w Rosarito.

- Tak.

- W wieczór naszej dziesiątej rocznicy ślubu.

- Tak, cholera.

– Bez przekleństw, proszę – powiedziała Caroline, bo nie mogła sobie tej satysfakcji odmówić. – I byłeś z nią, kiedy powinieneś zajrzeć do dzieci.

– Ty i ja sprawdzaliśmy je na zmianę co każde pół godziny, na litość boską. Dopiero co byłeś na górze. Powiedziałaś, że wszystko w porządku.

– Było w porządku – odparła Caroline gniewnie. Czy chciał dać do zrozumienia, że mogło być inaczej?

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. – Hunter spojrzał w stronę wybielonych drewnianych belek rozciągających się pod wysokim sufitem, zupełnie jakby miał nadzieję, że odpowiedź znajdzie wśród rysunku ich słoików.

– Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego skrywałeś ten sekret przez piętnaście lat. Dlaczego nie powiedziałaś nic, kiedy policja cię wypytywała...

– A co im miałem powiedzieć? Że wcale nie zajrzałem do dzieci, bo byłem zajęty pieprzeniem cudzej żony?

- Tak – odparła Caroline. – Dokładnie to powinieneś im powiedzieć.

– I w czym by to pomogło? Pomyśl tylko. Nasze dziecko zniknęło. Ty byłeś w hysterii. Ostatnia rzecz, jaką potrzebowałaś usłyszeć, to że nie byłem ci wierny. Nie mogłem ci powiedzieć. Nie mogłem w taki sposób cię zranić...

– Masz czelność wciskać mi takie gówno? Nie teraz. Ja już tego nie kupię. Wcale nie myślałeś o moich uczuciach ani o moich potrzebach. Bo ja potrzebowałam prawdy. Nie myślałeś o mnie. Myślałeś o sobie. Tylko o sobie.

– Dobra. Jak sobie chcesz. Myślałem o sobie. Ja tylko nie rozumiem, jaki jest sens rozgrzebywania tej sprawy teraz. Przecież to nie zmienia tego, co stało się wtedy.

– To się mogło wcale nie zdarzyć – powiedziała Caroline. – Gdybyś był tam, gdzie powinieneś być, Samantha mogłaby nadal być z nami.

– Nie sądzisz, że ja to wiem? Myślisz, że nie żyję od piętnastu lat z poczuciem winy? – Hunter ukrył twarz w dłoniach. – Myślisz, że nie czuję się odpowiedzialny za to, co się stało? Że nie żałuję swoich wyborów, swoich działań, wszystkiego, co zrobiłem, wszystkiego, czego nie zrobiłem, w każdej minucie każdego dnia? Nie powinienem nalegać, żebyśmy poszli na kolację tego wieczoru. Nie powinienem zadawać się z Rain. Nie powinienem okłamywać ciebie ani policji. I tak, żałuję, Caroline. Żałuję bardziej, niż

mogłabyś przypuszczać.

Caroline walczyła z rodzącym się współczuciem. Jego poczucie winy, jego przeprosiny, choć szczere, nie miały wagi ani znaczenia. Liczyły się tylko fakty.

– Zajrzałam do dzieci o dziewiątej – stwierdziła beznamiętnym tonem. – Ty powiedziałeś policji, że zaglądałeś do nich o dziewiątej trzydzieści. Wróciliśmy do pokoju nieco po dziesiątej, więc policja i my wszyscy w naturalny sposób założyliśmy, że ktoś, kto porwał Samanthę, zrobił to w czasie tych trzydziestu czy czterdziestu minut, choć mogło się to w gruncie rzeczy stać wcześniej. Ten, kto ją porwał i uprowadził, miał na to czas od dziewiątej, a nie od dziewiątej trzydzieści.

– Nawet jeśli...

– To zmienia cały obraz sprawy. Trzydzieści minut, Hunter. Trzydzieści minut, których nie sprawdzono, nie zainteresowano się miejscem przebywania pracowników hotelu ani gości, trzydzieści minut zignorowanych przez funkcjonariuszy meksykańskich przejść granicznych, trzydzieści dodatkowych minut dla tego kogoś, kto z nią zniknął bez śladu.

– Nie wiemy tego na pewno.

– Nie – ustąpiła Caroline, wstając. – I dzięki tobie nigdy się tego nie dowiemy. Zbyt wiele czasu minęło. Jest o wiele za późno. – Wyszła z salonu do przestronnego, okrągłego holu.

Diana stała u stóp schodów z niemowlęciem w ramionach i dwuletnim synkiem lgnącym do jej nóg.

– Tatusiu – pisnął chłopiec, podbiegł do ojca i o mało się nie przewrócił o jego nogę.

Hunter pochylił się i wziął syna na ręce. Chłopiec spojrzał nieśmiało na Caroline, a ona patrzyła, jak w tym uśmiechu, który powoli objął jego buzię, zaczyna się materializować Samantha.

– O Boże – jęknęła.

– Przykro mi – powiedział Hunter.

– Masz piękną rodzinę – szepnęła Caroline, szeroko otworzyła drzwi i uciekła z tego domu.

## ROZDZIAŁ 20

# Pięć lat temu

– Nie powiedziałaś mi, jak masz na nazwisko.

– Tillman – odparła Caroline. Posłużyła się panińskim nazwiskiem, zanim zorientowała się, że to robi. Pomyślała, czy się nie poprawić, ale potem zrezygnowała. Najwyraźniej nie wiedział, kim ona jest i pewnie nigdy już go nie zobaczy. Więc po co psuć przyjemne spotkanie, ujawniając swoją prawdziwą tożsamość? – Caroline Tillman.

– Caroline to ładne imię – powiedział. – W przeciwieństwie do Arthura. Bóg raczy wiedzieć, co moja matka myślała.

– Nie podoba ci się Arthur?

– Może być. Tyle że jest staroświeckie.

– Faktycznie, człowiek się ostatnio na zbyt wielu Arthurów nie natyka – zgodziła się, zastanawiając się, co robi z tym człowiekiem, z tym Arthurem Wainwrightem. – Ale to takie mocne imię. Musiało dla niej coś znaczyć.

– Jedyne, co się liczyło dla mojej matki, to znów się napić.

– Była alkoholiczką?

– I to o paskudnym usposobieniu.

Caroline omal nie parsknęła śmiechem.

– Moja jest paskudnie usposobionym narcyzem.

– Za matki – powiedział Arthur, stukając się z nią papierowym kubkiem.

Caroline zdała sobie sprawę, że spędza całkiem przyjemne chwile. Dużo czasu minęło, odkąd cieszyła się towarzystwem mężczyzny, dużo czasu, odkąd pozwalała sobie na podobną pobłażliwość.

– Czym się zajmujesz?

– Doradztwem bankowym.

Caroline skinęła głową. To była tego typu praca, jakiej ona nigdy do końca nie rozumiała.

– A ty? – spytał, zanim zdążyła jakoś jego odpowiedź skomentować. – Czym wypełniasz czas, kiedy nie maltretujesz awokado?

– Uczę w szkole średniej. Matematyki.

– Matematyki? Serio? To fascynujące.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo nie ma aż tak wielu kobiet uczących matematyki. Przynajmniej tak mi się wydaje. Kobiety uczą języków i historii, nie algebry i geometrii.

Caroline wróciła myślami do nauczycieli matematyki w swoim liceum. Miał rację. Nie było wśród nich ani jednej kobiety.

– Mój ojciec uczył matematyki. Może dlatego ja też to robię.

– Może. Ale podejrzewam, że jest w tym coś więcej.

– Na przykład?

– Sam nie wiem. Sprawiasz na mnie wrażenie kogoś inteligentnego, więc może to ma coś wspólnego z próbą zrozumienia sensu tego świata.

– Uważasz, że jestem inteligentna? – Caroline nie mogłaby zaprzeczyć, że pochlebstwo sprawiło jej przyjemność.

– A nie jest tak?

– Próbuję za wiele nie myśleć – odparła i ucieszyła się, kiedy parsknął śmiechem.

– W matematyce jest coś cudownie kompletnego – ciągnął. – Jest taka jasna. Taka prawdziwa. Co to kiedyś powiedział Keats? „Piękno jest prawdą, prawda pięknem, oto co znasz na Ziemi i co wiedzieć trzeba”. – Wzruszył ramionami, lekko zażenowany. – A przynajmniej coś w tym stylu.

– Konsultant bankowy, który cytuje poetów romantycznych – stwierdziła Caroline. – Ciekawe.

– Moja żona studiowała anglistykę.

Odstawiła kubek z kawą na dzielący ich mały stolik.

– Jesteś żonaty?

Zawahał się.

– Jestem wdowcem. – Odchrząknął. – Pięć lat, a ja nadal mam kłopot z wypowiedzeniem tego słowa.

– Przykro mi. Chorowała?

– Ani jeden dzień w życiu. Zdrowa jak koń do chwili, gdy jakiś pijany palant staranował ją, kiedy odprowadzała naszą sześciolletnią córkę do szkoły.

– Twoja córka...

– Zginęła na miejscu.

– Mój Boże. To straszne.

– Ósma rano, a facet już był pijany jak bela. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że kogoś rozjechał, póki policja nie przyjechała go aresztować. Boże, nie cierpię alkoholików. W każdym razie – dodał, jakby budząc się ze wspomnień – niezupełnie ten rodzaj błyskotliwego dialogu miałem na myśli, planując pierwszą randkę.

– To jest pierwsza randka?

– Taką miałem nadzieję.

– Już dawno nie byłam na randce – przyznała Caroline, podnosząc kubek do ust. – Jestem rozwiedziona – wyjaśniła. – Mniej więcej od ośmiu lat.

– Dzieci?

– Córka, Michelle. Jest nastolatką. Dość trudną. – Poczula ukłucie winy. Córka Arthura

nie żyła, przejechana przez pijanego kierowcę w drodze do szkoły, tak samo jak jego żona. A ona narzeka na trudną nastolatkę... Zwalczyła chęć opowiedzenia mu o Samancie.

– Ty i twój były dogadujecie się? – spytał we właściwym momencie, by do tych zwierzeń nie doszło.

– Nie tak do końca. No, w pewnym sensie tak – poprawiła się. – Nie jesteśmy sobie wrodzy ani nic takiego.

– To dobrze.

– Ale zaprzyjaźnieni też nie.

– Pewnie człowiek by się nie rozwodził, jeśli doskonale się z kimś dogaduje.

– On znów się żeni, w czerwcu – zwierzyła się Caroline. – Wielki ślub. Ze wszystkimi fajerwerkami.

Arthur opuścił głowę i spojrzał na nią z zaciekawionym wyrazem, wyraźnie mu ulżyło, że już przestał być obiektem rozmowy.

– I jak się z tym czujesz?

– Naprawdę niewiele czuję, ani na tak, ani na siak. Nie, nieprawda – dokończyła na tym samym oddechu. – Szczerze mówiąc, jestem lekko wkurzona.

– Bo go nadal kochasz?

– Bo jego narzeczona jest znacznie młodsza ode mnie.

Zaśmiał się.

– Nadal posądzasz mnie o inteligencję?

– Myślę, że twój były to idiota, skoro pozwolił ci odejść.

Caroline potrząsnęła głową.

– Taa, no cóż, nie znasz mnie zbyt dobrze.

– Chciałbym poznać.

Nachyliła się, oparła łokcie o blat stolika.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył. – No cóż, na początek, jesteś piękna, bystra i więcej niż odrobinę tajemnicza. To zawsze intrygujące połączenie.

– Uważasz, że jestem tajemnicza?

– Miła pani. Mam wrażenie, że w tej ślicznej głowie bardzo dużo się dzieje.

Teraz to ona się zaśmiała.

– A jeśli się okaże, że głowa jest pusta?

– Nie ma takiej możliwości – odparł.

– Nie jesteś z Kalifornii, prawda? – spytała, czując, że się nieco rumieni i w ramach ucieczki chwytając się lekkiego śladu akcentu ze wschodniego wybrzeża, którego dosłuchała się w niektórych jego samogłoskach.

– Z Utica w stanie Nowy Jork – odparł. – Przeprowadziłem się tutaj po... Jestem tu od czterech lat.

– Widzę, że ci się tu podoba.

– A dlaczego ma się nie podobać? Słońce? Niemal codziennie jest słonecznie,



temperatura, która rzadko odbiega choć o parę stopni od komfortowej, Pacyfik, Meksyk za rogiem.

Caroline poczuła, że przy słowie Meksyk kubek z kawą wyslizguje jej się z ręki. Arthur szybkim ruchem ręki podtrzymał go, żeby nie spadł na ziemię.

– No, niewiele brakowało – powiedział, wycierając brązowe kropelki ze swojego muskularnego przedramienia.

– Przykro mi.

– Coś nie tak powiedziałem?

– Nie. Chociaż przyznaję, że masz spory dar słowa.

– Naprawdę?

– Temperatura, która rzadko odbiega choć o parę stopni od komfortowej, Pacyfik, Meksyk za rogiem – zacytowała, zmuszając się do wypowiedzenia słowa Meksyk, czując niesmak, jaki pozostawiło na jej języku.

– Tak powiedziałem?

– Owszem.

– No, bo taka jest prawda. W mojej skromnej opinii południowa Kalifornia jest bliżej rajów niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie.

– Pewnie tak.

– No to opowiedz mi więcej o Caroline Tillman – poprosił. – Lubi sport, kino, podróże?

– Lubi baseball. Wiem, że wielu osobom wydaje się dość nudny i pewnie taki bywa. Ale ja go uwielbiam – wszystkie te statystyki i tym podobne. Śledzę celne strzały, dobiegnięcia do bazy, błędy, ilu było wyeliminowanych pałkarzy i tak dalej. To takie... Sama nie wiem...

– Poetyczne z punktu widzenia matematyki? – podsunął.

Caroline znów się zaśmiała, czując, że Arthur Wainwright z minuty na minutę robi na niej lepsze wrażenie.

– A podróże?

– W sumie niewiele podróżowałam od czasu rozwodu.

– Pewnie nie jest łatwo, kiedy jest się samotnym rodzicem.

Wzruszyła ramionami.

– Może po prostu nie jestem typem szukającym przygód. A ty? – spytała, zanim zdążył zaprotestować.

– Ja lubię wszystko to wymienione wcześniej. Sport, kino i podróże.

– A ulubione miejsce, które kiedyś odwiedziłeś?

– Barcelona – odparł natychmiast. – To wspaniałe miasto. Interesuje mnie wszystko, co hiszpańskie. I pewnie dlatego tak bardzo lubię Meksyk. Lubisz meksykańskie jedzenie?

– Nie bardzo. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. A co lubisz jeść?

– Lubię makarony.

– Ja też – powiedział. – I tak się składa, że znam pewną świetną małą włoską

restaurację na Harbor Drive. Moglibyśmy zjeść tam razem lunch. Jesteś głodna?

– Umieram z głodu – odparła Caroline.

Zerwał się z miejsca.

– Idziemy?

I Caroline znów poszła za Arthurem Wainwrightem.

\*

– Jak to, nie wracasz do domu na lunch? – spytała ostrym tonem Michelle pół godziny później. – Co ja mam teraz zrobić?

Caroline spojrzała na własne odbicie w lustrze maleńkiej restauracyjnej łazienki i wsunęła kosmyk włosów za ucho, telefon podtrzymując ramieniem przy drugim.

– Nie wiem. Zrób sobie omlet.

– Nie jem jajek.

– To zjedz kanapkę.

– Nie jem chleba.

– Odkąd nie jesz jajek i chleba?

– Od przynajmniej roku. Kiedy wrócisz do domu?

– Nie wiem. Później. – Caroline wyłowiła z torebki szminkę.

– Kiedy później?

– Nie wiem.

– Gdzie jesteś?

– W takiej małej włoskiej restauracji na Harbor Drive.

– Której małej włoskiej restauracji?

– A co to za różnica?

– Z kim tam jesteś?

– Z przyjaciółką, na którą wpadłam przypadkiem.

– Nie masz przyjaciółek.

– Owszem, mam. – Owszem, nie mam, pomyślała Caroline. Pomijając Peggy. Wszystkie pozostałe przyjaciółki zniknęły wraz z zaginięciem Samantha. I co by sobie Peggy pomyślała o niej teraz – nie dość, że poszła na kawę z mężczyzną spotkanym przy półce z warzywami i owocami, to jeszcze teraz na dodatek lunch? Czy uznałaby, że po prostu odreagowuje wiadomość o małżeńskich planach Huntera, a może własne rosnące obawy o Michelle, albo i to, że z nikim się nie przespala, odkąd ona i Hunter kochali się po raz ostatni, czyli, tak się złożyło, w tę noc, kiedy jej powiedział, że odchodzi? I chociaż Arthur Wainwright nie był pierwszym mężczyzną, który jej się spodobał od odejścia męża, to był pierwszym, który w pewien sposób do niej trafił. Oczywiście nie bez znaczenia mogło być to, że nie miał pojęcia, kim ona jest. Uważa, że jestem tajemnicza, pomyślała. – Muszę kończyć, kochanie.

– Czekaj...

– Wrócę do domu później.

– Jak to nie wracasz na obiad? – jęknęła Michelle. – I gdzie byłaś całe popołudnie? Dzwonię i dzwonię. Po co człowiekowi komórka, jeśli nie ma zamiaru jej włączyć?

– Przepraszam, kochanie, po prostu wpadłam na znajomych, których od dawna nie widziałam...

– Kolejnych znajomych? – spytała córka. – Kim są ci wszyscy znajomi, tak ni stąd, ni zowąd?

– Nie znasz ich. – Caroline nachyliła się do niewielkiego lustra nad białą porcelanową umywalką w kawalerce Arthura Wainwrighta, żeby sprawdzić, czy uprawianie seksu po raz pierwszy od ośmiu lat w jakiś zauważalny sposób zmieniło jej wygląd. – Posłuchaj, nie wrócę późno. Po prostu zamów pizzę czy coś.

– Nie jem pizzy.

Caroline przegarnęła palcami włosy, przesunęła dłońmi po policzkach, po nagich piersiach, odtwarzając drogę, jaką wcześniej przebyły ręce Arthura. – To może jakąś chińszczyznę?

– Może po prostu każ mi połknąć litr smalcu.

– Na litość boską, Michelle. Zamów to, na co masz ochotę. Przepraszam – dodała z miejsca, usiłując nie zagubić tego cudownego spokoju, który odczuwała, zanim wyszła z łóżka Arthura, żeby zadzwonić do córki. – Może zadzwonisz do babci Mary? Na pewno chętnie zje z tobą obiad.

– Chcesz, żebym zadzwoniła do babci Mary? No, teraz to już wiem, że coś jest na rzeczy.

– Nic nie jest na rzeczy. Po prostu idę na miasto z paroma znajomymi.

– Dobra. Nie wyłączaj telefonu.

– Dlaczego?

– Gdybym potrzebowała się z tobą skontaktować.

– Nie będziesz potrzebowała się ze mną kontaktować.

– Skąd wiesz? Coś się może zdarzyć...

– Zostawię telefon włączony – obiecała Caroline, doznając tego aż zbyt dobrze znanego poczucia winy ściskającego żołądek. Spojrzała jeszcze raz w lustro i znów usiłowała odnaleźć w nim tamto wcześniejsze uniesienie, dotyk palców Arthura delikatnie głaszczących jej ciało, wilgoć języka, który prześlizgiwał się po nagiej skórze, by zanurzyć się między jej nogami, wprawa, z jaką doprowadził ją do orgazmu, jeszcze zanim w ogóle w nią wszedł.

– W domu wszystko w porządku? – spytał, kiedy wróciła do sypialni. Leżał nagi na podwójnym łóżku, w białej pościeli, niedawno gładkiej, a teraz zaplątanej wokół torsu.

Caroline wyłączyła telefon, rzuciła go na stos ubrań na podłodze i wślizgnęła się do łóżka obok niego.

– Wszystko dobrze – odparła.

## ROZDZIAŁ 21

# Dzisiaj

– Co się dzieje? – zdziwiła się Peggy, otwierając drzwi do swojego przestronnego, parterowego domu w spokojnej, nieco zapuszczonej i artystycznej w klimacie dzielnicy Hillcrest.

– Mogę wejść? – Caroline spytała w progu.

Peggy cofnęła się w głąb holu, żeby ją wpuścić.

– Kto to? – zawołał Fletcher gdzieś z wnętrza domu.

– To Caroline! – odrzyknęła Peggy. – Co się stało? Wyglądasz okropnie. Chora jesteś?

– Mam za sobą upiorny dzień. – Caroline weszła za Peggy do salonu, usiadła na wygodnej brązowej kanapie stojącej naprzeciwko foteli nie od kompletu, jednego krytego szarawym tweedem, drugiego tkaniną drukowaną w niebieskie i różowe kwiaty. Ściany były żółte, dywan granatowy, stolik do kawy z jakiegoś postarzanego drewna. Nic tu do siebie nie pasowało, a jakimś cudem wszystko razem tworzyło zgraną całość. Zupełnie jak w małżeństwie Peggy i Fletchera, jedynej pary, której związek po tej nieszczęsnej wycieczce do Rosarito nadal trwał w stanie nienaruszonym.

– Co się stało?

– Widziałam się dziś w południe z Jerrodem Boltonem.

– Jerrodem Boltonem? Tym od Rain?

– Zadzwoił do mnie z prośbą o spotkanie. Wiedziałaś, że Rain i Hunter mieli romans?

– Co? Kiedy?

Do salonu wszedł Fletcher, zadziwiająco elegancki jak na wyluzowane niedzielne popołudnie, w dobrze skrojonych czarnych spodniach od garnituru i koszuli w niebieskie i białe paski.

– Cześć, Caroline. Nie wiedziałem, że do nas wpadniesz.

– Hunter i Rain mieli kiedyś romans – powiedziała do niego żona.

– Co takiego?

– Piętnaście lat temu – doprecyzowała Caroline. – Spali ze sobą, kiedy byliśmy w Meksyku.

– Myślałem, że Hunter jej nie lubi – zdziwił się Fletcher.

– I Jerrod tak ni w pięć, ni w dziewięć zadzwonił, żeby ci o tym powiedzieć? – spytała

Peggy.

– Jak się okazuje, Rain wyznała mu, że nie dość, że mieli z Hunterem romans, to sypiali ze sobą, kiedy byliśmy w Rosarito, tuż pod nosem nas wszystkich. Powiedział, że miesiącami zastanawiał się, czy mi powiedzieć. A potem, przy tym całym rozgłosie w związku z piętnastą rocznicą... Serio nie mieliście pojęcia?

Peggy i Fletcher jednocześnie pokręcili głowami, a ich zaszokowane miny przekonały Caroline, że mówią prawdę.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, po co mówił ci o tym teraz – stwierdził Fletcher.  
– To się wydarzyło tak dawno temu, wy z Hunterem jesteście rozwiedzeni od lat...

– Oni byli razem w wieczór zniknięcia Samantha.

– Co takiego? – zawołała Peggy.

– Co? – zawtórował jej Fletcher.

– W czasie rocznicowej kolacji? – odezwała się Caroline pytającym tonem, jakby sama nie mogła do końca w to uwierzyć. – Kiedy ona poszła po coś cieplejszego, a on miał zajrzeć do dzieci?

– Oni byli wtedy ze sobą? – odezwała się Peggy tonem tak samo niedowierzającym.

– Nie sprawdził, co z dziećmi – dodała Caroline. – Co oznacza, że nikt do nich nie zaglądał przez ponad godzinę.

Zapanowała długa chwila ciszy.

– A więc Samantha mogła zostać zabrana pół godziny wcześniej, niż ktokolwiek myślał – stwierdziła Peggy.

– Jesteś tego pewna? – spytał Fletcher. – Może powinnaś porozmawiać z Hunterem.

– Właśnie od niego wracam. Potwierdził to.

– Cholera – westchnął Fletcher i usiadł w różowo-niebieskim fotelu.

– Cholera – rzuciła Peggy i naśladując męża, usiadła ciężko na szarawym tweedzie.

Siedzieli w ten sposób, trzy wierzchołki niewidocznego trójkąta, przez ładnych parę chwil. Caroline wpatrywała się w życzliwą twarz przyjaciółki i dopiero teraz dotarło do niej, że Peggy ma umalowane oczy, świeżo umyte i podkrecone włosy, a na sobie turkusową jedwabną sukienkę, którą wkładała tylko na specjalne okazje.

– O Boże. Wy się szykujecie do wyjścia?

– Jedziemy na ślub – wyjaśnił Fletcher niemal przeprasząco.

– Strasznie was przepraszam. – Poderwała się na nogi i ruszyła szybko do drzwi.

– Caroline, czekaj – powiedziała Peggy, biegnąc za nią. – Mamy jeszcze czas...

– Nie – odparła. – Nie wolno wam się spóźnić. To przynosi pecha.

– Wymyśliłaś to sobie.

– Idźcie na ten ślub – westchnęła Caroline. – Nic mi nie będzie.

Pobiegła do samochodu i wyjechała z podjazdu. Dopiero za rogiem przystanęła przy krawężniku i wybuchnęła płaczem. Nie była pewna, dlaczego płacze – czy te łzy wywołała informacja o romansie Huntera z Rain, czy świadomość, że to odkrycie nadeszło zbyt późno, żeby stanowić jakąś różnicę. Czy to by coś zmieniło, gdyby wiedziała wtedy, że on i Rain byli razem, kiedy powinien zajrzeć do dzieci? Czy

meksykańscy policjanci zdołaliby dojść prawdy o zniknięciu Samantha, gdyby byli świadomi możliwości, że zabrano ją z łóżeczka pełne pół godziny wcześniej, niż początkowo zakładano? A może byliby tak samo bezradni?

Szloch przybierał na sile, aż całe jej ciało zatrzęsało się od coraz głośniejszego płaczu. I zrozumiała, że to nie przez zdradę Huntera ani nawet dlatego, że prawda wyszła na jaw zbyt późno, by zrobić jakąś różnicę.

Piętnaście lat po tym, jak jej córkę wykradziono z łóżka, Caroline płakała, bo tylko jeden fakt jeszcze się liczył: że Samantha nie ma.

\*

– Gdzie byłaś, do diabła? – zwróciła się do matki ostro Michelle, kiedy ta weszła do domu.

Caroline upuściła torebkę na podłogę i poszła do salonu. Każdy krok sprawiał jej trudność, jakby grzęzła w lotnym piasku.

– Proszę, Michelle. Dajmy sobie spokój. Nie mam na to siły.

Córka dreptała za nią.

– Znikasz na całe godziny... Nie dzwonisz...

– A jak mam zadzwonić? Zabrałaś moją pieprzoną komórkę.

– I jeszcze co, mamo? Gdzie byłaś?

Równie dobrze możemy mieć to z głowy, postanowiła Caroline, rozumiejąc, że córka nie ma zamiaru odpuścić.

– Pojechałam zobaczyć się z twoim ojcem.

– To było kilka godzin temu.

– O co ci chodzi? I skąd to wiesz?

– Tata zadzwonił. Niepokoił się, powiedział, że kiedy wyszłaś, byłaś bardzo zdenerwowana...

– Jakiż on domyślny. A powiedział ci, po co u niego byłam?

– Powiedział, że zostawia to twojej decyzji.

– Domyślny i troskliwy.

– Możemy sobie darować sarkazm? Powiesz mi czy nie?

– O tym, dlaczego do niego pojechałam? Nie. Myślę, że tę piłeczkę przerzucę na jego stronę boiska.

– Czy mi powiesz, gdzie byłaś przez ostatnie trzy godziny – uściśliła Michelle.

– Byłam u Peggy.

– To było dwie godziny temu. Dzwoniłam do nich – wyjaśniła Michelle, zanim matka zdążyła zapytać.

– Nie powinnaś tego robić. Wybierali się na ślub...

– Powiedziała, że już pewnie jesteś w drodze do domu. Ale nie byłaś, prawda? Więc zapytam jeszcze raz, gdzie się podziewałaś?

– To żadna wielka tajemnica, Michelle.

– No to dlaczego robisz z tego tajemnicę?

– Po prostu trochę pojeździłam bez celu. Trafiłam do Balboa Park.

– Balboa Park? W niedzielne popołudnie? Kiedy pełno tam turystów?

– Tak. Lubię to miejsce. Kiedyś często tam chodziłam.

– Kiedy?

– Lata temu. Po tym, jak... Nieważne. Już jestem w domu.

– W samą porę – odezwała się matka Caroline, wchodząc do salonu. Minęła ją i usiadła na sofie z filiżanką herbaty w ręku. – Zrobiłam herbatę, gdyby ktoś miał ochotę.

– Mamo! – zawołała Caroline. – A co ty tu robisz?

– Ja do niej zadzwoniłam – wyjaśniła Michelle.

– Dlaczego?

– Bo się o ciebie martwiłam.

– Martwiłaś się o mnie, więc zadzwoniłaś do mojej matki?

– Powiedziała mi, że ostatnio zachowujesz się dość irracjonalnie – stwierdziła Mary.

– Nie zachowuję się irracjonalnie...

– Rozmawiałaś z jakąś wariatką, która twierdzi, że jest Samanthą, poleciałaś do Calgary...

Caroline gniewnym ruchem obróciła się w stronę Michelle.

– Nie waż mi się złościć na Micki – odezwała się matka. – Powiedziała mi, bo się o ciebie troszczy. Tak jak większość córek troszczy się o matki.

Caroline potrząśnięciem głowy zbyła docinki matki.

– A teraz znikasz na pół dnia, nikomu nie mówiąc, gdzie będziesz. Po tym, co się stało ostatnim razem, kiedy tak zniknęłaś, nie możesz nas chyba winić za niepokój – stwierdziła Mary. – Naprawdę mam nadzieję, że o dzisiejszych twoich wyczynach nie przeczytam w jutrzejszej prasie.

Caroline wyobraziła sobie, jak rzuca się przez pokój i powala matkę na ziemię jednym, dobrze wymierzonym ciosem w szczękę.

– To poniżej pasa, mamo. Nawet jak na ciebie. A teraz przepraszam was, ale chyba faktycznie wezmę sobie trochę herbaty. – Wyszła z salonu do holu, z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami, modląc się, by nie potknąć się o własne nogi i nie dać w ten sposób Mary satysfakcji.

– Nie powinnaś tego mówić – usłyszała słowa Michelle skierowane do babki.

– Trzeba jej o tym przypominać. Dobrze zrobiłaś, dzwoniąc do mnie – odparła Mary.

– Jesteś dobrą dziewczyną, kochanie. Nie pozwól nikomu wmawiać ci niczego innego.

Dziel i rządź, pomyślała Caroline. Ulubiona strategia jej matki, sposób na zapewnienie sobie dominacji, zachowanie kontroli. No i czemu nie? Zawsze działał na jej korzyść.

Caroline weszła do kuchni i zobaczyła tam brata, siedzącego na blacie obok zlewu, nieco rozchełstanego, w obszarpanych dżinsach i zielono-żółtej koszuli z krótkimi rękawami. Włosy miał za długie i opadające na kołnierzyk, przez to wyglądał, jakby

został dopiero co wyciągnięty z łóżka. Pewnie właśnie tak było.

– Już ci naląłem – powiedział Steve, wyciągając do niej porcelanową filiżankę. – Odrobina mleka, bez cukru. Zgadza się?

– Zabrała cię tutaj jako wsparcie?

– Ale kaftan bezpieczeństwa zostawiłem w samochodzie. Co mam powiedzieć? Weź sobie biscotti. Są pyszne. – Wskazał talerz sucharków na kuchennym stole.

– Widzę, że matka rządzi się jak u siebie.

– Cała ona. I co, to prawda?

– Co?

– Że przechodzisz jakiś rodzaj załamania nerwowego?

Caroline upiła duży łyk herbaty.

– Nie przechodzę załamania nerwowego.

– Ale rozmawiałaś z jakąś wariatką, która twierdzi, że jest Samantha?

– A jeśli nie jest wariatką?

– Nadal nie czyni to z niej Samanthy.

– Skąd masz tę pewność?

– Zastanów się, Caroline. Jakie jest prawdopodobieństwo?

– A co to za różnica, jakie jest prawdopodobieństwo?

– To ja w tej rodzinie jestem hazardzistą – przypomniał jej. – Człowiek nie stawia wszystkiego pod zastaw domu. W tym przypadku tym domem jest zdrowy rozsądek.

– A od kiedy to ty nim dysponujesz?

Steve zsunął się z kontuaru.

– Nie róbmy osobistych wycieczek. Nie ja jestem tu wrogiem.

– Owszem – przyznała Caroline. – Wróg siedzi tam. – Spojrzała w stronę salonu.

– Nie sądzisz, że jesteś dla niej odrobinę zbyt surowa? Nie zostawiła cię samej, wiesz.

Po zniknięciu Samanthy. Ty byłaś w Meksyku. Ona się wprowadziła, zajęła się Michelle. A kiedy wróciłaś i byłaś samym kłębkim nerwów, ona praktycznie zastąpiła matkę temu biednemu dziecku.

– I popatrz, ile dobrego to zrobiło.

– Ostatnie piętnaście lat nie było łatwe. Dla nikogo z nas.

– Wiedziałaś? – zapytała Caroline.

– Czy co wiedziałem?

– Że Hunter i Rain mieli romans.

Zawahał się.

– Podejrzywałem.

– Jak? Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. Chyba jakieś przeczucie. Widziałem, w jaki sposób ona na niego patrzyła, jak on patrzył na nią, kiedy sądzili, że nikt nie widzi. Plus to, w jaki sposób zawsze źle o niej mówił za jej plecami. Zupełnie jakby chciał ukryć, co naprawdę czuje. Po prostu mnie to zastanawiało. A potem, tej nocy, kiedy zniknęła Samantha...

Caroline poczuła, że oddech więźnie jej w gardle.



– W noc, kiedy zniknęła Samantha... O co chodzi?

Kolejna chwila wahania.

– Ja ich widziałem.

– Jak to widziałeś ich? Widziałeś ich razem? Kiedy?

– Czekał, czekał – zmitygował ją Steve. – Nie powiedziałem, że widziałem ich razem.

– No to co chcesz powiedzieć?

– To było po tym, jak wróciłem do pokoju, żeby spróbować przemówić Becky do rozumu, no wiesz, namówić ją, żeby wróciła do stołu, ale oczywiście nie chciała słuchać i miałem właśnie wyjść z pokoju, otworzyłem drzwi i wydało mi się, że widzę Huntera idącego korytarzem. Pamiętam, że zastanawiałem się, co on mógł robić w naszym skrzydle. A potem, kiedy wpadłem na Rain w holu na dole, dodałem sobie dwa do dwóch...

– I wynik zatrzymałeś dla siebie.

– A co miałem powiedzieć, Caroline? „Udanej rocznicy ślubu, twój mąż chyba ma romans”? Nie wiedziałem nic na pewno. Możliwe, że widziałem kogoś innego, nie Huntera. Możliwe, że on i Rain nie byli wtedy razem. A nawet jeśli, to mogło być coś całkiem niewinnego.

– No cóż, oni faktycznie byli razem i jest całkiem pewne, że to nie było nic niewinnego. Zamiast sprawdzić, co u dzieci, mój kochany mąż pieprzył się z kobietą, która rzekomo była moją przyjaciółką, a gdybyś ty powiedział policji, co widziałeś...

– Powiedziałem im, co wiedziałem, czyli nic, niestety. Nawet jeśli facet, którego zobaczyłem, to był Hunter, nawet jeśli Rain i on byli tam razem, nie miałem powodu przypuszczać, że nie zajrzał do dzieci, kiedy on sam twierdził, że tak.

Miał rację. Mimo to Caroline nie miała zamiaru tak łatwo bratu odpuścić.

– Powinieneś mi powiedzieć.

Jego odpowiedź była równie celna i zabójcza, co strzała trafiająca w serce:

– Nie powinnaś zostawiać dzieci bez opieki.

To proste stwierdzenie odebrało jej dech. Zgięła się wzdół, usiłując złapać powietrze, filiżanka wypadła jej z ręki i wylądowała na podłodze, roztrzaskując się na sto maleńkich kawałków.

Usłyszała szuranie stóp zbliżających się do niej.

– Co się tutaj dzieje? – Pytanie Michelle zabrzmiało wśród głośniego dzwonienia w uszach.

– Mój Boże, co wy robicie? – odezwała się Mary, schylając się, by pozbierać odpryski porcelany.

– Przepraszam, Caroline – mówił brat. – Nie powinienem tego mówić. Wiesz, że nie chciałem.

Nie przepraszaj, myślała Caroline. Czują, że za moment kolana się pod nią ugną. Przecież to rzeczywiście prawda. Powiedział właśnie dokładnie to, co ona sama mówiła sobie od piętnastu lat.

I wtedy zabrzmiał dzwonek u drzwi.

– Ja otworzę – powiedział Steve i rzucił się do drzwi, tak jakby ten dzwonek życie mu uratował. Wrócił, gdy Michelle pomagała Caroline usiąść na jednym z krzeseł stojących wokół kuchennego stołu.

– Przyszła do ciebie jakaś Lili – odezwał się do siostry. – Mówi, że była z tobą umówiona.

## ROZDZIAŁ 22

# Pięć lat temu

Zadzwoił telefon.

Caroline sięgnęła do nocnego stolika przy łóżku i podniosła słuchawkę do ucha, zauważając, że jest zaledwie wpół do siódmej. Czy to był Arthur? Chciał ją złapać, zanim wyjdzie do pracy, powiedzieć jej, jak bardzo za nią tęskni, chociaż nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd byli razem?

Ale zamiast spokojnego barytonu Arthura usłyszała zachrypnięty alt Peggy.

– Widziałaś dzisiejszą poranną gazetę? – spytała, zanim Caroline zdążyła się choćby przywitać.

– Nie. A co?

– Zaraz będę u ciebie – zapowiedziała Peggy. – Nie zaglądaj do gazet. Nie odbieraj telefonu. Nie włączaj komputera, póki do ciebie nie przyjadę.

– O czym ty mówisz? Co się dzieje?

– Będę za dziesięć minut.

– Czekaj... Co...? – Głos w słuchawce umilkł. Caroline siedziała i patrzyła na nią przez parę chwil. – Co tu się właśnie stało? – szepnęła i ruszyła do łazienki, gdy telefon znów zadzwonił.

„Nie odbieraj telefonu”, przypomniała sobie słowa Peggy. „Nie włączaj komputera. Nie zaglądaj do gazet”.

– Ale dlaczego nie? – zapytała na głos i ignorując uporczywe dzwonicie, umyła twarz i zęby, a potem narzuciła na siebie szlafrok i ruszyła na dół.

Michelle usiadła na łóżku, gdy mijała jej pokój. Przetarła oczy i popatrzyła gniewnie na matkę.

– Kto tak wydzwania?

– Jakiś idiota stroi sobie żarty. Wracaj do łóżka. Możesz jeszcze pół godziny pospać.

– Że niby teraz zdołam zasnąć – jęknęła Michelle, nakrywając sobie głowę poduszką, gdy Caroline przymykała drzwi do jej pokoju.

„Nie zaglądaj do gazet”, napominał głos Peggy w jej głowie, kiedy zbiegała po schodach w stronę frontowych drzwi. Otworzyła je na oścież i podniosła poranną gazetę.

„Wszystko to moja wina”, odczytała nagłówek wybity wielkimi, czarnymi literami.

Pod nim zobaczyła zdjęcie swojej uśmiechniętej twarzy. Caroline nigdy wcześniej nie widziała tego zdjęcia, choć dokładnie wiedziała, kiedy zostało zrobione, bo rozpoznała logo Starbucks w oknie za swoją głową. – Nie. Proszę, nie.

Zaniosła gazetę do kuchni i rozłożyła ją na stole. Telefon znów zaczął dokuczliwie dzwonić, gdy ona przebiegała wzrokiem jeden okropny akapit po drugim, od jednego potępiającego zdania do następnego. Wszystko tam było. Każde niedyskretne słowo, jakie jej się wymknęło, każde serdeczne zwierzenie, jakie jej się wyrwało. Jej najgłębsze sekrety, czarno na białym, do wglądu dla całego świata: poczucie winy, bo zostawiła dzieci same, nieustające cierpienie związane z utratą młodszej córki, narzekania na narcystyczną matkę i trudną starszą córkę, nadchodzący ślub Huntera ze „znacznie” młodszą kobietą, który nieźle ją „wkurzył”, a nawet szczegóły ostatniej nocy z byłym mężem, kiedy zapowiedział jej, że ją opuszcza i to, jak porzuciła wszelki rozsądek i dumę, i zaczęła go błagać, żeby został. „Błagałam go, żeby mnie nie zostawiał”.

Zajrzała na stronę dziesiątą, na ciąg dalszy artykułu. Opisywał jej powrót do zawodu nauczycielki i późniejsze samobójstwo jednego z jej uczniów. „Czułam się winna”, zacytowano ją pod kolejnym nieupozowanym zdjęciem jej roześmianej twarzy. „Wszystko, co zaszło, to moja wina. To wszystko moja wina”.

– To się nie dzieje naprawdę – powiedziała, patrząc jak słowa zacierają się i rozpadają po to tylko, by złożyć się potem w jeszcze większy, jeszcze wyraźniejszy druk. – Proszę, niech to będzie tylko jakiś straszny sen.

Dziesięć minut później Peggy stanęła na jej progu. Rzuciła okiem na poszarzałą twarz Caroline i przygarnęła przyjaciółkę w uścisku.

– Opowiedz mi wszystko.

\*

– W domu wszystko w porządku? – spytał wtedy, po jej powrocie do sypialni z komórką w dłoni.

– Wszystko świetnie. – Wyłączyła telefon i rzuciła go na stos ubrań na podłozie. A potem wśliznęła się do łóżka obok niego, przytuliła się, pozwalając by ją otoczył silnymi ramionami. Już od dawna nie była w łóżku z mężczyzną, a jeszcze więcej czasu minęło, odkąd czuła się bezpieczna. – No cóż, o tyle dobrze, o ile to możliwe w przypadku mojej córki – ciągnęła. – Jak powiedziałam, potrafi być trudna.

– Pewnie nie jest łatwo być jedynaczką.

Oczy Caroline napełniły się łzami i spróbowała odwrócić wzrok. Dłoń Arthura delikatnie przytrzymała ją za brodę, zmusiła do spojrzenia mu w oczy.

– O co chodzi?

Caroline zawahała się.

– Nie zawsze była jedynaczką.

– Nie rozumiem.

– Nie byłam z tobą do końca szczerą.

Czekał i nic nie mówił.

– Nie jestem pewna, od czego zacząć.

Znów odczekał, jego milczenie zmuszało ją, by mówić dalej.

– Ja nie mam na nazwisko Tillman – przyznała – tylko Shipley.

– Caroline Shipley? – powiedział i na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech. – Czy ja powinienem znać to nazwisko? Jesteś sławna?

– Raczej niesławna.

– Caroline Shipley – powtórzył. Zmrużył oczy, a potem szeroko je otworzył, zrozumiałwszy. – O mój Boże. Kobieta, której dziecko zniknęło...

– Tak... O Boże. Tillman to moje panieńskie nazwisko.

Czekała, aż się od niej odsunie z przerażeniem, ale zamiast tego przygarnął ją jeszcze mocniej w swoje kojące objęcia.

– Dziękuję ci – szepnęła, przywierając do niego.

– Za co?

– Za to, że nie czujesz do mnie odrazy.

– A dlaczego, na litość boską, miałbym czuć odrazę? Sam straciłem dziecko, zapomniałaś? Mogę sobie tylko wyobrazić, przez co musiałaś przejść. Przez co przechodzisz...

Teraz płakała już otwarcie.

– W przyszłym tygodniu minie dziesięć lat. W głowie mi się to nie mieści. Dziesięć lat.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Pokręciła głową przecząco, nie dlatego, że nie chciała rozmawiać, ale dlatego, że bała się, że jeśli raz zacznie mówić, to nie zdoła przestać.

– Pamiętam, jak czułem się winny po śmierci Jenny i Lary – odezwał się, mówiąc bardziej do siebie niż do niej. – Poczucie winy ocalałego, tak to się chyba nazywa. Ciągłe mi się wydaje, że gdybym tylko tam był, gdybym to ja odwiózł Larę do szkoły tamtego dnia, gdybym chociaż szedł z nimi, to mógłbym je ocalić. A może w ogóle nic by się nie stało. Obie nadal by żyły.

– A może ty też byś zginął.

– Było mi wszystko jedno. Chciałem umrzeć. Jestem pewien, że czułaś to samo. Obwiniasz siebie, wydaje ci się, że to przez ciebie...

– To była moja wina – powiedziała Caroline, zachęcona jego otwartością, tym zrozumieniem dla jej bólu. – Wszystko to moja wina.

– Nieprawda.

– Zostawiłam moje dzieci same w hotelowym pokoju. Żeby móc zjeść kolację z przyjaciółmi. – Słowa zaczęły wylewać się z jej ust, dokładnie tak, jak przewidziała. Cała dekada stłamszonego poczucia winy i gniewu. Opowiedziała mu wszystko, doprecyzowując fakty już ogólnie znane, dzieląc się z nim odczuciami wstydu i rozpacz, które dusiła w sobie przez dziesięć lat. Mówiła, jak potraktowała ją meksykańska policja, o ich podejrzeniach, że to ona i Hunter odpowiadali za to, co spotkało Samanthę. Wzięła na siebie winę za rozpad małżeństwa, za swoje napięte

kontakty z Michelle. – Mówią człowiekowi, że z czasem robi się łatwiej – stwierdziła. – Ale to nie tak. Jest odwrotnie. Robi się tylko gorzej. Życie po prostu dowala ci jeszcze więcej różnych rzeczy, za które możesz czuć się winny.

– Na przykład?

To wtedy opowiedziała mu o Errolu, chłopcu z jej klasy, który popełnił samobójstwo, i o tym, jak dyrektorka w efekcie poprosiła ją o złożenie wymówienia.

– Nie miała prawa tego robić.

– Wiedziała, że coś jest nie tak, rozumiesz. Z Errolem. Widziałam to w jego oczach. Próbowalam z nim porozmawiać, żeby się jakoś otworzył. Chyba się do tego szykował, ale potem spojrzałam na zegar. Michelle miała umówionego dentystę i wiedziałam, że się zdenerwuje, jeśli się spóźnię. A on to dostrzegł. Był takim wrażliwym chłopcem. Natychmiast znów się zamknął w sobie, uparcie twierdził, że nic mu nie jest, powiedział, że się zobaczymy następnego dnia. Więc pozwoliłam mu odejść. Musiałam odebrać córkę ze szkoły. A on wrócił do domu i się powiesił.

– Nie mogłaś wiedzieć, co robi.

– Wiedziała, że jest wrażliwy. Errol nie żyje przeze mnie, bo nie znalazłam dla niego chwili. Samantha zniknęła, bo mnie przy niej nie było. To ja jestem wspólnym mianownikiem dla tych dwóch równań. To moja wina. To wszystko moja wina.

Pokręcił głową.

– Strasznie mi przykro.

– Za co? Nie ma powodu. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Pocałował ją w czubek głowy, schował twarz w jej włosach. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, póki Caroline nie oświadczyła niechętnie, że czas zbierać się do domu. Michelle na nią czeka, a następnego dnia jest szkoła.

– Odezdziesz się do mnie jeszcze? – spytała, wychodząc z jego mieszkania.

– Bądź tego pewna – odparł.

\*

– Jestem taką idiotką – powiedziała do Peggy, drapiąc paznokciem nazwisko Arthura, autora artykułu. Tyle że miał na imię nie Arthur, ale Aidan. O wiele modniejsze imię. Niemal się roześmiała.

Siedziały przy kuchennym stole. Peggy zaparzyła dzbanek porządnej kawy i wyłączyła telefon.

– Nie mogłaś wiedzieć.

– Powinnam coś podejrzewać. To takie oczywiste, jak się teraz zastanowić.

– Jak to oczywiste?

– Po pierwsze, to, jak się poznaliśmy. Jedna z tych cukierkowych sytuacji, jakie zdarzają się tylko w filmach. Pewnie to wszystko zaaranżował. Liczył, że jego urok na mnie podziała.

– Nie mógł wiedzieć, że podziała.

– A czemu nie? Pewnie podzielał już przy wcześniejszych okazjach. Jestem pewna, że nie byłam jego pierwszym celem. – Caroline pokręciła głową, wspominając. – Gdyby nie podzielało, pewnie spróbowałyby czegoś innego później. Na jego szczęście, okazałam się taka łatwa. Powinnam wiedzieć – powtórzyła znowu. – To, jak cytował Keatsa. Jaki konsultant bankowy robi takie rzeczy? „Meksyk mam za rogiem” i „Temperatura rzadko spada o parę stopni poniżej wartości komfortowych”? Pewnie to ściągnęła z jakiejś turystycznej broszury. I czym, do cholery, zajmuje się taki doradca bankowy? Czy taki zawód w ogóle istnieje? – Zerwała się na nogi. – Powiedział, że miał żonę i córkę, które zabił jakiś pijany kierowca. Wymyślił to sobie? Naprawdę wymyślił tragicznie zmarłe dziecko, żeby zdobyć moje zaufanie? Czy to wszystko było tylko sztuczką, żebym zaczęła mu się zwierzać? Dlatego udawał, że sam mi się zwierza?

Peggy pokręciła głową.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy.

– Ależ mnie rozegrał. Ależ się mną zabawił. Pogrywał na moich uczuciach, na moim współczuciu. Nie wspominając o tym, jak mi pochlebiał, opowiadał, że jestem tajemnicza, że jestem inteligentna.

– Jesteś tajemnicza. I inteligentna.

– Ty też planujesz napisać o mnie artykuł? – spytała Caroline.

– I poczucie humoru – dodała Peggy, biorąc przyjaciółkę za rękę.

– Jak on mógł w taki sposób mnie zwieść?

– To reporter. Oni robią takie rzeczy.

– I wszyscy śpią z bohaterkami swoich artykułów?

– Ciekawe, że zapomniał napisać o tym w swoim tekście. I zaryzykuje, że zabrzmiał to jak niezdrowa ciekawość, ale czy był chociaż dobry w te klocki?

– Był genialny – przyznała Caroline. – Tym większa szkoda. – Nalała sobie kolejny kubek kawy i na powrót usiadła. – Co piszą w sieci?

– To samo, co zwykle. Mnóstwo tego samego. Nie czytaj tego.

– A czemu nie? Wszyscy inni będą czytać.

Usłyszały kroki Michelle schodzącej po schodach. Po chwili dziewczyna stanęła w drzwiach, nadal ubrana we flanelową piżamę.

– Wydawało mi się, że słyszę głosy – powiedziała, patrząc na Peggy. – Jesteś bardzo wcześnie, czy coś się stało? I dlaczego telefon jest wyłączony? – Odłożyła go na miejsce. Natychmiast się rozdzwonił. – Co jest grane? Co się dzieje? – Dojrzała poranną gazetę rozłożoną na kuchennym stole. – To twoje zdjęcie? – spytała matkę, przysuwając gazetę ku sobie. – Kurde. Co to jest?

Caroline podeszła do telefonu i odebrała. To była jej matka.

– Coś ty narobiła? – spytała ostro Mary.

– Czyś ty zupełnie oszalała? – zaczął się drzeć z drugiego domowego aparatu jej brat. – Wywnętrzać się przed reporterem?

Po ich telefonie doczekała się jeszcze bardziej gniewnego, od Huntera.

– Co się z tobą dzieje, do cholery?

A potem szybko, jeden po drugim, z dziesięć kolejnych telefonów z różnych czasopism z całego kraju, prośba producentów *60 Minutes* o wywiad telewizyjny, kolejna ze strony Howarda Sterna o występ w jego popularnym programie radiowym. Zarówno Barbara Walter, jak i Diane Sawyer chciały się z nią spotkać osobiście, Oprah ubiegała się o rozmowę, podobnie jak Katie Couric i ktoś o dziwnym nazwisku Maury Povich. Caroline wszystkie połączenia przerwała.

– Kto to jest Maury Povich, do cholery? – zapytała przyjaciółkę, a potem zwróciła się do Michelle: – Powinnaś się ubrać. Nie chcesz spóźnić się do szkoły.

– Ta, jasne. Bo ja dziś zamierzam w ogóle gdzieś koło szkoły się pojawić.

– Michelle...

– Przepraszam, kochana mamusiu. Czyżbym była trudna?

– To ja cię przepraszam – powiedziała Caroline. – Nie powinnam nic z tych rzeczy mówić.

– A czemu nie? Przecież tak myślisz, prawda? Że jestem utrapieniem, klątwą twojego życia...

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

– Równie dobrze mogłaś. Tak czy inaczej, to bez znaczenia.

– To ma znaczenie. Kocham cię, kotku. Wiesz o tym.

– Taa, jasne – powiedziała Michelle. – W każdym razie do szkoły dzisiaj nie idę. Chyba pojedę do babci Mary. Ona przynajmniej zawsze się cieszy na mój widok.

– Michelle, proszę cię... – zaczęła Caroline, ale córka już wymaszerowała z kuchni.

Telefon znów zadzwonił. Tym razem ze szkoły, w której pracowała Caroline, z informacją, że ich zdaniem powinna sobie zrobić parę dni wolnego, jej zajęcia przejmie ktoś w zastępstwie, a pod koniec tygodnia chciałby się z nią spotkać dyrektor.

– Stracę pracę – powiedziała, odkładając słuchawkę.

– Nie mogą cię, ot tak, wyrzucić – odparła Peggy.

– Mogą. Ale nie będą musieli. Zwolnię się po cichu.

– Nie. Nie możesz się poddawać bez walki.

– Nie mam już siły walczyć – powiedziała Caroline.

Peggy zmięła gazetę w twardą kulę i cisnęła ją na podłogę. – Bydlak. Podasz go do sądu?

– Na jakiej podstawie? To są w zasadzie same cytaty. Jestem pewna, że ma wszystko nagrane. – Skrzywiła się na myśl o każdym słowie, każdym westchnieniu, każdym jęku nagrywanym w sekrecie.

– Skurwysyn. Nie chcesz zadzwonić i skonfrontować się z nim?

– Chyba powiedziałam już wystarczająco dużo.

– Przynajmniej mogłabyś kazać mu spierdalać.

– I czytać o tym w jutrzejszej porannej gazecie?

– Może byłoby warto.

Zadzwonił telefon. Caroline bez słowa sięgnęła do niego i wyrwała kabel ze ściany.



## ROZDZIAŁ 23

# Dzisiaj

Czegokolwiek by się Caroline spodziewała, to jednak nie tego.

Przez piętnaście lat marzyła, jak by to było znów zobaczyć Samanthę i jak wyglądałoby ich ponowne spotkanie. Początkowo wyobrażała sobie dwulatkę o pulchnych policzkach i grubiućkich udach, biegnącą ku niej pędem z wyciągniętymi przed siebie rączkami i radosnymi okrzykami: „Mama!”, padającymi z ust w kształcie łuku Kupidyna, a potem wpadającą w jej desperacko stęsknione ramiona. W miarę jak lata mijały, okrągłe policzki i tłusty brzusek wysmukły i wysubtelniały, więc do czasu gdy skończyłaby dziesięć lat, Samantha z wyobrażeń Caroline zmieniła się w żywą, oddychającą księżniczkę z filmów Disneya, o jasnych lokach i skrzących się błękitnych oczach, ale nadal z buzią małego dziecka, tą buzią, którą ona rozpoznałaby z miejsca, była tego pewna. A po tym, jak przyjrzałyby się sobie nawzajem nieśmiało z pewnej odległości, Samantha uśmiechnęłaby się i rzuciła w objęcia Caroline, pozwalając matce obsypać się gorączkowymi pocałunkami i te pocałunki odwzajemniając.

Nastoletnie lata jakoś trudniej było sobie wyobrazić. Nie tak łatwo było przewidzieć, jakie zmiany mógł przynieść okres dorastania. Czy Samantha byłaby wysoka, czy niska, o niewielkim czy o sporym biuście? Czy jej włosy byłyby brązowe czy jasne, długie czy krótkie? W gazetach pojawiały się szkice, oczywiście, w miarę aktualne, przybliżone wizerunki rysowane przez ekspertów, na podstawie takich trwałych cech jak budowa kostna czy wykrój oczu. Ale co z cechami zmiennymi, których zmierzyć się nie da? Caroline zawsze nie cierpiała rzeczy niewymiernych.

Wystarczyło spojrzeć na Michelle. Zmieniła się tak bardzo na przestrzeni lat. Kiedyś pulchna mała dziewczynka, która uwielbiała wszelkie słodczyce, wyrosła na smukłą młodą kobietę, dla której cukier stanowił dietetyczny odpowiednik brzydkiego słowa. Niewiele łączyło osobę, którą była teraz, z tym wczorajszym dzieckiem. Tylko jej oczy pozostały takie same: wymagające, gniewne, wiecznie niezaspokojone. „Popatrz na mnie”, te oczy domagały się od lat. „Popatrz na mnie”.

Jednej rzeczy Caroline była jednak pewna: niezależnie od tego, jakie zmiany przyniosło minione piętnaście lat, na pewno rozpoznałaby Samanthę od pierwszej chwili. A Samantha wiedziałaby, że ona jest jej matką. Matka i dziecko padłyby sobie

w ramiona z płaczem. Jedno spojrzenie i te wszystkie lata natychmiast by zniknęły.

I nic z tych rzeczy się nie zdarzyło.

– Przyszła do ciebie jakaś Lili – powiedział jej brat. – Mówi, że była z tobą umówiona.

– No chyba sobie kpisz! – wykrzyknęła Michelle, gdy Caroline wybiegła z pokoju.

A teraz stały tam i przypatrywały się sobie w progę, i nie nastąpiło żadne natychmiastowe rozpoznanie, żadne okrzyki: „Mamusi!”, żaden radosny uścisk. Po prostu dwie obce osoby oceniały się nawzajem wzrokiem, próbując odnaleźć jakieś ślady samych siebie w tej drugiej, odkryć jakieś utracone czy zapomniane wspomnienie. Zamiast odpowiedzi czy pewności pojawiały się jednak wyłącznie pytania i kolejne wątpliwości.

– Caroline? – spytała dziewczyna.

Skinęła głową, czując, że pozostali tłoczą się za jej plecami, cztery pary oczu wwiercające się w jedną młodą dziewczynę, usiłujące ustalić, czy jest ich krewną.

Dziewczyna była wysoka i szczupła, chociaż nie dawało się ocenić, jak bardzo szczupła ze względu na za dużą zimową kurtkę, jaką miała na sobie. Włosy ciemnoblonde, z końcówkami ufarbowanymi na ten sam odcień ciemnoniebieskiego, jak jej tęczówki. Niezbyt długie loki ledwie sięgały ramion. Nie miała żadnego makijażu, a jej cera była tak blada i matowa, jak zimowe niebo nad Calgary. Ładna dziewczyna, która niedługo stanie się piękna, jak Caroline w jej wieku. I miała zarys żuchwy Huntera, dokładnie tak, jak sugerowały szkice w gazetach i internecie. W sumie bardziej przypominała tamte wizerunki niż Huntera czy Caroline. A do Michelle zupełnie nie była podobna. Nie było w twarzach obu dziewczyn nic, co sugerowałoby, że są w ogóle w jakiś sposób spokrewnione, a co dopiero, że są siostrami.

– Ty jesteś Lili – stwierdziła Caroline głosem silniejszym, niż się spodziewała.

– Pewnie powinnam najpierw zadzwonić.

– Nie, w porządku.

– Bałam się, w razie gdybym znów miała stchórzyć.

– Jesteś tu. To tylko się liczy. Wejdz. – Caroline cofnęła się, by wpuścić Lili do środka i nadepnęła przy tym na palce Michelle. Córka zaklęła pod nosem. – Może dacie nam kilka minut sam na sam. – Poprosiła córkę, matkę i brata.

– Bez szans – odparła Michelle w imieniu całej trójki.

Caroline wprowadziła dziewczynę do salonu, z rezygnacją godząc się na obecność rodziny. Może dobrze będzie mieć ich przy sobie. Może zmusi ją to do większej obiektywności, ograniczy emocje, nie pozwoli, by pragnienie szczęśliwego zakończenia wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Wezmę od ciebie kurtkę – zaproponował Steve. – Zdaje się, że nie będzie ci tu potrzebna. – Lili rozpięła okrycie i zsunęła je z ramion, a potem oddała Steve’owi. – Przy okazji, jestem bratem Caroline – powiedział, przewiesił kurtkę przez barierkę schodów i wyjął z ręki dziewczyny niewielką podróżną torbę, po czym wszedł za resztą grupy do salonu. – A to jest Mary, matka Caroline, i jej córka Michelle.

Lili skinęła głową na powitanie wszystkim po kolei, a potem usiadła, tworząc

nieregularny pięciokąt wokół stolika do kawy. Mary i Steve zajęli oba fotele, Lili i Caroline usiadły obok siebie na sofie, Michelle stanęła nieco z boku i oparła się o ścianę, zaplatając ramiona na piersi i obserwując Lili, jakby miała do czynienia z pozaziemską istotą.

Caroline również przypatrywała się Lili, usiłując dopatrzeć się choć jednego genetycznego śladu, który dowiodłby, czy to jej dziecko, czy nie. Ale niczego rozstrzygającego nie zauważyła. Szukała wzrokiem jakiegoś gestu, nerwowego tiku, wspólnego dla wszystkich w rodzinie odruchu, jednak nie widziała nic. Po prostu ładna dziewczyna z linią brody Huntera. Czy to wystarczy?

– Miałaś spokojny lot? – spytała Caroline.

– Było w porządku. Nieco turbulencji. – Głos miała niższy niż przez telefon, bardziej zbliżony do jej własnego. Czy to coś znaczy?

– Jesteś głodna? Może coś byś zjadła?

– Nie jestem głodna. Dziękuję.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

– A więc... – Steve przerwał milczenie. – Naprawdę sądzisz, że jesteś dawno zaginionym dzieckiem mojej siostry?

Caroline wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Lili.

– Nie przyjechałabym, gdybym nie uważała, że jest taka szansa.

– A teraz, kiedy tu jesteś? – drążył Steve. – Podoba ci się, co tu widzisz? – Potoczył ręką, wskazując ładnie urządzonej salon.

– Steve, proszę cię...

– Ja nie chcę waszych rzeczy – powiedziała Lili.

– Przecież o nic nie prosiła – odezwała się Caroline do brata.

– Jeszcze nie – odparł Steve.

– Jak zapłaciłaś za bilet lotniczy? – spytała Michelle. – Wydawało mi się, że nie masz na to pieniędzy.

Lili opuściła wzrok na własne kolana.

– Obciążylałam kartę kredytową matki.

– Szczęściara, tyle matek do wyboru – rzuciła Michelle.

– Czy ktoś wie, że tutaj jesteś? – spytała Caroline.

– Zostawiłam jej list, że mnie nie będzie przez kilka dni, z prośbą, żeby się nie martwiła.

– Będzie odchodziła od zmysłów – powiedziała Caroline, na nowo przeżywając własną panikę po zniknięciu córki. – Powinnaś do niej zadzwonić.

– Zadzwonię. Później. Kiedy już będziemy wiedzieć na pewno.

– A kiedy to będzie? – spytał Steve.

– Kiedy dostaną wyniki testu DNA, który planują zrobić – wyjaśniła Michelle, odpychając się od ściany i kierując w stronę korytarza. – Przepraszam na chwilę.

– Dokąd idziesz? – spytała Caroline, ale córka nie odpowiedziała.

– Jak się załatwia taki test DNA?

– Nie jestem pewna – odparła Caroline. – Zapytam Peggy. Ona będzie wiedziała.

– Peggy? – zainteresowała się Lili.

– Przyjaciółka siostry – wyjaśnił Steve. – Była tam tego wieczoru, kiedy moja siostrzenica zaginęła. Powiedz mi, czy pamiętasz cokolwiek z tamtej nocy?

Lili pokręciła przecząco głową.

– Miała dwa lata – przypomniała mu Caroline.

– Chciałabym coś pamiętać – dodała Lili. – Próbowałam sobie przypomnieć. Ale nie mogę. Pierwsza rzecz, jaką pamiętam, to jak bawiłam się jedną ze swoich lalek i odłamała jej się noga. Miałam może trzy czy cztery lata.

– Czy pamiętasz, gdzie wtedy mieszkałaś? – spytała Caroline, przypomniawszy sobie, że Lili wspominała o częstych przenosinach z miejsca na miejsce.

– Chyba w Rzymie. Tata miał firmę importowo-eksportową z biurami na całym świecie. Wiecznie podróżowaliśmy.

– A kiedy po raz pierwszy zaczęłaś podejrzewać, że możesz być kimś innym, niż jesteś? – wtrącił się Steve.

Caroline w sumie była wdzięczna, że brat wziął na siebie ciężar zadawania pytań. Nie ufała własnemu głosowi, a te pytania pozwalały jej skupić uwagę na reakcjach dziewczyny.

– Jak mówiłam Caroline przez telefon – odparła Lili, spojrzawszy przelotnie w jej stronę – zawsze miałam wrażenie, że nie jestem częścią tej rodziny. Do nikogo z nich nie jestem podobna, a nasze zainteresowania są kompletnie odmienne.

– To znaczy? – dociekała Michelle. Wróciła do salonu, ale zatrzymała się w drzwiach.

– No cóż, moi bracia to mięśniaki, mnie sport nie interesuje.

– To mało szokujące – stwierdził Steve.

– Oni się nie interesują szkołą. A ja ją uwielbiam. Zwłaszcza matematykę.

Z ust Caroline wyrwał się cichy jęk.

– Jak to się dobrze składa... – zauważył Steve.

– Składa się?

– Niewątpliwie czytałaś, że moja siostra uczy matematyki.

– Tak. To jedna z tych rzeczy, które kazały mi podejrzewać...

– A inne?

– Już je omówiłam z Caroline.

– Omów je ze mną.

Lili przełknęła z trudem, splotła dłonie na kolanach.

– No cóż, rzecz najbardziej oczywista to te szkice w internecie.

– Ona rzeczywiście te szkice przypomina – przyznała Caroline.

– Połowa amerykańskich nastolatek wygląda jak te szkice.

– Ma zarys żuchwy Huntera.

Usłyszeli samochód zatrzymujący się przed domem z piskiem opon.

– O wilku mowa – powiedziała Michelle.

Caroline podniosła się z sofy i podbiegła do okna wychodzącego na ulicę.

– Co on tutaj robi?

– Zadzwońłam do niego.

– Co? Kiedy?

– Parę minut temu. Złapałam go wychodzącego z siłowni i powiedziałam, żeby przyjechał jak najszybciej się da. Zdaje się, że pokonał barierę dźwięku.

– Nie powinnaś do niego dzwonić.

– A czemu nie? Nie uważasz, że ma prawo poznać członka własnej rodziny? Przecież nie możesz się doczekać spotkania z ojcem, prawda, Lili? A może wolałabyś, żeby mówić do ciebie Samantha?

– Wolę zaczekać, póki nie dowiemy się prawdy – odparła Lili.

– Co prawdopodobnie potrwa przynajmniej kilka dni – wysnuła przypuszczenie Michelle. – Powiedz mi, gdzie planujesz zatrzymać się przez ten czas? Przepraszam – dodała i poszła do drzwi, nie czekając nawet na odpowiedź.

– Witaj w domu – odezwał się Steve z uśmiechem.

– Jak się tu dostałeś tak szybko? – Caroline usłyszała Michelle pytającą ojca, który wchodził właśnie do środka.

– Powiedziałaś, że to pilne. Co się dzieje? – spytał Hunter w odpowiedzi.

– Sam zobacz.

Hunter wszedł do salonu, rozejrzał się czujnie wkoło.

– Steve – przywitał się z byłym szwagrem. – Mary.

Caroline zerknęła na matkę. Była tak cicha od momentu dramatycznego wejścia Lili, że niemal zapomniała o jej obecności.

– Co się tutaj dzieje? – spytał Hunter ponownie, tym razem zwracając się do Caroline. Przeniósł spojrzenie na młodą dziewczynę siedzącą na sofie. – Kto to? – spytał nieufnie, chociaż jego oczy mówiły, że już wie.

– To jest Lili – wyjaśniła Caroline. – A to Hunter, mój były mąż.

– I całkiem niewykluczone, że twój ojciec – dodała Michelle. Jej ton wskazywał, że ani przez chwilę nie wierzyła, żeby to było możliwe.

– To ta dziewczyna, która do ciebie dzwoniła? Ta, dla której poleciałaś do Calgary? – Hunter ostrożnie podszedł bliżej. – Wstań – polecił Lili.

Lili podniosła się z sofy. Hunter przysunął się do niej, obszedł ją niemal wkoło, uważnie studiując rysy jej twarzy pod każdym kątem. Caroline patrzyła na to, wstrzymując oddech.

– No i? – spytał Steve, gdy Hunter cofnął się o kilka kroków. – Jaki werdykt, panie adwokacie?

Ten pokręcił głową.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. – Spojrzał w stronę Michelle, a potem znów na Lili. – One w niczym nie są do siebie podobne.

– Nigdy nie były – przypomniała mu Caroline. – Ona ma twoją żuchwę.

– No cóż, to rozstrzyga sprawę – odezwała się Michelle. – Ma żuchwę taty. Całkiem niepodważalny dowód, jeśli chcecie znać moje zdanie. Chyba nawet nie musimy

zawracać sobie głowy tym głupim, nudnym testem DNA. Marnotrawna córka wróciła. Zaczniemy świętować.

– Jesteś zła – zauważyła Caroline.

– Jestem zła. Jakaś dziewczyna dzwoni ni stąd, ni zowąd i twierdzi, że jest Samantha, a was dwoje tak zaślepiają fantazje i poczucie winy, że wywalacie rozum za okno i witacie ją z otwartymi ramionami...

– Nikt tego nie robi – zaprotestował Hunter.

– Przyjechała z tak daleka – zaczęła Caroline. – Co się złego stanie, jeśli zrobimy test...?

– Co złego? – powtórzyła ostro Michelle. – Ile razy mamy jeszcze przez to przechodzić? Myślisz, że mi odpowiada, że ktoś z mojej matki robi idiotkę, i to ponownie? Nie dość upokorzeń ci było? Zapomniałaś, co się stało pięć lat temu, kiedy tamten reporter... – Urwała. – Zresztą nieważne. Nigdy mnie nie słuchasz.

– Kim ty jesteś tak naprawdę? – Steve zwrócił się do Lili, podejmując wątek tam, gdzie go urwała Michelle. – Czego chcesz? Pieniądzy? Rozgłosu?

– Nie.

– Myślisz, że pokazując się tutaj i pogrywając na słabościach mojej siostry, na jej rozpaczliwej potrzebie jakiegoś zakończenia tej sprawy, sama sobie wyrobisz nazwisko, może wywiad z tobą pokażą w telewizji? Będziesz miała swoje piętnaście minut sławy?

– Nie po to tutaj jest – zaprotestowała Caroline. A może po to?

– Nie chcę sławy. Nie chcę rozgłosu – powiedziała Lili. – Ja tylko chcę znać prawdę. Zrobimy test DNA. Jeśli będzie negatywny, wsiądę w pierwszy odlatujący stąd samolot.

– Głos jej się załamał, pierwsza oznaka, że była równie zdenerwowana i zdezorientowana jak oni.

– Musimy trochę się uspokoić – zwróciła się Caroline do pozostałych. – Ona podjęła spore ryzyko. Zostawiła rodzinę, przyleciała tu sama. W sumie to dość niezwykle, przyznajcie.

– Niezwykła to jest twoja naiwność – stwierdziła Michelle. – A ona nadal nie odpowiedziała na moje pytanie. Gdzie planujesz się zatrzymać, póki nie dostaniecie wyników?

Lili wzruszyła ramionami, dolna warga jej zadrżała.

– Nie wiem. Chyba myślałam, że...

– Że tutaj? – spytała Michelle.

– Oczywiście, że zatrzyma się tutaj – oświadczyła Caroline.

– Mamo, na litość boską...

– Będziesz spała u nas – powiedziała Caroline do Lili.

– Nie mogę. Zwłaszcza gdybym miała sprawić kłopot.

– Trochę na to za późno, nie uważasz? – odezwał się Steve.

Hunter obrócił się do Caroline, oczy miał pełne nadziei i bólu.

– Naprawdę sądzisz, że jest choć cień szansy, że to mogłaby być Samantha?

– Och, błagam – odezwała się Michelle, unosząc w górę dłonie zaciśnięte w pięści. – Jesteś jeszcze gorszy niż ona.

– A co ty powiesz, mamó? – spytał Steve. – Dziwnie jesteś cicha w tym wszystkim. To u ciebie niezwykle, takie opanowanie.

– Mamó? – zaniepokoiła się Caroline. – Nic ci nie jest?

– To ona – powiedziała cicho Mary.

– Co też ty mówisz? – zaprotestował Steve.

– Wygląda dokładnie jak ty w jej wieku – zwróciła się Mary do Caroline.

– Oszalałaś – powiedział Steve. – W niczym nie przypomina Caroline jako nastolatki.

Mary podniosła się z fotela i podeszła do Lili. Ujęła dziewczynę pod brodę, obróciła jej głowę na boki. – Nie jestem pewna, co to jest, tak dokładnie – przyznała. – Masz rację, rysy nie są takie same. Ale to jest twarz Caroline. Ja to widzę.

– Jesteś pewna? – spytała Caroline.

– To ona – powtórzyła Mary stanowczo. – To Samantha.

## ROZDZIAŁ 24

# Dzisiaj

– No i co teraz? – spytał Steve po paru chwilach osłupiałego milczenia, ubierając w słowa pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

– Rano zadzwonię do Peggy – zapowiedziała Caroline, przypomniawszy sobie, że przyjaciółka z mężem pojechali na ślub i pewnie wrócą późno. – Spytam, czy wie, gdzie się robi testy DNA.

– O Jezu – westchnęła Michelle. – Czy nikt tu nigdy nie słyszał o internecie? – Wyszła z salonu. Parę chwil później dało się słyszeć tupot jej nóg, gdy wbiegała po schodach na górę.

– Naprawdę mi przykro – Lili przeprosiła Caroline. – Ona się chyba zdenerwowała.

– Możesz ją za to winić? – spytał Steve. – Nie codziennie człowiek się przekonuje, że jego siostra ożyła.

– Ludzie, może nie zbaczajmy z tematu – wtrącił Hunter, już wczuwając się w rolę prawnika. Zerknął w stronę Lili, która przysiadła na skraju kanapy. Mary trzymała jej dłoń w swoich rękach. – Nie będziemy wiedzieli niczego, póki nie zrobimy testu DNA, a jego wynik nie potwierdzi lub nie zaprzeczy. Proponuję więc, żebyśmy na dzisiaj dali sobie spokój i porządnie się wyspali. Caroline z rana porozmawia z Peggy i będziemy działać dalej. Z dalszych spekulacji czy dyskusji niewiele nam wyniknie. I nic nie zyskamy, jeśli będziemy rozmawiać o tym z kimkolwiek jeszcze. Zgadzą się? To jasne dla wszystkich?

– Jasne – odparł Steve, chociaż pytanie było właściwie skierowane do jego siostry.

– Ja nikomu nie powiem – odezwała się Lili.

– Musisz zadzwonić do Calgary – zwróciła się do niej Caroline. – Twoja matka... – urwała, bo to słowo zdławiło ją w gardle niczym źle przełknięty cukierek.

– Zapomniałem o niej – przyznał Hunter. – Nie wie, że tu jesteś?

Lili potwierdziła ruchem głowy.

– Caroline ma rację – przytaknął jej eksmaż. – Musisz do niej zadzwonić.

– I co jej powiem?

– Prawdę.

– Rzeczywiście uważasz, że to taki dobry pomysł? – spytał Steve. – A jeśli ona wezwie policję?



– Zdaje się, że będziemy musieli podjąć to ryzyko.

– Nie zrobiłaby tego – zapewniła Lili.

– Na pewno nie, jeśli ma coś do ukrycia – stwierdziła Mary nie całkiem do siebie.

– Czy jest cokolwiek, co mogłabyś powiedzieć, żebym uwierzył? – Steve spytał Lili. –

Cokolwiek pamiętasz z tamtego wieczoru...?

Lili pokręciła głową.

– Przecież ona miała zaledwie dwa lata – przypomniała bratu Caroline.

W kieszeni Huntera odezwała się komórka stłumioną piosenką wykonywaną wspólnie przez Beyoncé i Jaya-Z. Wzruszył ramionami, speszony, i odebrał połączenie, odwracając się przy tym od byłej żony.

– Cześć, mała.

Caroline nagle i niespodziewanie coś ścisnęło w żołądku na tę swobodnie manifestowaną intymność. Jej nigdy nie nazywał „mała”.

– Tak, wszystko w porządku. Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Jestem u Caroline.

Coś nieoczekiwanego wypadło. Powiem ci, kiedy wrócę do domu.

– Myślałem, że mamy nikomu nie mówić – przypomniał mu Steve.

– Nie możesz oczekiwać, że nic nie powiem Dianie – zaprotestował Hunter, chowając telefon do kieszeni. – Ta sprawa dotyczy i jej.

– On ma rację – stwierdziła Caroline, przeszywając go spojrzeniem. – Niedobrze jest utrzymywać sekrety przed własną żoną.

Hunter miał tyle przyzwoitości, że się stropił.

– Powinienem już iść.

– Nie jesteś ciekaw, czego się dowiedziałam? – spytała Michelle, wchodząc do salonu z kartką w ręce. – Zdaje się, że w San Diego jest zatrzęsienie miejsc, gdzie robią testy DNA, włącznie z kliniką tu, w Mission Hills. Niestety, na wyniki czeka się trzy do pięciu dni roboczych, co oznacza, że jesteśmy na siebie skazane jeszcze przez jakiś czas.

– Pogadaj z Peggy – odezwał się Hunter do Caroline. – Zobacz, czy nie uda jej się czegoś przyspieszyć. – Skierował się do wyjścia, ale przystanął. – Chciałabyś przez ten czas pomieszkać u mnie? – spytał Michelle.

– Nie. Chyba zostanę tutaj. – Spojrzała na matkę. – Mamo, nie będę ci przeszkadzała?

– Oczywiście, że nie – odparła Caroline, chociaż prawdę mówiąc, w pewnym sensie uważała, że tak właśnie będzie i miała nadzieję, że Michelle zgodzi się nocować dzisiaj, a może i przez następnych parę dni, u ojca. Mogłaby skoncentrować się na Lili i poznać ją nieco lepiej bez ciągłego wpływu negatywnej energii starszej córki.

– Jeszcze nie jestem do końca gotowa zrezygnować ze swojego pokoju – rzuciła Michelle.

– Nikt cię o to nie prosił.

– Och, racja. Może spać w swoim dawnym dziecięcym.

– Michelle...

– To kiedyś był twój pokój. Mama całymi latami upierała się nie ruszać łóżeczka i całej reszty, ale teraz to pokój gościnny – dziewczyna wyjaśniła Lili. – Jest w nim

rozkładana sofa. Niespecjalnie wygodna, ale skoro raczej nie zostaniesz długo...

– Michelle, dosyć już tego – odezwała się Mary stanowczo, mocno ściskając dłoń Lili.

– Babciu? – Szok w głosie wnuczki odbił się echem od ścian salonu.

Mary puściła dłoń Lili i wstała.

– Twój ojciec ma rację. Dalsza dyskusja jest bezcelowa. Trzeba trochę odpocząć i zająć się wszystkim rano. Steve, kochanie, pora już chyba wracać do domu.

Steve natychmiast wstał.

– Jak zawsze, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Mary pochyliła się i pocałowała Lili w policzek.

– Dobranoc, kochanie.

– Kochanie? – powtórzyła Michelle z niedowierzaniem. – Jakby nigdy nic?

– Dobranoc, Micki – powiedziała Mary. – Spróbuj się jakoś zachowywać.

– Co to było, do diabła? – spytała Michelle po ich wyjściu.

– Cała twoja babka – odparła Caroline, rozpoznawszy typowy dla Mary zwyczaj rozgrywania jednego członka rodziny przeciw innemu. Ta kobieta po prostu nie mogła się powstrzymać. – Witaj w moim świecie.

\*

– I co powiedziała? – Caroline zapytała Lili, kiedy ta skończyła rozmowę.

– Była mocno zmartwiona. – Lili usiadła naprzeciw niej przy kuchennym stole. Na ich talerzach zastygały resztki omletu z serem, który Caroline przygotowała na kolację. Michelle, oczywiście, nie zjadła. Zaszyła się w swojej sypialni za zamkniętymi drzwiami, gdy tylko pozostali wyszli. – Chce, żebym wróciła do domu.

– Odmówiłaś – stwierdziła Caroline, odtwarzając w myślach dosłyszana część rozmowy ze strony Lili.

Jestem w Kalifornii. Nic mi nie jest. Nie martw się.

– Powiedz mi, co powiedziała.

Jestem u Caroline Shipley. Wiesz, tej pani, której dziecko wykradziono z łóżeczka w Meksyku piętnaście lat temu? Wiem, że pomyślisz, że oszalałam, ale uważam, że mogę być tą dziewczynką.

– Powiedziała, że to śmieszne, że to ona jest moją matką.

Muszę to wiedzieć na pewno. Muszę wiedzieć, jak jest.

– Powiedziała, że mam natychmiast wracać do domu albo zawiadomi władze.

Rano zrobimy test DNA. Przed końcem tygodnia będą wyniki.

– Myślisz, że to zrobi? Znaczą zawiadomi służby? – spytała Caroline.

– Nie wiem.

Zadzwoń do ciebie rano. Proszę, postaraj się zrozumieć. Ja muszę to zrobić.

– Przynajmniej wie, że nic ci się nie stało.

Kocham cię.

– Płakała.

Na razie, mammo.

– Żadnej z was na pewno nie jest łatwo – powiedziała Caroline, wciąż słysząc echo słowa „mamo”, słowa skierowanego do innej kobiety, słowa, którego nie było jej dane słyszeć z ust Samantha od piętnastu lat.

Mamo, mammo, mammo.

– Co nie jest łatwe? – spytała Michelle, materializując się nagle w drzwiach.

Caroline drgnęła.

– Wystraszyłaś mnie.

– A co, zapomniałaś, że tu jestem?

– Chcesz coś do jedzenia? – spytała Caroline, nie łapiąc przynęty.

– Niech pomyślę – odparła Michelle, spoglądając na resztki omletów na ich talerzach.

– Tłuste smaźone jajka ze sztucznym serem. Jak mogłabym się oprzeć? – Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej zielone jabłko i odgryzła duży kęs. – Co nie jest łatwe? – powtórzyła swoje pytanie.

– Dzwoniłam do Calgary – wyjaśniła jej Lili.

– Matka dała ci popalić?

– Nie rozumie, dlaczego to robię.

– Nie ona jedna. – Michelle ustawiła krzesło pomiędzy Caroline i Lili, i usiadła na nim okrakiem, chrupiąc jabłko. – No więc, jaka ona jest? Twoja matka? – zapytała znaczącym tonem.

– Jest naprawdę miła – odparła Lili. Jej oczy napełniły się łzami. – Cicha. Trochę nieśmiała. Lubi krzyżówki i programy kulinarne w telewizji. Naprawdę dobrze gotuje.

– Ma jakąś pracę?

– Nie. Tyle, co przy nas. Uczyła w domu moich braci i zajmowała się naszym ojcem, kiedy zachorował.

– Brzmi to okropnie – beznamiętnie stwierdziła Michelle. – Nic dziwnego, że tak chciałybyś się wyrwać.

– Michelle...

– No to jak, chcecie usłyszeć, czego się dowiedziałam o tych całych testach DNA?

Caroline westchnęła, zadowolona z szansy na odrobinę wytchnienia.

– Proszę, mów.

Michelle próbowała odczytać własne pismo.

– No cóż, okazuje się, że są dwa typy do wyboru: test prywatny i test prawomocny.

– Na czym polega różnica?

– W teście prawomocnym przy pobieraniu próbek jest świadek, co, jak zakładam, wolałybyście. Taki test ma potem wagę dowodu w sądzie.

Caroline spojrzała na Lili. Jak na komendę obie skinęły głowami.

– Dobra, no to jedzcie do kliniki i tam pobierają wymaz policzkowy, nie wiem, czy dobrze to zanotowałam, co, mówiąc prościej, znaczy, że szpatułką pobierają wam próbkę śliny z ust. Bezbolesne, nieinwazyjne, trwa ledwie parę sekund, widziałyście to miliony razy w telewizji. „Próbka zawiera komórki, a większość komórek w naszym

organizmie zawiera pełen zestaw informacji genetycznej w formie DNA”. To skrót od kwasu de... oksy... rybo... nukleinowego – powiedziała, walcząc z trudnym, długim słowem. – No, zdziwię się, jeśli to dobrze zapisałam. W każdym razie – dalej czytała z notatek – „DNA stanowi w zasadzie taki genetyczny wzorzec, trochę jak odcisk palców i jest niepowtarzalny”. Ale to już wiecie, prawda?

Caroline i Lili znów zgodnie pokiwały głowami.

– Jest coś jeszcze? – spytała Caroline.

– O, tak. Mnóstwo. „W laboratorium DNA ekstrahuje się z komórki i pewne określone fragmenty DNA są wzmacniane w procesie znanym pod nazwą PCR, czyli reakcji łańcuchowej polimerazy”, no, można sobie język połamać, „a potem gruntownie badane. Wzorzec DNA dziecka jest później porównywany z wzorcem domniemanej matki” – ciągnęła, specjalnie podkreślając słowo „domniemanej”. – „Ponieważ dziecko dziedziczy geny po swoich biologicznych rodzicach, badanie jego DNA definitywnie rozstrzyga, czy domniemana matka jest faktycznie biologiczną matką danego dziecka”.

– Z emfazą odgryzła kolejny kęs trzymanego w dłoni jabłka. – No i jak wam się podobają takie kwiatki?

– Bardzo ciekawe.

– Pomyślałam, że wołałybyście wiedzieć, co was czeka.

– Dziękuję.

– Taa, jasne. Nie ma za co. – Nachyliła się i oparła brodę na wysokim oparciu kuchennego krzesła, na którym siedziała okrakiem. – A więc, moja potencjalna siostrze, czy ten pocziwy, stary dom pobudził jakieś wspomnienia?

– Michelle...

– No co? To zupełnie naturalne pytanie. Jestem po prostu ciekawa, czy pobyt tutaj wywołuje u niej jakieś wspomnienia.

– Chciałabym, żeby tak było – odparła Lili. – W sumie miałam nadzieję, że tak się stanie.

– Taa? Mało prawdopodobne. Przecież byłaś całkiem małym dzieckiem, prawda? Ja też nie mam żadnych wspomnień sprzed trzeciego roku życia. Chcesz wiedzieć, jakie jest moje pierwsze wspomnienie? – Pytanie było ewidentnie retoryczne i Michelle ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. – To z pobytu w Disneylandzie. Miałam trzy lata i byliśmy w Magicznym Królestwie, a ja miałam ochotę na jedną z atrakcji, to chyba była przejażdżka z cyklu „Piraci z Karaibów”, ale mama powiedziała, że kolejka jest o wiele za długa i ona nie może tak stać godzinami i czekać.

– Michelle, na litość boską, byłam w ciąży.

– Och, racja. Zapomniałam o tym. Tak czy inaczej, zrobiłam potężną awanturę. Tak się rozwrzeszczałam, że musieliśmy stamtąd wyjść. I to jest moje pierwsze wspomnienie.

I pierwsza pretensja do mnie, pomyślała Caroline. Pretensja noszona od tamtej pory bez przerwy. Boże, czy ta lista żalów Michelle ma jakiś koniec?

– Chcesz wiedzieć, co jeszcze pamiętam?

Kolejne retoryczne pytanie. Kolejna starannie pielęgnowana uraza, która za moment ujrzy światło dzienne. Kolejny przykład porażki Caroline jako matki.

– Pamiętam ten dzień, kiedy cię przywiozła, no, może ciebie, może nie ciebie, ze szpitala, a ty byłaś taka malutka i śliczna, i chciałam cię potrzymać, ale mi nie pozwoliła.

– Nie chciałam ci pozwolić jej potrzymać, bo zapowiedziałaś, że ją wyrzucisz do śmieci – przerwała Caroline, teraz już zirytowana.

– Naprawdę? Tak powiedziałam? – Zdziwiałam się, ale Michelle nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Nie pozostawiłaś żadnych wątpliwości. „Dajcie mi ją. Wyrzucę ją do śmieci”.

I wtedy Caroline nagle zaczęła śmiać się na wspomnienie rozzłoszczonej, skrzywionej buzi Michelle, a Michelle śmiała się razem z nią, i wkrótce nawet i Lili parsknęła śmiechem. I tak siedziały przy kuchennym stole, zaśmiewając się niemal do łez.

## ROZDZIAŁ 25

# Dzisiaj

– Jak to się stało, że nigdy się nie przeprowadzałyście? – spytała Lili.

Siedziały z Caroline na rozkładanej sofie, która została już przygotowana do spania, zasłana białą, świeżą pościelą i lekkim, różowym kocem. Lili przyciskała do piersi jedną z dwóch napełnionych pierzem poduszek, cały czas rozglądając się po ścianach w odcieniu złamanej bieli, przebiegając spojrzeniem od jednej abstrakcyjnej litografii do drugiej.

Caroline wzruszyła ramionami. Sama od lat zadawała sobie to samo pytanie.

– Nie wiem. Dużo o tym myślałam, nawet kilka lat temu niewiele brakowało, a sprzedałabym dom. Ale coś mnie zawsze powstrzymywało. Chyba po prostu przywykłam mieszkać tutaj.

A gdyby Samantha wróciła? Gdyby miała tu wrócić, a mnie już by tu nie było?

– Michelle mnie chyba nienawidzi – powiedziała Lili.

– Nie, nienawidzi mnie.

– Nie. Ona cię kocha.

– No cóż, ma czasem dziwny sposób okazywania tego.

– Mnie się wydaje, że ona po prostu stara się ciebie chronić.

– A mnie się wydaje, że powinnaś już chyba iść spać. To był długi dzień. – Caroline z ociąganiem wstała. Chociaż jakąś częścią siebie rozpaczliwie chciała jeszcze zostać, resztką umysłu rozpoznawała zagrożenie wynikające ze zbyt długiego przywiązania się. Czy rzeczywiście stać ją, by stracić kolejną córkę, chociażby tę, która jej dzieckiem nigdy naprawdę nie była?

– Masz jakieś stare zdjęcia? – spytała Lili, zanim tamta zdążyła dojść do drzwi.

Caroline zawróciła i podeszła do komody stojącej naprzeciwko sofy. Otworzyła dolną szufladę i wyjęła trzy stare albumy z fotografiami, z których dwa uratowała z pojemnika na śmieci w domu matki tuż po tym, jak ojciec się wyprowadził. Lili natychmiast odrzuciła na bok ścisną w rękach poduszkę i położyła sobie albumy na kolanach. Otworzyła pierwszy. Musnęła przy tym ramię Caroline, a ją przeszedł dreszcz, jak od elektrycznego wstrząsu.

Z pierwszej strony albumu spoglądał młody mężczyzna i młoda kobieta, niezręcznym gestem objęci w talii, z twarzami pozbawionymi wyrazu.

– To twoi rodzice? – spytała Lili.

– Tak, to ta szczęśliwa para.

– Twój tata jest naprawdę przystojny.

– Owszem. Był. – Wizerunek ojca wywołał łzy w jej oczach. A może to skutek odczucia, że Lili opiera się o nią ramieniem. Caroline delikatnie przesunęła palcem po twarzy ojca.

– Nie żyje?

– Już od dawna.

– Twoja matka nigdy ponownie nie wyszła za mąż?

Caroline pokręciła głową, jeszcze bliżej przysuwając się do Lili przy odwracaniu strony albumu.

– Nie oglądałam ich od lat.

Środek następnej strony wypełniało duże zdjęcie matki Caroline trzymającej w objęciach niemowlę. Mary miała na sobie letnią sukienkę w białe i różowe paski, a włosy uczesane w znajomy hełm ciasno skręconych loków, jaki prezentowała światu nawet i teraz. Niemowlę na jej rękach miało może ze trzy miesiące i było kompletnie łyse.

– To ty?

– Tak. Jak widać, łysa byłam niemal do ukończenia pierwszego roku życia. Matka nawet zabrała mnie do lekarza, aby upewnić się, że nie byłam... Upośledzona pod względem owłosienia.

Lili spojrzała na Caroline i uśmiechnęła się.

– Trudno sobie wyobrazić ciebie bez włosów. Są teraz takie piękne.

– Dziękuję ci. Twoje też. – Zwalczyła niemal przemożny odruch pogładzenia długich do ramion, zakończonych niebieskimi smugami włosów Lili.

– Są zupełnie inne niż włosy mojej mamy... To znaczy, Beth – powiedziała Lili, po raz pierwszy posługując się imieniem tamtej kobiety. – Jej włosy są o wiele grubsze niż moje, o wiele mocniej kręcone. Jeszcze bardziej kręcone niż twojej mamy. I są ciemniejsze.

– A u ojca?

– Był tak jak ty kiedyś... upośledzony pod względem owłosienia. Jeszcze nawet przed chemioterapią. – Umilkła, od niechcienia przyjrzała się kilku kolejnym zdjęciom Caroline jako dziecka na rękach u ojca, jako kilkulatki spacerującej z nim brzegiem oceanu, a potem dumnie usadowionej obok ojca trzymającego nowo narodzonego syna. – A to na pewno twój brat.

– Tak. Był ślicznym dzieckiem. Miał mnóstwo włosów.

– Wszystkie te zdjęcia tutaj to on? – Lili przejrzała pierwszy album do samego końca. – A gdzie ty?

Caroline wskazała fotkę na ostatniej stronie.

– To chyba moja ręka.

Lili zachichotała i otworzyła kolejny album. Pełen był zdjęć Steve'a: Steve z matką,

z ojcem, z obojgiem rodziców. Było tam parę fotek całej rodziny, ale Steve zawsze znajdował się w centralnym miejscu. Nawet kiedy pojawiała się siostra, zawsze stała jakby z boku – „powściągliwa” i „sztywno wyprostowana”, musiała teraz zauważyć.

Lili otworzyła ostatni album, skompletowany już przez samą Caroline.

– O, tu jesteś – powiedziała, wskazując jej zdjęcie w długiej, miętowozielonej sukience, stojącej obok najwyraźniej speszzonego chłopca w ciemnogrnatowym garniturze.

– O Boże. Moja studniówka. To ja i Michael Horowitz. Byłam mniej więcej w twoim wieku. – Przyjrzała się zdjęciu, potem spojrzała na Lili i znów na zdjęcie, z nadzieją, że dostrzeże podobieństwo, o którym z taką pewnością wyraziła się jej matka.

– I jak myślisz? – spytała Lili, najwyraźniej myśląc o tym samym.

– Trudno powiedzieć.

– Ja w sumie nie bardzo to widzę.

– No cóż, to nie najlepsze zdjęcie. W zielonym średnio mi do twarzy.

Następne zdjęcie pochodziło ze ślubu Caroline.

– Łał... Tworzyliście z Hunterem naprawdę wspaniałą parę.

– Chyba tak – zgodziła się Caroline.

– Rozwiedliście się przeze mnie? To znaczy przez to, co spotkało Samanthę?

Kolejne pytanie, które sama sobie zadawała wielokrotnie. Czy ona i Hunter rozwiedliby się, gdyby Samanthę im nie wykradziono? Czy też to, co się stało, tylko ten proces przyśpieszyło?

– Wydaje mi się, że to się musiało stać, prędzej czy później.

– Bo Hunter cię zdradzał?

– Wiesz o tym?

– Czytałam w internecie.

– No tak, jego zdrady na pewno się do tego przyczyniły – powiedziała Caroline w odpowiedzi na pytanie Lili. – W połączeniu z tym, co zaszło w Meksyku, cóż... Ludzie na różne sposoby radzą sobie ze stratą i te sposoby nie dla każdego są takie same. A poczucie winy i potępienie to dwa typy potężnej broni. Broni do niszczenia intymności – dodała z gorzkim uśmiechem.

– Ale teraz się przyjaźnicie?

– No cóż, przyjaciółmi bym nas raczej nie nazwała, nie. Ale nie ma między nami nienawiści. To już coś. No i, oczywiście, mamy wspólne dziecko... Dzieci.

– Czy to Michelle? – Lili wskazała zdjęcie niemowlęcia śpiącego z rączkami rozrzuconymi za głową, w pozie identycznej, w jakiej po raz ostatni Caroline widziała Samanthę. Dziecko otulone było kocykiem i miało różową, wełnianą czapkę ze sporym logo GAP z przodu. Buzię miało skrzywioną w jakimś odruchowym grymasie.

– To tego dnia, kiedy ją przywieźliśmy do domu ze szpitala.

Na kolejnych zdjęciach Michelle stopniowo wyrastała z rozgrymaszonego niemowlęctwa i zmieniała się w poważnie wyglądające dziecko. Wkrótce do naburmuszonej małej dziewczynki dołączyła na nich złotowłosa siostra o słodkiej buzi.



– Samantha – powiedziała Lili, uważnie wodząc oczami od jednego zdjęcia do następnego.

Zdjęcia Samantha, jedno po drugim, tylko z rzadka urozmaicone fotkami starszej siostry, co dotarło teraz do Caroline. Próbowwała sobie wmawiać, że to przez Michelle, bo nigdy nie chciała usiedzieć w miejscu na tyle długo, żeby ją uchwycić na zdjęciu, lub też wybiegała z pokoju, ilekroć zobaczyła aparat w dłoni matki, albo zaczynała stroić głupie miny, albo robiła coś, żeby skłonić siostrę do płaczu. Ale czy to był naprawdę powód, dla którego fotki Samantha stanowiły w albumie zdecydowaną większość?

– Ja nie mam żadnych swoich zdjęć z niemowlęctwa – powiedziała Lili, przerywając rozmyślenia Caroline.

– W ogóle żadnych?

– Moja mama... Beth mówiła, że zaginęły w czasie jednej z naszych przeprowadzek.

– To nie jest wykluczone. Wspominałaś, że często się przenosiliście.

– Ale zdjęcia z dzieciństwa moich braci nie poginęły. Tylko moje. – Lili sięgnęła przez łóżko do swojej torby podróżnej. – Nie ma nic, aż do chwili, kiedy skończyłam mniej więcej sześć lat. Moja matka... Beth... zawsze twierdziła, że kompletnie nie umie obsługiwać aparatu fotograficznego. – Rozpięła torbę i z bocznej kieszonki wyjęła z tuzin zdjęć. – Poznaj rodzinę Hollisterów – powiedziała, wsuwając w drżące dłonie Caroline pierwsze ze zdjęć: Lili jako jasnowłosa dziewczynka siedząca obok dwóch młodszych, ciemnowłosych chłopców. – To ja i moi bracia. Widzisz? Zupełnie nie jesteśmy do siebie podobni. A to mój ojciec. Tim. To zanim zachorował, oczywiście. Też wcale go nie przypominam. A to moja... To jest Beth. – Podała Caroline zdjęcie atrakcyjnej kobiety o kręconych, ciemnych włosach, szeroko rozstawionych oczach i sympatycznym, nawet nieco drwiącym uśmiechu. – Moi bracia wyglądają tak samo jak ona. Nie sądzisz?

Caroline szukała w pamięci, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wcześniej widziała Beth albo Tima Hollisterów. Próbowwała wyobrazić ich sobie przy basenie hotelu Grand Laguna w Rosarito, czy też siedzących przy stole w restauracji w hotelowym ogrodzie. Może się uśmiechnęła, mijając ich jakiegoś popołudnia w hotelowym lobby. Ale żadnego takiego wspomnienia się nie doszukała.

Na ostatnich dwóch zdjęciach pokazanych jej przez Lili była cała rodzina. Lili miała rację – pasowała do nich jak przysłowiowa pięść do oka. Matka, ojciec i dwóch synów tworzyło ścisłą grupę, nieśmiała Lili stała nieco z boku.

„Powściągliwa i sztywno wyprostowana”. „Na uboczu”.

– To ładna rodzina – stwierdziła Caroline, oddając zdjęcia Lili.

– Wiesz, co ona mi powiedziała? To znaczy, Beth? Przez telefon, wcześniej, zanim się rozłączyłam.

– Co powiedziała?

– Że cieszy się, że mój ojciec tego nie dożył i nie wie, co wyczyniam. Bo to złamałoby mu serce. – Głos dziewczyny zadrżał. Urwała. Wzięła kilka długich, głębokich wdechów i przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drżenie.

Caroline nic nie powiedziała. Co mogła powiedzieć? Doskonale wiedziała, czym jest złamane serce. Słowa go nie ulecą. Miała już pochylić się i objąć Lili, gdy do pokoju wsunęła głowę Michelle.

– I jak idzie rodzinne pojednanie? – zapytała. – Podoba wam się wycieczka w Zaulek Wspomnień?

– Lili pokazywała mi właśnie swoje zdjęcia z rodziną w Calgary – odparła Caroline.

– Chcesz je obejrzeć? – Lili nieśmiało wyciągnęła je w stronę Michelle.

Ta wzięła od niej zdjęcia i przejrzała jedno po drugim.

– Twój bracia to przystojniaki.

– Tak, faktycznie. Zupełnie nie jestem do nich podobna...

– Nie jesteś – zgodziła się Michelle. – Dobra, późno jest. Idę do łóżka.

– Śpij dobrze, kochanie – powiedziała Caroline.

– Ty nie idziesz?

– Chyba tak. – Z ociąganiem podeszła do drzwi. – Wszystko w porządku? Nie potrzebujesz niczego? – zwróciła się do Lili.

– Nie, nic mi nie trzeba.

– Gdybyś zgłodniała...

– Wie, którędy do kuchni – rzuciła Michelle.

– Jeśli nie będziesz mogła spać czy cokolwiek ci się przypomni...

– Będzie wiedziała, gdzie cię szukać.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Lili. – Dziękuję za wszystko. Naprawdę to doceniam.

– Śpij smacznie – powiedziała Caroline.

– Do zobaczenia rano – powiedziała Michelle i zamknęła drzwi sypialni za sobą, a potem rześko podreptała przed matką do jej sypialni.

– A ty dokąd idziesz? – spytała Caroline, wchodząc za córką do własnego pokoju.

– Będę spała dzisiaj z tobą.

– Co? Nie.

– Co? Tak. – Michelle rozwinęła koszulę nocną, którą niosła wetkniętą pod ramię. – Nie kłóć się ze mną.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła. – Z tego samego powodu, dla którego będę spała z tym. – Spod materaca wyciągnęła sporych rozmiarów nóż.

Caroline głośno westchnęła.

– Co ty z tym wyprawiasz? Skąd to wzięłaś?

– Z kuchni. A myślałaś, że skąd? Wcześniej tu go włożyłam.

– To odnieś go na miejsce.

– Wykluczone. Zostanie tu, gdzie był. – Wsadziła nóż z powrotem pod materac.

– To jakiś absurd. Nie sądzisz, że trochę dramatyzujesz?

– Lepiej dramatyzować, niż dać się zabić.

– Chyba nie myślisz naprawdę, że Lili chce nam zrobić krzywdę?

– Nie wiem, co mam myśleć i ty też nie wiesz. Robi wrażenie słodziutkiej, to ci muszę

przyznać, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie mamy pojęcia, kim naprawdę jest. A jeśli nas obrobi do czysta i ulotni się w środku nocy?

– Wtedy wyszłoby na to, że miałaś co do niej rację.

Michelle pokręciła głową.

– Nie przyszło ci w ogóle do głowy, że wolałabym się mylić? Że w sumie bardzo chciałabym, żeby się okazała Samantha? Że dałabym wszystko, żeby odzyskać siostrę?

Caroline westchnęła głęboko. Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie przeszło jej to przez myśl. Tak ją pochłaniały własne odczucia, że nie zastanowiła się nawet nad tym, co może przeżywać Michelle.

– Przepraszam cię – powiedziała cicho.

– Przeprosiny przyjęte – powiedziała Michelle, zdejmując z łóżka kapę. – A teraz, proszę, możemy trochę pospać?

## ROZDZIAŁ 26

# Dzisiaj

Kiedy obudziły się następnego dnia tuż po siódmej rano, Lili nie było.

– No cóż, przynajmniej żyjemy – stwierdziła Michelle, stając za plecami matki w drzwiach gościnnego pokoju. – Chyba powinniśmy sprawdzić srebra.

– Lili? – zawołała Caroline, usiłując opanować znajomą panikę, która zaczynała dławić ją w żołądku. – Lili? Gdzie jesteś? – Zbiegła na parter i zaczęła zaglądać do każdego z pomieszczeń na dole. – Lili?

– Uspokój się – powiedziała Michelle, zbiegłszy z łomotem po schodach za matką, z torbą podrózną Lili w dłoni. – Chyba nigdzie się nie wybrała bez tego.

– Lili? – znów zawołała Caroline, ponownie wpadając do kuchni. Wyjrzała przez okno na podwórko na tyłach. – Gdzie ona, u diabła, jest? Dokąd mogła pójść?

– Może powinnam sprawdzić, czy nie ma tu materiałów wybuchowych. – Michelle zaczęła grzebać w torbie. – Oto jej paszport. – Otworzyła dokument. – Tak, to na pewno jej. Lili Hollister. Urodzona dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale jestem całkiem pewna, że Samantha urodziła się w październiku.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Caroline zamarła. Wyobraziła sobie pojawiającego się w nich policjanta. „Przepraszam, ale muszę panią z przykrością poinformować, że zdarzył się wypadek...”

– Marnotrawna córka znów wraca – powiedziała Michelle i minęła matkę. Wyszła do holu i otworzyła drzwi.

– Przepraszam – odezwała się Lili, zmieszana. Miała na sobie te same dzinsy, co poprzedniego dnia i T-shirt z wielkim zdjęciem Kate Moss. – Chciałam po prostu pooddychać ciepłym powietrzem. Nie wiedziałam, że drzwi automatycznie się za mną zatrzasną.

– Ile czasu już tam tak stoisz? – spytała Caroline, wpuszczając Lili do holu. Rozejrzała się po ulicy, a potem domknęła drzwi.

– Niedługo. Obudziłam się wcześniej, koło piątej. Nie mogłam zasnąć, więc się ubrałam i zeszłam na dół, a potem wyszłam przed dom i już nie mogłam wejść do środka. Nie chciałam was budzić tak wcześniej, więc poszłam na spacer.

– Na spacer? Dokąd?

– Tylko po okolicy. Naprawdę ładne sąsiedztwo.

– Widziałaś kogoś?

– Paru biegaczy.

– Super – westchnęła Michelle. – Ktoś z nich miał aparat fotograficzny?

– Nie rozumiem. Czy zrobiłam coś złego?

– Oczywiście, że nie – odparła Caroline. – Tylko że czasami trafiamy na reporterów kręcących się tu w pobliżu...

– Kręcą się na ulicy... Za krzakami... W sklepach spożywczych – dodała znaczącym tonem Michelle.

– Nie wspominając o sąsiadach – wpadła jej w słowo matka. – Nie są jakoś specjalnie wścibscy, ale...

– Chyba lepiej, żebyś już nie robiła sobie żadnych porannych spacerów – doradziła Michelle.

– Mielibyśmy niezły cyrk w mediach, gdyby to się rozeszło – dodała Caroline.

– Bardzo przepraszam. Nie pomyślałam.

– Czyżby? – spytała Michelle.

– Michelle, proszę cię.

– Już wam mówiłam, nie interesuje mnie rozgłos. Czy to moja torba podróżna?

– Oraz twój paszport. – Michelle wręczyła Lili obie rzeczy.

– Nie wiedziałyśmy, gdzie zniknęłaś – zaczęła wyjaśniać Caroline.

– Naprawdę mi przykro, jeśli was zaniepokoiłam.

Zadzwoił telefon.

– I tak zaczyna się kolejny przyjemny dzień – stwierdziła Michelle. Zawróciła do kuchni i odebrała telefon w połowie drugiego dzwonka. – Schronisko dla upadłych dziewcząt imienia Shipleyów, Michelle przy aparacie, czym mogę służyć? – Poddała słuchawkę Caroline. – To tata.

– Cześć – przywitała byłego męża Caroline.

– Rozmawiałaś z Peggy?

– Jeszcze nie.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz po rozmowie z nią.

Rozłączył się.

Caroline spojrzała tępo na słuchawkę.

– Tak jest, proszę pana. Zajmę się tym niezwłocznie.

– Nie sądzisz, że trochę za wcześnie na telefony do ludzi? – spytała Michelle, kiedy Caroline zaczęła wybierać numer Peggy.

– Może zrobisz nam kawę? – zasugerowała Caroline.

– Ja mogę zrobić – zaoferowała się Lili.

– Sama zrobię – zaprotestowała Michelle.

Peggy odebrała od razu.

– Co się dzieje? – spytała zamiast powitania.

Caroline szybko zrelacjonowała jej wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin.

- Jasna cholera – westchnęła Peggy. – Jak mogę ci pomóc?
- Znasz kogoś w Klinice DNA w Mission Hills?
- Nie wydaje mi się. Ale popytam i oddzwonię do ciebie. Kiedy planujesz tam jechać?
- Jak tylko otworzą. Pewnie koło dziewiątej.
- Pojedź na dziesiątą. To mi da więcej czasu na wykonanie paru telefonów. Spotkamy się na miejscu.
- Nie musisz tego robić.
- Nie powstrzymałabyś mnie, nawet gdybyś próbowała. Poza tym potrzebujesz świadka, tak?
- Tak.
- Do zobaczenia o dziesiątej.

\*

Klinika zajmowała parter nowoczesnego, tynkowanego na biało, piętrowego budynku mieszczącego się przy Upas Street 40. Hunter już czekał w holu, kiedy Caroline, Michelle i Lili tam dotarły.

– Naprawdę nie musiałeś przyjeżdżać – powiedziała Caroline, powtarzając praktycznie te same słowa, które rzuciła do niego przez telefon już po rozmowie z Peggy. Podczas gdy wszystkie laboratoria wykonujące badania DNA robiły testy na ojcostwo, klinika w Mission Hills zaliczała się do niewielu w tym stanie, które oferowały również testy na macierzyństwo. Jak się zdawało, na ogół oczekiwano, że matka będzie znała własne dzieci.

- Ja też chcę mieć pobraną próbkę – odparł Hunter.
- Nie ma takiej potrzeby...
- Chcę przeprowadzić test – powtórzył, jakby nie słyszał jej słów.
- Dobrze. Skoro uważasz, że to konieczne.
- Uważam, że owszem.
- To może niech przebadają nas wszystkich? – zaproponowała Michelle. – Może ja też nie jestem tak naprawdę waszą córką.
- Michelle... – Caroline i Hunter oburzyli się jednocześnie.
- Przepraszam. Chciałam zażartować, ale mi nie wyszło. No ale, moi drodzy, złoty medal za trzymanie jednego frontu. To chyba pierwszy raz w historii.

Hunter skupił uwagę na Lili.

- Jak się masz, Lili? Dobrze spałaś?
- Tak, dziękuję.
- Wstała dość wcześnie i poszła odkrywać sąsiedztwo – powiedziała Michelle.
- Pozwoliłaś jej iść na spacer? – Hunter spytał Caroline.
- Ja...
- To raczej niezbyt dobry pomysł – odezwał się do Lili. – Gdyby prasa to zwąchała... Chyba lepiej, żebyś nie oddalała się od domu, póki nie dostaniemy wyników testu.

Frontowe drzwi otworzyły się i do holu wmaszerowała Peggy. Miała na sobie szare spodnie i perłoworóżową bluzkę, była wyraźnie ubrana jak do pracy. Podeszła z miejsca do Caroline i uściskała ją.

– Jak się trzymasz?

– Daję radę.

– A pozostali?

– Po prostu wspaniale, dziękuję bardzo – odparła Michelle.

Spojrzenie Peggy przelotnie objęło Huntera i Michelle i spoczęło na dziewczynie stojącej obok nich.

– To na pewno Lili.

– Lili, poznaj moją przyjaciółkę Peggy – powiedziała Caroline.

– Bardzo mi miło panią poznać – odezwała się Lili.

– I jak sądzisz? – spytał Hunter. – Znałaś Caroline, kiedy miała siedemnaście lat.

Uważasz, że są do siebie w ogóle podobne?

– Sama nie wiem – powiedziała Peggy, niemal pożerając oczami Lili. – Różnią się między sobą, a jednocześnie dostrzegam coś znajomego... Ale nie wiem.

– Przepraszam, ale czy nie przyjechaliśmy tu po to, żeby właśnie to sprawdzić? – spytała Michelle.

– Micki ma rację – powiedział Hunter, z miejsca wracając do swojej roli prawnika. – Nie ma sensu spekulować. Miejmy to już za sobą. Udało ci się z kimś porozmawiać?

– Wykonałam parę telefonów – odparła Peggy. – I wreszcie udało mi się skontaktować z kimś, kto tutaj rządzi. Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żebyście dostali wyniki jak najwcześniej.

– Rozumie potrzebę zachowania dyskrecji?

– Tak. Podał mi nazwisko swojej najbardziej zaufanej laborantki, która pracuje w tej klinice od jej otwarcia.

– No to zaczynamy? – odezwał się Hunter, otwierając drzwi prowadzące do wewnętrznej recepcji.

– Gotowa? – Caroline zapytała Lili.

– Gotowa czy nie, wszystko jedno – powiedziała Michelle.

\*

Testy wyglądały dokładnie tak, jak wynikało z zapisków Michelle. Hunter z góry opłacił koszty badań i przeszli do laboratorium, gdzie poważna kobieta w średnim wieku pobrała wymazy od Caroline, Huntera i Lili. Jeśli nawet kogoś z nich rozpoznała, nie dała po sobie znać, chociaż recepcjonistka ciągle zerkała w ich stronę. Peggy podpisała formularze dla świadka, a potem zapowiedziano im, że wyniki badań mogą odebrać w laboratorium w terminie trzech do pięciu dni roboczych.

– No, porywające przeżycie to nie było – stwierdziła Michelle, kiedy wychodzili z kliniki.

– Zakładam, że do końca tygodnia będziemy znali wyniki – odezwał się Hunter, przepuszczając je wszystkie we frontowych drzwiach.

– Nigdy nic nie zakładaj – zaintonowała z powagą Michelle. – Czy sam mi kiedyś nie powiedziałeś, że to jedna z najważniejszych zasad prawa?

– Dobrze wiedzieć, że czasem jednak słuchasz starego ojca – ucieszył się Hunter i cmoknął ją w czoło. – Tak czy inaczej, muszę ruszać. Zadzwońcie do mnie natychmiast, jak będziecie coś wiedzieć – dodał niepotrzebnie.

– Oczywiście. – Caroline patrzyła, jak były mąż idzie w stronę swojego samochodu. Z jednego życia do drugiego, pomyślała, nieustająco zdumiona jego umiejętnością szufladkowania wszystkiego.

– Ja też będę się zbierać – oświadczyła Peggy. – Poniedziałki zawsze są ciężkie. Przychodzisz dzisiaj? – zwróciła się do Michelle.

– Od czwartej do ósmej.

– Dobra, do zobaczenia później. – Peggy znów uściskała Caroline. – Jedziesz do szkoły?

– Nie, zadzwoniłam, że jestem chora.

– Faktycznie jesteś trochę niezdrowo blada.

– Nic mi nie dolega – zaprzeczyła Caroline, choć prawdę mówiąc, miała lekkie mdłości. Chociaż test DNA był szybki i bezbolesny, tak jak go reklamowano, to ten nieskomplikowany wymaz kosztował ją jednak więcej nerwów, niż się spodziewała.

– A ty – zwróciła się Peggy do Lili – wyglądasz na miłą dziewczynę. Jesteś bardzo spokojna i dojrzała jak na swój wiek. Jakiegokolwiek by były wyniki tych testów, naprawdę mam nadzieję, że kierowały tobą dobre intencje. Bo moja przyjaciółka przeszła przez prawdziwe piekło i jeśli się okaże, że to jakieś oszustwo... – rzuciła Lili swój najładniejszy uśmiech. – To ja chyba po prostu będę musiała cię zabić.

– Ona żartuje, naturalnie – dodała szybko Caroline.

– Nie bądź taka pewna – powiedziała Peggy.

Tym razem to Michelle się uśmiechnęła.

– Zdaje się, że za trzy do pięciu dni się przekonamy.



## ROZDZIAŁ 27

# Dzisiaj

– Potrzebujesz pomocy? – spytała Lili, wchodząc do salonu, gdzie zastała Caroline przy składaniu prawie dwumetrowej sztucznej choinki, która przez ostatnie pięć lat leżała upchnięta w kartonowym pudle w piwnicy, niczym hrabia Drakula w swojej trumnie.

– Chyba już prawie mi się udało – powiedziała Caroline. – Został jeszcze tylko czubek. – Wspięła się na palce, żeby umocować ostatni fragment plastikowych gałązek, a potem cofnęła się, podziwiając własne dzieło. – Już. I jak wygląda?

– Troszkę jest stłamszona.

– Taa, cóż, kisiła się w pudle przez długi czas, więc... – Zaczęła rozprostowywać końce gałęzi, niektóre podkręcając w górę, inne na boki, aż choinka zaczęła nabierać bardziej naturalnego wyglądu. – Proszę. Teraz lepiej. Jak sądzisz?

– Zaczyna nieźle się prezentować.

– Na szczęście światełka są do niej zamocowane na stałe – stwierdziła Caroline, podłączając kabel do ściennego kontaktu. Popatrzyła na setki miniaturowych białych żaróweczek, które ożyły i rozbłysły niczym maleńkie gwiazdki. – I *voilà!* Magia świąt.

– Jest piękna.

– Będzie wyglądać lepiej, kiedy powiesimy na niej wszystkie ozdoby. – Caroline zerknęła w stronę rozstawionych na podłodze toreb, pełnych świątecznych dekoracji.

– Sama to wszystko tutaj przytaszczyłaś?

– No cóż, Michelle jest w hospicjum, ty byłaś u siebie w pokoju, a mnie rozpira energia...

Lili przykucnęła i sięgnęła do jednej z toreb. Wyjęła z niej niewielkie pudełko z tuzinem srebrnych bombek. Uniosła jedną, przypatrując się własnemu odbiciu w jej lśniącej powierzchni.

– Proszę bardzo – zachęciła Caroline. – Powieś ją na drzewku.

– Mogę?

– Oczywiście.

Lili zawahała się.

– Może powinniśmy poczekać, aż Michelle wróci do domu.

Caroline pokręciła głową.

– Nigdy specjalnie nie interesowała się tego typu rzeczami. Między innymi dlatego dałam sobie spokój. Co rok targałam to cholerstwo z piwnicy i co rok ona znajdowała jeszcze jedną wymówkę, żeby nie pomagać w ubieraniu. A to nie lubiła sztucznych choinek, a to zniszczyłaby sobie manicure, to znów szła dokądś z przyjaciółmi... W końcu pomyślałam sobie: „Po co ja się wysilam?”. Przecież to nie tak, że Michelle choinki brakowało. Jej ojciec miał choinkę – zawsze prawdziwą. Tak samo moja matka. Jej była sztuczna, ale od razu gotowa ze wszystkimi ozdobami, więc...

– Nie jesteś zbyt blisko z własną matką, prawda? – przerwała Lili, wieszając srebrną bombkę na środku choinki i patrząc, jak gałązka lekko ugina się pod jej ciężarem.

– Przykro mi, jeśli to jest aż tak oczywiste.

– Wydaje się miła.

Nie daj się ogłupić, pomyślała Caroline, ale powstrzymała się przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

– Miewa dobre chwile. – Otworzyła kolejne pudełko ozdób, tym razem pełne bombek w czerwone i białe paski.

– Ona i twój brat chyba dobrze się rozumieją.

– Zdaje się, że niektóre kobiety bywają lepszymi matkami dla synów niż dla córek.

– Moja matka zawsze mówi, że chłopcy są o wiele łatwiejsi niż dziewczynki – stwierdziła Lili.

Caroline zbladła, słysząc w jej ustach słowo „matka”.

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć Beth – natychmiast poprawiła się Lili.

– Nie trzeba przepraszać. – Caroline westchnęła głęboko raz, potem drugi. – Jest dla ciebie dobrą matką, prawda?

– O, tak – przyznała Lili bez oporów. – Może nieco surową, na pewno staroświecką, ale zawsze czułam się kochana. Tego nigdy nie kwestionowałam. Dlatego też, to co robię teraz, jest takie trudne.

– Jeśli to coś pomoże, uważam, że jesteś bardzo dzielna – powiedziała szczerze Caroline. – I chcę, żebyś wiedziała, że niezależnie od wyników testu, niezależnie, czy jesteś moją córką, czy nie, sądzę, że zachowałeś się honorowo. Nie uważam cię za oszustkę. Moim zdaniem jesteś uroczą, lojalną dziewczyną, którą każda matka z dumą mogłaby nazywać córką.

Oczy Lili napełniły się łzami.

– Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

Przez kolejnych kilka minut dekorowały choinkę w milczeniu.

– Zadzwoń do niej znowu – powiedziała Lili, otwierając torbę, w której znalazła sześć plastikowych mikołajów z długimi brodami z waty.

– Zadzwoń do Beth? Kiedy?

– Po naszym powrocie z kliniki. Powinnam ci powiedzieć.

– I jak ona się ma?

– Trochę wariuje w związku z tym wszystkim. Szczególnie teraz, kiedy powiedziałam jej, że zrobiliśmy testy.

– Co jej powiedziałaś?

– Że powinniśmy mieć wyniki w ciągu paru dni, że masz przyjaciółkę, która próbuje nadać sprawie szybszy bieg. Mogę tak powiedzieć, prawda? Nadać szybszy bieg?

– Jak najbardziej.

– Opuściłam ten fragment, w którym groziła mi śmiercią. – Lili uśmiechnęła się na znak, że nie wzięła słów Peggy poważnie.

– Przepraszam cię za to.

– Nie trzeba. Ona jest po prostu opiekuńcza. Tak jak Michelle. Rozumiem to.

– Beth mówiła coś jeszcze?

Tym razem to Lilly wzięła głęboki oddech.

– Powiedziała, że jeśli nie wrócę do domu, to sama po mnie przyjedzie.

– Co?

– Powiedziała, że jeśli nie wsiądę do samolotu do Calgary jutro z rana – uściśliła Lili – to ona po południu złapie pierwszy lecący do San Diego.

– Nie rozumiem. Przecież nawet nie wie, gdzie jesteś.

– Wie.

– Skąd?

– Powiedziałaś jej.

– Powiedziałaś jej?

– Musiałam. Groziła, że zawiadomi FBI, kanadyjską policję konną i wszelkie miejscowe służby, kto jej tam tylko na myśl przyjdzie, a jeśli to zrobi, gazety na pewno się dowiedzą i rozpęta się istne piekło.

– Myślisz, że zrobiłaby to? Znaczący przyjechałaby tutaj?

Czy Beth naprawdę zaryzykowałaby coś takiego? – zastanawiała się Caroline. A jeśli Beth miała zamiar przyjechać do San Diego, to co to oznaczało? Że jest pewna wyników, które dowiodą, że Lili jest dokładnie tą osobą, która widnieje w paszporcie: Lili Hollister, urodzoną dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, a nie Samantha Shipley, urodzoną w połowie października tego samego roku? Beth Hollister na pewno nie ryzykowałaby przekroczenia granicy i narażenia się na zarzuty kryminalne, gdyby istniała szansa, że Lili to nie jej dziecko.

Chyba że nie myślała już racjonalnie. Chyba że lęk przed zdemaskowaniem, przed utratą dziecka, które wychowała jak swoje własne, faktycznie doprowadza ją do obłądzenia.

Przecież ja byłam na jej miejscu, pomyślała Caroline. Popadłam w szaleństwo.

Czy Beth mogła być równie zdesperowana?

– Sama nie wiem – mówiła teraz Lili. – Przysporzyłam jej sporo kłopotu. Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdybym wróciła do domu. Zrobiliśmy test. Jest poświadczony. Mogłabyś zadzwonić do mnie z wynikami.

– Nie, nie możesz wyjechać. Proszę. Proszę cię, nie wyjeżdżaj, póki nie poznamy wyników. – Nie mogła jej pozwolić wrócić do Calgary, zanim poznają prawdę. Jeśli Lili faktycznie jest Samantha, to nie mogła ryzykować, że utraci ją po raz drugi. Jeśli Beth była rzeczywiście aż tak zdesperowana, kto wie, do czego byłaby zdolna?

– A więc co zrobimy?

– Może ja mogłabym do niej zadzwonić – zaproponowała Caroline. – Spróbować jej wytłumaczyć...

– Raczej nie sądzę, że to dobry pomysł.

– No tak, pewnie masz rację.

– Gniewasz się na mnie?

– Czemu miałabym się gniewać?

– A jeśli naraziłam was obie na to wszystko niepotrzebnie?

Siedziały na podłodze w milczeniu przez parę chwil, a to pytanie zawisło między nimi niczym zepsuta choinkowa żaróweczka.

– Jesteś głodna? – spytała Caroline, słysząc ciche burczenie dochodzące z brzucha dziewczyny.

– Umieram z głodu.

– Masz ochotę na pizzę?

– Z podwójnym serem, pepperoni i plasterkami pomidora?

– Ja zadzwonię. – Caroline podniosła się z ziemi i skierowała do kuchni, odpędzając od siebie niepokojące myśli. – A ty dalej ubieraj choinkę.

\*

– Jej – westchnęła Caroline, cofnąwszy się o parę kroków, żeby spojrzeć na drzewko, które teraz ugięło się od ozdób, i niemal weszła w pudełko po pizzę, w którym leżały jeszcze dwa kawałki. – Wspaniała jest. Świetnie sobie poradziłaś.

– Te szyszki bardzo się przydały do wypełnienia pustych miejsc.

– A ja uwielbiam te małe szklane pantofelki i baletnice. Zapomniałam, że je mamy.

– Potrzebny nam już tylko aniołek na szczyt.

Caroline zaczęła grzebać w pozostałych torbach jedną ręką, w drugiej niepewnie trzymając napoczęty kawałek pizzy.

– Anioł melduje się na posterunku. – Znalazła błyszczącego srebrem i złotem kartonowego aniołka, którego Michelle zrobiła jeszcze w podstawówce. Przymierzyła go do drzewka. – Chyba potrzebna nam będzie drabinka.

– A masz drabinkę?

– Jest w kuchni.

– Pójdę po nią. – Lili była w pół drogi do holu, kiedy Caroline usłyszała klucz obracający się w zamku i otwieranie frontowych drzwi. Zerknęła na zegarek. Była ósma trzydzieści, co oznaczało, że to Michelle wraca z hospicjum.

– Co się tu dzieje? – spytała Michelle w drzwiach salonu. Rozejrzała się po pokoju, dostrzegła choinkę i rozmaite torby walające się na podłodze.

– Pomyślałam, że miło byłoby mieć w tym roku drzewko – wyjaśniła Caroline. – Chcesz pizzę? Zostało jeszcze parę kawałków.

Michelle nic nie powiedziała, uniesienie oczu do nieba wystarczyło za całą

odpowiedź. Podeszła do choinki, dotknęła jednej ze srebrnych bombek.

– Troszkę za wcześnie na świętowanie, nie sądzisz?

– Po prostu uznałam, że będzie miło – powtórzyła Caroline.

Michelle pokiwała głową.

– I nie przyszło ci do głowy, że mogłabym mieć ochotę wziąć w tym udział?

Caroline umilkła. „Jeden krok naprzód, dwa kroki w tył”.

– Możesz umieścić na czubku aniołka – powiedziała rześkim tonem Lili, wracając do salonu z niewielką drabinką.

– Och, dziękuję – odparła Michelle. – Jak to miło, że mi pozwalasz.

– Michelle...

– Zostało trochę pizzy – dodała Lili. – Mogę ci ją odgrzać.

– No proszę. Czyż nie jesteś najśłodsza, najtroskliwsza pod słońcem małą siostrzyczką?

– Proszę cię, nie wyżywaj się na Lili – zwróciła się Caroline do córki. – To był mój pomysł, żeby ubrać drzewko. Lili powiedziała, że powinniśmy poczekać na twój powrót do domu. To ja byłam pewna, że nie będziesz zainteresowana.

– Bo uważasz, że lubię być pomijana?

– Bo nigdy wcześniej się tym nie zainteresowałam.

– Bo zawsze traktowałam to jak jakiś ciężki obowiązek – odpaliła Michelle. Jej gniew wzbierał z każdym kolejnym słowem. – Bo widać było całkiem jasno, że nie wkładasz w to serca, że nie ma powodu, żeby dekorować tę głupią choinkę i udawać, że jesteśmy szczęśliwe, skoro nie mogliśmy być szczęśliwe, bo nie było tu Samantha, żeby świętować razem z nami. Bóg świadkiem, że dla mnie jednej nie warto było ubierać choinki. Bóg świadkiem, że ja ci nigdy nie wystarczałam do szczęścia. – Wyrwała aniołka z dłoni matki i podarła go na kawałki. Cisnęła je na podłogę. – A tak przy okazji, Lili czy tam Samantha, czy jak, do diabła, faktycznie masz na imię, tak dla twojej informacji, aniołów nie ma. Bo coś takiego jak niebo nie istnieje. – Obróciła się na pięcie, żeby wyjść na korytarz. – To wszystko jedno wielkie oszustwo. Takie samo oszustwo, jak cała ty.

– Micki, czekaj.

– Na co tak konkretnie mam czekać? – spytała Michelle, zawracając. – Żebyś przyznała, że jestem równie ważna, jak moja święta siostra, że moja rzeczywista obecność jest dla ciebie tak samo istotna, jak pamięć o niej?

– Jesteś bardzo niesprawiedliwa.

– Czyżby? A czego jeszcze potrzeba, mam? Mam zaginać, żebyś mnie pokochała?

Caroline ciężko przysiadła na podłodze, zgniatając swoim ciężarem to, co jeszcze pozostało z kartonowego aniołka, a Michelle wybiegła z pokoju.

## ROZDZIAŁ 28

# Dzisiaj

– To ja... Lili. Mogę wejść?

– A mogę cię jakoś powstrzymać?

Caroline dosłyszała tę wymianę zdań z progu własnej sypialni. Chciała iść do Michelle i przeprosić ją jeszcze raz – ile z ich rozmów w ciągu ostatnich lat składało się z tych bezskutecznych wysiłków, by coś wyjaśnić czy odpokutować? – ale usłyszała odgłos kroków na korytarzu i wyjrzawszy ze swojego pokoju, dostrzegła Lili pukającą do drzwi sypialni Michelle.

Patrzyła, jak Lili znika w pokoju Michelle, a potem na palcach przeszła przez korytarz i stanęła, mocno opierając się plecami o ścianę, doskonale świadoma, że nie powinna podsłuchiwać, ale niezdolna się powstrzymać.

– Nic ci nie jest? – spytała Lili.

– Jasne, że nie – odparła Michelle. – Dlaczego miałyby mi coś być?

– Zdawałaś się mocno wytrącona z równowagi.

– Przesadziłam. To u mnie normalne. Przepraszam, jeśli cię zaniepokoiłam.

– Nie, nie ma sprawy. To ja powinnam przeprosić ciebie.

– Ale za co miałabyś przeproszać?

– Powinnyśmy poczekać z ubieraniem choinki, aż wrócisz do domu.

– To nie była twoja decyzja.

– Nie gniewaj się na swoją matkę. Ona nie chciała...

– Wiem. Nie musisz mi tłumaczyć.

– Ona cię kocha.

– To też wiem. To tylko taki taniec, który razem uprawiamy. Chyba robimy to od tak dawna, że stał się przyzwyczajeniem.

Milczenie.

– Lili, czego chcesz? Matka prosiła, żebyś tu przyszła?

– Nie. Miałam nadzieję, że może...

– Może co?

– Że może porozmawiamy?

– Chcesz rozmawiać?

Caroline wyobraziła sobie, że Lili kiwa głową.

– A o czym chcesz rozmawiać?

– Sama nie wiem. O czymkolwiek. Chyba miałam nadzieję, że się trochę lepiej poznamy.

– W ogóle się nie znamy.

– Ja bym chciała. Poznać ciebie – powiedziała Lili.

– Po co? Wątpię, żebyś została tu tak długo, aż dostaniemy wyniki tych badań DNA.

– Jesteś taka pewna, że nie jestem twoją siostrą?

– Musisz przyznać, że to niewielka szansa. Ale co mi tam. Za parę dni się dowiemy.

Nie ma sensu spekulować.

– Pamiętasz ją w ogóle? – spytała Lili. – To znaczy Samanthę?

Kolejna cisza, tym razem dłuższa niż poprzednia.

– Miałaś pięć lat, kiedy ją porwano – naciskała Lili.

– I co z tego?

– A więc powinnaś mieć jakieś wspomnienia.

– Powinnam?

– A nie masz?

– Chyba mam.

– Jaka była?

– Miała dwa latka.

– Dwulatki mają osobowość. Czy była fajna? Spokojna? Rozśmieszała cię? Czy często płakała? Czy była szczęśliwym dzieckiem?

Caroline wyobraziła sobie wyraz irytacji odmalowujący się na twarzy Michelle. Wstrzymała oddech, czekając na eksplozję ironii. Co dziwne, głos, który ją dobiegł, był cichy i pozbawiony jadu.

– Pamiętam, jak raz znalazła papiloty matki i powtykała je we włosy, a potem biegła po całym domu, nie mając na sobie nic poza pieluchą i różowymi, puchatymi kapciami matki, z tymi idiotycznie wyglądającymi lokówkami sterczącymi pod wszelkimi możliwymi kątami wokół jej głowy, i miała taką dumną minę, a matka się zaśmiewała tak bardzo, i pamiętam, że żałowałam, że ja nie umiem jej tak rozśmieszyć, a potem rozłościłam się, podeszłam, przewróciłam Samanthę na podłogę i zaczęłam jej wyrywać z włosów te wałki. A ona rozplakała się i matka oczywiście wściekła się i nawrzeszczała na mnie.

Zupełnie o tym zapomniałam, pomyślała Caroline. Łzy nabiegły jej do oczu na wspomnienie aureoli z lokówek wokół ślicznej, małej główki Samanthy i słodkiego uśmiechu na jej miłej buzi, kiedy radośnie przebiegała z pokoju do pokoju. Przypomniała też sobie wyraz złości na twarzy Michelle, kiedy pchnęła siostrę na podłogę i zaczęła wyrywać jej z włosów te papiloty.

– Byłaś zazdrosna – stwierdziła Lili. – To dość normalne. Mam dwóch młodszych braci i dopóki się nie urodzili, to ja byłam najważniejsza dla moich rodziców. Potem pojawił się Alex, a po nim Max i przestałam być pępkiem świata. Trochę to trwało, zanim się przyzwyczaiłam.

– Dlatego to robisz? Żeby znów być pępkim świata?

– Co jeszcze pamiętasz na temat Samantha? – sondowała Lili, ignorując pytanie Michelle.

– To było mniej więcej wszystko.

– A pamiętasz coś z tamtej nocy w Meksyku?

Kolejne milczenie, tym razem trwające tak długo, że Caroline uznała już, że Michelle nie ma zamiaru odpowiedzieć na pytanie.

– Próbuję nie pamiętać – odparła wreszcie.

– A więc jednak coś pamiętasz.

– Pamiętam, jak matka krzyczała.

Caroline poczuła, że oddech więźnie jej w płucach i zakryła sobie dłońmi usta, chcąc powstrzymać rodzący się jęk.

– Musiałaś się przerazić.

– Musiałam się przerazić – powtórzyła Michelle cicho.

– Co jeszcze pamiętasz?

– Pamiętam, że próbowałam się jej trzymać, a ona mnie od siebie odpychała.

Caroline przypomniała sobie upór, z jakim Michelle wtedy do niej lgnęła i swoje własne odczucia – że się dusi. Panikę wywołaną poczuciem, że nie jest w stanie złapać powietrza, irracjonalny strach, że Michelle jak pijawka wysysa oddech z jej ciała. Czy ona wtedy faktycznie odepchnęła ją od siebie?

– Na pewno nie chciała...

– Pewnie nie. A może w ogóle było inaczej. Może mnie się to wszystko przyśniło. Byłam mała. Dzieciom wszystko się łatwo myli. Wyobrażają sobie różne szalone rzeczy. Posłuchaj – ciągnęła, choć Lili już nie nalegała. – Nawet jeśli tak było, ja jej nie obwiniam za to, że mnie odtrąciła. Nie winię jej nawet za to, że nie kochała mnie tak jak Samantha. Mocno jej za to dopiekałam, ale rozumiem. Naprawdę rozumiem. Samantha była śliczna, było z niej niezwykle grzeczne dziecko, zawsze uśmiechnięte, zawsze szczęśliwe. Była po prostu taka... urocza. A ja, jak to się zdarzało stwierdzić mojej matce, byłam trudna. Marudna. Roszczeniowa. Wiecznie potrzebująca. Jednym słowem, byłam nieznośnym bachorem. – Urwała, głęboko i głośno westchnęła. – Byłam bachorem przed Meksykiem. Byłam bachorem po Meksyku. Do dziś jestem bachorem.

– Nie uważam cię za bachora.

– Ale tam.

– Bachory nie pracują ochotniczo w hospicjach.

– Tylko wtedy, kiedy nakazał im to sąd.

– Nie rozumiem.

– Nie powiedziała ci?

– Ale czego?

– Że zostałam aresztowana za prowadzenie pod wpływem alkoholu, a sąd skazał mnie na prace społeczne?

– Aresztowali cię za jazdę po pijaku?



- Możesz to dodać do długiej listy moich przewinień. Naprawdę ci nie powiedziała?
- Ani słóweczka.
- Pewnie za bardzo się wstydzi.
- Może uznała, że ona nie powinna mi tego mówić.
- Może.
- A ty?
- Co ja?
- Powiesz mi, co się stało?

Caroline znów wstrzymała oddech. Michelle nigdy jej się nie zwierzyła ze szczegółów tamtego wieczoru. Choć znała fakty związane z aresztowaniem córki, podobnie jak drobny druk ugody, jaką wynegocjował Hunter z zastępcą prokuratora okręgowego, Michelle zawsze odmawiała opowiedzenia, co wtedy dokładnie się stało. Wątpiła, żeby córka zgodziła się teraz porozmawiać o tym z Lili. Przygotowała się na grad przekleństw i miała tylko nadzieję, że zdąży wrócić do swojego pokoju niezauważona, zanim Michelle wypchnie Lili – metaforycznie albo i dosłownie – za drzwi.

– To nic takiego wielkiego – ze zdziwieniem usłyszała słowa Michelle. – To znaczy sprawa jest poważna, owszem. Tylko nie ma w tym nic ciekawego.

Caroline, tak samo jak Lili, czekała na dalszy ciąg.

– Poszłam na imprezę do mieszkania takiego jednego starszego gościa. Nie była to fajna impreza, bo wszyscy upalali się trawą, a mnie to trochę nudzi. Wiesz, jak to bywa.

– W sumie to nie wiem.

– Żartujesz sobie. Nigdy nie paliłaś trawy?

– Nigdy nie paliłam. Nigdy nie piłam. Nigdy...

– Nie uprawiałaś seksu?

– A co to takiego? – odparła ze śmiechem Lili.

– Jesteś dziewczicą?

– Jesteś zdziwiona?

– Masz siedemnaście lat.

– Jeszcze rok temu nie wolno mi było nawet chodzić na randki.

– Łał.

– To i tak nie miało znaczenia. Ciągłe się przenosiliśmy. Uczyłam się w domu. Nikogo nie znałam. No to z kim miałam się umawiać? Dopiero po śmierci ojca matka zaczęła trochę rozluźniać dyscyplinę. Pozwoliła mi nawet ufarbować końcówki włosów na niebiesko. A któregoś dnia byłam w bibliotece i taki jeden chłopak ciągle się na mnie gapił, a ja sobie pomyślałam, że niezłe z niego ciacho, i też zaczęłam na niego popatrywać. Chciałam trochę poflirtować, a on podszedł do mnie i ja już sobie myślę, że może mnie zaprosi na randkę, a zamiast tego on mówi: „Wiesz, wyglądasz dokładnie jak te szkice w internecie”, i...

– No, reszta jest historią.

– Dokończ tę swoją – poleciła Lili.

– No wiesz, jak mówiłam, wiele do opowiadania nie ma. Wszyscy upalili się trawą,

a ja, rozumiesz, za trawą nigdy nie przepadałam, chociaż czasami palę – to matka ci na pewno powiedziała.

– Nie musiała.

– Co masz na myśli?

– Czuję ją w twoich ubraniach.

– Serio? Poważnie? Cholera.

– No, ale co się stało? Znaczy na imprezie.

– No tak. Był tam taki mój znajomy facet. Spencer. Parę razy się spotykaliśmy. To znaczy nie, nie chodziliśmy ze sobą. Tylko parę razy uprawialiśmy seks.

Caroline opuściła głowę. Matko boska, pomyślała.

– W każdym razie mówił, że wie, gdzie gospodarz trzyma wino. I zanim się połapałam, byliśmy we dwójkę w kuchni i uporaliśmy się z niemal całą butelką, a gospodarz nas nakrył i strasznie się wściekł, i kazał nam wynosić się z jego domu. Zdaje się, że to było bardzo drogie wino, które jego ojciec od lat trzymał na specjalną okazję. No więc musieliśmy sobie pójść, Spencer wsiadł do swojego samochodu, a ja do swojego. Dziesięć minut później zatrzymuje mnie policja i...

– ...reszta jest historią.

– W sumie ja nawet nie piję tak dużo – ciągnęła Michelle. – Tyle że ile razy mi się zdarzy, zawsze porządnie narozrabiam.

Więc może nie powinnaś pić, pomyślała Caroline, na wpół spodziewając się, że zaraz te słowa padną z ust Lili. Ale Lili nic nie powiedziała. Zdaje się, że jest o wiele mądrzejsza niż ja, pomyślała Caroline.

– W każdym razie picie już sobie darowałam. Nauczka dobrze mi zrobiła.

Caroline pozwoliła sobie na ciche westchnienie ulgi.

– Chyba jednak będę musiała przerzucić się na trawę.

Kurwa mać.

– A ojciec zawarł jakąś ugodę z zastępcą prokuratora okręgowego i tak trafiłam do pracy w hospicjum. Mówiłam ci, że to nic wyjątkowego. Ani szlachetnego.

– I tak uważam, że to niesamowite. Ja bym chyba nie mogła.

– To naprawdę nie jest nic takiego wielkiego. Ludzie umierają, tak? Człowiek się do tego przyzwyczaja. Chyba że czasami. Tak jak dzisiaj.

– A co się dzisiaj stało?

– Mamy nową rezydentkę. Kathy.

– I co w niej szczególnego?

– Ona ma tylko dwadzieścia dziewięć lat. I jest zupełnie sama. Jej matka zmarła, kiedy była dzieckiem, a ojciec ożenił się ponownie i z macochą nigdy się jakoś nie mogła dogadać. Normalnie, historia o Kopciuszku, tyle że jej zamiast przystojnego księcia trafił się rak jajnika. Pewnie nawet nie dożyje świąt. Po prostu mnie to jakoś trafiło, ta cała niesprawiedliwość. Między innymi dlatego taki szlag mnie trafił, kiedy wróciłam do domu i zobaczyłam, że we dwie dekorujecie choinkę.

– Bardzo mi przykro przez tę choinkę.

– Przestań przeproszać, to nie była twoja wina.

– To nie była niczyja wina.

– I w ten sposób wracamy do punktu wyjścia. Czas powiedzieć sobie dobranoc.

Caroline wyczuła, że Lili zmierza do drzwi i odsunęła się od ściany, chcąc się szybko wycofać.

– Dzięki – dobiegł ją jej głos.

– Za co?

– Za to, że nie kazałaś mi spadać. Za to, że mi się zwierzyłaś. Że poczułam się, sama nie wiem... Niemal jak...

– ...moja siostra?

– Chyba tak.

– Jesteś pewna, że chcesz być częścią tej rodziny? – spytała Michelle.

Caroline pobiegła korytarzem do siebie, zanim zdążyła usłyszeć odpowiedź Lili.

## ROZDZIAŁ 29

# Dzisiaj

Leżała w łóżku, zupełnie rozbudzona tuż po szóstej rano. Przez większość nocy kręciła się z boku na bok, z myślami rozdartymi między nadzieją a rozpaczą, oczekiwaniem a lękiem. Co zrobi, jeśli badanie wykaże, że Lili to rzeczywiście Samantha? A jeśli się okaże, że to nie ona?

Jesteś pewna, że chcesz być częścią tej rodziny? Słowa Michelle tłukły się echem w jej głowie, przy każdym powtórzeniu głośniejsze, dokuczliwe niczym niedające spokoju przeziębienie, niemal pozbawiające ją oddechu.

Córka miała rację. Rodzina, do której miała wrócić Lili – gdyby badanie DNA dowiodło, że istotnie jest Samantha – była poważnie skonfliktowana, jeśli nie doszczętnie rozbita. Rodzice rozwiedzeni, Caroline ledwie tolerująca własną matkę, z trudem dogadująca się z bratem, z trudem porozumiewająca się z Michelle...

To ja jestem tutaj wspólnym mianownikiem, przyznała. Godzinę później wstała wreszcie z łóżka, z obolałym ciałem i protestującymi stawami. Wszystko to moja wina.

Narzuciła szlafrok na piżamę i zeszła po schodach, minawszy pozamykane drzwi do pokojów Michelle i Lili. Weszła do kuchni, poruszając się jak na autopilocie, zrobiła kawę i naląła sobie spory kubek, jeszcze zanim ekspres dał znać, że parzenie się zakończyło.

– Wystarczy dla mnie? – spytała Michelle. Weszła do kuchni, powłócząc bosymi stopami, i klapnęła na krzesło przy kuchennym stole.

Caroline bez słowa sięgnęła do szafki po następny kubek i naląła córce gorącej kawy, a potem postawiła przed jej nosem.

– Wcześniej wstałaś.

– Słabo spałam w nocy. Widzę, że nie idziesz dziś do pracy?

– Powiedziałam im, że nie będzie mnie do końca tygodnia.

Michelle skinęła głową.

– Chyba to dobry pomysł. – Zaczęła pić kawę, nie mówiąc już nic więcej.

– Jestem ci winna przeprosiny – odezwała się Caroline.

– Za co?

– Za wczorajszy wieczór. Za to jak się zachowałam. Miałaś pełne prawo się rozgniewać. – Otworzyła pojemnik na pieczywo ustawiony w kącie blatu, wyjęła

z niego dwie kromki chleba z rodzynkami i wrzuciła je do tosterka. – Powinnam poczekać z ubieraniem drzewka, aż wrócisz do domu, przynajmniej dać ci szansę...

– Odmówić? Wiesz, zrobiłabym to. Odmówiłabym.

– I tak należało poczekać i dać ci wybór.

– Taa, cóż. Stało się, nie? Przy okazji, choinka wygląda super.

– Ładna wyszła, prawda?

– Tyle że brak aniołka na czubku. Za to moja kolej przeprosić. Pójdę potem po zakupy, coś wybiorę.

– Byłoby miło.

– Tyle że ja nie wierzę w anioły ani żadne inne takie rzeczy, więc pewnie kupię tylko jakąś gwiazdę lub płatek śniegu. Coś w ten deseń. Może tak być?

– Brzmi okej. – Tosty wyskoczyły. Caroline ułożyła je na talerzu, otworzyła lodówkę, wyjęła masło i posmarowała dwie przypieczone grzanki. – Chcesz kawałek? – spytała córkę bez zastanowienia. – Przepraszam – dodała natychmiast. – Zapomniałam, że nie jesz chleba.

– Wyjem rodzynek – powiedziała Michelle.

– Znaczący wydlubiesz je z chleba?

– O ile nie będzie na nich masła.

Caroline przyjrzała się obu tostom.

– Nie oddam ci rodzynek. To najlepsze w tych grzankach. – Pochwyciła szeroki uśmiech córki, usiadła przy stole i zaczęła maczać tosty w kawie.

– Och. Obrzydlistwo – rzuciła Michelle.

– Kiedyś tak nie uważałaś.

– Co ty mówisz?

– Jak byłaś mała. Podpatrzyłaś, jak maczam swoje tosty w kawie i upierałaś się, że chcesz tak samo.

– Nie wierzę ci.

– Bóg mi świadkiem. Przysięgam.

– Nie wierzę w Boga.

– Taa, no cóż. Ale to dalej prawda. – Caroline uśmiechnęła się do wspomnienia. – Byłaś taka malutka, chyba nie miałaś jeszcze wtedy dwóch latek, ale nawet wtedy wiedziałaś już, czego chcesz, a chciałaś właśnie maczać tosty w kawie, tak samo jak ja. Więc co rano nalewałam ci odrobinę kawy do kubka mleka i siedziałyśmy w kuchni, i razem maczałyśmy tosty. A pewnego dnia, kiedy byłam zajęta czymś innym, wmaszerowałaś do kuchni oburzona i odezwałaś się ostro: „A gdzie moja kawa?”.

Dziewczyna zachichotała.

– Wymyślasz to.

– Nie. Miałaś niezły charakterek.

Michelle wychyliła się ze swojego krzesła, zainteresowana.

– To znaczący?

– No wiesz, bardzo wcześnie zaczęłaś mówić i nieustannie paplałaś o wszystkim co

robiłaś – powiedziała Caroline, zapalając się do tematu, bo nagłą falą zaczęły wracać tamte wspomnienia. – Pamiętam jak raz, miałaś może wtedy półtora roku, potknęłaś się o coś i oświadczyłaś: „Och, przewróciłam się”, a potem dodałaś: „Nie szkodzi. Wstanę”. Zupełnie jakbyś dorabiała opowiadanie do własnego życia. – Urwała, a ta scena jeszcze raz odgrywała się teraz w jej umyśle. – A któregoś innego popołudnia zabrałam cię do kina. Miałaś wtedy ze dwa i pół roku. To chyba było *Starcie tytanów*, jakiś tego typu film, i na widowni było może z sześć innych osób, a ty cały film przegadałaś tym głosikiem jak szkło, opisując wszystko, co się pojawiało na ekranie. „O, patrz mamó. Andromeda się kąpie. Wychodzi z kąpieli. Idzie do drzwi. Otwiera drzwi”. I tak dalej, i dalej. A kiedy film się skończył i byliśmy w toalecie, przed lustrem stanęła kobieta i ja ją przeprosiłam, jeśli ten podkład dźwiękowy w twoim wykonaniu jej przeszkadzał, a ona uśmiechnęła się i powiedziała: „Nie ma sprawy. Mnóstwo się dowiedziałam”.

Tym razem Michelle odrzuciła głowę w tył i parsknęła śmiechem.

– A znów innym razem twój ojciec kupił nowy samochód, a ja strasznie się bałam nim jeździć, bo wiesz jak to jest z ojcem i jego samochodami.

Michelle pokiwała głową.

– Ale któregoś dnia, ty siedziałaś w swoim foteliku, a ja musiałam wjechać tyłem na miejsce parkingowe i byłam cała w nerwach. Chyba z dziesięć minut parkowałam grata. Cofałam się i wyjeżdżałam, tam i z powrotem, tam i z powrotem, usiłując się wcisnąć w tę cholerną lukę, i cała się spociłam, dosłownie lało się ze mnie, zanim mi się wreszcie udało, a z tylnego siedzenia rozległ się ten cienki głosik: „Całkiem nieźle, mamó!”. Ubawiłaś mnie wtedy setnie, naprawdę. – Pokręciła głową. – Boże, nie myślałam o tym wszystkim od...

– Piętnastu lat?

Caroline wstała z krzesła i naląła sobie kolejny kubek kawy. Michelle miała rację. Wspomnienia o Samancie były tak natarczywe, że niemal wyparły wszystko, co zapamiętała z wczesnego dzieciństwa Michelle.

– Chcesz jeszcze kawy?

– Jasne.

Napełniła kubek córki i wróciła do stołu. Sumienie nie dawało jej spokoju.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

– O kurczę. To nie jest dobry znak, kiedy ktoś w ten sposób zaczyna rozmowę.

– Podśluchałam wczoraj, jak rozmawiałaś z Lili.

– Podśluchałaś?

– Nie zamierzałam. – Caroline urwała. – Dobra. To nieprawda. Widziałam, że Lili wchodzi do ciebie do pokoju i specjalnie zaczęłam nasłuchiwać.

– Mówisz mi, że specjalnie podśluchiwałaś?

– Tak.

– Właściwie to jest śmieszne słowo. Podśluchiwać. Ciekawe, skąd się wzięło.

– Nie wydajesz się specjalnie przejęta.

Michelle wzruszyła ramionami.

– Ani zdziwiona.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Wiedziałam, że tam jesteś.

– Naprawdę?

– Oddychasz przez usta.

– Tak robię?

– Ile razy jesteś zdenerwowana albo niespokojna.

– Wiedziałaś, że cały czas słucham?

– Nie przez cały czas, nie. Ale w jakimś momencie po prostu się zorientowałam, że tam jesteś.

– I dalej rozmawiałaś.

– Byłam ciekawa, co Lili mi powie.

– Sama mówiłaś najwięcej.

– Chyba tak.

– Mówiłaś to wszystko serio?

– Sama nie wiem. Dużo różnych rzeczy mówiłam.

– Spytałaś Lili, czy chce być częścią tej rodziny.

Michelle otworzyła usta, jakby zamierzając coś powiedzieć, a potem rozmyśliła się i wypila kolejny łyk kawy. Do kuchni weszła Lili.

– O wilku mowa. Nie słyszałyśmy, jak schodziłaś na dół.

Lili zerknęła w stronę różowych, wełnianych skarpet w króliczki, wystających spod piżamy w niebiesko-białe paski, jakby miały wyjaśnić jej bezgłośnie nadejście.

– Wystarczy kawy dla mnie?

– Chyba jeszcze trochę zostało. – Caroline wstała i napełniła kubek. – Mleko? Cukier?

– Czarna wystarczy.

– Mogę zrobić jajka. Są też płatki zbożowe – zaproponowała Caroline.

– Może tylko jakiś tost. – Lili podeszła do kontuaru i wyjęła dwa kawałki chleba z rodzynkami, zanim Caroline zdążyła to zrobić za nią. Minutę później siedziała z nimi przy stole i smarowała tosty masłem.

– Rozmawiałaś z Beth dziś rano? – spytała Caroline. Dotarło do niej, że oddycha przez usta i odkaszlnęła w dłoń.

– Zadzwoiłam, ale nie odebrała. Ani stacjonarnego, ani komórki. – Lili zerknęła na ścienny zegar. – Nie zdziwiłabym się, gdyby już była w drodze na lotnisko. Zawsze lubi wszędzie przyjeżdżać jak najwcześniej.

– Ale dlaczego miałyby być w drodze na lotnisko? – spytała Michelle. – Nie mów mi, że przylatuje tutaj.

Caroline poczuła ukłucie paniki.

– O której byłby tu jej samolot?

Lili pokręciła głową.

– Nie jestem pewna.

- Sprawdzę w sieci – zaproponowała Michelle, wstając od stołu. – Dowiem się, jakie samoloty przylatują z Calgary i o której.
- Lepiej zadzwonię do twojego ojca – powiedziała Caroline.
- Przykro mi, że to się tak komplikuje. – Lili zaczęła z roztargnieniem maczać tost w kawie.
- Co robisz? – Michelle stanęła jak wryta.
- Przepraszam. – Lili natychmiast wyciągnęła z kubka ociekający kawą kawałek grzanki. – To chyba obrzydliwe.
- Oczy Caroline napełniły się łzami, jakby ten zwyczajny gest był genetycznym „znakiem”, jakiego szukała, całym dowodem potrzebnym jej, by przekonać się, że Lili to naprawdę jej córka.
- Zadzwonił telefon.
- Może to ona – powiedziała Michelle.
- Caroline szybko poszła odebrać.
- Halo?
- Caroline. Tu Arthur... Aidan Wainwright. Proszę, wysłuchaj mnie.
- Natychmiast walnęła słuchawką o widełki.
- Co się stało? – spytała Michelle. – Zbladłaś jak śmierć. Kto to był?
- Caroline oparła się o blat, instynktownie rozumiejąc, że reporter wiedział o istnieniu Lili. Zastanawiała się, ile czasu potrwa, zanim dowie się o tym cały świat.
- Mamo? Co to było? – powtórzyła Michelle.
- Caroline połączyła jedno z drugim i udzieliła jej jedynej możliwej odpowiedzi w tych okolicznościach:
- Kłopoty.



## ROZDZIAŁ 30

# Dzisiaj

– Taksówka przyjechała. – Caroline cofnęła się od okna salonu z walącym sercem. Michelle od razu zajęła jej miejsce za przejrzystymi firankami.

– Nie. Nie zatrzymała się. O, do diabła.

– Co się dzieje?

– Właśnie zobaczyłam jakiś ruch za tym wielkim drzewem po drugiej stronie ulicy.

– Kolejny reporter? – Caroline natychmiast znów znalazła się przy oknie.

– Możliwe.

– Cholera. Wygląda na to, że sępy krążą.

– Mówicie poważnie? – rzuciła Lili ze swojego miejsca na sofie.

– Obawiam się, że tak – odparła Michelle.

– Nie rozumiem. Skąd oni w ogóle wiedzą...?

– Ktoś musiał im dać cynk.

– Myślisz, że to była Beth? – Lili spytała Caroline.

– Nie wiem. Mówiłaś, że czymś takim groziła.

– Ja wiem, ale...

– Ale co? – dociekała Michelle.

– To nie ma sensu – odparła Lili. – Ona tu będzie lada moment. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to żeby czekał na nią tłum reporterów.

– Chyba że dokładnie na tym jej zależy – stwierdziła Michelle.

– Co masz na myśli? – głosy Caroline i Lili nałożyły się na siebie.

Michelle obróciła się w stronę Lili.

– Wiesz, prawie mnie przekonałaś. Nie że naprawdę jesteś Samanthą, ale że faktycznie wierzysz, że możesz nią być.

– Ale to prawda.

– Tak? A może jednak coś innego? Mówiłaś wcześniej, że to się tak komplikuje, ale może sprawa wcale nie jest skomplikowana. Może to jest to, co sugerował wujek Steve – szansa, żeby zaistnieć, żeby się wybić w mediach, trafić na okładkę magazynu „People”?

– Nie – zaprotestowała Lili.

– Wiesz, że to nieprawda – powiedziała Caroline.

– Wiem, że to nie przypadek, że twój chłopak-reporter zadzwonił dzisiaj rano po pięciu latach. Wiem, że prasa nie koczuje na naszym progu dlatego, że to sezon ogórkowy. Ktoś im powiedział, że Lili tu jest i po co tu jest.

Caroline skrzywiła się przy słowie „chłopak”, bo zaboląło ją tak, jakby córka ją naprawdę uderzyła.

– Powiedziałaś komuś? – Michelle spytała Lili.

– Nie. A ty?

– Ja? Kpisz sobie? Cholera. Teraz przyjechał wóz Fox News.

– Do diabła – westchnęła Caroline. – Dzwon do ojca.

– Dzwoniłam już trzy razy.

– Zadzwoń jeszcze raz.

Michelle jęknęła i wyciągnęła komórkę z kieszeni dżinsów. Wystukała biurowy numer Huntera.

– Cześć, Lucy. Przepraszam, że znów ci zawracam głowę, ale... Tak, wiem, że ma spotkanie z klientem. Cały dzień siedzi z klientami...

– Daj mi to. – Caroline wyrwała jej telefon z dłoni. – Lucy, mówi Caroline. Muszę natychmiast rozmawiać z Hunterem.

– Przepraszam stokrotnie, ale on jest na bardzo ważnym spotkaniu – odparła sekretarka.

– To. Go. Z niego. Wywołaj!

– Jedną chwileczkę.

– Ojej – mruknęła Michelle. – To było niezłe.

– Co się dzieje? – spytał Hunter chwilę potem, głosem zdyszonym i zniecierpliwionym. – Jestem w połowie ważnych negocjacji...

– A mnie się ulica zapełnia reporterami.

– Co ty wygadujesz?

– Aidan Wainwright zadzwonił dziś rano.

– Kto to jest, do cholery, Aidan Wain... O kurde – dokończył, zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć. – Czego ten palant chciał?

– Nie dałam mu okazji do pytań. Ale podejrzewam, że dzwonił, bo dowiedział się o Lili.

– Myślisz, że do niego dzwoniła?

– Nie. Ale możliwe, że Beth...

– Jaka Beth?

Caroline słowa „matka Lili” nie chciały przejść przez gardło.

– Wygląda na to, że jest w drodze z Calgary do nas – powiedziała zamiast tego z nadzieją, że Hunterowi wróci pamięć.

– Co u diabła? Kiedy do tego doszło? Dlaczego do mnie nie dzwoniłaś?

– Próbowaliśmy. Trzy razy. Byłeś w połowie ważnych negocjacji, zapomniałeś?

– O której przylatuje jej samolot?

– Nie jesteśmy pewne. Bezpośredni lot z Calgary miał opóźnienie. Zdaje się, że mają

tam burzę śnieżną. W każdym razie może nim nawet nie lecieć. I nie odbiera telefonu.

– Myślisz, że to ona zawiadomiła media?

– To niewykluczone.

– Dobra. Posłuchaj. Przyjadę, jak najszybciej mi się uda. Nie otwieraj drzwi. Nie odbieraj telefonu. Nie mów ani słowa do nikogo.

– Oczywiście, że nic nikomu nie powiem – zaczęła Caroline, ale on już zdążył się rozłączyć. – Co... Czy ja jestem idiotką? – zapytała, oddając telefon Michelle. Stacjonarny wyłączyła natychmiast po telefonie Aidana.

– Przyjeżdża?

– Jak tylko będzie mógł. Spróbuj znów połączyć się z Beth – poleciła Lili.

Dziewczyna zadzwoniła ze swojej komórki do Beth, ale pokręciła tylko głową, kiedy głos z automatu powiadomił ją, że wybrany numer jest chwilowo niedostępny. – Pewnie jeszcze nie wylądowali.

– Czeka po prostu, aż pojawi się tu jeszcze więcej posiłków – sugerowała Michelle, wyjrzawszy na ulicę. – Ta kobieta zdecydowanie wie, jak zrobić wielkie wejście.

– Mylisz się – upierała się Lili. – Ostatnia rzecz, jakiej chce, to żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Po prostu chciałyby, żebym wróciła do domu.

Jakiś samochód zatrzymał się przed domem i kobieta o długich, zgrabnych nogach wysiadła z tylnego siedzenia z mikrofonem w dłoni. Za nią snuł się facet z brodą, chyba z sześcioma aparatami fotograficznymi zawieszonymi na szyi.

– Cholera – mruknęła Caroline, śledząc ich wzrokiem, gdy zmierzali pod drzwi frontowe.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– Co robimy?

– A co możemy zrobić?

Zadzwonił ponownie.

– Pozwolimy im tak się dobijać?

– W jakimś momencie dotrze do nich, że nic z tego.

– Zupełnie jakby człowiek był zakładnikiem – powiedziała Lili, kiedy przez kolejnych pięć minut dzwonienie ciągle się powtarzało.

– Wiedzą, że jesteśmy w domu – stwierdziła Caroline. – Pewnie widzieli nas przy oknie.

– Może powinniśmy zaciągnąć zasłony – Michelle wskazała ciężkie, beżowe kotary po bokach przejrzystych firanek.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję – dorzuciła Lili.

– Świetny pomysł – odparła Michelle. – Niech się z tego zrobi jeszcze większa awantura. Może uda nam się trafić do wiadomości ogólnokrajowych. – Dzwonek odezwał się jeszcze dziesięć razy, w krótkich odstępach czasu. – Boże, czy oni nigdy się nie poddadzą?

– Myślałam, że nie wierzysz w Boga – rzuciła Lili z uśmiechem.

– Przymknij się – warknęła Michelle.

Caroline z trudem zdusiła śmiech.

– Co? Co cię tak rozbawiło?

– Zaczynacie rozmawiać jak siostry.

– Dobra, dosyć tego – powiedziała Michelle, odsuwając się od okna. – Wynoszę się stąd. – Skierowała się do drzwi frontowych.

– Czekaj, nie możesz stąd wyjść.

– To wyjdę tylnymi drzwiami. – Zawróciła na pięcie, kierując się na tyły domu.

– Michelle! – prosiła Caroline, idąc za nią. – Proszę cię...

– Wyluzuj, mam, nawet się nie zorientują, że wyszłam.

– Niemądrze postępujesz...

– Ja postępuję niemądrze? – Otworzyła tylne drzwi.

Za nimi stał jakiś mężczyzna.

– A pan kim jest, do diabła? – spytała Michelle.

– Dobry Boże... – odezwała się Caroline zza jej pleców. – Michelle, zamknij drzwi. Ale już.

– Caroline, zaczekaj – rzucił, chwytając za drzwi, żeby nie można ich było domknąć. –

Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać i trudno mi ciebie za to winić...

– To jest ten pieprzony reporter? – spytała gniewnie Michelle.

– Nazywam się Aidan Wainwright.

– Ten gad, który napisał tamten obrzydliwy artykuł? Wypierdalaj stąd.

– Ty pewnie jesteś Michelle.

– A ty sobie, kurwa, kpisz. Puszczaj te drzwi, palancie.

– Posłuchaj. Wiem, że wszyscy mnie nienawidzicie, ale moim zdaniem, jeśli teraz jeszcze raz przeczytasz tamten artykuł, przekonasz się, że nie jest taki zły. Wypadłaś w nim w sumie całkiem dobrze – zwrócił się bezpośrednio do Caroline. – Przedstawiłem cię w bardzo pozytywnym świetle.

Caroline wytrzeszczyła oczy na tego nie do końca przystojnego mężczyznę, którego od pięciu lat nie widziała, mężczyznę, który ją wykorzystał, za co zapłaciła nie tylko utratą pracy, ale i resztek szacunku do samej siebie. Włosy miał krótsze, niż kiedy go ostatni raz widziała, i lekko posiwiałe na skroniach, ale poza tym wyglądał w zasadzie tak samo. Z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że nadal wydaje jej się atrakcyjny.

– To prawda? – spytał. – Że Samantha wróciła?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Co się dzieje? – spytała Lili, stając za plecami Caroline.

– To ona? – spytał Aidan, mocniej napierając na drzwi i próbując wcisnąć się do wnętrza domu. – Kochanie, porozmawiaj ze mną. Kim jesteś? Jaka jest twoja historia?

– Wracaj do salonu – poleciła Michelle. – Natychmiast.

Lili obróciła się na pięcie i wybiegła z holu.

– Caroline, równie dobrze możesz mi powiedzieć – ciągnął Aidan. – Wiesz, że i tak napiszę o tym artykule.

– Najpierw powiedz, kto ci dał cynk – odparła Caroline.

- Wiesz, że nie mogę zdradzić swojego źródła.
- Naprawdę? Z nielojalnością wobec mnie nie miałeś kłopotu.
- To nie do końca prawda. A jeśli się zastanowić, to zrobiłem ci w sumie przysługę.
- Przysługę?
- Zaoferowałem ci platformę, miejsce, gdzie mogłaś dać upust...
- Bez mojej wiedzy. Bez mojej zgody.
- Nigdy byś mi jej nie udzieliła.
- I nic ci to nie mówi?

– Nie miałem zamiaru cię zranić, Caroline. Podobałaś mi się, naprawdę cię polubiłem. Godzinami sam ze sobą walczyłem, czy oddać redakcji ten artykuł. Wiedziałem, że prawdopodobnie nie zrozumiesz.

– Prawdopodobnie nie rozumiem? I że czego konkretnie nie rozumiem? Że nadużyłaś mojego zaufania? Że mnie upokorzyłaś? Że wykorzystałaś mnie do realizowania własnych ambicji, żeby podpisywać swoje artykuły większą czcionką?

– Nosilaś w sobie ten wielki ciężar poczucia winy przez tyle lat, że to cię obezwładniało – tłumaczył. – Wolę myśleć, że w sumie ci tego ciężaru odjąłem.

Czy on rzeczywiście w taki sposób się łudził? No, ale dlaczego miałyby się różnić czymś od wszystkich innych? Czasem złudzenia to jedyne, co pozwala ludziom przetrwać w życiu.

– I ty masz czelność wmawiać sobie, że w tym, co zrobiłeś, było coś szlachetnego? – powiedziała do niego, odsuwając tamtą myśl od siebie. – Założę się, że masz w tej chwili włączony w kieszeni dyktafon, prawda?

Odwrócił wzrok, usiłując opanować uśmiech.

– Jakaś dziewczyna pojawia się pod twoimi drzwiami i twierdzi, że jest twoją córką, wykradzioną piętnaście lat temu. Caroline, przecież to jest niesamowita historia, nawet jeśli okaże się, że ona nie jest Samanthą. Pozwól mi ją opisać. Daj mi szansę zrobić to, co trzeba.

– Najpierw powiedz mi, czy naprawdę miałeś żonę i córkę, które zginęły w wypadku. Jego zawstydzona mina wystarczyła za całą odpowiedź.

– Ty bydlaku.

– Caroline, porozmawiaj ze mną. Daj mi prawo na wyłączność, a przysięgam, że wyjdiesz z tego świętsza niż cholerna Matka Teresa.

Caroline spojrzała w tę jego nie do końca przystojną twarz i z ulgą zrozumiała, że jedyne co do niego czuje, to pogarda. A potem odsunęła go siłą od drzwi i zatrzasnęła mu je przed nosem.

\*

– Powinnaś kazać mu spierdalać – stwierdziła potem Michelle.

– Tak, to zawsze dobry pomysł, kazać spierdalać reporterowi – powiedział Hunter.

– Czasem po prostu lepiej jest zachować się z godnością – odparła Caroline.

Siedzieli wszyscy w salonie, czekając na przyjazd Beth. Jej samolot wylądował pół godziny wcześniej i jak tylko przeszła przez odprawę, zadzwoniła do Lili, zawiadamiając ją, że jest w drodze. Lili z kolei poinformowała ją o rosnącej liczbie dziennikarzy otaczających dom i spytała, czy to ona odpowiada za ich obecność, czemu Beth gwałtownie zaprzeczyła.

– Czy to prawda, że Samantha wróciła do domu? – któryś reporter krzyknął do Huntera, kiedy ten wysiadł ze swojego BMW.

– Kiedy dostaniecie wyniki testu DNA? – dopytywał drugi, gdy Caroline otworzyła drzwi, by wpuścić eksmęża do środka.

– Czy Wainwright powiedział, od kogo dostał cynk? – spytał teraz Hunter.

Caroline parsknęła kpiąco.

– I miałyby zdradzić swoje źródło?

– Jakaś taksówka jedzie ulicą – oświadczyła Lili spod okna.

Caroline, Hunter i Michelle natychmiast zerwali się na nogi. Niecierpliwie czekając, wszyscy wzięli głęboki oddech, bo taksówka zatrzymała się przed domem, a z tylnego siedzenia wysiadła kobieta.

Lili spojrzała na Caroline.

– To ona.

## ROZDZIAŁ 31

# Dzisiaj

Beth Hollister wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu, które Lili jej pokazała – była zupełnie niepodobna do Lili, uznała Caroline, wprowadzając wyraźnie zdenerwowaną kobietę do holu. Miała na sobie ciężki, czarny wełniany płaszcz i niosła torbę podróżną podobną do tej, z którą wcześniej przyjechała Lili. Włosy miała gęste i ciemne, mocno skręcone, a nie faliste, i była blada jak śmierć. Trudno było stwierdzić, czy był to efekt zimy w Calgary, czy też wpływ napastliwej hordy reporterów, którzy dopadli ją niczym rój rozgniewanych pszczół, gdy tylko wysiadła z taksówki, pstrykając zdjęcia i zasypując ją pytaniami niczym gradem kamyków, kiedy biegła alejką pod drzwi frontowe. Postawiła bagaż na podłodze. Jej pełne lęku brązowe oczy rozejrzały się szybko wkoło, szukając Lili, a potem wypełniły się łzami, kiedy ją zobaczyła, i wreszcie przymknęły z ulgą, gdy Lili rzuciła się w jej ramiona.

Caroline poczuła ukłucie zazdrości, patrząc, jak się obejmują. Zwalczyła zaborczy odruch, który kazał jej stanąć między nimi i je rozdzielić.

– Nic ci nie jest? – Beth spytała Lili, odsuwając z jej czoła jakieś zbłąkane kosmyki i ujmując jej twarz w dłonie.

– Wszystko w porządku. A ty jak?

– Mniej więcej, jak można się spodziewać w tych okolicznościach.

– A jak się mają Alex i Max?

– Też dobrze. Oczywiście są trochę zaniepokojeni. Nie rozumieją, jak mogłaś tak ni stąd, ni zowąd wyjechać.

Caroline podeszła nieco bliżej.

– Pani Hollister – odezwała się, chcąc podać jej rękę, ale dotarło do niej, że kobieta nie zamierza wypuścić Lili z objęć. – Ja nazywam się Caroline Shipley. To mój były mąż Hunter i nasza córka Michelle. Bardzo mi przykro ze względu na tę scenę przed domem.

– Nie rozumiem. Co ci wszyscy ludzie tam robią? Dlaczego mieliby państwo myśleć, że ja ich zawiadomiłam? – Beth spojrzała na Caroline, potem na Huntera, Michelle i znów na Caroline.

– My też nie wiemy, co mamy sądzić – odparła Caroline.

– Jeśli nie pani do nich dzwoniła, to kto? – spytała Michelle.

Pytanie zawisło w powietrzu jak uporczywy zapaszek w kuchni po gotowaniu.

– To tak naprawdę bez znaczenia – powiedział Hunter. – Ot, akademicka kwestia. Ktoś na pewno dał cynk tym sępom i prędko stąd się nie wyniosą.

– Co za koszmar – westchnęła Beth.

– Może wezmę od pani płaszcz? – zaproponowała Caroline.

– Nie, dziękuję. Nie zabawimy tu długo.

Caroline zerknęła niespokojnie na Huntera, zbita z tropu użyciem przez Beth liczby mnogiej.

– Może wejdziemy do salonu, będziemy mogli tam porozmawiać?

Beth nawet nie ruszyła się z miejsca.

– Och, mamo, no chodź – ponagliła ją łagodnie Lili, a Caroline poczuła kolejne ukłucie niepokoju. – Taki kawał drogi odbyłaś.

– Przyjechałam zabrać cię do domu.

– Proszę – powiedziała Caroline. – Na pewno może pani trochę zostać.

– Poleciałam taksówkarzowi, żeby wrócił za pół godziny.

– Co nie daje nam zbyt wiele czasu – stwierdziła Michelle, kiedy wszyscy wchodzili do salonu.

– Jadła pani coś? – spytała Caroline. – Mogę pani zaproponować kawę albo herbatę?

– Poprosiłabym herbatę – odparła Beth, rozpinając górny guzik płaszcza. – Jeśli nie sprawię kłopotu.

– Ja zrobię – zaproponowała Lili.

– Ja zrobię – wpadła jej w słowo Michelle. – Jaką pani lubi?

– Z mlekiem i odrobiną cukru, dziękuję bardzo.

– Ja też się napiję – powiedziała Caroline. – Z mlekiem.

– Wiem, jaką herbatę lubisz, mamo.

– Może usiądziemy? – zaproponował Hunter, jakby nadal tu mieszkał.

Caroline i Hunter usiedli w fotelach, a Beth i Lili, nadal trzymając się za ręce, zajęły miejsca na sofie.

– Mają państwo śliczny dom – powiedziała Beth.

– Dziękujemy.

– I bardzo piękną choinkę. – Skinęła głową w jej stronę.

– Lili pomogła ją ubrać – powiedziała Caroline, patrząc na skrzące się, malutkie białe światełka. Wcześniej tego popołudnia zaciągnęła zasłony, żeby wścibskie oczy nie mogły zaglądać do środka. W efekcie pokój, zwykle jasny i widny, wydawał się klaustrofobicznie mały. Drzewko pomagało nieco tę przestrzeń ożywić. – Na pewno nie chce pani zdjąć płaszcza? – zapytała.

– Nie trzeba, dziękuję.

– Jak minął pani lot? – spytał Hunter.

– Nieźle, kiedy wreszcie udało nam się wystartować.

– Podobno była tam silna śnieżycyca.

Naprawdę rozmawiamy o pogodzie? – pomyślała Caroline.



– Musieliśmy czekać na pasie startowym ponad dwie godziny. Długo oczyszczali samolot z lodu. Przez jakiś czas nie było wiadomo, czy w ogóle wystartujemy.

Głos miała głęboki, niemal męski, w niczym nieprzypominający głosu Lili.

Caroline przyglądała się twarzy Beth, usiłując doszukać się czegoś, co łączyłoby ją z tą dziewczyną siedzącą u jej boku, ale żadne rysy się tu nie zgadzały. Oczy miały innego koloru, nosy innego kształtu. Linia brody Beth była owalna i delikatnie zarysowana, Lili miała kwadratową żuchwę i o wiele bardziej zdecydowaną. Jak Hunter. Caroline zerknęła w stronę byłego męża, zastanawiając się, czy i on myśli o tym samym.

– Tutaj pogoda zawsze jest idealna – mówiła teraz Lili. – Codziennie świeci słońce.

– Wyobrażam sobie, że to się może komuś wydać monotonne – stwierdziła Beth.

– Bywają gorsze problemy – odparł Hunter z uśmiechem.

– Tak – zgodziła się Beth. – I niestety, to jest jeden z nich.

I tyle byłoby na temat pogody, pomyślała Caroline.

– Proszę mi wierzyć, rozumiem, jakie to dla pani musi być trudne – powiedziała.

– Na pewno nie trudniejsze niż dla państwa. Musieć od nowa przeżywać tak bolesny okres w waszym życiu, znów rozbudzać w sobie nadzieje. – Wzięła głęboki oddech, potem powoli wypuściła powietrze. – Ale to są fałszywe nadzieje. Po prostu tak się nieszczęśliwie złożyło. Nie zasługują państwo na to. Byliście szalenie uprzejmi, więcej niż zwyczajnie życzliwi, wysłuchując tych nonsensów i folgując fantazjom Lili...

Caroline spojrzała na Lili.

– Moim zdaniem ona po prostu chce dowiedzieć się prawdy. Chyba wszyscy tego chcemy.

– Prawda wygląda tak, że Lili to nie państwa córka – stwierdziła Beth stanowczo. – Wiem, że nie to chcielibyście usłyszeć. Wiem, że nie w to chcecie wierzyć. Wiem, że dalibyście wszystko, żeby była wasza. Wiem, że czułabym się dokładnie tak samo, gdyby sytuację odwrócić. Ale mówię państwu, Lili nie jest Samanthą. – Zmusiła Lili do spojrzenia na siebie, ujmując palcami jej brodę, brodę leżącą pośrodku tej żuchwy o rysunku podobnym jak u Huntera. – Jesteś moim dzieckiem, z mojej krwi i kości. Przykro mi, że uważasz, że w jakiś sposób cię zawiodłam...

– Nie zawiodłaś mnie. – Po policzkach Lili łzy zaczęły spływać strumieniem.

– To dlaczego to robisz? Za co mnie karzesz?

– Nie staram się ciebie ukarać.

– Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak bardzo mnie to boli? Że moja własna córka kwestionuje moje słowa? Że praktycznie zarzuca mi kłamstwo?

– Nie zarzucam ci kłamstwa.

– To przerwij natychmiast to szaleństwo i wracaj ze mną do domu.

– Pani Hollister... – zaczął Hunter.

– Wróc do Calgary – powtórzyła Beth, ignorując go. – Zapomnij o tym absurdzie. Ci ludzie to nie twoja rodzina. Ten pan to nie twój ojciec. Ta pani to nie twoja matka. To ja jestem twoją matką i kocham cię. Musisz mi uwierzyć. Jesteś moim dzieckiem i kochałam cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam.

– Ja też cię kocham.

Caroline poczuła się tak, jakby jakaś niewidzialna ręka sięgnęła jej do piersi i wyrwała serce. Ból był tak dojmujący, że o mało nie krzyknęła.

– No to pozbieraj swoje rzeczy i zabierzmy się stąd. Proszę. Twoi bracia bardzo się martwią. Najpierw umiera twój ojciec, a teraz ty wynosisz się bez słowa. Myślą, że zrobili coś złego. Tęsknią za tobą.

– Ja też za nimi tęsknię.

– Wiem, że ten miniony rok był dla ciebie trudny. Wszystkim nam było trudno, odkąd umarł twój ojciec. I może nie poradziłam sobie ze wszystkim jak trzeba. Wiem, że często bywałam niecierpliwa i poirytowana, że nie poświęcałam ci tyle uwagi, ile potrzebowałeś, uwagi, na jaką zasługujesz. Rozumiem też, że jesteś już dorosłą dziewczyną, że chcesz mieć więcej swobody i ja ci tę swobodę dam, obiecuję...

– Pani Hollister...

Beth obróciła się w stronę Caroline i Huntera.

– Już wystarczająco wiele kłopotu państwu sprawiliśmy. Naprawdę nie wiem, jak wam dziękować za cierpliwość i gościnność. Ale to wszystko wymknęło się spod kontroli. Sprawy zaszły za daleko i to już zbyt długo trwa. Będę nalegać, żebyśmy z Lili natychmiast stąd wyjechały. – Podniosła się, pociągając Lili za sobą.

Caroline też wstała.

– Beth, proszę. Wiem, że ta sprawa jest dla pani tak samo niepokojąca, tak samo surrealistyczna jak dla nas. Rozumiem pani oburzenie, pani gniew, pani pragnienie powrotu do domu jak najszybciej się da. Ale mowa tu jeszcze tylko o paru dniach. Kiedy dostaniemy wyniki testów DNA z laboratorium, będziemy mieli jasność...

– Ja już mam jasność.

– Ja nie mam – powiedziała Lili, wyrywając dłoń z uścisku Beth.

– Lili, na litość boską...

– Przykro mi. – Płakała dziewczyna. – Po prostu nie mogę wracać z tobą do domu. Jeszcze nie.

Caroline usłyszała zbliżające się kroki i obróciwszy się, zobaczyła, że w drzwiach staje Michelle z tacą, na której stały dwa parujące kubki z herbatą i talerz kruchych ciasteczek. Postawiła tacę na stoliku do kawy, a wszyscy powoli znów usiedli na swoich poprzednich miejscach.

– Dziękuję ci, kochanie.

Michelle wcisnęła się na fotel obok matki, a potem obróciła w stronę Beth.

– Po co tu pani tak naprawdę przyjechała?

– Proszę?

– Czego pani chce? – spytała Michelle. – Co pani chce osiągnąć?

– Michelle, co ty wyrabiasz? – odezwała się Caroline.

– Nie rozumiem – powiedziała Beth. – Chyba bardzo jasno wyłożyłam, czego chcę i po co tu przyjechałam. Chcę, żeby to szaleństwo się skończyło. Jestem tu, żeby zabrać swoją córkę do domu.

– Nie chce pani pieniędzy?

– Pieniądzy? Nie.

– Nie ma pani nadziei, że wyjdzie z tego potem jakiś kontrakt na książkę albo film?

– To śmieszne.

– Nie interesuje pani rozgłos, własne piętnaście minut sławy?

– Oczywiście, że nie.

– No to może chociaż pięć minut? Nie chce pani nawet zobaczyć własnego nazwiska w gazetach?

– To ostatnie, czego bym chciała.

– Dlaczego? Ma pani coś do ukrycia?

– Co takiego?

Caroline zerknęła na Huntera i zaszokował ją skrywany uśmiech, który czał się w kącikach jego ust.

Michelle wstała i zaczęła się przechadzać w tę i z powrotem naprzeciw sofy.

– Proszę posłuchać, byłam bardzo sceptycznie nastawiona, kiedy Lili zaczęła kontaktować się z moją matką. Czekałam, aż gruchnie jakaś kolejna niespodzianka, aż oszustwo wyjdzie na jaw...

– Nie ma tu żadnego oszustwa.

– Wierzę pani – powiedziała Michelle do Beth. – Poważnie. Widziałam pani minę, kiedy ci reporterzy otoczyli panią przed domem. I widzę miłość w pani oczach, ilekroć patrzy pani na Lili. Nie udaje pani. Nikt nie byłby aż tak dobrym aktorem. Więc zakładam, że to nie jest jakiś wyszukany szwindel, że Lili jest równie szczerą, jak się wydaje, i naprawdę wierzy, że mogłaby być Samanthą. I chociaż nadal mam wrażenie, że to bardzo mało prawdopodobne, chociaż tak stanowczo pani twierdzi, że tak nie jest, nie mogę się nie zastanawiać, dlaczego tak pani zależy na tym, żeby zabrać się stąd, zanim dostępne będą wyniki testów.

Beth natychmiast poderwała się na nogi.

– Wystarczy. Dość tego. – Pogrzebała w kieszeni płaszcz, wyciągnęła z niej niewielką kartkę i komórkę, wybrała zanotowany na kartce numer. – Mówi Beth Hollister – odezwała się drżącym głosem. – Załatwiłam tu sprawy nieco wcześniej niż zamierzałam. Czy może pan po mnie już podjechać? Niech pan zaczeka na rogu ulicy. Dziękuję.

– Proszę jeszcze nie wychodzić – odezwała się Caroline. – Do rana nie ma żadnego samolotu do Calgary. Może pani zatrzymać się tutaj...

– Wykluczone – oświadczyła Beth głosem tak sztywnym, jakby została oblana betonem. Obróciła się w stronę Lili. – Będę do jutra w hotelu Best Western Hacienda. Potem wylatuję stąd do domu pierwszym samolotem. Będę się modliła z całego serca, żebyś do tego czasu oprzytomniała i wsiadła do tego samolotu ze mną. – Pomaszerowała do holu i złapawszy torbę podróżną, skierowała się do drzwi.

– Mamo? – zawołała Lili, biegnąc za nią. – Zaczekaj.

– Dzięki Bogu – westchnęła Beth, mocno obejmując Lili.

Caroline obserwowała je, wstrzymawszy oddech. A potem zobaczyła, że Lili powoli wysuwa się z mocno ją obejmujących ramion Beth.

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko dostaniemy wyniki badań – powiedziała cicho dziewczyna.

Twarz Beth skrzywiła się w wyrazie rezygnacji połączonej z niedowierzaniem.

– Kocham cię – szepnęła kobieta. – Nigdy o tym nie zapominaj.

A potem otworzyła drzwi, przepchnęła się przez tłum oczekujących reporterów i zniknęła w głębi ulicy.

## ROZDZIAŁ 32

# Dzisiaj

Peggy zadzwoniła następnego dnia o pierwszej.

– Właśnie miałam telefon od dyrektora kliniki – oświadczyła bez wstępów. – Ma wyniki testów.

– Wyniki już są? – spytała Caroline, jakby się bała, że coś źle usłyszała. – Tak szybko? – Serce zaczęło jej bić tak gwałtownie, jakby w piersi tłukł się uwięziony ptak.

– Chce wiedzieć, jak macie zamiar to wszystko załatwić.

– Nie rozumiem.

– Zdaje się, że media koczują pod kliniką już od siódmej rano. On to mocno przeżywa, bo podejrzewa, że jego recepcjonistka mogła nagłośnić sprawę, a chciał zapewnić wam prywatność.

– Nieco na to za późno, nie sądzisz?

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła Peggy, praktyczna jak zawsze. – Pytanie, co chcecie zrobić teraz? On wam może przesłać wyniki kurierem, ale możecie też odebrać je osobiście...

Caroline kręciło się w głowie.

– Nie wiem, co zrobić. Reporterzy są wszędzie.

– To może ja pojedę?

– Jak to?

– Mogę jechać do kliniki i odebrać opis. Nikt mnie nie rozpozna.

– Przecież nie wyjdiesz z pracy ot tak...

– Jestem tu szefem, zapomniałaś? Mam jakieś spotkanie, ale za mniej więcej godzinę mogłabym się wyrwać. Tymczasem ty zadzwoń do kliniki i udziel Sidowi Dormerowi pozwolenia. Powiedz jego recepcjonistce, że nazywasz się Angela Peroni.

– Co?

– To sprzątaczką jego byłej żony. Będzie wiedział, że to ty. Powiesz mu, że się zgadzasz, ja odbiorę wyniki i przyjadę z nimi od razu. Caroline? Caroline, jesteś tam?

– Jestem. O Boże. – Zaczęła się śmiać, choć zabrzmiało to bardziej jak chichot szaleńca. – Zupełnie jakbyśmy grały w filmie szpiegowskim.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. Nie spodziewałam się wyników tak wcześnie. Myślałam, że będę miała

więcej czasu. Chociaż jeszcze jeden dzień.

– Czasu na co?

– Nie wiem. Chyba żeby się przygotować.

– Przygotowywałaś się przez piętnaście lat – przypomniała jej Peggy.

Caroline oparła się o kuchenny blat, bo nogi się pod nią uginały.

– A jeśli to nie ona?

– To jakoś sobie z tym poradzimy – odparła Peggy. – Posłuchaj, im wcześniej pójde na to spotkanie, tym wcześniej stąd wyjadę i tym szybciej będziemy wiedziały, na czym stoimy. Zgadzasz się, żebym odebrała wyniki?

– Jasne, że się zgadzam.

– Na co się zgadzasz? – spytała Michelle, wchodząc do kuchni. Caroline zapisywała właśnie numer do Dormera. Dziewczyna była ubrana, jakby się wybierała na siłownię, w czarny trykot i białą koszulkę bez rękawów.

– Wyniki już są – powiedziała do niej Caroline i wybrała numer dyrektora kliniki.

– Już? To zaledwie dwa dni temu.

– Czy mogę mówić z Sidem Dormerem? – odezwała się Caroline do słuchawki. – Mówi Angela Peroni.

– Kto? – zdumiała się Michelle.

– Cii. Halo? Pan Dormer? Tak, to bardzo nieprzyjemna sprawa z tymi mediami. Mnie również jest przykro. Peggy przed chwilą do mnie dzwoniła. Mówi, że potrzebna jest panu moja zgoda, żeby mogła odebrać wyniki testów, więc chcę jej udzielić. Tak, dziękuję. Powinna być tam za mniej więcej godzinę. – Odłożyła słuchawkę.

– Boże, czuję się zupełnie jak w jakimś Bondzie.

– Dlaczego czujesz się jak w jakimś Bondzie? – spytała Lili, stając w drzwiach kuchni.

– Wyniki już są – oznajmiła Caroline, a Lili zbladła jak ściana. Ta bladość szczególnie wyraźnie kontrastowała z ciemnym granatem jej dzinsowej koszuli.

– Moment, na który wszyscy czekaliśmy – stwierdziła Michelle. – Zadzwoń do taty. – Sięgnęła po telefon i zostawiła dla Huntera wiadomości w jego kancelarii, w domu i na komórce, polecając, aby przyjechał do nich najszybciej, jak będzie mógł. – Powinnam zadzwonić do babci Mary?

– Zaczekajmy – powiedziała Caroline. – Nie ma sensu wszystkich alarmować, póki nie dowiemy się, jak jest.

– I co teraz? – spytała Lili.

Caroline zastanowiła się, ile razy słyszała to pytanie w ciągu ostatnich kilku dni, ile razy sama je sobie zadawała.

– Peggy odbierze wyniki mniej więcej za godzinę i przywiezie je tutaj. Przez ten czas niewiele możemy zrobić poza czekaniem.

Michelle wzruszyła ramionami tak, że omal nie dotknęła nimi uszu.

– No to chyba siłownia będzie musiała poczekać. Ktoś zagra w scrabble?

– Co to za słowo ramet? – spytała Lili, przyglądając się małym drewnianym kostkom, które Michelle właśnie wyłożyła na planszy do scrabli.

– To zwyczajne słowo – odparła Michelle.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Nie muszę wiedzieć, co znaczy. Wystarczy, że znam takie słowo.

– Ja go nigdy nie słyszałam.

– Kwestionujesz moje słowo?

Lili spojrzała ponad kuchennym stołem na Caroline, jakby apelowała do niej o wsparcie.

Caroline przygotowała się na to, co nastąpi. Kwestionowanie opinii Michelle nigdy nie zapowiadało niczego dobrego. W żadnej sytuacji.

– A jeśli je zakwestionuję? – spytała Lili.

– To sprawdzimy w słowniku. Jeśli masz rację, stracę kolejkę. Jeśli ja mam rację, ty stracisz ruch.

– Dobra, kwestionuję twoje słowo.

Caroline sięgnęła po *Oficjalny Słownik Gracza w Scrabble* leżący przed nią na stole i zauważyła, że jest od niemal dwudziestu lat nieaktualny. Ile nowych słów weszło do użytku, odkąd ostatni raz grała w scrabble? Ile z użytku wypadło?

– Jest tutaj – powiedziała, znalazwszy słowo „ramet” między „ramadan” i „ramia”. – Oznacza pojedynczy pęd modułowego organizmu.

– A to co niby znaczy? – zdziwiła się Lili.

– Pojęcia nie mam.

– Mam rację. Jest takie słowo – stwierdziła Michelle. – Tracisz kolejkę. – Rozpromieniła się z zadowolenia.

Lili wzruszyła ramionami, a Caroline uśmiechnęła się. Gra w scrabble okazała się dobrym pomysłem, chociaż Michelle prawdopodobnie nawet nie mówiła serio, kiedy ją proponowała.

– Twoja kolej, mamo.

Caroline zerknęła na swoje litery – dwa A, każde warte jeden punkt, jedno P za dwa, jedno Y za dwa, jedno Ę za pięć i jedno I, też warte jeden punkt – a potem znów na planszę. Ukradkiem spojrzała na zegar, zdejmując Ę z podstawki. Dochodziła już niemal trzecia. Zastanawiała się, czemu Peggy się spóźnia. Powinna tu już być.

– Mamo?

– Hm?

– Wpatrujesz się w tę literę od pięciu minut. Ułożysz coś wreszcie czy nie?

Caroline umieściła Ę na polu, które zapewniało trzykrotną punktację, potem poprzedziła ją literami I oraz P, wreszcie po drugiej stronie T ze skompletowanego przez Michelle słowa „ramet” dołożyła Y na kolejnym polu z trzykrotną punktacją. – Pięty – oświadczyła. – Piętnaście punktów za Ę, sześć za Y, P za dwa, I i T za dwa.

– Dwadzieścia pięć – rzuciła z roztargnieniem Lili. Caroline uśmiechnęła się, a jednocześnie uśmiech starszej z dziewcząt znikł. – Co? – spytała Lili czujnie.

– Jesteś niezła z matematyki – powiedziała Michelle. – No jasne.

– Niespecjalnie.

– Nie musisz się wysilać aż tak bardzo. – przeniosła naburmuszone spojrzenie z Lili na matkę. – Ona już jest po twojej stronie.

– Wcale nie próbuję...

– A ty nikogo nie omamisz – odezwała się Michelle do matki.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, co sobie myślisz.

– Co sobie myślę? – spytała Caroline, szczerze zakłopotana.

– Że to pierwsza z setek takich rozgrywek w planszówki, jakie nas czekają, jeśli twoje modlitwy zostaną wysłuchane i okaże się, że Lili to faktycznie Samantha. Że tak to właśnie wygląda w normalnej rodzinie. – Odchyliła głowę do tyłu i wbiła spojrzenie w sufit. – No cóż, nie cierpię wiecznie psuć innym nastroju, naprawdę nie – ciągnęła Michelle – ale to nie jest normalna rodzina. Nie jesteśmy normalną rodziną od piętnastu lat. I nie możemy nagle zacząć udawać, że taką się staliśmy. Nic z tego, co się wydarzyło, normalne nie jest. I nieważne, co wykażą testy ani jak gorączkowo modlisz się do Boga, który w sposób oczywisty nie istnieje, bo w przeciwnym razie Samantha nigdy by tak nie zniknęła. Nigdy nie będzie normalnie. – Popatrzyła na słowo ułożone na planszy do scrabblu. – To w ogóle głupia gra. – Grzbietem dłoni strąciła kostki liter z planszy, rozsypując je po kuchennej podłodze.

Lili natychmiast osunęła się na czworaka i zaczęła je zbierać.

– Zostaw to – zaprotestowała. – To mój bałagan. Ja posprzątam.

– Nic się nie stało.

– Powiedziałam, że sama to zrobię. – Szybko zebrała pozostałe litery i zamasyście cisnęła je na stół. – Mówiłam ci, że jestem bachorem – dodała i znów ciężko usiadła na swoim krześle.

– Nie – powiedziała Caroline po paru chwilach milczenia. – Masz rację. To nie jest normalne. To jest całkowicie nienormalne. I widać wyraźnie, że atmosfera jest napięta. Wszystkie jesteśmy trochę wytrącone z równowagi...

– Doprawdy? Bo wydajesz się bardzo spokojna.

– Tylko tak wyglądam.

– Ja na serio nie jestem taka dobra z matematyki – powiedziała cicho Lili.

Michelle uśmiechnęła się, choć z ociąganiem.

– Rozmawiałaś z Beth, odkąd wróciła do Calgary? – odezwała się, chowając kostki scrabblu do woreczka.

Lili skinęła głową.

– Jak się ma?

– Tak samo. Jest zdenerwowana. Gniewa się. Jest smutna.

Caroline wyobraziła sobie Beth taką, jaką widziała poprzedniego wieczoru w wiadomościach: wyraźnie podenerwowaną kobietę, zakrywającą dłońmi twarz i starającą się uciec przed tłumem podążających za nią reporterów.



„Kim pani jest?”, wypytywali, gdy szybko zmierzała do czekającej na rogu taksówki. „Co panią łączy z Caroline Shipley? Czy może nam pani powiedzieć, co się dzieje w tamtym domu? Czy to prawda, że istnieje dziewczyna, która twierdzi, że jest Samantha?”.

– Nadal przesładują ją reporterzy? – spytała Caroline.

– Taki jeden facet pojechał za jej taksówką do hotelu. Dziś rano śledził ją aż na lotnisko, ale nie chciała z nim rozmawiać.

Caroline nie musiała pytać o nazwisko reportera. Już je знаła.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach.

– O Boże – szepnęła Caroline.

– O Boże – powtórzyła jak echo Lili.

– Jeszcze czego – powiedziała Michelle. – Ktoś się ruszy otworzyć?

Caroline wzięła głęboki oddech i poszła do drzwi. Dziewczyny podreptały za nią.

– Otwórz, na litość boską – wrzasnął Hunter z drugiej strony drzwi, kiedy do nich podeszły.

Caroline szybko otworzyła, a on wskoczył do holu. Aparaty fotograficzne wściekle pstrykały mu zdjęcia.

– Hunter! – zawołał jeden z fotografów. – Popatrz w tę stronę!

– Możesz nam powiedzieć, jak wygląda sytuacja? – spytał głośno inny.

– Macie już wyniki z laboratorium?

Hunter zatrzaskał drzwi, ucinając potok pytań.

– Co się dzieje?

– Gdzie byłeś? – spytała Michelle, wpadając mu w słowo. – Dzwoniłam parę godzin temu.

– Spotkania. Co jest? – powtórzył.

– Wyniki już są – powiedziała Caroline.

– Masz je?

– Peggy je przywiezie.

– Wiesz, jakie są?

Caroline pokręciła głową.

Na czole Huntera pojawiły się krople potu.

– Dobrze. Musimy zachować spokój, niezależnie od tego, co pokażą wyniki.

Caroline widziała, że mówił nie tyle do nich, co do samego siebie.

– Może powinniśmy usiąść – zaproponowała, kierując wszystkich do salonu.

Zajmowali już miejsca, kiedy dobiegł ich odgłos samochodu parkującego przed domem, potem szybkie kroki na prowadzącej do domu alejce.

Caroline podbiegła do drzwi i otworzyła je, złapała Peggy za ramię i wciągnęła ją do środka. Reporterzy bombardowali zamykające się drzwi pytaniami.

– Może nam pani powiedzieć...?

– Czy to prawda...?

– Co się...?

Caroline wprowadziła przyjaciółkę do salonu. Peggy nie marnowała czasu na niepotrzebne uprzejmości. Wyjęła z brązowej skórzanej torby białą, zaklejoną kopertę i podała ją Caroline.

Caroline pokręciła głową.

– Nie mogę. Ty ją otwórz.

– Jesteś pewna? Hunter? – spytała Peggy.

– Zrób to.

Peggy rozdarła kopertę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę. Przeleciała ją wzrokiem i podniosła oczy na Caroline. Były pełne łez.

Caroline poczuła, że drętwieje. Wiedziała, że gdyby czekający na zewnątrz reporterzy mogli ją w tej chwili zobaczyć, niewątpliwie opisaliby ją jako zdecydowanie spokojną, opanowaną osobę, wyprostowaną jak struna i z miną pozbawioną wszelkiego wyrazu, a nie kobietę na krawędzi załamania nerwowego, której sztywna postawa była wynikiem tego, że całą sobą usiłowała ustać na nogach i nie rozpaść się na kawałki. Nie zrozumieliby, że gdyby tylko wypuściła powietrze z płuc, wyleciałoby z niej jak z przekłutego balonu, a ona zawirowałaby gwałtownie, zdruzgotany i pusty strzępek znikający w oddali.

Spojrzała na Peggy, potem na Huntera i Michelle, wreszcie na tę młodą dziewczynę, która może była, a może nie była Samanthą. Od tamtego pierwszego telefonu Lili Caroline pilnowała się, żeby się emocjonalnie nie zaangażować. Sama siebie przestrzegała, że nie powinna pozwolić, by pragnienie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. Ale wszystkie te postanowienia wzięły w łeb w ciągu ostatnich kilku dni. Fakty mogły być faktami, ale jeden z nich był taki, że pokochała. Emocje bezlitośnie stłamsiły zdrowy rozsądek. Jeden i jeden już nie równało się dwa. Nawet gdyby testy DNA rozstrzygająco dowiodły, że Lili to nie jej córka, Caroline nie była pewna, czy zdoła tę stratę znieść.

Stała więc w milczeniu, sztywna, wyprostowana jak kij, z obojętną twarzą i czekała na słowa Peggy.

## ROZDZIAŁ 33

# Dzisiaj

Siedziały na jej łóżku, objęte ramionami i oglądały wieczorne wiadomości o jedenastej, usiłując jakoś dojść do ładu ze wszystkim, co zaszło, odkąd Peggy rozdarła zaklejoną kopertę i zmieniła ich życie na zawsze.

– O Boże – powiedziała wtedy Peggy, patrząc to na Caroline, to na Lili, to znów na przyjaciółkę.

– Co? Powiedz mi.

– Ona jest twoja. To Samantha.

Nastąpiła cała seria okrzyków, łzy ulgi mieszały się z westchnieniami niedowierzania. Zaszokowane głosy nawzajem się zagłuszały, postacie chwiały się, kołysały, wszyscy nawzajem się obejmowali, aż wreszcie oklapli pod wpływem znaczącej wagi tych paru krótkich słów.

– Nie wierzę w to.

– Jesteś pewna?

– To prawda?

– Dajcie mi to zobaczyć.

– To niemożliwe. Musiała zajść jakaś pomyłka.

– Macie tu czarno na białym. Sami popatrzcie. Nie ma wątpliwości.

– O mój Boże.

– To ty. To naprawdę ty.

– Nie wierzę w to.

– Dzięki. Dzięki. Dzięki.

– Jesteś absolutnie pewna?

– Moja malutka. Moje śliczne dziecko.

A potem głos przywołujący ich do rzeczywistości. Jak zwykle Michelle:

– I co teraz zrobimy?

Zadzwonili na policję. Policja z miejsca zawiadomiła FBI. Wszyscy pojawili się piorunem, a ich przyjazd wywołał poruszenie wśród reporterów wciąż zebranych przed domem.

– Nazywam się Greg Fisher. Jestem z Federalnego Biura Śledczego – agent poinformował zebrane media, stanąwszy na progu domu Caroline parę godzin później.

– Pojawiły się nowe fakty w sprawie zaginionej dziewczynki, Samantha Shipley. Prosimy państwa o cierpliwość. Jutro w południe zwołamy konferencję prasową. Na razie prosimy o uszanowanie prywatności tej rodziny.

Caroline zrelacjonowała przedstawicielom służb wydarzenia ostatnich kilku tygodni – że otrzymała telefon od dziewczyny przedstawiającej się jako Lili z Calgary, mieszkającej tam z owdowiałą matką i dwoma młodszymi braćmi, że Lili podejrzewała, że może w rzeczywistości być Samantha, że pełna wątpliwości Caroline poleciała do Calgary, ale Lili nie pojawiła się na umówionym spotkaniu, że w zeszłym tygodniu zameldowała się na progu domu Caroline, że poszli zrobić testy DNA, że Beth Hollister przyleciała poprzedniego dnia z Calgary, aby zabrać Lili do domu, ale Lili odmówiła wyjazdu, że Beth wróciła do Kanady sama, że test dostarczył niezbitego dowodu, że Lili to istotnie Samantha – córka, którą wykradziono w Meksyku z jej łóżeczka ponad piętnaście lat temu.

– Ona jest twoja – powiedziała Peggy. – To Samantha.

Jest moja, powtarzała sobie Caroline w duchu przez cały dzień. Ona jest naprawdę moja.

FBI potwierdziło wyniki w laboratorium, a potem zawiadomiło kanadyjską policję konną. Tamci z kolei zaalarmowali policję w Calgary. Beth Hollister została aresztowana i doprowadzona na przesłuchanie.

Do tamtej chwili upierała się, że jest niewinna, nawet kiedy skonfrontowano ją z dziewczyną, o której tak zawzięcie twierdziła, że to jej córka. Jeszcze kilka godzin po fakcie Caroline odtwarzała w myślach tę rozmowę.

– Jak mogłaś? – spytała ostro Lili, kiedy Greg Fisher wreszcie pozwolił jej porozmawiać z Beth. Caroline, Hunter i Michelle słuchali tej rozmowy z włączonego głośnika telefonu w kuchni.

– Nie wiedziałam. Przysięgam – odpowiedziała Beth z płaczem.

– Przysięgałaś, że jesteś moją matką – przypomniała jej Lili.

– Bo jestem twoją matką.

– Przysięgałaś, że sama mnie urodziłaś. Ile razy cię o to pytałam, czy byłam adoptowana? Mówiłaś, że nie.

– Bo na to nalegał twój ojciec. Bo powiedział, że dla nas wszystkich tak będzie najlepiej.

– Bo znał prawdę.

– Ja nie wiem. Nic nie wiem.

– Wiesz. Przestań mnie okłamywać.

Kawałek po kawałku prawda wreszcie wyszła na jaw. Beth i jej mąż całymi latami bezskutecznie starali się o dzieci. Pewnego dnia Tim wrócił do domu z informacją, że załatwił dla nich prywatną adopcję dwuletniego dziecka, adopcję, która może zostać sfinalizowana w każdej chwili. Mieszkali w Portugalii, kiedy ta adopcja rzekomo została zatwierdzona. Jej mąż natychmiast poleciał do Stanów, żeby odebrać małą dziewczynkę, dziecko jakoby porzucone przez matkę.

Lili była pełna sceptycyzmu.

– I nic w ogóle nie podejrzewałaś? Jakaś matka przypadkiem porzuca dwuletnią córeczkę dokładnie wtedy, kiedy inna dwulatka tajemniczo znika z łóżeczka w Meksyku? Nie wydawało ci się, że czasowo to się trochę zbyt dokładnie złożyło? Naprawdę uwierzyłaś, że to zbieg okoliczności?

– Nic nie wiedziałam o tym, co się stało w Meksyku.

– Pełno o tym było w mediach. Na całym świecie. Jak mogłaś nie wiedzieć?

– Mieszkaliśmy w Portugalii. Nie znałam języka. Nie czytałam międzynarodowej prasy. Nie mieliśmy nawet telewizora. Byłam dość odizolowana. Twój ojciec przywiózł do domu tę śliczną małą dziewczynkę i zapewnił mnie, że wszystko jest legalne. Nie miałam powodu, by mu nie ufać. Miał wszystkie potrzebne dokumenty...

– Ale w jakimś momencie musiała pani zacząć coś podejrzewać – odezwał się Greg Fisher ze swojego miejsca przy kuchennym stole. Jego głos był nieledwie drwiący.

– Chyba wyczuwałam, że coś jest nie tak – przyznała Beth niechętnie. – Ale to niesamowite, jak człowiek jest gotów się ogłupiać, jeśli tego chce. Chciałam wierzyć, że mąż mnie nie okłamywał, więc wierzyłam. Chciałam wierzyć, że on nie...

– Ukradł mnie z łóżka w Meksyku?

– Nie zrobił tego – oświadczyła Beth z nieoczekiwaną gwałtownością. – Nigdy nie był w Meksyku.

– Zatem współdziałał z kimś, kto w Meksyku był – stwierdził Fisher rzeczowo. – Może nam pani powiedzieć, kto to mógł być?

Caroline aż zeszywniała, a Hunter pochylił się naprzód na krześle.

– Nie mam pojęcia. Tim znał wiele osób... Znajomi w interesach. Ze wstydem przyznam, że nie wszyscy mieli nieposzlakowaną reputację.

– A więc w jakimś momencie zaczęłaś podejrzewać, że mogę być Samanthą? – wtrąciła Lili.

– Dopiero znacznie później. Mieszkaliśmy wtedy we Włoszech. Widziałam jakiś program telewizyjny. To chyba była piąta rocznica porwania. Pokazywali zdjęcia Samanthy. Rzecz była dość oczywista. Spanikowałam. Skonfrontowałam się z twoim ojcem, błagałam go, żeby wyznał mi prawdę. Powiedział, że jestem szalona i żebym przestała wygadywać głupoty, że takie słowa tylko wywołają niepotrzebne podejrzania, że może się skończyć tym, że nam ciebie odbiorą, chociaż przysięgał mi na wszystko, że Samanthą nie jesteś. Czy miałam inny wybór niż mu uwierzyć?

– Oczywiście, skoro mąż pani zmarł w zeszłym roku, możemy wyłącznie polegać na pani słowach w tej sprawie – powiedział agent. – Bardzo to dla pani dogodne, móc w tych okolicznościach całą winą obciążyć człowieka, który już nie może się przed tym obronić.

Po drugiej stronie linii zabrzmiał zduszony szloch.

– Co sprawiło, że wrócili państwo do Stanów? – zapytał Fisher.

– Kilka spraw. Interesy Tima... Chłopcy...

– Mieli już państwo wtedy dwóch synów.

– Tak. Kiedy już mieliśmy Lili, nagle bez problemu zaczęłam zachodzić w ciążę. Jak na ironię, prawda?

– Na pewno na państwa decyzji zaważyło również to, że minęło już dziesięć lat. Zakładaliście, że jesteście bezpieczni.

– Ja zakładałam, że mąż mówił mi prawdę.

– Czy to dlatego przenieśliśmy się do Kanady? – wtrąciła Lili oskarżycielskim tonem. – Czy to dlatego uczyłam się w domu? Dlatego nie mieliśmy komputera, dlatego dostęp do telewizji był ograniczony, dlatego przenosiliśmy się, ile razy zawarłam jakieś przyjaźnie? Bo zakładałaś, że tata mówił prawdę?

– Całe nasze życie dostosowaliśmy do ciebie. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię chronić.

– Chronić samych siebie, chciałaś powiedzieć.

W tym momencie Caroline wtrąciła się ze swoimi pytaniami.

– Dlaczego przyleciała pani do San Diego? Wiedziała pani, że zrobiliśmy badania DNA. Wiedziała pani, co wykażą wyniki. Dlaczego pani się upierała...?

– Bo wierzcie mi albo nie, ale cały czas czepiałam się nadziei, że Lili to nie Samantha. I myślałam, że jeśli tylko nakłonię ją, żeby wróciła ze mną do domu, to może zapomni o tych wszystkich głupstwach i nawet jeśli testy wykażą, że istotnie jest waszą biologiczną córką, to nie będzie to miało znaczenia, że to nie wystarczy, żeby przekreślić piętnaście lat, które poświęciłam na jej wychowanie, piętnaście lat miłości... Tak bardzo cię kocham. Lili.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Mam na imię Samantha.

Z ust Beth wyrwał się okrzyk, który niczym kula rewolwerowa przeleciał przez kabel telefoniczny i trafił Caroline prosto w serce. Mimo wszystko w tamtym momencie zrobiło jej się żal Beth. Wiedziała, jak to jest stracić dziecko.

– Oczywiście, w momencie, kiedy zobaczyłam cię obok twoich rodziców i siostry, wiedziałam już, kim jesteś – ciągnęła Beth. – Co sprawiło, że popadłam tylko w jeszcze większą desperację.

– Dlaczego została pani w Calgary? – spytał Greg Fisher. – Mogła pani zabrać synów i zniknąć. Miała pani sporo praktyki i musiała pani wiedzieć, że policja będzie pani szukać.

– A dokąd miałam pojechać? Jak mogłabym wyjechać, jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że moja dziewczynka do mnie wróci?

To pytanie wisiało w powietrzu jeszcze długo po zakończeniu rozmowy.

– Co się z nią teraz stanie? – spytała Lili. – Pójdzie do więzienia?

– Nie wiem – odparł Fisher. – To dopiero początek naszego śledztwa, a chociaż ufam, że kanadyjskie władze będą z nami skrupulatnie współpracować, minęło piętnaście lat i nie mamy dowodów, że ona kłamie. Oczywiście będziemy sprawę badać dalej. Może w końcu dotrzemy do całej prawdy o tym, co zaszło tamtej nocy. Naprawdę chciałbym być przy tym, kiedy to się zdarzy. Jeśli się zdarzy.

Hunter pokręcił głową.

– Tak więc straciliśmy dziecko, nasza córka straciła siostrę, nasze małżeństwo się rozleciało, nasze życie zostało dosłownie zniszczone, wszystko dlatego, że ta kobieta chciała mieć dziecko i z premedytacją ignorowała wszelkie dowody świadczące o tym, kim to dziecko naprawdę jest. I uchodzi jej to na sucho, bo minęło piętnaście lat, jej mąż zmarł i nie ma dowodu, że ona kłamie.

– Liczy się to, że odzyskaliśmy Samanthę – powiedziała spokojnie Caroline.

I nagle ona i Hunter objęli się, i jedno drugiemu zaczęło płakać w ramię.

– Caroline, tak mi przykro. Tak strasznie, strasznie mi przykro.

– Wiem.

– Za wszystko.

– Wiem. Mnie też. – Płakali oboje. Łzy Huntera moczyły jej policzek. Na moment te wszystkie lata zniknęły. Cud sprowadził do nich córkę z powrotem. Może kolejny cud mógłby sprawić, że znów staną się normalną rodziną, chociaż nieco rozszerzoną. Uściskała go mocno, odetchnęła jego czystym, mydlanym zapachem.

Znała ten zapach aż za dobrze.

Wysunęła się z jego ramion, zrozumiałwszy, że wcale nie był na spotkaniu, kiedy wcześniej usiłowały go namierzyć. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała ze smutkiem. Nieważne, ile lat minie.

– Co powiemy reporterom? – spytała Michelle.

– Ja się tym zajmę – zaproponował Fisher. – I do zobaczenia jutro. – Podał Caroline swoją wizytówkę. – Proszę się ze mną kontaktować w każdej chwili, jeśli trzeba.

– Dziękuję panu.

Matka i brat Caroline przyjechali wkrótce po tym, jak policja i agenci federalni opuścili ich dom.

– Samantha, kochanie! – zawołała Mary, mijając Michelle i chwytając młodszą dziewczynę w kurczowe objęcia. – Wiedziałam. Czy nie mówiłam od razu, że to ty? Witaj w domu, kochana. Mamy mnóstwo do nadrobienia.

– Hej – powiedział Steve, podchodząc nieco bliżej. – A ja to co? Sroce spod ogona wypadłem? Chodź tu do mnie, kotku – dodał, szeroko otwierając ramiona. – Chodź do wujka Steve’a.

Z ust Michelle wyrwał się dziwny okrzyk, gdy Steve ścisnął swoją dawno niewidzianą siostrzenicę.

– Nie bądź zazdrosna, Micki – skarciła ją babka. – To do ciebie nie pasuje.

– Mamo, na litość boską – zaprotestowała Caroline. – Nie pora na to.

– Ona już nie jest jedynaczką – spierała się Mary. – Będzie musiała do tego prędezej czy później przywyknąć.

– Powinienem już jechać – oznajmił Hunter. – Diana będzie się niepokoić.

Ma powody do niepokoju, pomyślała Caroline.

– Pojadę z tobą – rzuciła Michelle.

– Nie chcesz zostać tutaj? – spytała Samantha.

– Niece. To wasz wieczór. Ty i matka zasługujecie na trochę czasu razem, sam na sam.

Przenocuję u taty.

– Przywiozę ją rano – obiecał Hunter. – I jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym przywieźć też Dianę i dzieciaki, przedstawić Samancie przyrodnie rodzeństwo jeszcze przed konferencją prasową.

– A jest jakaś konferencja prasowa? – spytała Mary.

– W południe – odparła Caroline.

– Miejmy nadzieję, że pójdzie ci lepiej niż ostatnia.

Caroline wyrwał się gorzki śmiech.

– Chyba pora, żebyś ty też wracała do domu, mamó.

– Co? Dopiero przyjechaliśmy.

– Tak. A teraz sobie pojedziecie.

Mary wyprostowała się i otworzyła usta, jakby zamierzała protestować.

– Caroline ma rację – wtrącił Steve. – Powinniśmy wracać. To był bardzo długi dzień i Samantha jest na pewno wykończona.

– Jestem zmęczona – zgodziła się Samantha.

– No to zbieramy się stąd i damy wam trochę odsapnąć. I kto wie, może teraz, kiedy presja zniknęła, faktycznie zaczniesz sobie coś przypominać.

Mary ponownie uściskała Samanthę.

– Dobranoc, kochanie. Śpij dobrze. – Podeszła do drzwi frontowych, otworzyła je i zatrzymała się przed domem.

– Może nam pani powiedzieć, co się tam dzieje? – zawołał jakiś reporter.

– Mnie proszę nie pytać. Ja jestem tylko babką – odparła Mary, gdy Caroline zamykała za nią drzwi.

– Nie pozwól, żeby ci zepsuła humor – zwróciła się do Michelle.

Córka uśmiechnęła się.

– Jasne. Łatwo ci mówić.

– Do zobaczenia jutro.

– Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, kochanie.

– Dobranoc, Samantho – powiedziała Michelle do siostry. – Wierz mi lub nie, ale naprawdę się cieszę, że wróciłaś.

– Do zobaczenia jutro – odparła Samantha.

Caroline patrzyła przez okno, jak wsiadają do kremowego BMW Huntera i odjeżdżają.

– Jesteś głodna? – spytała Samanthę. Wreszcie zostały same.

– Umieram z głodu.

– Za wcześnie na kolejną pizzę?

– Nigdy nie jest za wcześnie na pizzę.

Większość wieczoru spędziły, po prostu się sobie przypatrując, jakby rozumiały, że jest jednocześnie za wcześnie i za późno na słowa, że piętnaście lat słów zostało



stracone i nigdy się ich nie da nadrobić. Po kolacji poszły na górę i oglądały telewizję na łóżku Caroline, słuchały, jak Greg Fisher w wiadomościach o jedenastej informował o nowych faktach w sprawie zaginionej Samantha Shipley i obiecywał konferencję prasową w południe następnego dnia.

– Chyba powinniśmy trochę pospać – stwierdziła Caroline, całując Samanthę w czoło. – Jutro wielki dzień.

– Mogę dziś spać u ciebie? – spytała.

Caroline w milczeniu zdjęła z łóżka kapę i Samantha wsunęła się pod kołdrę. A potem Caroline leżała obok niej i do rana patrzyła, jak jej córka śpi.

## ROZDZIAŁ 34

# Dzisiaj

Konferencja prasowa zaczęła się dokładnie w południe i była transmitowana przez telewizję na cały świat.

Odbyła się przed głównym komisariatem Departamentu Policji San Diego. Caroline i Hunter siedzieli na składanych krzesłach na zaimprovizowanym podwyższeniu, Samantha między nimi. Naprzeciw siebie mieli ze stu reporterów i fotografów reprezentujących agencje prasowe z całego kraju i z zagranicy. Kamery śledziły każdy ich ruch, mikrofony usiłowały pochwycić każde słowo szepnięte na boku. Agenci FBI w tradycyjnych garniturach stali za ich plecami, wszystkich otaczali umundurowani policjanci, niepozwalający rozentuzjasmowanym operatorom kamer podejść zbyt blisko. Komisarz policji zbliżył się do mikrofonu ustawionego na środku podwyższenia i zanim się odezwał, zaczekał, aż gwar stojącego poniżej tłumu ucichnie.

Caroline wzięła Samanthę za rękę.

– W porządku?

– Chyba mi niedobrze.

– Wiem, jak się czujesz.

– Naprawdę? Wydajesz się taka spokojna.

– Na pozór – powiedziała Caroline. – Nic na to nie poradzę.

Samantha uśmiechnęła się i kilku fotografów natychmiast podskoczyło bliżej, chcąc uchwycić ten moment, a ich aparaty zaterkotały wściekle, niczym klawisze staromodnych maszyn do pisania.

– Proszę się cofnąć o krok – ostrzegł któryś funkcjonariusz.

– Bierz głębokie wdechy – doradziła Caroline i sama nabrała powietrza, a potem powoli je wypuściła, jakby chcąc służyć przykładem.

– Trzymacie się świetnie – zauważył Hunter.

Caroline opuściła wzrok na własne kolana, ukradkowo rozglądając się po zebranych tłumie. Zobaczyła swoją matkę i brata, siedzących w pierwszym z ponad dziesięciu rzędów krzeseł, w każdym po dziesięć miejsc, i wszystkie były zajęte. Obok Mary siedziała żona Huntera Diana i ich dwoje dzieci, a za nimi Peggy i Fletcher.

Jednej osoby w sposób rzucający się w oczy brakowało.

– Gdzie jest Michelle? – spytała Caroline, kiedy Hunter i jego żona przyjechali do niej

do domu tego dnia rano.

– Już jej nie było, kiedy się obudziliśmy – powiedział Hunter całkiem beztrąsko. – Zostawiła karteczkę z informacją, że idzie na siłownię. Napisała, że przyjedzie tu, jak skończy ćwiczyć.

– No cóż, nie przyjechała.

I nie pokazała się do chwili, gdy gotowi byli jechać na komisariat. Caroline zostawiała coraz bardziej pełne niepokoju wiadomości na jej skrzynce głosowej. Michelle na żadną z nich nie odpowiedziała.

W umyśle Caroline z dziesięć różnych myśli walczyło ze sobą: Michelle była o wiele bardziej wytrącona z równowagi, niż to po sobie pokazywała. Wymknęła się z domu Huntera w środku nocy, upiła się, pożyczyła od kogoś znajomego samochód, miała wypadek, policja ją zatrzymała, siedzi w tej chwili w areszcie albo gorzej – leży w jakimś rowie, nieprzytomna i połamana. A może jakiś szaleniec ją wyśledził, zdecydowany dodać własne chore trzy grosze do wiadomości o bezpiecznym powrocie Samantha...

– Nie widzę jej – szepnęła teraz do Huntera.

– Spokojnie – powiedział, chociaż lekki tik nad prawym okiem zdradzał jego własne zatroskanie. – Pewnie po prostu zdecydowała się nie przyjeżdżać.

Do zobaczenia jutro.

Do widzenia, mamó.

„Do widzenia”, nie „do jutra”.

Dokąd ona mogła pójść? Caroline była rozdarta między gniewem a niepokojem. To nie tak, że winiła Michelle za brak chęci wzięcia udziału w tym medialnym cyrku. Sama też wolałaby tu nie być.

Spojrzała w stronę komisarza policji, postawnego człowieka w średnim wieku, w pełnym umundurowaniu. Patrzyła, jak postukał w mikrofon, a potem odchrząknął. Zebrany tłum ucichł. Znów zaczęła zachodzić w głowę, gdzie się podziała Michelle.

– Panie i panowie – zaczął komisarz policji – mam zaszczyt być tu dziś, by udzielić wam niezwykłych informacji. Jak państwo wiedzą, piętnaście lat temu dwuletnia dziewczynka, Samantha Shipley, została wykradziona z łóżka w trakcie rodzinnych wakacji w Rosarito, w Meksyku.

Podczas gdy jej rodzice byli na dole i „balowali z przyjaciółmi”, dodała w duchu Caroline, przypominając sobie dawne nagłówki i wyobrażając sobie te nowe.

– Nie codziennie taka sprawa miewa szczęśliwe zakończenie, o jakie wszyscy się modlimy, ale dzisiaj przypada jeden z takich dni. Z wielką radością mogę państwu donieść, że Samantha Shipley została odnaleziona, cała i zdrowa, i że jest tu teraz z nami.

Przez tłum przebiegł szmer ożywienia. Aparaty klikały szaleńczo, reporterzy poderwali się na nogi, ich podniecone głosy zalały podest zupełnie niczym reakcja nastoletniej widowni na koncercie rockowym.

Komisarz policji uniósł dłonie, prosząc o spokój.

– Jeszcze trochę cierpliwości. Wkrótce odpowiemy na państwa pytania. – Po chwili

zapadła wymuszona cisza. – Testy DNA potwierdziły, że młoda dama siedząca za mną to Samantha Shipley, zaginiona córka Caroline i Huntera Shipleyów.

Potem przedstawił przystojnego i sztywnego Grega Fishera, ubranego w ciemnogrnatowy garnitur i krawat w czerwone i niebieskie paski. Agent opowiedział zebranym w skrócie o piętnastu latach życia Samantha w roli Lili Hollister. Przytoczył wiele z tego, co Caroline powiedziała mu poprzedniego dnia, szczegółowo relacjonując rosnące podejrzenia Lili, że może w istocie być Samantha Shipley, podejrzenia, które skłoniły ją do przyjazdu z Calgary w stanie Alberta do południowej Kalifornii i doprowadziły ją do ponownego połączenia z biologicznymi rodzicami. Przyznał, że do tej pory FBI ma bardzo ograniczoną wiedzę co do sposobu, w jaki odbyło się porwanie.

„Bardzo ograniczona” oznacza tu „żadna”, uznała Caroline. I znów rozejrzała się w tłumie za Michelle. Ale zobaczyła tylko masę zaciekawionych, obcych twarzy.

– Samantha i jej rodzice, Caroline Shipley i Hunter Shipley – ciągnął Fisher, subtelnie dając do zrozumienia, że nie tworzą już jednolitego stada, chociaż nadal noszą to samo nazwisko – uprzejmie zgodzili się przyjść tu dzisiaj i odpowiedzieć na państwa pytania. Przypominam, że nie mają prawnego obowiązku tego czynić i chciałbym prosić, by okazali im państwo w swoich pytaniach maksimum życzliwości i szacunku. – Zwrócił się do siedzących za nim. – Proszę – zachęcił ich do podejścia do mikrofonu.

Caroline, Hunter i Samantha zostali powitani grzmiącymi oklaskami, gdy wstali z krzeseł i zbliżyli się do mikrofonu, mocno ściskając się za ręce.

– Jakie to uczucie teraz, gdy córka wróciła? – zawołał natychmiast jeden z reporterów.

– Samantho, jak to jest być znów w domu? – w tym samym momencie krzyknął inny.

Pytania napływały szybko, nie dając wytchnienia.

– Kiedy po raz pierwszy zaczęłaś podejrzewać, że możesz być Samantha?

– Jak udało ci się skontaktować z Caroline?

– Caroline, jakie były pani pierwsze myśli, kiedy Samantha się z panią skontaktowała?

– Czy wiedziała pani od razu, że to pani córka?

– Wolisz, żeby do ciebie mówić Lili czy Samantha?

– A co z twoją dawną rodziną w Calgary?

– Planujesz zostać w San Diego?

– Caroline, czy rozmawiała pani z Beth Hollister?

– Czy masz zamiar jeszcze się z nią widzieć?

– Co do niej teraz czujesz?

– Chcieliby państwo, żeby trafiła do więzienia?

– Samantho, spójrz w tę stronę!

– Hunter, tutaj. Szeroki uśmiech.

– Możemy prosić o zdjęcie całej obejmującej się trójki?

- Samantha, czy pamiętasz coś z tej nocy, kiedy cię porwano?
- Winisz Caroline i Huntera za to, że zostawili cię tamtej nocy samą?
- Myślicie, że dowiecie się kiedyś, co się stało?
- Caroline, czy pani uważa, że została potraktowana przez prasę niesprawiedliwie?
- Samantha, czy możesz do zdjęcia pocałować matkę?
- Co czujesz w związku z rozwodem rodziców?
- Będziesz mieszkała z matką czy z ojcem?

A potem nagle w tym tłumie rozległ się znajomy baryton.

- Nie widzę drugiej państwa córki. Czy Michelle tu jest?

Caroline natychmiast rozpoznała ten głos: Aidan Wainwright.

Słowo „skurwysyn” już jej się cisnęło na usta, ale poczuła, że Hunter ściska ją za rękę.

– Michelle bardzo sobie ceni swoją prywatność – odparł spokojnie. – Wolą tu nie przyjeżdżać.

– Caroline, w przeszłości opisywała pani swoją starszą córkę jako „trudną” – nie ustępował reporter. – Czy jest nieszczęśliwa z powodu powrotu siostry? Czy to dlatego jej tu nie ma?

Kolejny uścisk ręki, silniejszy niż poprzednio.

– Nie jest nieszczęśliwa – powiedział Hunter. – Jedyne trochę znużona. Jak my wszyscy.

– Skoro już mowa z znużeniu – wtrącił Greg Fisher. – Chyba na dziś skończymy. – Machnięciem dłoni zbył dalsze pytania. – Chcę państwu jeszcze raz przypomnieć, że rodzina Shipleyów zgodziła się na współpracę znacznie wykraczającą poza ich zobowiązania, i prosić o poszanowanie prywatności, jakiej teraz potrzebują i na jaką zasługują. Wszelkie kolejne pytania prosimy kierować do policji albo do FBI. Dziękuję państwu.

– Ja jeszcze mam coś do dodania – powiedziała do mikrofonu Caroline, rozglądając się po zgromadzonym tłumie.

– Oczywiście. – Fisher ustąpił jej miejsca. – Bardzo proszę.

Caroline spojrzała prosto w oczy Aidanowi Wainwrightowi i obdarzyła go swoim najpiękniejszym, najszczerzym uśmiechem.

– Idź się pierdol, skurwysynu.

I wtedy rozpętało się istne szaleństwo.

\*

Wrócili do domu Caroline i zastali z tuzin reporterów na progu.

– Caroline, nieźle mu dawałaś! – zawołała jakaś fotoreporterka. Policja usiłowała odgonić prasę, najpierw apelując do ich poczucia przyzwoitości, a kiedy to nie podziałało, wyznaczając funkcjonariusza na wartę pod drzwiami i grożąc aresztem każdemu, kto postawi stopę na terenie Shipleyów.

– Michelle! – zawołała Caroline, gdy tylko weszła do domu. – Michelle?

– Nie ma jej tu – powiedziała Mary, wchodząc razem ze Steve’em, Peggy i Fletcherem do holu.

– Kurwa – mruknęła Caroline.

– Chyba już dość przekleństw dzisiaj słyszeliśmy, nie sądzisz? – spytał Hunter.

– Jeśli o mnie chodzi – odezwała się Peggy – uważam, że Caroline była fantastyczna.

Znów spróbowali połączyć się z Michelle na komórkę. Przekierowano ich prosto na pocztę głosową. Hunter sprawdził stacjonarny u siebie w domu, ale tam też nikt nie odbierał.

– Może powinniśmy zadzwonić do Grega Fishera? – zasugerowała Caroline.

– Ona pewnie tylko chce pobyć trochę sama – uspokoił ją Hunter. – Moim zdaniem, powinniśmy dać jej jeszcze kilka godzin, zanim sprowadzimy FBI.

– Zaparzę kawy – zaproponowała Peggy. – Ale potem będę chyba musiała wracać do pracy.

Caroline poszła za nią do kuchni.

– Uważasz, że przesadzam?

– Myślę, że jeśli ktoś ma prawo przesadzać, to ty.

– To ironia losu, nie?

– Ale że co?

– Spędziłam ostatnie piętnaście lat, obsesyjnie myśląc o Samancie, zastanawiając się, gdzie jest, czy żyje, czy ją jeszcze kiedyś w ogóle zobaczę. A teraz ją odzyskuję, za to Michelle mi znika.

Czy muszę zniknąć, żebyś mnie pokochała?

– Caroline? – od drzwi odezwał się cichy głos.

Caroline obróciła się w tę stronę.

– Czy to moja wina? – spytała Samantha. – Czy Michelle odeszła przeze mnie?

– Nie, kochanie. Oczywiście, że nie. – Czy Hunter miał rację? Może Micki faktycznie potrzebowała trochę czasu dla siebie, żeby przetrwać wszystko, co się stało. A może w grę wchodziły inne, bardziej złowieszcze powody?

Caroline przysiadła ciężko na kuchennym krześle, z trudem powstrzymując drżenie i usiłując nie wyobrazić sobie najgorszego.

\*

O piątej Michelle nadal nie było.

– Jeśli nie odezwie się do szóstej, dzwonię do Fishera – zapowiedziała Caroline Hunterowi, który kierował się właśnie do drzwi frontowych, wychodząc za żoną i dziećmi.

– Mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne – odparł.

Patrzyła, jak Diana idzie alejką, z niemowlęciem na ręce i małym chłopcem trzymającym mocno jej drugą dłoń.

– Jest urocza – stwierdziła, znów wdychając ten świeży, mydlany zapach Huntera.

Skinął głową.

– Zawsze miałem świetny gust przy wyborze żon.

– Tak. Jesteś bardzo bystrym facetem. – Patrzyła, jak na jego ustach pojawia się uśmiech samozadowolenia. – Więc spróbuj tym razem nie być takim samym idiotą.

Uśmiech Huntera zastygł, potem znikł.

– Chyba powinienem się cieszyć, że nie nazwałaś mnie skurwysynem. – Nachylił się, by cmoknąć ją w policzek. – Zadzwoń do mnie, kiedy Michelle się zamelduje.

– Albo ty do mnie – odparła, wdzięczna, że użył słowa „kiedy”, a nie „jeśli”.

Wróciła do salonu, gdzie Samantha siedziała na sofie wciśnięta między Steve’a i Mary.

– Czy tylko ja jestem głodna? – spytała Mary.

– Chińszczyzna? – zaproponowała Caroline. Dotarło do niej, że nic nie jadła od śniadania. Sięgała już po słuchawkę przenośnego telefonu leżącą na stoliku do kawy, kiedy ta się rozdzwoniła. Numer na wyświetlaczu należał do hospicjum Marigold.

– Halo?

– Ona jest u nas – powiedziała Peggy.

## ROZDZIAŁ 35

# Dzisiaj

– Nie wiem, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej – tłumaczyła Peggy, gdy Caroline wpadła jak z procy przez frontowe drzwi hospicjum dwadzieścia minut później. – Ciągłe zapominam o tej zmianie dyżurów. W poniedziałki i czwartki od czwartej do ósmej. Oczywiście, że musiała się pojawić.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. Trochę tu było ruchu, odkąd wróciłam. Jednej z naszych rezydentek, Kathy, bardzo się pogorszyło. Zdaje się, że przez cały dzień była bardzo niespokojna i wyciszyła się dopiero, kiedy zobaczyła Michelle. Siedzi u niej od tamtej pory non stop. Zadzwoiłam do ciebie, jak tylko się zorientowałam.

– Gdzie ona jest?

– Na górze. Pokój dwieście pięć.

– Mogę tam pójść?

– Naturalnie.

Caroline uściskała przyjaciółkę, a potem wbiegła po schodach po dwa stopnie naraz. Zwolniła, kiedy znalazła się na piętrze, i ostrożnie poszła długim korytarzem, słysząc towarzyszące własnym krokom odgłosy fortepianowej muzyki. Pokój dwieście pięć mieścił się na końcu korytarza, za otwartą kuchnią i jadalnią oraz przestrzenią często nazywaną salonem, gdzie rezydenci i ich rodziny mogli się odprężyć albo pooglądać telewizję. W tej chwili jakaś para w średnim wieku siedziała na krytej ciemnozieloną skórą sofie, pogrążona w cichej rozmowie, a siwowłosa kobieta grała na ustawionym pod oknem pianinie składankę świątecznych kolęd. W rogu pięknie przystrojona choinka wyciągała gałęzie w stronę ciemnych belek wysokiego sklepienia.

Caroline zdała sobie sprawę, że nie była tu od śmierci Becky.

„Chcesz wiedzieć, co myślę?”, usłyszała głos Becky, zbliżając się do zamkniętych drzwi pokoju dwieście pięć. „Myślę, że Samantha żyje. Myślę, że żyje, że jest piękna i szczęśliwa... Myślę, że ten, kto ją porwał, równie desperacko pragnął dziecka, co ja... I że o nią dobrze dba i ją kocha”.

Przynajmniej za to mogę być jej wdzięczna, pomyślała Caroline, żałując, że Becky nie dożyła powrotu całej i zdrowej Samantha.

– Pani w odwiedziny do Kathy? – spytała jakaś młoda kobieta. Miała ciemną karnację



i krótko ostrzyżone, kręcone, pomarańczowe włosy. Plakietka z imieniem przypięta do białego pielęgniarskiego fartucha informowała, że ma na imię Aisha.

Caroline odparła cicho:

– Wiem, że jest u niej Michelle.

– Tak. Kathy nie czuje się dobrze. To już teraz naprawdę kwestia minut.

– Siostró, przepraszam! – powiedziała kobieta, która przedtem siedziała na sofie, a teraz do nich podeszła. – Brat i ja zastanawialiśmy się, czy możemy z panią chwilę porozmawiać o naszym ojcu.

– Przepraszam na moment – Aisha zwróciła się do Caroline.

– Oczywiście. – Stała chwilę w milczeniu, a potem wzięła głęboki oddech i cicho pchnęła drzwi pokoju dwieście pięć.

Michelle siedziała po prawej stronie szpitalnego łóżka, plecami do drzwi, trzymając w dłoni chude jak u szkieletu palce młodej kobiety leżącej na łóżku. Z radia na stoliku obok rozlegała się muzyka klasyczna. Na ścianach, w nierównych odstępach, wisiały poprzyklejane taśmą kartki białego papieru ze słowami „Mam za co być wdzięczna”, wypisanymi ręcznie wielkimi, czarnymi literami.

Mam za co być wdzięczna, powtórzyła w myślach Caroline, postanawiając wyjść, zanim Michelle ją zobaczy. Jej córka była bezpieczna. Tylko tyle potrzebowała wiedzieć.

– Michelle? – zawołał cichy głos.

– Jestem tutaj – odparła. Sięgnęła wolną dłonią i pogładziła czoło chorej.

– Nie zostawisz mnie?

– Nie zostawię cię.

– Boję się.

– Wiem. Jestem tutaj.

Młoda kobieta westchnęła, jej oddech zachrząścił w nieruchomym powietrzu.

– Boli cię?

– Nie.

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie. Tylko mnie nie zostawiaj.

– Nie zostawię. Będę tu cały czas.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Łzy napełniły oczy Caroline, mącąc jej wzrok. Znów spróbowała się wycofać. Znów powstrzymał ją głos Kathy.

– Michelle...

– Tak?

– Jak myślisz, co się dzieje, kiedy człowiek umrze?

– Nie wiem.

– Wierzysz w niebo?

Caroline wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź córki.

– Tak – odparła wreszcie Michelle. – Wierzę.

Caroline uniosła dłonie do ust, by powstrzymać okrzyk, który wyrывał jej się z gardła.

– Myślisz, że ja tam pójde?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nie zawsze bywałam dobrą osobą. Robiłam rzeczy, których Bóg by nie pochwalił.

– Wszyscy robimy takie rzeczy – odparła Michelle. – Właśnie to czyni nas ludźmi, a Boga... Bogiem.

– Jak myślisz, jak tam jest? To znaczy w niebie?

Michelle wzięła długi, głośny wdech, jej ramiona aż uniosły się i opadły z wysiłku. Dopiero po paru sekundach przemówiła.

– Moim zdaniem niebo to takie miejsce, gdzie możemy zacząć wszystko od nowa, a nasze dawne pomyłki zostają zapomniane – zaczęła głosem stopniowo nabierającym siły i pewności. – Myślę, że niebo to takie miejsce, gdzie możesz stać się najlepszą wersją siebie, gdzie stajesz się wszystkim, czym kiedykolwiek pragnęłaś być. – Znów odetchnęła. – Myślę, że niebo to takie miejsce, gdzie marzenia się spełniają.

– Podoba mi się twoje niebo.

– Mnie też.

– Michelle...

– Tak?

– Dziękuję ci.

Michelle skinęła głową.

– Zamknę teraz oczy.

– Dobrze.

– Nie zostawisz mnie?

– Będę tutaj. Obiecuję.

W pokoju zapadła cisza. Po paru minutach Caroline zobaczyła, jak jej córka puszcza dłoń Kathy i podchodzi do czerwonego przycisku na ścianie obok łóżka. Nacisnęła go, a potem znów usiadła na swoim miejscu i wzięła dłoń Kathy w swoją.

– Co się dzieje? – szepnęła pielęgniarka, wychodząc z za pleców Caroline i otwierając drzwi na oścież. Michelle wstała. Jej oczy napotkały spojrzenie Caroline. Aisha podeszła szybko do łóżka Kathy i potwierdziła jej zgon. – Dziękuję ci – powiedziała do Michelle w chwili, gdy do pokoju wchodziła druga pielęgniarka. – Byłaś cudowna. Teraz my się wszystkim zajmujemy.

– Byłaś cudowna – powtórzyła jak echo Caroline, gdy córka wyszła do holu i przymknęła drzwi za sobą. Nadal miała na sobie strój na siłownię.

– Znów podsłuchiwałaś.

– Przepraszam.

– Nie trzeba. Idzie ci to coraz lepiej.

– To było piękne, co jej powiedziałaś.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Wiesz, zupełnie w to nie wierzę. W te rzeczy, które mówiłam o niebie.

Caroline uśmiechnęła się.

– Nie szkodzi.

– Powiedziałam jej tylko to, co chciała usłyszeć.

– Nieważne. Jestem z ciebie dumna.

Michelle pokręciła głową.

– Nie bądź. – Odwróciła się i poszła szybko korytarzem, minęła wielki salon, kuchnię i jadalnię, doszła do klatki schodowej.

– Michelle, zaczekaj – zawołała Caroline ponad dźwiękami pianina, które snuły się za nimi w dół schodów na parter, do głównej recepcji ośrodka. Nagle obie kobiety przystanąły, bo na chwilę zbił je z tropu widok twarzy Caroline na telewizyjnym ekranie nad kominkiem. Choć dźwięk był wyłączony, słowa, jakimi poczęstowała Aidana Wainwrighta, dało się zrozumieć, jakby wymówiła je głośno i wyraźnie.

– Zdaje się, że tę godność w postępowaniu na chwilę trafił szlag – stwierdziła Michelle z szerokim uśmiechem.

Caroline też się uśmiechnęła.

– Muszę przyznać, że cudownie się poczułam. Ulżyło mi.

Recepcjonistka-wolontariuszka, drobniutka młoda kobieta, której zabawna fryzura nieco łagodziła poważny wyraz twarzy, spojrzała na Caroline, potem w telewizor, a potem znów na Caroline i wreszcie zaczerwieniła się mocno i wsadziła nos w czytaną właśnie książkę.

– Dlaczego cię tam nie było?

– Przepraszam – powiedziała. – Planowałam przyjechać. Serio.

– Gdzie byłaś? Dzwoniłam i dzwoniłam.

– Poszłam na siłownię, trochę poćwiczyłam. Miałam szczerzy zamiar wrócić do domu i przebrać się, a potem jechać z wami na konferencję prasową, Ale sama nie wiem, jakoś ruszyłam przed siebie, i tak szłam i szłam. Trafiłam do Balboa Park. Przypomniałam sobie, jak mówiłaś, że kiedyś ciągle tam chodziłaś... W każdym razie siedziałam na jednej z ławek i próbowałam poukładać sobie w głowie różne rzeczy. Wydawało mi się, że nadal mam mnóstwo czasu. Kiedy wreszcie sprawdziłam godzinę, dochodziło już południe. Wiedziałam, że nie zdążę do domu, żeby się przebrać i dojechać do komisariatu na dwunastą, więc nawet nie próbowałam. Może przez cały czas miałam podświadomie taki plan. Nie wiem. Zamiast tego poszłam do baru i oglądałam to w telewizji.

Caroline nie zdołała powstrzymać niepokoju.

– Poszłaś do baru?

– Nie martw się. Wypiłam tylko colę.

– Wypiłaś colę? – powtórzyła Caroline, jeszcze bardziej zdumiona. Kiedy ostatni raz Michelle wypiła jakiś gazowany napój?

– I zjadłam całą miseczkę orzeszków ziemnych. Boże... jestem taka wredna.

– Jesteś wredna, bo zjadłaś miseczkę orzeszków?

– Nie o to mi chodziło.

– I tak nie jesteś wredna.

– Nie poszłam na konferencję...

– Co w sumie wyszło tylko na dobre...

– Nie odbierałam telefonu. Wiedziałam, że dzwonisz, ale pozwoliłam, żeby połączenia trafiały na skrzynkę głosową.

– To nieważne.

– To jest ważne. Mogłam chociaż zadzwonić.

– No dobrze. Powinnaś zadzwonić. Co było nieco nierozważne, ale raczej nie wredne.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem, że dziewczyna, którą właśnie obserwowałam, gdy pocieszała tę biedną kobietę na górze, może mieć różne cechy, a nawet bywać trudna, ale na pewno nie jest wredna.

– Jestem taka głupia...

– Nie jesteś wredna i głupia też nie jesteś. – Caroline obróciła się w stronę recepcjonistki. – Czy mogłaby pani zostawić nas tu na chwilę same, bardzo proszę?

Wolontariuszka natychmiast zerwała się z krzesła, głęboko odetchnęła z ulgą i wyszła.

– Nie jesteś głupia – powtórzyła Caroline.

– To wszystko moja wina.

– Ale niby co?

– Wszystko.

– Jak możesz być wszystkiemu winna?

– Byłam zazdrosna i mściwa...

– Po prostu byłaś opiekuńcza. Jakaś dziewczyna nagle dzwoni, oświadcza, że jest Samantha. Miałaś prawo do podejrzeń.

– Chciałam, żeby zniknęła.

– To całkowicie naturalne. Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaisz...

– Ja nie mówię o tym co teraz – powiedziała Michelle.

Caroline poczuła, że jej ciało drętwieje. Przeniosła wzrok z Michelle na telewizyjny ekran i zobaczyła na nim siebie sztywno wyprostowaną przed mikrofonem, tuż przed tym słownym wybuchem. „Matka obrzuca przekleństwami reportera”, przewinął się napis u dołu ekranu.

– Nie rozumiem. Co też ty mówisz?

Dziewczyna usiadła na pierwszym z czterech tu ustawionych miękko wyściełanych foteli.

– Mówię o tym, że piętnaście lat temu chciałam, żeby zniknęła.

Zabrział brzęczyk, sygnalizując, że ktoś stoi przed frontowymi drzwiami i chce wejść do środka.

Caroline poczuła, że w jej piersi wzbiera panika.

– Co masz na myśli?

Brzęczyk znów się rozległ.

– Ktoś jest pod drzwiami – powiedziała Michelle. – Musimy go wpuścić. – Podeszła do dużego czerwonego przycisku na ścianie obok biurka recepcjonistki i nacisnęła go, przytrzymując, aż zamek po drugiej stronie drzwi się zwolnił. Do przeszklonego holu weszła jakaś para. Michelle otworzyła wewnętrzne drzwi do recepcji. – Proszę się wpisać do książki – poleciała, a goście posłuchali jej bez uwag, po czym ruszyli w głąb wewnętrznego korytarza.

– O czym ty mówisz? – spytała Caroline, gdy tylko zniknęli. – Nie mogłaś mieć nic wspólnego ze zniknięciem Samantha.

– Nie cierpiałam jej – przyznała z oczami pełnymi łez. – Była taka śliczna i idealna. Nigdy nie płakała. Nigdy nie robiła niczego złego. Ile razy na nią patrzyłaś, miałaś taką rozmarzoną minę. Jakbyś nie mogła się na nią napatrzeć. Pamiętam, że chciałam, żebyś tak na mnie spojrzała, i myślałam, jak by to było miło, gdyby ona zniknęła...

– Byłaś dzieckiem. Życzenie, by zniknęła, nie dawało ci mocy sprawczej, aby się to faktycznie stało. Nie możesz siebie obwiniać...

– Ty nie rozumiesz. – Michelle pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

– No to mi wytłumacz. Co mi tutaj umyka?

– Ja nie spałam.

Caroline oparła się tyłem o biurko jak uderzona.

– Co?

– Tej nocy, kiedy zabrali Samantha. Ja nie spałam.

– Nie spałaś? – powtórzyła Caroline, usiłując umysłem nadążyć za własnymi słowami.

– Wiesz, co się stało? Widziałaś, kto ją zabrał?

Głos Michelle zrobił się bardzo wysoki, jakby znów miała pięć lat.

– Nie pamiętam, dlaczego nie spałam. Czy przyśniło mi się coś złego, czy też usłyszałam, że drzwi się otwierają, i to mnie zbudziło. Pamiętam tylko, że leżałam w łóżku i słyszałam, że ktoś się porusza w pokoju obok, i trochę się wystraszyłam, bo skądś wiedziałam, że to nie ty. A oni weszli do pokoju i wtedy zamknęłam oczy, i udawałam, że śpię. Poczulałam, że ktoś mija moje łóżko i leciutko rozchyliłam powieki, tak tylko odrobinę, i zobaczyłam, że wyjmują Samantha z łóżeczka i wkładają ją do takiej jakiejś podróźnej torby. A potem znów zacisnęłam powieki i trzymałam oczy zamknięte, nawet kiedy usłyszałam, że drzwi się zamykają. Słyszałam muzykę dobiegającą z restauracji na dole, śmiech ludzi. Czekałam, czy przyniosą Samantha z powrotem. Nie rozumiałam, co się działo. Aż w końcu zasnęłam. I obudziłam się, jak krzyczałaś.

Caroline usiłowała zrozumieć, co słyszy.

– Widziałaś, jak ktoś zabierał Samantha? Dlaczego nam nie powiedziałaś? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Powiedziałam.

– Jak to powiedziałaś?

– Nie tobie. Ty byłaś kompletnie rozhisteryzowana. Tak samo tata. Wrzeszczał. Wszyscy biegali jak oparzeni, wykrzykując, że Samantha zaginęła, a potem przyjechała

policja i pełno było jakichś ludzi. Twoi przyjaciele tam byli i wujek Steve, i Becky, i pracownicy hotelu. Wszyscy mówili naraz. Bałam się. Nic nie rozumiałam. I... I...

Recepcjonistka nagle znów się pojawiła, otworzyła szklane drzwi i wychyliła zza nich głowę ruchem żółwia ostrożnie wyglądającego ze skorupy.

– Proszę odejść – powiedziała Caroline, nawet nie patrząc w jej stronę.

Kobieta natychmiast się cofnęła.

– A potem przyjechała babcia Mary i zabrała mnie do domu – ciągnęła Michelle, nie czekając na żadne pytania.

– Powiedziałaś jej – stwierdziła Caroline głosem pozbawionym wyrazu. – Powiedziałaś swojej babce, co widziałaś.

– Twierdziła, że to był tylko sen, a ja jestem w szoku po tym, co się stało, i że myli mi się wyobrażenia z rzeczywistością. Że nie powinnam tego mówić, bo to tylko jeszcze bardziej wszystkich zdenerwuje. Czas mijał. Co mogę powiedzieć? Byłam dzieckiem. W głębi ducha trochę się cieszyłam, że Samantha zniknęła. Już nie było tej słodkiej małej dziewczynki, nad którą wszyscy się wytrząsali. Tylko ja. Gdzieś w tej mojej małej, pokręconej, pięcioletniej głowie przekonałam samą siebie, że babcia Mary ma rację, że wydawało mi się, że coś widzę, ale to był tylko sen, historia, jaką sobie stworzyłam już po fakcie, że to, co zobaczyłam, wcale w rzeczywistości się nie zdarzyło. W jakimś momencie chyba po prostu to wszystko całkiem wyparłam. Aż do wczoraj.

– A co się stało wczoraj?

– Te wszystkie wspomnienia wróciły. To, co tamtego wieczoru widziałam, co słyszałam. To nie był żaden sen. – Michelle wbiła spojrzenie w matkę. – Ja wiem, co zaszło tamtego wieczoru, mamusi – powiedziała, posługując się zdrobnieniem, jakiego nie używała, odkąd była małą dziewczynką. – Wiem, kto zabrał Samanthę.

## ROZDZIAŁ 36

# Dzisiaj

Było po siódmej wieczorem, kiedy przyjechały do domu. Większość ostatniej godziny przepłakały. W głowach im się kręciło od wysiłków zrozumienia odkryć tego wieczoru, ale teraz umysły im się rozjaśniły, a oczy wyschły. Ważne było, by zachować spokój, by opanować furję.

– Jesteś gotowa? – spytała Caroline, wyłączając silnik i obracając się w stronę dziewczyny siedzącej obok.

Michelle pokiwała głową.

Uspokajająco uściśnęła dłoń córki. A potem obie, matka i córka, otworzyły drzwi samochodu i wyszły z garażu. Przecięły starannie utrzymany trawnik, zmierzając pod frontowe drzwi domu. Na podjeździe stał wóz policyjny, pilnując, by tych paru reporterów, którzy jeszcze się tam kręcili, trzymało się na odpowiednią odległość. Parę domów dalej stało zaparkowane BMW Huntera, tuż za starszym modelem buicka Steve'a.

– Tata przyjechał całkiem szybko.

Caroline skinęła głową. Zadzwoiła do niego z samochodu i kazała mu wziąć dupę w troki i pojawić się tutaj jak najszybciej zdoła.

– Mam wziąć dupę w troki...? – wyjąkał, kiedy już się rozłączała.

– Caroline! – zawołał do niej jakiś reporter. – Masz czas na parę pytań?

– Coś chciałybyś dodać do tego, co powiedziałaś wcześniej? – zawołał inny, gdy otwierała frontowe drzwi i wchodziła do domu.

Obróciła się w ich stronę.

– Bądźcie w pogotowiu.

– Mają być w pogotowiu? – Stojący w holu Hunter powtórzył jak papuga. – Czy ja dobrze słyszałem, że kazałaś reporterom być w pogotowiu?

– Zaufaj mi – odparła Caroline. – To się okaże warte trzymania ręki na pulsie.

– Wróciłaś – odezwała się Samantha, dołączając do nich w holu. Na jej twarzy wyraźnie malowała się ulga, spowodowana ich bezpiecznym powrotem.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – powiedziała Michelle i pociągnęła nosem. – Co tu tak ładnie pachnie?

– Babcia Mary zamówiła chińszczyznę. Mnóstwo zostało, jeśli macie ochotę.

– Psiakrew.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, co się dzieje? – poprosił Hunter.

– Za parę minut. – Caroline weszła do salonu. Zauważyła pootwierane kartonowe pudełka z chińskim jedzeniem i liczne puste butelki po piwie stojące na stoliku do kawy. – Jak tylko wszyscy się tu zjawią.

– A kto jeszcze ma się zjawić? – spytał.

– Zaprosiłam parę osób – wyjaśniła. – Pomyślałam, że trzeba to wszystko uczcić.

– No cóż, szkoda, że nie zadzwoniłaś, żeby mnie uprzedzić – odezwała się Mary z sofy, gdzie balansowała talerzem jedzenia na kolanach, walcząc z parą pałeczek. – Zrobiłabym większe zamówienie.

– Nic nie szkodzi. Chyba nikomu nie będzie się chciało za bardzo jeść.

– A więc? – odezwał się Steve do Michelle, wychylając się ze swojego fotela, żeby nałożyć sobie na talerz dokładkę makaronu. – Słyszałem, że byłaś w hospicjum. Podobno ludzie się zabijają, żeby tam trafić.

Michelle zeszywniała.

– Przepraszam. Pewnie ciągle to słyszysz – dodał ze śmiechem.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć to miejsce – powiedziała Samantha. – Może któregoś dnia mogłabym z tobą pojechać?

– Jasne.

– Naprawdę będziemy rozmawiać o głupstwach? – spytał ostro Hunter. – Czy po to gnałem tutaj jak wariat? Co się tu dzieje, u diabła?

– Przepraszam – powiedziała Caroline. – To już nie potrwa długo.

– Na kogo czekamy?

Trzasnęły drzwi jakiegoś samochodu, Hunter wyjrzał przez okno.

– Gnałem dla Peggy i Fletchera?

– Pomyślałam, że zasługują, żeby tu być. – Caroline podeszła do drzwi i zaprosiła ich do środka.

– Witajcie – odezwała się Mary. – Poczęstujcie się chińszczyzną.

– Nie, dziękuję – powiedziała Peggy, rozglądając się niepewnie po salonie.

– Ja też dziękuję – odezwał się Fletcher.

– Może piwo? – Steve uniósł świeżo otwartą butelkę. – Z jakiegoś powodu zaczynam mieć wrażenie, że odrobina alkoholu dobrze nam robi. – Kiedy Peggy i Fletcher odmówili, sam pociągnął spory łyk.

– To już wszyscy? – spytał Hunter.

– Niezupełnie.

– Na litość boską, kto jeszcze ma przyjść?

Jak na dany sygnał, kolejny samochód przystanął pod domem.

– Nie ruszajcie się stąd – poleciła Caroline, poszła do frontowych drzwi i parę chwil później wróciła, a za nią weszła ostatnia para gości. – Chyba większość osób tu znacie – powiedziała.

– To chyba jakieś żarty – szepnął Hunter.



– No patrzcie, kogo my tu mamy! – ucieszył się Steve, odstawiając zarówno butelkę, jak i talerz, i podnosząc się z fotela.

– Czy ja tych państwa znam? – spytała Mary.

– Chyba nigdy się nie poznaliście – odparła Caroline. – Mamo, pozwól, że ci przedstawię Jerroda i Rain Boltonów. Byli z nami w Meksyku. Zdaje się, że wyjechali, zanim ty tam przyjechałaś.

– Miło mi panią poznać – powiedział Jerrod i nawet udało mu się zabrzmieć szczerze. Uśmiechnął się nerwowo do gospodyni.

– No i, oczywiście, pamiętacie Peggy i Fletchera. – Caroline uśmiechnęła się do Rain, ubranej w dzinsy i jasnofioletowy sweter. Obie części ubrania były na nią parę rozmiarów za małe. Włosy nadal spływały jej na ramiona długimi, jasnymi pasmami, zupełnie jakby wybierała się na casting do programu *Real Housewives*. Ale mimo liftingu, który nadał jej kiedyś ślicznej twarzy niemal nieruchomy wyraz, dyskomfort kobiety był wyraźnie widoczny. W oczach miała panikę, której żadna ilość botoksu nie zdołałaby zatuszować.

– Pewnie nie poznajecie Michelle – odezwała się Caroline.

– O mój Boże – westchnął Jerrod. – Mała Michelle.

– Ależ ty wyrosłaś – dodała Rain.

– Tak bywa – stwierdziła dziewczyna.

– A to jest Samantha.

– Samantha, mój Boże – wzruszył się Jerrod. – Widziałem cię w telewizji dzisiaj po południu. Oczom nie mogłem uwierzyć.

Rain długo, głęboko westchnęła, ale nic nie powiedziała.

– Słyszałem, że jesteście w separacji – odezwał się Hunter.

– Istotnie. Częściowo dzięki tobie – stwierdził Jerrod z szerokim uśmiechem. – Ale kiedy FBI sugeruje spotkanie po latach, trudno jest odmówić. Zwłaszcza kiedy przysyłają samochód.

– FBI?

– Czyli ja – powiedział Greg Fisher, wchodząc do salonu z holu, gdzie czekał na ten moment.

– Co on tutaj robi? – zainteresował się Steve.

– Wspominał, że chciałby przy tym być, kiedy zostanie ujawniona prawda o tym, co się stało tamtego wieczoru, gdy zniknęła Samantha. Pomyślałam, że trzeba by to życzenie spełnić.

– O czym ty mówisz? – dociekał Hunter. – Nie wiem, co się tam wtedy stało.

– Pamiętasz coś? – Steve spytał Samanthę.

– Bardzo was wszystkich proszę – wtrąciła Caroline. – Usiądźcie.

Rain przycupnęła na sofie obok Mary, Peggy i Fletchera. Jerrod pomógł Gregowi przynieść parę krzeseł z jadalni. Steve znów zasiadł w fotelu, na którym siedział już wcześniej, a Hunter zajął drugi. Samantha usadowiła się na szerokim podłokietniku obok ojca. Tylko Caroline i Michelle nadal stały.

– Ja nadal nie rozumiem, co Jerrod i ja tu robimy – stwierdziła Rain.

– Pomyślałam, że to może pomóc odtworzyć wydarzenia tamtego wieczoru – wyjaśniła.

– Ale w jaki sposób to mogłoby pomóc? – zapytał Steve.

– Moim zdaniem powinniśmy zacząć od krótkiego podsumowania wydarzeń tamtego tygodnia – ciągnęła Caroline. – Po prostu, żeby sobie odświeżyć pamięć. Upewnić się, że zgadzamy się co do podstawowych faktów. Żebyśmy dobrze zrozumieli, jak to się wszystko rozegrało.

– Jak co się rozegrało? – chciał wiedzieć Fletcher.

– Porwanie Samantha.

Na moment zapadło milczenie.

– To jakiś absurd – rzucił Steve.

– Wszyscy przyjechaliście do Rosarito przed nami – zaczęła Caroline, ignorując uwagę brata. – Pamiętam, że bardzo się zdziwiłam na wasz widok. Trochę byłam rozczarowana, jeśli mam być szczerą. Liczyłam, że spędzę więcej czasu sam na sam z Hunterem i nieco, uczciwie mówiąc, zaszokował mnie jego dobór towarzystwa. Mogłam zrozumieć Peggy i Fletchera. Peggy była moją przyjaciółką od wieków. Ale Jerrod i Rain, no cóż, zbyt bliskimi znajomymi nie byliśmy. Oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, Rain, że sypiałaś wtedy z moim mężem...

– Serio? Czy to jest konieczne? – Rain zerknęła na Huntera, który starannie unikał jej wzroku.

– A jeśli chodzi o ciebie i Becky – ciągnęła Caroline, spoglądając na brata – cóż, jak sobie przypominam, Hunter powiedział mi, że cała niespodzianka była twoim pomysłem, że właściwie sam się wprosiłeś na ten wyjazd. Chociaż Becky i ja już od jakiegoś czasu nie miałyśmy bliskiego kontaktu.

– Zawsze była o ciebie zazdrosna – wtrąciła Mary.

– Mamo, proszę cię – powiedział Steve. – Ta biedna kobieta nie żyje. Możemy pozwolić jej spoczywać w spokoju?

– Nie – odparła Caroline. – Obawiam się, że tego zrobić nie możemy.

Kolejna chwila ciszy.

– Co też ty mówisz? – spytał Steve.

– Że nasza matka ma rację. Becky była o mnie zazdrosna. Nienawidziła mnie za to pozornie stabilne małżeństwo, za łatwość rodzenia dzieci, za moje rzekomo idealne życie. A kiedy zdarzyła się sposobność...

– Myślisz, że to ona porwała Samanthę? – przerwała Peggy. – Jak to możliwe? Jak mogła to przeprowadzić?

– Zastanówmy się. Zgubiłam w tamtym tygodniu dwie karty do pokoju. Zakładałam, że gdzieś je posiałam, albo że mi wypadły z torebki, ale równie dobrze Becky mogła zabrać mi przynajmniej jedną z nich. Miała po temu mnóstwo okazji. Była z nami przez cały czas. I nie zapominaj, że to jakaś kobieta zadzwoniła i odwołała opiekunkę tamtego wieczoru, gdy zaginęła Samantha.

– To szaleństwo – zaprotestował Steve. – To są jakieś nieuzasadnione przypuszczenia. Nie masz żadnego dowodu, że Becky zabrała twoją kartę albo odwołała opiekunkę. Szczerze mówiąc, zdumiewają mnie luki w twojej logice. Uczysz matematyki. Gdzie twój dowód?

– Mam wystarczający dowód, że Becky była w to zamieszana – stwierdziła Caroline.

– A jaki to niby dowód możesz mieć? – Spojrzał z niedowierzaniem na Samanthę. –

Chcesz powiedzieć, że coś sobie przypomniałaś?

– Nie Samantha – odezwała się Michelle. – Ja.

– Ty?

– Widziałam Becky.

– Widziałaś ją? Kiedy? Gdzie?

– W naszym apartamencie. W mojej sypialni. Widziałam, jak wyjęła Samanthę z łóżeczka.

W pokoju rozległy się zbiorowe głośne westchnienia.

– Jak mogłaś cokolwiek widzieć? – zdziwiła się Rain. – Przecież spałaś.

– Nie spałam.

– Nie spałaś? – spytał Hunter ledwo słyszalnym głosem.

– Widziałam wszystko.

– To bez sensu – zaprotestował Steve. – To było piętnaście lat temu. Byłaś dzieckiem.

Było ciemno. Nawet jeśli nie spałaś, kto wie, co naprawdę zobaczyłaś?

– Ja wiem, co widziałam.

– I przez piętnaście lat siedziałaś cicho?

Michelle popatrzyła na babkę. Ta wbiła wzrok w podłogę.

– Wyparłam to...

– Wyparłaś? Szalenie wygodne.

– Steve...

– Na litość boską, Caroline. Żeby zrobić coś takiego, Becky musiałaby ciebie nie tylko nie lubić. Musiałaby cię nienawidzić. Przecież odwiedzałaś ją w hospicjum. Naprawdę sądzisz, że była zdolna zrobić to, o co ją oskarżasz?

– Nie sądzę, że mnie nienawidziła. Ale sądzę, że była zdesperowana i prawdopodobnie mocno zastraszona.

– Zdesperowana czym? Czym zastraszona?

– W hospicjum cały czas przepraszała – kontynuowała Caroline, ignorując pytania Steve'a. – Mówiła mi, jak jej przykro. Zakładałam, że chodziło jej o oziębienie naszych stosunków, o to, że nie było jej przy mnie po Meksyku. Ale teraz rozumiem, że ona mówiła o swoim udziale w tym porwaniu.

– Swoim udziale w... Co ty...? – Steve podniósł się z miejsca, a potem ponownie usiadł. Uniósł dłonie w górę. – Czy ty sama siebie słyszysz? Czy ty masz pojęcie, co wygadujesz?

– Wiem dobrze, co mówię.

– Że twoja była szwagierka, moja była żona porwała twoją córkę? Że szczerze w to

wierzysz?

– Ona wiedziała, że Samantha nie porwał żaden zboczeniec. Wiedziała, że ona żyje. Powiedziała mi coś takiego, powiedziała, że jest pewna, że Samantha jest u ludzi, którzy ją kochają... Sądziłam, że po prostu próbuje dać mi trochę nadziei. Ale teraz wiem, że próbowała powiedzieć mi prawdę.

– Prawdę? Ona miała raka mózgu. Przez większość czasu nie wiedziała, co mówi.

– A o resztę tego czasu sam zadbałeś, nieprawdaż?

Kolejna cisza. Kolejny zbiorowy wdech.

– Słucham?

– Pilnowałeś, żeby była naćpana, siedziałeś cały czas przy jej łóżku. Zawsze myślałam, że to dziwne. Ta twoja nagła zmiana postępowania po powrocie Becky do miasta. Kiedy byliście małżeństwem, tak źle siebie nawzajem traktowaliście. Po rozwodzie nawet ze sobą nie rozmawialiście. Kiedy myślę o tych wszystkich wstrętnych rzeczach, które o niej mówiłeś... A potem ona zachorowała na raka mózgu, wraca do San Diego i melduje się w hospicjum Peggy. I dzwoni akurat do ciebie. Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiła, moim zdaniem?

– Ależ oczywiście – powiedział Steve. – Oświeć mnie.

– Myślę, że chciała zrzucić z serca to, co się stało, i chciała cię najpierw ostrzec. Powiedziała mi, że była ci to winna.

– Ale dlaczego miałyby mnie ostrzegać?

– Bo to ty byłeś z Becky. Bo porwanie mojej córki to był twój pomysł.

– O Boże – szepnęła Peggy wśród osłupiałej ciszy, która nagle zapadła.

– Teraz oskarżasz mnie? – Steve zerwał się na nogi. – Wiesz co? Ja mam dość tego szajsu...

– Proszę usiąść – odezwał się Greg Fisher tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To jakiś absurd – wyjąkała Mary.

– Ty wiedziałaś – stwierdziła Caroline, obracając się gwałtownie w jej stronę.

– Co? Nic podobnego, nie wiedziałam.

– Michelle mówiła ci, co zobaczyła.

– Pięcioletnie dziecko opowiedziało mi, co mu się przyśniło – oświadczyła Mary z takim przekonaniem, że niewiele brakowało, żeby Caroline jej uwierzyła. – Nie mogła się w tym wszystkim połapać. Była rozhisteryzowana. Twój brat absolutnie nie mógł mieć nic wspólnego z tym, co zaszło tamtego wieczoru. Wtedy w to nie uwierzyłam i z całą pewnością nie wierzę i teraz.

– To był wujek Steve, babciu, ja go widziałam.

– Wyobraziłaś to sobie.

– Nie.

– To niedorzeczne. Dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

– Mogę tylko zgadywać – odparła Caroline. – Potrzebował pieniędzy. Czy nie do tego zwykle prowadzą się takie rzeczy? On nałogowo grał. Becky straciła pracę. Potrzebował gotówki.

– Oszalałaś – oburzył się Steve. – Rynek nieruchomości przeżywał w tamtych dniach boom. Zarabiałem fortunę na prowizjach.

– I równie prędko ją przegrywałeś. Co się stało, Steve? Postawiłeś na złego konia? Byłeś winny kasę nie tym ludziom, co trzeba? Grozili ci? Zaproponowałeś im coś na wymianę? Ostatecznie przekonałeś Becky, żeby z tobą współpracowała, bo w przeciwnym razie mogła stać się celem dla mafii?

– Celem dla mafii? – Zaśmiał się Steve. – Chyba naoglądałaś się za dużo telewizji.

– Moim zdaniem planowałeś to już od jakiegoś czasu, grałeś na zwłokę i czekałeś na odpowiedni moment.

– A ja uważam, że zapominasz o jednym drobiazgu – zaproponował Steve, obracając się wkoło bezradnie, zupełnie jakby apelował do pozostałych o nieco więcej rozsądku. – Byłem z wami, kiedy zabrano Samanthę.

– Nie – odparła Caroline, kręcąc głową. – Nie było cię.

– Owszem, był – wtrąciła Rain. – Wszyscy siedzieliśmy razem. Poza Becky. Ona wróciła do pokoju z bólem głowy.

– A potem ty poszłaś sprawdzić, co u dzieci – powiedziała Peggy do Caroline.

– A kiedy wróciłam, ciebie nie było – Caroline przypomniała bratu.

– Poszedłem do nas do pokoju przekonać Becky, żeby wróciła na imprezę. Wy wszyscy... Wiecie przecież, że to nie był mój pomysł, żeby po nią iść, ale wszyscy na to napieraliście...

– Tak, graliśmy dokładnie tak, jak nam rozdawałeś karty, prawda? Tyle że ty nie wróciłeś do swojego pokoju, bo wiedziałeś, że Becky w nim nie ma. Czekala na ciebie na dole, w lobby czy gdzie tam się umówiliście. Wystarczyło tylko odczekać, aż ja sprawdzę dzieci i wyjdę.

– Chronologia ci się kompletnie myli – upierał się Steve. – Zapominasz, że byłem z wami, kiedy Hunter wrócił po zajrzeniu do dzieci o dziewiątej trzydzieści.

– Tyle że on wcale do nich wtedy nie zaglądał – stwierdziła Caroline.

– Zgadza się – oświadczył Jerrod. – Bo był zajęty pieprzeniem mojej żony.

– Musisz wiecznie o tym truć? – spytała Rain.

– Widziałeś Huntera na korytarzu – przypomniała bratu Caroline. – Sam mi to powiedziałeś. Zdawałeś sobie sprawę, że on nie zajrzał do dzieci.

– Co dowodzi jedynie tego, że Hunter to kłamca, a nie, że ja jestem porywaczem.

– Co dowodzi, że oboje mieliście czas i możliwość, żeby porwać Samanthę.

– Twierdzisz więc, że Becky i ja wykradliśmy Samanthę z łóżeczka, a potem... co? Co dokładnie z nią zrobiliśmy?

– Włożyliście ją do takiej podróżnej torby – powiedziała Michelle. – Przyniósł ją jakiś mężczyzna. Stał w drzwiach. Nie widziałam jego twarzy. Zamknął torbę i wyszedł.

– Zwariowałaś.

– Wszystko poszło dokładnie zgodnie z planem. A nawet w sumie lepiej – ciągnęła Caroline. – Myśleliście, że macie pół godziny na porwanie Samanthy i wywiezienie jej za granicę. Okazało się, że mieliście dwa razy więcej czasu.

– Skąd miałbym wiedzieć na pewno, że zostawisz dzieci same?

– Nie wiedziałeś. Ale znałeś Huntera. Wiedziałeś, że przygotował na tamten wieczór specjalną niespodziankę, bo ta niespodzianka to znów był twój autorski pomysł. Wiedziałeś, że prawdopodobnie zdoła mnie przekonać.

– Mnóstwo tu tych „prawdopodobnie”. Znów gdzie twój dowód?

– Chodź do wujka Steve’a – powiedziała cichym głosem Michelle.

– Co?

– Powiedziałeś tak, kiedy ciocia Becky wyjęła Samanthę z łóżeczka i podała ci ją. Powiedziałeś: „Chodź do wujka Steve’a”. Tak samo powiedziałeś do niej wczoraj. To wtedy wszystko do mnie wróciło. To wtedy upewniłam się, że to byłeś ty.

W pokoju zaległa cisza.

Steve zerknął szybko na Grega Fishera.

– To są jakieś niczym nie poparte spekulacje. Na pewno nie wierzy pan w te bzdury. Nie mają nic...

– Mają naoczego świadka – odparł Fisher, uśmiechając się do Michelle. – Dla mnie brzmiało to całkiem wiarygodnie. – Sięgnął do kieszeni po komórkę, wybrał jakiś numer, a potem cicho coś powiedział. – Na zewnątrz czekają agenci – zwrócił się do Steve’a, biorąc go za łokieć i prowadząc do drzwi wyjściowych. – Być może będzie pan chciał skontaktować się z adwokatem.

– Przecież go nie aresztujecie? – zaprotestowała Mary, wychodząc za nimi przed dom.

Pozostali siedzieli na swoich miejscach jak przykuci, niezdolni do wykonania żadnego ruchu, ledwie oddychając.

– Co tu się właściwie stało? – spytał Jerrod, usłyszawszy trzask frontowych drzwi.

Caroline ciężko przysiadła na podłodze obok choinki. Jej spojrzenie wędrowało od Huntera do Peggy i Fletchera, od Jerroda do Rain. Ich osłupiałe twarze wyrażały próbę zrozumienia tego wszystkiego, co przed chwilą usłyszeli. Michelle i Samantha przysiadły po obu stronach matki i ujęły ją mocno za ręce.

– Czy ja wam mówiłam, że Jerrod załatwił nam bilety na *Taniec z diabłem*? – Usłyszała pytanie Rain, ten głos sprzed piętnastu lat, przenoszący ją teraz w przeszłość.

Zamknęła oczy i obserwowała pod powiekami wydarzenia tamtego wieczoru jak film, który już raz kiedyś widziała. Tylko że tym razem sama odgrywała wszystkie role.

## ROZDZIAŁ 37

# Piętnaście lat temu

– Czy ja wam mówiłam, że Jerrod załatwił nam bilety na *Taniec z diabłem*?

– A co to jest? – spytała Caroline, zerkając ukradkiem w stronę swojego apartamentu, a potem na zegarek. Odłożyła widelec i odsunęła to, co zostało z jej kolacyjnego homara, czyli większość. Była zbyt niespokojna, by jeść. Już niemal dochodziła pora, aby zajrzeć do dzieci.

– Nic im nie było, kiedy sprawdzałem pół godziny temu – szepnął Hunter. – Teraz też nic im nie jest. Dokończ posiłek.

– *Taniec z diabłem*? To przecież najmodniejszy show na Broadwayu. Nie sposób zdobyć bilety, zwłaszcza na weekend Święta Dziękczynienia. Ale mojemu supermanowi jakoś się udało. – Objęła męża za ramiona zaborczym gestem, ukradkiem uśmiechając się do Huntera.

– A więc spędzicie Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku – skomentowała Becky. – Szczęściarze.

Rain uśmiechnęła się.

– A wy jakie macie plany?

– Moja matka zawsze organizuje obiad na Święto Dziękczynienia u siebie – odparł Steve, dostarczając Becky idealnego wstępu i zastanawiając się, czy ona na to pójdzie. Przez cały dzień wahała się i groziła, że nie zrealizuje ich zamiarów.

– Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo już się tego nie mogę doczekać – powiedziała Becky, zgodnie z oczekiwaniem Steve’a. Wiedziała, o jaką stawkę toczyła się gra, że mężczyźni, z którymi miał do czynienia jej mąż, to nie były typy, które podejść życzliwie do nagłej zmiany zdania. Jeden z nich był już tu w Rosarito, przyleciał wcześniej tego samego dnia prywatnym samolotem i dokładnie w tej chwili czekał cierpliwie w lobby ze specjalną torbą podróżną, którą przywiózł z zamiarem ukrycia w niej Samantha.

„Tym ludziom nie następuje się na odcisk”, ostrzegł ją Steve.

I tak nadal nie była pewna, czy zdoła się na to zdobyć. Niezależnie jak się starała wytłumaczyć sobie to, co zamierzali zrobić, nieważne, ile razy wmawiała sobie, że nie ma wyboru, że lekkomyślna skłonność Steve’a do hazardu zagroziła spokojnemu życiu ich obojga, ile razy by sobie tłumaczyła, że Caroline upora się z utratą dziecka – przecież

nadal będzie miała jedną zdrową dziewczynkę, zawsze może jeszcze raz zająć w ciążę, Samantha trafi do kochającego domu, Caroline przyda się zimny prysznic realizmu w tej jej idealnej, bajkowej egzystencji – nie wiedziała, czy będzie w stanie zadać podobny ból kobiecie, która kiedyś była jej tak bliska.

No ale jaki miała wybór?

Steve spojrział na nią ostro, milcząco ostrzegając, żeby nie przedobrzyła. Ważne było, żeby stworzyć sytuację powoli i stopniowo ją rozbudować. Ich sprzeczka miała zabrzmieć dokładnie tak, jak inne ich niekończące się spory.

– Nie zaczynaj.

– Przestań patrzeć na zegarek – rzucił Hunter do Caroline. Sam też zerknął na swój, czując lekkie mrowienie w kroczu na myśl o czekającej go schadzce z Rain. Niemal natychmiast zaczęło mu towarzyszyć niemiłe poczucie winy. Nie za sam romans. Od lat miewał takie niezobowiązujące, nic nieznaczące, przelotne romanse. Ten nie różnił się niczym, poza tym dodatkowym smaczkiem, że rozgrywał się niemal na oczach jego żony. To jednak była ich rocznica ślubu, na litość boską. Zdaje się, że winien był to Caroline, by akurat dzisiaj wieczorem jej nie zdradzać. Mimo to ona sama bez wahania odwołałaby tę kolację, a teraz większość wieczoru spędzała, zamartwiając się o dzieci. To one były dla niej najważniejsze, nie on.

– Wiecie, co moja ukochana teściowa powiedziała do mnie w ostatnie Święto Dziękczynienia? – odezwała się Becky, zaczynając wczuwać się w rolę. Przynajmniej miała okazję dać upust złości. – Dopiero co wróciła z jakiegoś pogrzebu, a ja popełniłam błąd i spytałam ją, jak było, na co ona odparła, i to jest dokładny cytat: „Było uroczno. Jej córka wybrała przesłiczną trumnę. O wiele ładniejszą niż ta, którą kupiłaś dla swojej matki”.

Steve najeżył się, choć to był tylko teatr. Naprawdę musiała znowu do tego wracać?

– Ależ ona nic podobnego nie powiedziała! – zaprotestował.

– Dokładnie to powiedziała.

– Przesadzasz. Jak zwykle.

– A ty jej bronisz. Jak zwykle.

– No dobrze, to za co dziś odczuwamy wdzięczność? – przerwała im Peggy, obawiając się, że kłótnia z rozpędu wymknie im się spod kontroli. Przecież to była rocznica ślubu jej najlepszej przyjaciółki. Czy Steve i Becky nie mogli wytrzymać chociaż jednego wieczoru bez awantur? – Dawajcie. Trzy rzeczy, pomijając zdrowie, rodzinę i przyjaciół. Że za to jesteście wdzięczni, po prostu założymy z góry.

– Nigdy nie należy nic zakładać z góry – odparła Becky. O Boże, czy ja faktycznie zdołam to zrobić?

– Och, ale fajnie. – Rain klasnęła w dłonie. – Mogę zacząć?

Peggy dała do zrozumienia, że ma scenę dla siebie, nagle zadowolona z jej obecności. Będąc zazwyczaj pozytywnie nastawioną osobą, zawsze starającą się znaleźć coś wartego podziwu w każdym, Peggy przez cały tydzień zmagiała się z własnymi odczuciami na temat Rain, odczuciami, które wahały się od lekkiego rozbawienia, przez



z trudem hamowaną niecierpliwość, po wyraźną niechęć. Prawda wyglądała tak, że po prostu Rain nie ufała. Było w niej coś oślizgłego, jak w tych jej komplementach, które zawsze zawierały jakieś żądełko. „Żarty, ale na serio”, mawiała o takich odzywkach jej matka. Mimo to dobrze było wiedzieć, że da się na Rain w niektórych sprawach polegać. Na przykład, że rzuci się na każdą okazję, która pozwoli jej mówić o sobie.

– No cóż, po pierwsze, oczywiście, cieszę się, że spędzimy Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku, a nie na jakimś okropnym rodzinnym spędzie, nikogo z obecnych nie urażając. Po drugie, czuję wdzięczność za ten nowy naszyjnik kupiony mi przez Jerroda. A po trzecie, jestem wdzięczna za to, że w mojej rodzinie kobiety nie siwieją. Twoja kolej – uśmiechnęła się do Caroline.

– Ja jestem wdzięczna za ten miniony tydzień – stwierdziła Caroline. – Jestem wdzięczna za to, że mogę uczcić dziesięć lat względnego małżeńskiego szczęścia.

– Jak to względnego? – spytał Hunter. Czy to miała być szpila?

– Wypiję za względnosc – powiedział Jerrod, unosząc kieliszek z szampanem w toaście i myśląc, że będzie to cud, jeśli on i Rain dotrważą do dziesiątej rocznicy ślubu. Podejrzewał, że ona już zaczyna się nudzić. Stąd to Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku. Stąd drogi naszyjnik z diamentami na jej szyi.

– No, dalej – Peggy ponagliła przyjaciółkę. – Jeszcze jedna rzecz, za którą jesteś wdzięczna.

– Jestem wdzięczna za ten ocean.

– Poważnie? – spytała Rain.

No właśnie, w punkt, pomyślał Steve. Ocean? Dokładnie z czymś równie ckliwym wypaliłby ojciec. Ależ był z niego nieudacznik.

– Ja jestem wdzięczny za to, że rynek nieruchomości w San Diego stoi tak mocno. (Nie żeby aż tak mocno, kurwa mać. Nigdy wystarczająco mocno). Cieszę się, że udało mi się przekonać Huntera, żeby nam pozwolił dołączyć do was w tym przepięknym Rosarito i razem obchodzić waszą rocznicę. (Nie mogę się doczekać, aż się stąd wyniesiemy w cholere). I jestem szczególnie wdzięczny losowi za to, że moja matka jest taką świetną kucharką. – Spojrzał znacząco na siedzącą po drugiej stronie stołu żonę. Piłka po twojej stronie.

– Ależ ty pieprzysz od rzeczy. – Becky zareagowała jak należało.

– A co, nasza matka nie jest świetną kucharką?

– Nasza matka istotnie gotuje znakomicie – zgodziła się Caroline. – A ty pieprzysz całkiem od rzeczy.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Ależ ty jesteś zadufana w sobie, pomyślał Steve. Zobaczymy, jak zadowolona z siebie będziesz pod koniec tego wieczoru.

Becky dostrzegła błysk gniewu w piwnych oczach Steve’a niczym nagle pojawiającą się błyskawicę. Zawsze z pogardą odnosił się do starszej siostry, umniejszał jej osiągnięcia i jej dobrze poukładane życie, ale dopiero niedawno Becky zrozumiała, jak głęboko sięgała ta niechęć.

Od zawsze był pupilkiem ich matki, całe życie mu wmawiano, że jest niezwykły, że wystarczy, by się uśmiechnął tym zabójczym uśmiechem, a świat będzie miał u stóp. Tyle że nie do końca tak wyszło. Urok osobisty pozwalał mu odnosić sukcesy tylko do momentu, od którego ludzie zaczęli oczekiwać od niego jeszcze czegoś więcej. Chcieli zobaczyć, co kryje się za tym zabójczym uśmiechem i nieodmiennie odkrywali z rozczarowaniem, że niewiele tam było. Nie udawało mu się nic, czego się tknął, pewnie dlatego, że nigdy za bardzo się nie wysiłał. W sumie w tym swoim ostatnim wcieleniu agenta nieruchomości, w chwili gdy koniunktura była tak korzystna, że wystarczyło pojawić się w pracy, by zainkasować sześciocyfrową prowizję, jemu nawet i tego nie chciało się robić. Wkrótce chętni do sprzedaży domów przenieśli się do konkurencji, kupujący też gdzie indziej ich szukali. Prowizje stopniały. Te drobniaki, które udało mu się zarobić, przegrywał w karty. Matka zawsze go ratowała z opresji, ale nawet i ona tym razem nie mogła mu pomóc. Byli zadłużeni po czubek nosa. Wszystkim byli winni pieniądze, ludziom, którzy chętnie by mu starli z twarzy ten zabójczy uśmieszek.

A tu siedziała Caroline, jego piękna, nudna siostra, nauczycielka matematyki w szkole średniej, na litość boską! Spokojnie zajmująca się własnymi sprawami i najwyraźniej znająca odpowiedź na wszelkie życiowe pytania. Jak to się, do diabła, stało?

Becky potarła czoło. Zaczynała ją boleć głowa. Często jej się to ostatnio zdarzało. Pewnie ze stresu spowodowanego nieudanym małżeństwem, połączonego z ostatnim niepokojem w związku z tym, co zamierzali zrobić. Czy ona naprawdę zdoła zrealizować ten plan? Czy rzeczywiście może stać się częścią czegoś tak ewidentnie złego?

– Twoja kolej, Becky – zarządziła Rain.

– Przepraszam was wszystkich. Całe popołudnie okropnie bolała mnie głowa i teraz robi się jeszcze gorzej. – Łzy przymgliły jej spojrzenie, nie próbowała ich nawet specjalnie ukrywać czy ocierać. – Wybaczcie. – Odsunęła krzesło od stołu i wstała.

– Och, siadajże – powiedział Steve. – Nic ci nie jest. Nie rób z siebie takiej primadonny.

– Wal się. – Becky odwróciła się i zamaszystym krokiem odeszła.

Nieźle rozegrane, Becky, pomyślał Steve, patrząc na oddalającą się żonę. Niepotrzebnie się martwił. Może jednak wcale nie są aż tak źle dobraną parą.

Zanim doszła do lobby, jej łzy zdążyły wyschnąć. Przystanąła za sporą dekoracją kwiatową, która stanowiła idealny punkt obserwacyjny. Teraz pozostało jej tylko czekać.

– Nie powinieneś za nią pójść? – Fletcher zapytał Steve’a.

– Co? Myślisz, że odbiło mi tak samo jak jej?

– Powinnam zajrzeć do dzieci – odezwała się Caroline.

Hunter wstał i cmoknął ją w policzek.

– Wracaj szybko.

– Och, ale gołąbeczki – westchnęła Rain. Niedobrze mi się robi od tego, pomyślała.

Caroline wręcz z przyjemnością odeszła od stołu. Świętowanie tej rocznicy ślubu jakoś mało było świąteczne. Rain działała jej na nerwy, a Hunter zdawał się roztargniony. Poza tym niepokoiła się nie tylko o dziewczynki, ale i o brata i jego żonę. To zdecydowanie nie był dobry znak, że nie krępowali się już kłótni w miejscach publicznych. Wątpiła, by ich małżeństwo dotrwało do końca roku.

Poszła do wind, nieświadoma, że Becky obserwuje ją zza wielkiej kompozycji kolorowych, świeżych kwiatów. Pojechała na szóste piętro i przeszła szybko korytarzem, w wyobraźni słysząc płacz dzieci za dzielącymi ją od nich ścianami. Ale kiedy otworzyła drzwi apartamentu, usłyszała tylko uspokajającą ciszę. Szybko zajrzała do dziewczynek i przekonała się, że mocno śpią w swoich łóżkach. Hunter miał rację, pomyślała. Niepotrzebnie się denerwowała.

– Naprawdę uważacie, że powinienem za nią pójść? – spytał Steve wkrótce po odejściu siostry. Nie mógł wstać od stołu zbyt wcześnie, ale nie mógł też zwlekać zbyt długo. Czas miał kluczowe znaczenie, jeśli miało im się to wszystko powieść.

– Ja bym na twoim miejscu poszedł – powiedział Hunter.

– Przypomnij jej, że powinniśmy świętować – dodała Peggy.

– Powiedz po prostu, że przepraszasz, i będziemy to mieli z głowy – doradził Jerrod. – Pamiętaj, szczęśliwa żona to szczęśliwy żywot.

– Dobra. – Steve odsunął krzesło od stołu i wstał. – Zrobię to dla was. – Wszedł do lobby, gdzie skinął głową najpierw Becky, a potem łysiejącemu mężczyźnie w swobodnym stroju, siedzącemu na uboczu w dużym wiklinowym fotelu. Mężczyzna przeglądał jakąś broszurę, a u jego stóp leżała duża torba podróżna.

Co u licha zatrzymało Caroline tak długo? – zastanawiała się Becky, bo czas się włókł, a szwagierka nadal nie wracała. Przecież wystarczyło tylko zajrzeć do dziewczynek i wyjść. No, chyba że jedna z nich się obudziła, a wtedy cały ich plan brał w łeb. Co zrobią w takiej sytuacji?

Co ona tam robi tak długo, do cholery? – myślał Steve, udając, że korzysta z telefonu, ale zerkając w stronę pobliskich wind. Czuł, że oczy łysiejącego mężczyzny wypalają mu dziurę wielkości naboju do rewolweru w plecach beżowej lnianej koszuli. Jeśli potrwa to za długo, Hunter się zaniepokoi i sam też pójdzie na górę. A wtedy co zrobią?

Dokładnie w tym momencie drzwi windy otworzyły się i wyszła z niej Caroline. Patrzyła wprost przed siebie, idąc przez lobby w kierunku restauracji. Jak tylko zniknęła mu z oczu, Steve ruszył do windy, a Becky i łysiejący facet bez pośpiechu poszli za nim. Becky wsiadła do pierwszej windy. Steve i łysiejący facet do sąsiedniej. Jedno po drugim przechodzili korytarzem szóstego piętra. Becky pierwsza podeszła do apartamentu. Wyjęła kartę, którą w tygodniu zwinęła z torebki Caroline, i otworzyła drzwi.

W salonie było ciemno i Becky o mały włos nie potknęła się o stół do kawy.

– Psiakrew – mruknęła.

– Cii – szepnął Steve, unosząc palce do ust ostrzegawczym gestem.

Sam się ucisz, pomyślała Becky i weszła za mężem do sypialni dziewczynek.

Człowiek z podrózną torbą czekał przy jej drzwiach.

Becky szybko podeszła do łóżeczka i z ulgą dostrzegła, że Michelle całkiem szczelnie owinięta była kołdrą, a Samantha spała spokojnie na plecach. Sięgnęła i ostrożnie wzięła dwulatkę na ręce, tuląc jej główkę pod brodą. Samantha coś cicho zagruchała, ale nie obudziła się. Jest taka miękka, taka słodka, pomyślała Becky, z wahaniem kołysząc się nad łóżeczkiem. Jeszcze nie jest za późno. Nadal mogła z powrotem położyć w nim dziecko i nikt niczego by się nie dowiedział.

W tym momencie dobiegł ją chrapliwy szept męża.

– Chodź do wujka Steve’a – powiedział, wyjmując Samanthę z ramion żony, i szybko zaniósł ją mężczyźnie czekającemu pod drzwiami sypialni. Włożył dziecko do torby i patrzył, jak mężczyzna tę torbę zamyka, a potem szybko przechodzi korytarzem.

Całe przedsięwzięcie zajęło im raptem pięć minut.

– O Boże – szepnęła Becky. – Co myśmy zrobili?

– Zamknij się – rzucił Steve. – Już po wszystkim.

Odczekali jeszcze kilka minut i upewniwszy się, że ten człowiek zdążył już opuścić teren hotelu, wyszli z apartamentu, osobnymi windami zjechali na parter do lobby, a potem wrócili do swojego pokoju w sąsiednim skrzydle.

– Co robimy teraz? – spytała Becky, siadając na łóżku. Głowa potwornie ją bolała.

Steve zerknął na zegarek. Wkrótce z kolei Hunter miał zajrzeć do dzieci. A potem rozpęta się piekło.

\*

– Powinienem zajrzeć do dzieci, zanim przyniosą deser – oznajmił Hunter.

– A mnie potrzebny jest szal – stwierdziła Rain, poklepując się po dekolcie. – Dziewczynki mi marzną.

Caroline patrzyła, jak mąż i Rain po wyjściu z restauracji ruszają każde w swoją stronę.

Tyle że, oczywiście, nie poszli każde do siebie. Hunter zawrócił i spotkał się z Rain przy windach obsługujących jej skrzydło hotelu. Do dzieci planował zajrzeć potem, zakładając, że wystarczy mu czasu. Jeśli nie, trudno. Przecież cały wieczór chodzili do nich co pół godziny. I po co? Nic im się nie stanie. Już dziś po południu zostawił Samanthę samą na dwadzieścia minut, kiedy drzemała, i zupełnie nic jej się nie stało. Oczywiście, nie powiedział o tym nikomu. Przecież nie mógł, skoro był wtedy z Rain. Na szczęście, zdążył wziąć prysznic, zanim żona wróciła. Poza tym była przesadna i nadopiekuńcza. Jeśli nie będzie uważać, zamieni się we własną matkę. Wiedział, że jest niesprawiedliwy, kiedy tak o niej myślał. Caroline w niczym swojej matki nie przypominała. Ale poczuł się dzięki temu lepiej, nieco mniej doskwierało mu poczucie winy, kiedy myślał o niej źle, kiedy udawał, że jego zdrada przynajmniej częściowo jest przez nią.

– Chodź no tutaj – powiedziała Rain, gdy tylko drzwi windy się zamknęły. Jej dłonie

natychmiast znalazły się przy zamku jego spodni.

– Hej – zaprotestował Hunter, zadowolony, że w windach nie ma kamer. Ani nigdzie w całym hotelu. Tym łatwiej gdzieś się zakraść niepostrzeżenie. – Musimy być ostrożni. Co jeśli wpadniemy na Steve’a albo Becky? – Tym swoim nagłym i niespodziewanym odejściem od stołu faktycznie pomieszało im szyki.

– A niech się pieprzą – roześmiała się Rain. – Coś wymyślimy. Cały wieczór czekam, aż dostanę cię w swoje ręce. Nie zamierzam czekać dłużej.

Hunter niemal zaśmiał się, słysząc niecierpliwość w jej głosie, i ze wstydem zorientował się, jak bardzo go to podnieciło.

Zanim doszli do jej pokoju, już mu prawie zdjęła marynarkę.

– Ależ ty jesteś seksowny – powiedziała, ściągając mu spodnie i osuwając się przed nim na kolana.

Wolałby, żeby już zamilkła. To cały jej problem, myślał, kiedy miała już go wziąć do ust. O wiele za dużo gada.

– Chodź do mamusi – powiedziała.

A potem, dzięki Bogu, umilkła.

\*

– Nie rozumiem – powiedział Steve, patrząc na zegar obok ich łóżka. – Hunter powinien do tej pory odkryć już zniknięcie Samantha.

– Może i odkrył.

– Nie. Usłyszelibyśmy coś. Schodzę z powrotem na dół.

– Co? Nie.

– Muszę. To będzie dziwnie wyglądało, jeśli nie zejdem. Idziesz ze mną?

– Zwariowałeś?

– Dobra. Powiem im, że próbowałem namówić cię do powrotu, ale nie chciałaś posłuchać głosu rozsądku.

– Naprawdę kupa łajna z ciebie.

– A ty jesteś wisienką na tym torcie. – Otworzył drzwi.

Zobaczył Huntera szybko oddalającego się korytarzem.

– O rany!

– Co?

– Jestem całkiem pewien, że przed chwilą widziałem Huntera.

– Jak to? To niemożliwe. Co on by tutaj robił?

– Też się nad tym zastanawiam.

– Chyba nie sądzisz, że...

– Myślę, że właśnie sobie kupiliśmy kolejne trzydzieści minut.

\*

– Patrzcie, kogo znalazłam w holu – powiedziała Rain, owijając się szalem, kiedy wróciła do stołu razem ze Steve’em.

– Miałem już wysłać misję poszukiwawczą – odezwał się jej mąż.

– Zapomniałam, że zdążyłam spakować to cholerstwo. Musiałam rozpakować całą walizkę, zanim go znalazłam.

Kłamczucho, nos ci się wydłuża, pomyślał Steve. Uśmiechnął się do Huntera.

Czemu on się do mnie tak uśmiecha, u diabła? – zdziwił się Hunter.

– Dobrze ci tak za to, że jesteś taka zorganizowana – powiedziała Peggy. – Ja nawet nie zaczęłam się jeszcze pakować.

– Widzę, że nie udało ci się namówić Becky do zejścia na dół – odezwała się Caroline do brata.

Steve wzruszył ramionami, odsuwając od stołu swoje krzesło.

– Kobiety – zwrócił się w stronę obecnych mężczyzn. – Życ się z nimi nie da, a zastrzelić nie wolno.

– Ładne rzeczy wygadujesz – stwierdziła Caroline.

Kelnerzy wrócili i zaczęli przygotowywać naleśniki.

– Dzieci w porządku? – Steve spytał Huntera.

– W porządku.

## ROZDZIAŁ 38

# Dzisiaj

Dobra, może nie dokładnie tak to przebiegło, pomyślała Caroline, obserwując po raz kolejny ten odtwarzany w myślach film. Może nigdy do końca nie pozna konkretnej sekwencji wydarzeń tamtego wieczoru ani intonacji, z jaką wymówiono każde słowo. Może nigdy nie zyska dostępu do rzeczywistych myśli wszystkich uczestników wydarzeń ani do poplątanych intencji za tymi myślami skrywanymi. Ale to było bez znaczenia. Wiedziała tyle, ile trzeba.

– Nic ci nie jest? – spytała ją Samantha.

Caroline zaprzeczyła ruchem głowy, skupiając uwagę na pięknej młodej dziewczynie klęczącej tuż przed nią.

– Jesteś pewna?

Caroline rozejrzała się po pustym w tej chwili salonie, próbując przypomnieć sobie, kiedy wszyscy stąd wyszli. Talerze, z resztkami zamówionej chińszczyzny i puste butelki po piwie zostały uprzątnięte, chociaż w powietrzu unosiła się jeszcze mieszanka ich zapachów.

– Która godzina?

– Prawie północ. Nawet reporterzy pojechali już do domu.

Caroline uśmiechnęła się.

– Gdzie jest Michelle?

– Szykuje się do spania. Ty też powinnaś się położyć.

– Tak zrobię. – Westchnęła. – A jak ty się trzymasz?

– Nieźle. To był ciekawy wieczór.

– A i owszem.

Mój własny brat, myślała Caroline. Już wystarczająco ohydne było to, że jej szwagierka była w stanie zrobić coś podobnego, ale własny brat? Czy naprawdę aż tak jej nienawidził?

Albo gorzej, nic go nie obchodziła?

Jerrod i Rain wyszli niemal natychmiast po tym, jak Greg Fisher odprowadził Steve'a do czekającego policyjnego wozu. Mary pojechała za nimi na komisariat buickiem Steve'a.

– No to podwózki już nie mamy – stwierdziła Rain.

Peggy tylko pokręciła głową.

– Przynajmniej jest konsekwentna. Musicie jej to przyznać. – Spojrzała na Huntera. –

A ty jesteś idiotą – dodała.

– Kłócił się z tym nie będę – ustąpił Hunter. – Caroline, przepraszam – powtórzył jeszcze raz.

– To nie była twoja wina – stwierdziła Caroline. – Okazuje się, że nawet gdybyś nie był z Rain, nawet gdybyś faktycznie zajrzał do dziewczynek, to było już za późno. Samantha już tam nie było.

– Dzięki Bogu choć i za to – dodał, obracając się w stronę utraconej kiedyś córki. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie musisz mówić – odparła Samantha.

– Mam nadzieję, że dasz mi szansę jakoś to wynagrodzić.

Pokiwała głową, pozwoliła mu się wziąć w ramiona.

Pocałował ją w czoło.

– Zadzwoń do ciebie jutro.

– Dobrze.

Przed wyjściem Peggy i Fletcher pomogli Michelle posprzątać.

– Spróbuj trochę pospać – doradziła Peggy. – Jutro rozpęta się kolejny medialny cyrk.

Miała rację, Caroline to wiedziała. Aresztowanie brata oznaczało kolejne pytania, kolejne nagłówki, jeszcze więcej publicznej uwagi. Nie miała nic przeciwko temu. Po piętnastu latach praktyki wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Zadzwoił telefon.

– Kto dzwoni o tej porze? – zainteresowała się Samantha, gdy matka sięgała do słuchawki.

– Cześć, mam – powiedziała Caroline, nawet nie sprawdzwszy na wyświetlaczu identyfikatora rozmówcy.

– Jak mogłaś? – zaatakowała ostro Mary.

– Jak ja mogłam?!

– Aresztowali go. Oskarżyli o porwanie. Wiedziałaś, że w przypadku porwania nie obowiązują przepisy o przedawnieniu? Że to jest przestępstwo federalne? Może resztę życia spędzić w więzieniu.

– Czyli mniej, niż zasłużył.

– Musisz do nich jechać, przekonać ich, że to wszystko jakaś tragiczna pomyłka. Michelle nie ma pojęcia, co wygaduje. Nie wie, co widziała.

– Wie dokładnie, co mówi. Wie dokładnie, co widziała.

– Nawet jeśli to była prawda, a ja nie twierdzę, że jest, to wszystko przecież wydarzyło się tak dawno temu, kochanie. Piętnaście lat!

– A niechby i pięćdziesiąt, nic mnie to nie obchodzi!

– Rozumiem, że jesteś zła. Naprawdę rozumiem. Ale co zyskasz, wtrącając brata do więzienia? Samantha jest w domu. Ty odzyskałaś swoje dziecko. Proszę, nie odbieraj mi mojego.



Caroline ledwie wierzyła własnym uszom. Nawet z ust jej matki za dużo było tego dobrego.

– Mamo, on nie jest dzieckiem. To dorosły mężczyzna, który popełnił niewyobrażalny czyn...

– Był zdesperowany. Jeśli był zamieszany w sprawy mafii, jak sugerowałaś, to oni by go zabili. Może ciebie też. Nie wiedział, jak inaczej wybrnąć.

– Sugerujesz, że on to zrobił, żeby mnie ochronić? Że nie miał innego wyjścia, jak porwać moje dziecko?

– Mówię tylko, że nie wiedział, co mógłby zrobić. Kochanie, on jest słaby. Zawsze był słaby. Nie tak jak ty. Ty jesteś taka silna. Zawsze byłaś tak pewna swego. Jest właściwa odpowiedź i zła odpowiedź, to zawsze było twoje motto.

– A właściwa odpowiedź w tym przypadku to byłoby pozwolić, żeby mu uszło na sucho?

– Kochanie, to, co się stało, jest tragedią. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale sprawa doczekała się szczęśliwego zakończenia. Właściwą rzeczą byłoby teraz puścić wszystko w niepamięć i żyć dalej.

– Nie sądzę, że bym mogła to zrobić.

– No to pomyśl o tym okropnym rozgłosie, o upokorzeniu w sądzie...

Caroline niemal się roześmiała.

– Zapewniam cię, upokorzeniami już się nie przejmuję.

– Błagam cię, nie rób tego.

– Prosisz o zbyt wiele.

Gniewna cisza, a po niej niski głos jej matki, niemal charkot.

– Nigdy go nie skazą – powiedziała. – Słowo Michelle przeciw jego słowu. Słowo popieprzonej, paskudnej młodej kobiety, która robi wszystko, żeby zyskać nieco uwagi...

– Do widzenia, mamo.

– Pomyśl tylko, co robisz. To twój brat, na litość boską.

– Nie – odparła Caroline. – Już nie. Ale to zdecydowanie twój syn.

A potem nacisnęła przycisk rozłączający rozmowę.

\*

Kanały newsowe pełne były rozgorączkowanych doniesień o aresztowaniu brata Caroline. Zerkiała na nie z łóżka, stale przerzucając ze stacji na stację, jakby z którejś mogła się dowiedzieć czegoś, czego jeszcze nie wiedziała. Samantha wyszła z łazienki, a potem wśliznęła się do łóżka obok niej, zerkając na telewizyjny ekran pokazujący Grega Fishera wyprowadzającego Steve'a z domu do oczekującego radiowozu.

– Myślisz, że zostanie skazany?

– Nie mam pojęcia.

– Może dojdzie do jakiejś ugody.

– Może.

– Myślisz, że Beth wiedziała?

– Nie wiem – odparła Caroline uczciwie. – Ale jestem pewna, że FBI będzie chciało jeszcze raz z nią porozmawiać. Przynajmniej mogłaby nam powiedzieć więcej o tych ludziach, z którymi zadawał się jej mąż. – Otuliła siebie i Samanthę pościelą. – Chcesz do niej zadzwonić?

– Nie.

– Możesz, jeśli masz ochotę.

– Nie chcę z nią już nigdy więcej rozmawiać. Nienawidzę jej.

– Nie, nieprawda. Kochasz ją. I to jest w porządku.

– Jak mogę ją kochać, jeśli mnie okłamywała przez piętnaście lat?

– Bo po prostu kochasz – powiedziała Caroline. – Bo przez piętnaście lat tylko taką matkę znałaś. Bo cię kochała i opiekowała się tobą. I cokolwiek innego zrobiła, niezależnie ile wiedziała czy nie wiedziała, ja jej zawsze za to będę wdzięczna.

Samantha przytuliła się do boku Caroline.

– Może kiedyś do niej zadzwonię. Nie wiem.

– Nie musisz żadnej decyzji podejmować dziś wieczorem.

– Dziwnie będzie nie spędzić świąt z braćmi.

– No cóż, może kiedyś będą mogli nas odwiedzić. – Caroline uniosła wzrok i zobaczyła stojącą w drzwiach Michelle.

– Czy to prywatna impreza? – spytała starsza córka.

– Jak najbardziej – odparła z uśmiechem Caroline. – Tylko dla matek i córek.

Michelle podeszła do łóżka z niewielką papierową torebką w dłoni. Wręczyła ją matce.

– Co to jest?

– Na choinkę. Kupiłam dziś rano. Kiedy wyszłam się przejść. Chciałam kupić gwiazdę albo śnieżny płatek, ale zostały im tylko aniołki. Nie żebym w te rzeczy wierzyła. Po prostu nie mieli już nic innego.

– Śliczny jest – pochwaliła Caroline, wyjmując z torebki błyszczącego, białego plastikowego aniołka. Położyła go na nocnym stoliku obok łóżka. – Możesz umieścić go na drzewku rano. – Wyłączyła telewizor, poprawiła kołdrę i gestem ręki zaprosiła Michelle do łóżka. – Wskakuj. Śpij dzisiaj tutaj. Mamy mnóstwo miejsca.

– Nie, nie trzeba.

– Proszę – powiedziały Caroline i Samantha jednym głosem.

Michelle zawahała się. Ale tylko na moment.

– No dobra. Ale ostrzegam was – dodała, kładąc się na łóżku obok matki – ja się strasznie wiercę.

– Jeśli chodzi o mnie, możesz nawet tańczyć.

– Niewykluczone, że tak będzie. – Michelle namacała wyłącznik lampy i zgasiła światło, a potem wtuliła się plecami w bok Caroline.

– Dobranoc, Micki – powiedziała, całując córkę w szczyt ramienia.

- W sumie tak naprawdę wolę chyba Michelle.
- Dobranoc, Michelle – powiedziała Samantha natychmiast.
- Dobranoc, Samantho.

Caroline uśmiechnęła się, gdy poczuła dłoń młodszej na swojej talii. W jakimś momencie pewnie przyda się im trochę rodzinnej psychoterapii, ale poradzą sobie z tym później. Na razie chciała tylko nacieszyć się chwilą, leżeć w łóżku i słuchać, jak bicie serc córek tworzy kłamrę wokół jej własnego. Oczy napełniły jej się łzami i pociągnęła nosem.

- Chyba nie zamierzasz znów zmoczyć całej poduszki, co? – odezwała się Michelle.
  - Niewykluczone, że tak będzie. – Caroline powtórzyła jej wcześniejsze słowa.
  - Dobra, ale spróbuj ograniczyć hałasy do minimum. Okej?
  - Postaram się.
  - Dobranoc, mamusiu – powiedziała Michelle.
  - Dobranoc, mamusiu – zawtórowała Samantha.
- Łzy wdzięczności spływały po policzkach Caroline.
- Dobranoc moje piękne, piękne dziewczynki.

# Podziękowania

Można by pomyśleć, że kiedyś mi się znudzi powtarzanie tego samego. A jednak się nie znudziło.

Jak zawsze wielki dług wdzięczności mam wobec wspaniałych przyjaciół, Larry'ego Mirkina i Beverley Slopen, którzy czytają każdy szkic wszystkich moich tekstów, komentują go i oceniają, a potem większość tych propozycji trafia w ten czy w inny sposób do ostatecznej wersji. Chcę też podziękować za wszystko mojemu mężowi Warrenowi i córce Shannon. Nigdy nie jest rzeczą łatwą akceptowanie krytyki ze strony własnej rodziny, ale albo złagodniałam, albo oni się w tym zakresie wyrobili. W każdym razie biorę ich spostrzeżenia pod uwagę i ta powieść tylko na tym zyskała. Dziękuję również mojej wspaniałej agentce, Tracy Fisher z WME Entertainment, która niezmiernie i genialnie mnie wspiera, a poza tym jest dobrym i rzetelnym krytykiem, oraz jej byłemu asystentowi Jamesowi Munro i jej obecnej asystentce Alli Dyer za całą ich ciężką pracę na rzecz mojej książki. Jest jeszcze też moja znakomita redaktorka, Linda Marrow, która potrafi rzucić okiem na dostarczony przeze mnie materiał i natychmiast wyłapać wszystkie te miejsca, które wymagają szczególnej uwagi. Co równie ważne, umie mi wyjaśnić dlaczego. Doceniam również Dana Isaacsona za jego staranność i skrupulatność oraz sugestie zmian, a także Elanę Seplow-Jolley za cierpliwość i wyteżoną pracę. Dziękuję też Steve'owi Messinie, redaktorowi prowadzącemu, za świetnie wykonaną robotę.

Lindsey Kennedy i Allison Schuster, pracującym w dziale promocji i marketingu, chcę podziękować za wysiłki przy wprowadzeniu mojej książki na rynek. A Scottowi Bielowi za świetny projekt okładki. Jesteście niesamowici.

Szczególne podziękowania należą się wszystkim osobom z Penguin Random House w Kanadzie, chociaż naprawdę wolałabym, żeby po tej niedawnej fuzji firma przyjęła nazwę Random Penguin, po prostu dlatego, że budzi ona tak żywe skojarzenia. Dziękuję Bradowi Martinowi, Kristin Cochrane, Adrii Iwasutiak, Val Gow, Constance McKenzie, Marcie Leonard, Amy Black, Erin Kelly i wszystkim osobom związanym z publikacją mojej książki za ciągłe wsparcie i świetnie wykonaną pracę. Mieliście swoją wizję sukcesu moich powieści i ona się ziściła, za to jestem wam ogromnie wdzięczna. Wdzięczna jestem również Nicie Pronovost. Chociaż już nie pracuje w PRH, czułam, jakby mnie prowadziła za rękę, kiedy poprawiałam i skraciałam tekst, pozbawiając go bezużytecznych szczegółów i powtórzeń. Życzę jej wszelkiej pomyślności na nowym stanowisku.

Serdeczne podziękowania dla Corinne Assayag z World Exposure, firmy założonej przez nią, kiedy jeszcze studiowała prawo, a która odniosła taki sukces, że nigdy w efekcie prawniczą praktyką się nie zajęła. Ostatnio zrobiła nowy projekt mojej strony internetowej (joyfielding.com), czyniąc ją bardziej interaktywną i supernowoczesną. Myślę, że udało jej się to znakomicie. Dajcie mi znać, czy się ze mną zgadzacie.

Ponownie dziękuję moim wydawcom za granicą i ich świetnym tłumaczom. Proszę, róbcie nadal to, co robicie od lat. Choć moje słowa ulegają przekształceniu i przepisaniu, najwyraźniej to działa.

Szczególne podziękowania dla Helgi Mahmoud-Trainer z Niemiec, a także napomnienie, że ma się nadal dobrze czuć.

Wydawcom, którzy dopiero niedawno dołączyli do tej wspólnoty – witajcie na pokładzie. Mam nadzieję, że czekają was same przyjemne wrażenia.

Dziękuję Annie, Courtney, Renee i Aurorze za całą ich miłość i pomoc oferowaną mi codziennie. Ja też was kocham. A moim ukochanym wnukom, którym tę książkę zadedykowałam – życzę wam takiego szczęścia, jakim wy staliście się dla mnie. Jesteście najlepsi.

Te podziękowania byłyby niepełne, gdybym nie wspomniała w nich mojej zmarłej już dawno temu babci Mary, matki mojego ojca, najnieszczęśliwszej istoty, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi. To ona stała się inspiracją dla babci Mary, i choć moja powieść jest niewątpliwie fikcją literacką, wiele słów tej postaci mogłoby paść wprost z ust mojej babki. Bywają takie sytuacje, jak zauważyła w pewnej chwili Caroline, kiedy „czegoś takiego nie dałoby się wymyślić”.